

Pennington Louise

Miraże

Uroda, inteligencja, dobre pochodzenie, pieniądze - jak w bajce. Czegóż jeszcze potrzeba kobiecie do szczęścia? A jednak... Francesca Gaetini ma wszystko, ale i nic. Czy w zgiełku agencji reklamowej, którą prowadzi, uwikłana w problemy trzech mężczyzn, odnajdzie w życiu prawdziwe wartości, czy też pochłonie ją zdradliwy świat pozorów?

Reklama jest jak czarodziejka, jak mistrzyni magii...

tka marzenia piękniejsze od życia

i ma moc, by zrobić je wszystkim albo niczym.

Uwielbiał ostry zapach jej seksu, uwielbiał zadziwiające doskonałością krągłości i doliny jej kobiecego ciała, po których niespiesznie wodził palcem. W półcieniu ogarniającym pokój Frankie mogła uchodzić nie za dojrzałą kobietę po chwilach miłosnego uniesienia, lecz za szesnastolatkę, która odsypia dzień spędzony w szkole. Aidan raptownie zaczerpnął powietrza. Nie mógł pojąć, że tak łatwo zapadła w sen, zostawiając go w oszołomieniu, niemal w poczuciu słabości. Czasem zastanawiał się, dlaczego zawsze musi ją brać prawie gwałtem, tylko wtedy bowiem może wykazać się inicjatywą. Tylko wtedy jest górą. Skwitował tę niewyszukaną przerośnię kwaśnym uśmiechem i przekreślił się na plecy, ponieważ pragnął Frankie nadal, czekał tylko na jej przebudzenie.

- Nie znosisz, kiedy śpię, prawda... - Było to bardziej twierdzenie niż pytanie. Powoli odwróciła się do niego. - To cholernie rani twoją męską dumę. Zupełnie jakbym najpierw wycisnęła cię jak cytrynę, a potem wyrzuciła. - W rzeczywistości nie spała jednak ani chwili. Aidan się kręcił, nie chciał zostawić jej w spokoju, więc pobudzał ją wciąż pieszczotami.

- Ty zawsze robisz wszystko bezbłędnie. - W rozdrażnieniu wziął ze stolika zgniecioną paczkę papierosów. - A jesteś przy tym tak cholernie zimna jak

królowa śniegu. - Trzasnął zapalniczką i dla uspokojenia głęboko zaciągnął się dymem.

- Nie zaczynaj, Aidan... - westchnęła i wyjęła mu papierosa z palców. - Zresztą gdybym rzuciła się na ciebie, błagając o więcej, potraktowałbyś mnie jak inne biedne dziwki. Nowe doznanie dobrze ci zrobi. - Wydmuchując idealne kółka dymu, puściła do niego oko. Chciał mieć wszystko, ale od niej nigdy by nie dostał. W agencji Aidan był nieomal półbogiem, najlepszy dyrektor artystyczny w dziejach firmy, do tego bezczelnie przystojny. Niebiosa okazały mu nadmierną łaskawość, to nie ulegało wątpliwości, a Aidan uwielbiał rznąć Frankie, gdy tylko miał okazję. Ona jednak była szefem i dzierżyła wszystkie atuty, on zaś dotąd zawsze wiedział, co mu wolno. Czują na ramieniu jego ciepły oddech.

- Co u Michaela? - spytał obojętnie, przesuając język po jej ręce.

Zamknęła oczy i ujrzała swego urodziwego brata siedzącego tak nieruchomo, w tak doskonałej pozie, jakby wraz z jej biurowym krzesłem stanowił rzeźbę. Zaskoczył ją tymi odwiedzinami i ofertą sprzedaży swych udziałów, z którą wystąpił jakby przewidując plany siostry. Nie widziała go od ponad roku. Gdy tylko skończył studia, Livia zatrudniła go do wynajdywania antyków. Miał bazę wypadową w letnim domu w Menton i podróżował po świecie, czasem z matką, czasem bez niej, gromadząc wspaniałe egzemplarze. Tyle piękna pod jednym dachem. Francescę ścisnęło w gardle. Wprawdzie zniknęło poczucie serdecznej więzi, która łączyła ją z bratem przez całe lata, coś jednak pozostało, i kiedy po raz pierwszy wyraziła chęć kupna jego udziałów, a on grzecznie odmówił, zareagowała niepohamowanym gniewem. Zupełnie jak ojciec. Teraz zastanawiała się, czy Michael nie potrzebował tych akcji, żeby zachować więź pozwalają-

jąca mu czuć się częścią życia siostry. Po raz pierwszy poczuła odrobinę litości dla brata, któremu dotąd tylko zazdrościła, i którego uwielbiała dłużej, niż chciałyby sięgać pamięcią. Odczuwała także smutek osamotnienia. Livia nie dopuszczała myśli o usamodzielnieniu się Michaela. Francesca zastanawiała się, czy istniała odpowiednia dla niego kobieta. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że syn jej ojca jest pedałem, nie mogła też jednak wyobrazić sobie Livii tolerującej konkurencję. No i wreszcie Michael sprzedał siostrze udziały, zostawił sobie tylko pięć procent, i Livia mu na to pozwoliła. Na pożegnanie zakłócił uśmiechem nieskazitelność rzeźby z kości słoniowej, zaskakując Francescę. Jako dziecko uważała Michaela za istotę czystą, świętą na równi z Jezusem i aniołami. Nic dziwnego, że matka widziała to, co ciemne i ułomne jedynie w córce. Czasem zresztą Francesca prawie ją rozumiała.

- I co, przyjmiesz ofertę Samuela? - spytał Aidan, leciutko muskając wargami jej pierś.

- Już przyjąłem. - Niech się dowie pierwszy, przecież to nie ma znaczenia.

- Boże, słyszał ktoś takie rzeczy? - Poirytowany wyrwał jej z palców niedopałek i usiadł.

- Czyżbym miała obowiązek konsultować z tobą każdą decyzję? - Chciała się roześmiać, ale tylko oparła się o wezgielnie łóżka, gestem okazując zniecierpliwienie. Tak znakomitej propozycji pracy trudno było się oprzeć, mimo to zwodziła Henry'ego swymi rosnącymi wymaganiami, przeświadczona, że zmusi go do wycofania oferty. Ale nie. Dostała dwieście tysięcy funtów rocznie i pokaźny udział, i ferrari, i dziesięć procent od transakcji, i jeszcze, jeszcze... Pozwolono jej nawet praktycznie zatrzymać agencję Gaetini & Kemp. Do Franceski nadal należało tam siedemdziesiąt procent akcji, nie licząc pięciu pro-

cent Michaela, a firma miała funkcjonować jako autonomiczna filia Samuela, co wykluczało ewentualne konflikty i rywalizację z centrum. Obie strony zrobiły dobry interes.

- Mogłaś mi powiedzieć wcześniej, choćby napomknąć... - Wolno mu było myśleć, że jest jej bliski wszyscy prawie w to wierzyli, ale w rzeczywistości dzieliła ich tak cholerna odległość jak Ziemię od Księżyca. Francesca doprowadzała go do szału, zarazem jednak cieszyła go świadomość, że może ją mieć no i dotychczas zawsze mógł. Odwrócił" się, żeby na nią popatrzeć. Była tak spokojna, a zarazem tak pociągająca, że jego ręka machinalnie sięgnęła do wzgórka piersi, prowokująco osłoniętego białą bawełną. Aidan zaczął powoli poruszać palcami, jak za dotknięciem różdżki doprowadził sutka do erekcji zsunął prześcieradło i przycisnął usta do dużego' rozowobrazowego krążka. Francesca natychmiast rozchyliła wargi, nagradzając go cichym, dobrze mu znanym westchnieniem rozkoszy. Poczul, jak się pod nim porusza i wędruje rękami do jego włosów.

- A co ze mną? - Jego głos brzmiał teraz przymilnie

- Jesteś dużym chłopcem, Aidan, możesz sam o sobie zadbać... - Uniosła biodra, cicho pojękując w miarę jak palce Aidana niepostrzeżenie przesuwają się coraz niżej.

- Zabierz mnie z sobą, Frankie...

Postanowiła powiedzieć mu później. Teraz go pragnęła. A w jej nowym układzie nie było dla niego miejsca. Dzięki niej grał już pierwsze skrzypce w agencji Gaetini & Kemp i to mu na razie musiało wystarczyć jej plany nie obejmowały przenosin Aidana do Samuela. Na dotychczasowym stanowisku ma dosyć władzy, a jesh zechce więcej, to da się podkupić konkurencji. Aidan nie zginie, należy do ludzi, którzy zawsze utrzymują się na powierzchni. Francesca odsunęła od

siebie tę myśl, teraz co innego było ważne. Chciwie przetoczyła się na Aidana, spychając go pod siebie. Przebiegła ustami po szyi i szerokiej piersi w kierunku pasma ciemnych włosów i sztywnego, sterczącego narządu. Igraszki z nabrzmiałym różowym sutkiem, wsysaniem i wypuszczaniem go na wolność wywoływały namiętne pomruki. Potem uniosła się nad Aida-nem, rozchyliła uda i objawszy dłonią członek, pokazała mu drogę w siebie.

- Kiedy?! - spytał Brunning.

- Henry powiedział o tym dopiero wczoraj... - Buchanan spuścił wzrok.

- Sukinsyn... tłusty sukinsyński żydłak! - Ścisnął dłonie w gwałtownym przyływie rozczarowania.

- Nawet słowem nie wspomniał na ten temat, jednym zasranym słowem...

- Och, Vic, nie przejmuj się. Gdyby któryś z nas miał szansę, wiedzielibyśmy od dawna... Ty zawsze słyszysz przede mną, że coś się święci.

- Ale dlaczego właśnie ona, na miłość boską! Córka makaroniarza, siksa, która dopiero co wstała z nocnika i siedzi w jakiejś pieprzonej agencji. - Vic dławił się każdym słowem. To on chciał dostać tę posadę, Boże, od tygodni nie myślał praktycznie o niczym innym. Joe przeszedł na emeryturę i teraz prezesura należała się Vikowi. Czyż to nie on uosabiał firmę, czyż nie był charyzmatyczną maskotką Samuela? I czyż to nie on niezmiennie stawiał czoło prasie, bo jego pan i władca nie cierpiał wokół siebie szumu, zbijając kapitał na wrodzonej wstydlivości, jak jakiś zasrany Howard Hughes. Boże! Coś mu się przecież od Henry'ego należało!

- Zauważ, Vic, że odkąd ona prezesuje w Gaetini & Kemp, przesunęła agencję z trzydziestego ósmego miejsca w rankingu na dziewiętnaste. - Głos Geoffa

zmusił go do skupienia. - W ciągu roku nie tylko gruntownie zreorganizowała pracę i wymieniła personel, ale nawet podebrała nam klienta.

- A ty co jej tak bronisz? - wściekle burknął Vic. - Zresztą podebrała tylko jakiś zasrany sok owocowy...

- ...Wart okrągły milion, co nie uszłoby twojej uwagi, gdyby nie zajmowało cię tak bardzo wylizywanie czarnej dupy Kima Hasama.

Zirytowany Vic zamknął oczy, jakby w ten sposób chciał odgrodzić się od wyobrażenia ironicznego uśmiechu Araba, któremu wydawało się, że ma cały Zachód u stóp. Hasam za pomocą obietnic miesiącami trzymał go w niepewności. Agencja Samuelaśa zapewniała mu liczne atrakcje, od najlepszych pańienek do towarzystwa począwszy, a skończywszy na „pożyczce” firmowego jachtu zakotwiczonego w Monaco. I za to wszystko przed Samuelsem otwarto w Egipcie jedynie pewne możliwości, nie do wykorzystania z powodu braku środków i personelu, o czym Hasam dobrze wiedział, tymczasem liczyło się to, co było w Wielkiej Brytanii: rozległa sieć ekskluzywnych hoteli i klubów golfowych, którą miano uruchomić wiosną następnego roku. Czas uciekał, i dopiero wczoraj Vic usłyszał, że Hasama widziano na obiedzie z Mattem Summersem z agencji J. Walter Thompson, należącej do ich głównych konkurentów. Z wściekłą miną odwrócił się do okna.

- Od kiedy ona zaczyna? - spytał wreszcie.

- Oficjalnie od początku miesiąca, ale najwyraźniej spędziła już trochę czasu z Henrym i resztą zarządu, a my mamy się z nią spotkać w poniedziałek na lunchu.

- Cholera.

- Posłuchaj, Vic. Mnie się to wcale nie podoba bardziej niż tobie, ale musimy szczerzyć zęby i jakoś to znieść... Poza tym, kto powiedział, że mamy uła-

twiać jej życie? Tyle że nie trzeba się z tym afiszować. - Geoff uważnie przyjrzał się koledze, który niekiedy był przyjacielem. Vic miał długi i niewyparzony jęzor, ale obaj razem wspinali się po szczeblach kariery w agencji i w pewnej chwili zarząd, nie potrafiąc dokonać między nimi wyboru, mianował ich kolektywnym dyrektorem naczelnym. O dziwo, dogadali się i rozwiązanie zdawało egzamin, czasem zupełnie wbrew naturze Geoffa. Teraz jednak zarząd zdecydował przeciwko nim. Prawdopodobnie nie dojrzał jeszcze do przyjęcia kolektywnego prezesa. Poza tym nawet jeśli Vic nie zdawał sobie z tego sprawy, Geoff widział jasno, że obaj spoczęli na laurach, czy mówiąc inaczej „obrośli tłuszczem”, jak nazwała to jego sekretarka Liz, zanim wymówiła pracę. Przeleciało mu przez myśl, że będzie mu brakowało jej niewyparzonej gęby i cockneyu.

- Mamy być w tym roku na pierwszym miejscu w rankingu - niechętnie stwierdził Vic.

- Tak powiedział Henry... - odparł Geoff, przypominając sobie lakoniczną uwagę szefa. Ale kiedy Samuels mówił o terminie przyjścia Franceski Gaetini, w jego słowach pobrzmiewało pewne lekceważenie, jakby oczekiwał, że jej panowanie nie potrwa długo. Może traktował ją jako przynętę? Geoff uśmiechnął się pod nosem. Henry też nie zniósłby kobiety dyktującej mu, co ma robić.

- Czy jest już informacja dla prasy?

- Na poniedziałek - cicho powiedział Geoff.

- Masz przy sobie?

- Proszę. - Rozłożył kartkę i podał Brunningowi. Ten odczytał na głos:

Samuels mianuje prezesa. Gaetini ma wnieść szczyptę kobiecości do zarządzania agencją... Samuels nazywa zestawienie Brunning, Buchanan, Gaetini mieszaniną wybuchową...

Vic uśmiechnął się lekko. Może się okazać, że mieszanina jest odrobinę bardziej wybuchowa, niż Henry sądzi.

- Wiesz, jesteśmy w finale rozgrywki o tego mesja-szowatego cudaka Matthiasa. To już pewne - rzucił Geoff, próbując zmienić temat. Trzeba przecież kierować agencją, a zaczynała go nudzić rola niańki zboląlej jaźni Vica.

- Mhm... - mruknął Vic, mnąc kartkę w kulę i z wielką starannością wpuszczając ją do kosza.

-Słyszałem. - Znowu odwrócił się do Buchanana. - Jeśli się załapiemy, to rzeczywiście dojdziemy na szczyt rankingu, a przy okazji trafimy na pierwsze strony gazet.

- Zajmuje się tym Gareth, ale jeszcze nic od niego nie dostałem.

- Daj go tu zaraz. Chcę być informowany na bieżąco o wszystkich poczynaniach.

- To dobrze, bo ja mam lunch z królem hamburgerów i jego chłopcem. - Buchanan skrzywił się i ruszył do drzwi.

- Ty to umiesz popychać sprawę od właściwej strony.

- Owszem, ale nie jestem pewien, czy on też...

Vic uśmiechnął się i gdy drzwi za Geoffem się zamknęły, znów spojrzał w stronę okna. Matthias jako klient byłby ukoronowaniem roku. Gwiazdor rocka nawrócony na głosiciela Ewangelii. Przedtem wiązał się już ze wszystkim, co możliwe, od buddyzmu zen po heroinę, i jeszcze cztery lata temu zdobywał wszystkie nagrody fonograficzne, a do tego miał same złote płyty. Potem nastąpiła cisza, póki Matthias nie poczuł się powołany przez Boga, Mahometa czy nie wiadomo kogo. Brunning zaśmiał się pod nosem, zastanawiało go, czy długotrwały brak przeboju miał coś wspólnego z nagłym zwrotem gwiazdora ku reli-

gii. Zyskał przecież w ten sposób ogromną popularność, a wszystko dzięki jednej z ręcznie, wręcz po mistrzowsku zorganizowanej podróży - najpierw do Nikaragui, a potem w krwawy chaos Bejrutu. Boże! Udało mu się nawet załatwić audiencję u Reagana. „Pokój, człowiek” - tak mniej więcej brzmiało jego przesłanie. Zupełnie jakby wróciły lata sześćdziesiąte, tylko tym razem bez kwiatów. Vic ospale pokręcił głową. Matthias zostawiał za sobą wytyczony szlak, a pełni uwielbienia fani ochrztili go „Złocistym Bogiem”, która to nazwa zrobiła zawrotną karierę. Szał zaczął jednak słabnąć i wyglądało na to, że artysta chce sobie teraz znaleźć wygodne miejsce w świecie establishmentu. Pomysł był obłądny. Matthias nie budził poważania nawet wyglądem, ale przecież tak czy inaczej potrzebował agencji, dobrej agencji, która zajęłaby się jego nową osobowością, bo wciąż miał z tym kłopoty, wciąż wlokły się za nim upiory niechlubnej przeszłości. Ze starszym pokoleniem to zupełnie inna sprawa niż z nastolatkami. Vic sięgnął do barku, uświadamiając sobie nagle, że nastrój mu się zmienia. Ta kampania będzie jego dzieckiem, już on się postara, żeby chwałą spłynęła właśnie na niego... nie na Geoffa, nie na Henry'ego i stanowczo nie na Francescę Gaetini. Nalał sobie dużą porcję szkockiej i wypiwszy odczekał, by ciepło powoli rozeszło się po ciele. Przeniósł wzrok na biurko z telefonem i w chwilę później rozmawiał ze swoją sekretarką.

- Załatw mi spotkanie z Matthiasem.

- Czy z t y m Matthiasem, Vic? - Bojaźliwy głos go zirytował.

- A z którym? Gdzie ty masz głowę, Zoe?! - Trzasnął słuchawką o widełki i nalał sobie jeszcze jedną szkocką.

Upłynęło kilka minut, zanim Zoe odezwała się ponownie.

- Pierwszy wolny termin ma siedemnastego w przyszłym miesiącu... - powiedziała z wahaniem.
- No dobra, potwierdź - warknął.
- Ale w tym dniu masz spotkanie z panem Hasaniem, tuż po jego powrocie ze Stanów.
- Powiedz panu Hasamowi, żeby się pocałował w dupę.

Sian usłyszała wołanie akurat wtedy, gdy ku swemu udręczeniu zrobiła palcem dziurę w całkiem nowych rajstopach. Zakłęła pod nosem i niezgrabnie powlokła się do łóżka, po drodze ściągając przekłete rajstopy. Potem ze zrezygnowanym westchnieniem przeszła do sąsiedniej sypialni. Peter chwiejnie stał w łóżeczku, ściskając pręty ramy.

- Och, Petie, tak chciałam, żebyś pospał dziś odrobinę dłużej - powiedziała znużonym głosem, nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu, który przemknął jej po twarzy. Wzięła dziecko na ręce i pocałowała. Bardzo lubiła miły niemowlęcy zapach.

- Podgrzeję ci mleka, a potem zostaniesz z babcią, bo mamusia ma dzisiaj bardzo ważne spotkanie i nie może się teraz z tobą bawić. - Sian pomyślała o zbliżającej się rozmowie i onieśmielającej renomie agencji Samuelsa. Nie pracowała już ponad rok, ale miała nadzieję, że jeszcze nie całkiem wyszła z obiegu. Nadal sprawnie pisała na maszynie i nawet udało jej się wykraść trochę czasu na kurs komputerowy, który stanowczo przerastał jej finansowe możliwości.

- Boże, może coś z tego będzie - szepnęła, wznosząc oczy ku niebu.

Hol był bardzo długi i bardzo biały, wystudiowaną surowość urozmaicały tu i ówdzie dzieła sztuki, palmy w donicach i wspaniałe, bijące w oczy reklamy. Wszystkie nazwy towarów były dobrze znane, wszy-

stkie firmy wielkie lub sławne, a najczęściej wielkie i sławne równocześnie. Sian próbowała je zapamiętać, żeby po powrocie do domu opowiedzieć matce wszystko ze szczegółami. Ale wrażenie robił nie tylko blask powabnych reklam. W agencji brzęczało jak w ulu: telefony się urywały, posłańcy przybywali niemal bez przerwy, przez drzwi wejściowe przelewał się niepowstrzymany strumień ludzi. Sian poczuła nerwowy dreszczyk, ogarnęło ją podniecenie. Boże, ileż to czasu minęło! Peter całkowicie zmienił jej tryb życia, a wcześniej decyzja o nieusuwanu ciąży doprowadziła ją do granic załamania. Kochała Adama, jasne, ale od początku wiedziała, że ma żonę i dziecko. Mimo to wdawa się z nim w romans, co również przewidziała z góry, no i musiała odejść z The Village, jego ukochanej firmy, i zrezygnować z posady, która dawała jej wiele satysfakcji. Sian przymknęła powieki, usiłując oddalić od siebie wspomnienia. Może tutaj uda jej się zacząć od nowa, miałyby zdaje się kobietę za szefa, więc nie prześladowałyby jej myśli o mężczyźnie, z którym się rozstała. Ciężko westchnęła, uprzytamniając sobie nagle, że bardzo chce dostać tę pracę.

- Rozumiem, że ma pani dziecko? - padło nieuniknione zdanie.

- Tak, ale zajmą się nim dziadkowie - odparła ostrożnie Sian, czując nerwowe ściskanie w żołądku.

- A co z pracą po godzinach? - sondowała dalej Rachel Gold.

- Dobrze wiem, co się robi w agencji, i nie wątpię, że praca po godzinach bywa konieczna. Z tym nie ma kłopotu. - Westchnęła w duchu, powściągając irytację, którą przy ostatnich słowach trudno jej było ukryć.

- Francesca Gaetini ma należeć do najbardziej

wpływowym osobom w agencji. Będzie tu nowa, więc najprawdopodobniej okaże się wymagająca i wiecznie niezadowolona, przynajmniej na początku. Zamierzałam wybrać dla niej kogoś z firmy, ale nie chcę mieć kłopotów z lojalnością. Tak wielkie zmiany jak ta zawsze wywołują zazdrość i prowokują do najróżniejszych gier. Czy pani sobie z tym wszystkim poradzi?

- Bardzo chcę dostać tę pracę. Myślałam o niej długo i na razie nie zniechęciło mnie nic z tego, o czym pani mówi. - Uśmiechnęła się, próbując zatuszować żarliwość tych słów. Może byłoby lepiej, gdyby dowiedziała się teraz, że ma małe szanse, może...

- Cóż, pani kwalifikacjom nic nie można zarzucić, ma pani dużo potrzebnego doświadczenia... - Rachel przyglądała się przez chwilę dziewczynie, podbudowana jej dojrzałością i zdecydowaniem. Zresztą Adam Gilmore wspaniale ją zarekomendował. Pani rozumie, oczywiście, że będę jeszcze prowadziła rozmowy z innymi osobami, ale w końcu tygodnia wybiorę najlepsze kandydatki, więc zaraz po niedzieli odezwę się do pani. - Wstała i podała Sian rękę. - Dziękuję za przyjście.

- Dziękuję za rozmowę - odparła Sian beznamiętnie. Czy poniosła całkowitą klęskę, czy też chciano potrzymać ją w niepewności? Cicho zamknęła za sobą drzwi. Nagle wydało jej się, że ten rok przerwy trwał dziesięć lat, że znowu jest całkowicie zielona.

i oczywiście pomyślała o Adamie. Od urodzenia Petera, osiem miesięcy temu, widziała go tylko sześć razy, a spotkania były coraz bardziej krępujące. Adam wściekł się, kiedy postanowiła urodzić to dziecko, prawie błagał ją, żeby zmieniła decyzję... najprawdopodobniej zbyt duże było ryzyko, że któregoś dnia syn z nieprawego łóża pojawi się na horyzoncie i zniszczy jego, z trudem budowaną karierę.

Wyrwało jej się ciche, zmęczone westchnienie. Romans z Adamem był cudowny, oszałamiający, niepodobny do żadnego z jej wcześniejszych przeżyć. Przymknęła oczy rozgoryczona: okrutne wspomnienia, które starała się trzymać na dystans, wróciły z całą mocą, a twarz Adama pojawiła się w jej wyobraźni. Jak miała nie pamiętać, że za każdym razem, kiedy go widziała lub słyszała, zapierało jej dech; kiedy odchodził natomiast, pragnęła tylko go zatrzymać. On jednak odchodził zawsze. Teraz ich spotkania będą coraz radsze, potem zostaną tylko rozmowy przez telefon, wreszcie i one ustaną. Ale ma za to Petera, jaki to śliczny chłopiec. Sian uśmiechnęła się smutno, podchodząc do wind. Bez wątplenia to pobożne katolickie wychowanie pchnęło ją do macierzyństwa, powstrzymało przed złamaniem najświętszej z zasad. A przecież od lat nie była u spowiedzi ani u komunii, odrzuciła to już dawno, przynajmniej tak jej się zdawało, aż do czasu Petie'ego. Ale właściwie nie miała wyboru. Drzwi windy otworzyły się i Sian weszła w słup stęchłego powietrza, nasyconego zapachem czosnku i alkoholu. Geoff Buchanan przepuścił ją, odsuwając się na bok. Miał nadzieję, że przez dwa piętra ścisk nie zdąży zanieczyszczyć jego klienta.

- Cieszę się, że podobała ci się ta parodia... Niektórzy ludzie nie potrafią docenić jej, no, nazwijmy to brakiem subtelności. - Dyskretnie zerknął w bok, nagle bowiem dotarł do jego świadomości słodki, mocny aromat. Przez chwilę błędził spojrzeniem po blond włosach dziewczyny.

- Mnie się to wydało niesłychanie zabawne, Bobby...

Bobby, inaczej mówiąc Bob Kornberg, nie odpowiedział i Geoff był pewien, że jego zwężone, białe nozdrza oraz zaciśnięte usta świadczą o wszystkim, tylko nie o rozbawieniu. Nigdy nie zdołał zrozumieć,

dlaczego Kornberg nalega na obecność swego „asystenta” Danny'ego, chociaż było jasne, że ten doprowadza go niemal do białej gorączki.

- Dwa napalone na siebie gigantyczne hamburgery... - ciągnął Danny chichocząc pod nosem - i do tego takie wspaniałe hasło: „Nie, nie. Nie bez ogórka”...

Buchanan poczuł, że unosi kąciki ust w mimowolnym uśmiechu. Hasło świadomie wymyślono tak, że trudno o gorsze. Znowu ukradkiem przeniósł wzrok na stojącą obok dziewczynę, która także usiłowała się nie uśmiechnąć. Nagle jednak winda stanęła, drzwi się otworzyły i blondynka wyszła. Jeszcze przez moment Geoff śledził ją wzrokiem, a potem znów zajęło go to, co najważniejsze: klient i jego szczęście. Niewykluczone, że nadszedł czas, żeby Bobby postarał się o nowego chłopaka. Nick gapił się przed siebie w nagłym przypiływie zmęczenia i nudy. Do końca tygodnia powinien coś wymyślić, tymczasem jakby dostał rozmiękczenia mózgu. Wrócił spojrzeniem na blat biurka, gdzie w pastelowym opakowaniu z celofanu leżały nieświeże już okrągłe ciasteczka z dziurką. W zeszłym miesiącu miał pieluchy, przedtem nowy rodzaj dezodorantu, ale na oba towary znalazł pomysły i wszyscy poza nim samym byli zadowoleni. Przeszedł przez zabałaganiony pokój do okna, gdzie na parapecie w opróżnionej do połowy puszcze grzało się piwo Fostera. Smakowało ohydnie i Nick nie rozumiał, dlaczego pije to paskudztwo. Jego wzrok znów przyciągnęły przekłete ciasteczka. Zamknął oczy i zobaczył wizję na użytek prywatny: gorące, parujące kóleczka ociekające masłem (zawartość cholesterolu stanowiła jedną z przyczyn coraz mniejszej ich popularności). Ujrzał starego, wytwornego człowieka (mogłaby też być kobieta, na przykład w typie Penelope Keith),

człowiek siedział przed huczącym kominkiem, w otoczeniu antyków, srebra i wszechobecnej muzyki klasycznej... A gdyby dla humoru dać na przykład coś z „Jeziora łabędziego”? Nick otworzył oczy, odetchnął z ulgą i usiadł przy biurku. Reklama nie będzie należała do najoryginalniejszych, ale trudno oczekiwać, żeby scenariusz dotyczył na przykład miejscowych punków, jeśli towar ma nazwę „Baronet”. Wreszcie się uśmiechnął. „Baronet - arystokrata wśród ciastek”... nieźle. Jeszcze dobry aktor, może nawet jakiś gwiazdor, parę końcowych pociągnięć i wszystko będzie jak trzeba. Reklamę zamówiła stara rodzinna firma z tradycjami, po raz pierwszy korzystająca z usług agencji Samuela. Ciasteczka „Baronet” były pierwszym wyrobem z planowanej serii i właściciele mieli nadzieję, że pod tą samą nazwą wypuszczą na rynek również: marmoladę, pastę z ryb, ryżu i jajek, zapewne także wędzone śledzie. Gdyby ciastka dobrze się sprzedawały, Nick miałby gwarantowaną robotę na cały rok. Na chwilę odłożył długopis i głośno westchnął rozgoryczony. Pracował u Samuela już od sześciu miesięcy i jak dotąd nie trafiło mu się nic naprawdę smakowitego, w co można by się z przyjemnością wgryźć. Kampanię sztuki włoskiej dostał Keith Todd, „Amerykańska moda w Wielkiej Brytanii” wpadła w ręce Penny Farish, a teraz Mat-thiasa zagarnął Gareth Jones. Wszyscy troje należeli do starej gwardii Samuela... Ciche pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy.

- Mam nadzieję, że nie płoszę twoich wizji twórczych.

- Jestem absolutnie pewien twojej szczerości, Caroline, bo bez wątpienia bardzo chcesz, żebym oddawał się twórczym rozmyślaniom.

Zatrzymał wzrok na jej twarzy. Zawsze intrygował go kolor oczu Caroline, coś pośredniego między sz-

rością i fioletem. Zauważał też lekko nadąsane wargi, które wydymały się mimowolnie, kiedy łamał ustalony plan pracy. Caroline była jak dziecko. A on nigdy nie pracował zgodnie z harmonogramem. Czasem robił to specjalnie, żeby ją rozdrażnić. Stanowiła wszak łatwy cel. Zawsze nosiła surowy strój, zdradzający jej drobnomieszczańskie pochodzenie, na szyi miała perły, i siłała się na błyskotliwość, choć nieszczęśliwie jej to wychodziło. U Caroline wszystko musiało być na miejscu i chyba z reguły było. Nick zastanawiał się, czy kiedykolwiek w życiu zrobiła coś naprawdę bezczelnego, czy zdarzyło jej się na przykład zawędrować w głąb robotniczego East Endu albo stanąć na rogu jeść z torebki małże lub węgorze. Ciekawiło go też, czy Caroline jest dziewczyną.

- Zastanawiałam się tylko, czy ty i Tony już coś macie... Ale nie chcę się naprzykrzać... - Głos jej zdrzął. Czasem nienawidziła schodzenia do projektantów, a szczególnie do Nicka, który zazwyczaj stawiał ją w trudnej sytuacji. Potrafił zachować się tak, że miała ochotę zapaść się pod ziemię. Właściwie ważne było nie to, co mówił, lecz, jak mówił. Zupełnie jakby się z niej naigrawał.

- Akurat. - Jeszcze przez chwilę się w nią wpatrywał, podobało mu się jej zakłopotanie. - Cóż to za pracowite pszczołki pilnują interesu klientów. Ciągłe muszą przylatywać i bzyceć na nas, trudnych i chimerycznych artystów. Boże, Caroline, czasem chciałbym, żebyś po prostu weszła i powiedziała jasno, czego, do cholery, chcesz! - Dostrzegł na jej twarzy skurcz i natychmiast pożałował szorstkiego tonu. Caroline miała zadziwiającą umiejętność prowokowania go. - Do piątku wszystko będzie gotowe - dodał uprzejmie - więc nie musisz panikować. - Te słowa wywarły pożądany skutek i dziewczyna obdarzyła go przelotnym uśmiechem, w jej oczach jednak wciąż

odbijała się lekka uraza, a na policzkach czerwieniały plamy jak po uderzeniach. Zniecierpliwiony Nick odwrócił się do biurka, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. - Zadzwoń, kiedy będę miał pierwszy szkic.

- Dobrze... - odpowiedziała niepewnie i Nick wiedział, że nadal stoi w drzwiach, jakby chciała coś dodać. Potem usłyszał oddalające się kroki. Nasłuchiwał, póki ten dźwięk nie wtopił się w szum agencji, po czym podniósł głowę i wbił wzrok w miejsce, gdzie przed chwilą stała Caroline. Poczł coś w rodzaju wyrzutów sumienia za tak szorstkie potraktowanie dziewczyny.

Uśmiechnęła się w końcu, bo w ten sposób rozładowała napięcie, ale pod przenikliwym spojrzeniem Nicka skurczyła się w środku. Nie zdarzyło się jeszcze, by odniosła wrażenie, że powiedziała w jego obecności to, co trzeba albo przynajmniej odezwała się we właściwy sposób. Czuła się przy nim niezdarna, bezużyteczna, nudna. Westchnęła i z trudem porzuciła myśli o Nicku Keoghu. Mogła się nim dalej martwić jutro, tymczasem wreszcie zaczął robić tę przekłętą reklamę. Wybiegła myślą do najbliższego wieczoru i Guya. Spodziewano się rychłego ogłoszenia ich zaręczyn, bądź co bądź chodzili ze sobą od czterech lat, więc wydawało się to całkiem naturalne. Próbowała sobie wyobrazić przebudzenia u boku Guya dzień po dniu, rok po roku, aż do starości. Oczywiście i teraz bywali ze sobą w łóżku, ale nigdy nie spędzili razem całej nocy, zarówno rodzice jej, jak i Guya traktowali bowiem te sprawy zasadniczo. Seks był dla niej niedzielną przygodą, kiedy wracali z przyjęcia albo jego rodzice jechali na wieś, zostawiając ich na całe popołudnie i wieczór. Najczęściej jednak współżyli na chybcika, potajemnie, jakby popełniali śmiertelny

grzech, za który wkrótce zostaną osądzeni, a Guy starał się załatwić sprawę tak szybko, jak tylko mógł. Caroline przypuszczała, że ma on wiele entuzjazmu, ale tak naprawdę nigdy jej nie dotknął, nigdy nie pocałował tak, jak sobie wyobrażała, że powinno to wyglądać. Nie zauważyła z jego strony prób zapanowania nad sobą ani czułych pieszczot, był tylko dotyk mięsistych, dość wilgotnych warg i obowiązkowe ugniatanie piersi wielkimi, nieporadnymi rękami, a potem znajomy ucisk kolana rozchylającego jej nogi. Zastanawiała się czasem, czy Guyowi robiłoby jakąkolwiek różnicę, gdyby kochał się z jedną z kosztownych lalek, o jakich słyszała (niektóre miały nawet prawdziwe owłosienie łonowe...). Nie przejmowała się tym w zasadzie aż do pewnego wieczoru, kiedy to Guy przekreślił się na bok i zasnął, a ona została w półmroku sama z jego białym, kleistym nasieniem ściekającym po udach i plamiącym zgniecioną ciemnoniebieską spódnicę. Tak się złożyło, że jej dłoń znalazła drogę do zarośniętego wzgórzka łonowego i odkryła ciepłe, sekretne miejsce. Palce dotknęły go ukradkiem, a potem zaczęły poruszać się coraz szybciej i wewnątrz pojawiło się miłe doznanie. Caroline odruchowo wyprężyła plecy, napięła mięśnie nóg. Rozkosz sączyła się jakby z bardzo, bardzo daleka, ale po chwili nadeszła całą falą. To potężne wrażenie zaczęło się rozchodzić po całym ciele i pojęła wtedy, że po raz pierwszy w życiu jest bliska orgazmu. Zaskoczyła ją prostota tego wszystkiego, zaskoczyło cudowne odkrycie, że jej własne ciało może dać tyle przyjemności, zaskoczyło ją i zszokowało zarazem, że w wyobraźni za sprawcę tego orgazmu uznała Nicka Keogha. Później jednak została tylko pustka, poczucie winy, zaplamiona spódnica i Guy zdrowo pochrapujący obok.

W „White Tower” została wynajęta cała sala, żeby uczestnicy spotkania „mili wystarczająco dużo prywatności”. Francesca powoli wchodziła po schodach. Vic Brunning i Geoff Buchanan dobrze wiedzieli, jak utemperować kogoś, kto mierzy za wysoko, więc ani przez chwilę nie spodziewała się szczególnie przyjaznej atmosfery. Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, że obaj panowie czują się wyraźnie zlekceważeni decyzją o zatrudnieniu jej na stanowisku prezesa agencji, toteż lunch miał być po prostu mało wyrafinowanym sposobem na przełamanie lodów. Zaśmiała się bezgłośnie, pewna, że lód pozostanie gruby jak kra podbiegunowa. W pierwszym odruchu podjęła jednak wyzwanie i świadomie wybrała efektowną toaletę. Zawsze było jej dobrze w skórze i projektant z Cibi wymyślił dla niej wystrzałową kreację, zakładając i zbierając tworzywo niczym bawełnianą tkaninę. Uśmiechnęła się nieznacznie, kiedy podszedł kelner i wprowadził ją do wynajętej sali. Obaj mężczyźni wstali na powitanie. Nigdy przedtem ich nie spotkała, ale widywała na licznych fotografiach w branżowej prasie, więc rozpoznała ich bez trudu. Vic był wysoki i miał bardzo dobrą prezencję. Francesca przypomniawszy sobie o jego famie kobieciarza. Tłumaczyły ją usta, duże i zmysłowe. Ich posiadacz ograniczał się jednak zwykle do polowania na łatwą zdobycz, młode, zielone panienki. Przeniosła spojrzenie na Geoffa Buchanana, który był niższy, śniady i miał ładne oczy. Przemknęło jej przez głowę, że uśmiech, jakim ją powitał, można było uznać za niemal szczery.

- Wreszcie się spotykamy - powiedział i zaproponował drinka.
- Mam wrażenie, panowie, że już spotykałam was, po sto razy... „Campaign” czujnie obserwuje świat reklamy.
- Pani zdjęć też tam nie brakuje, szczególnie ostat-

nio - wtrącił Vic. Omal nie dodał, że żadne z tych zdjęć nie dorównuje oryginałowi, ale nie chciał przysparzać jej punktów, których i tak miała dość. Wyraz „pociągająca” wydawał się w odniesieniu do niej zbyt słaby. Była i seksowna, i piękna, i nawet fascynująca. Ale miała też bardzo ostre zęby. Zresztą często odnosił podobne wrażenie przy pierwszym spotkaniu z kobietą, która mu się podobała. Potem każdą z nich przelatywał i smak nowości ginął. Kiedy odwróciła się do Geoffa, ponownie zmierzył ją spojrzeniem, wiedział jednak, że nie będzie żadnego przelatywania Franceski Gaetini, że jest na to za sprytna. Nie znosił inteligentnych kobiet, bo zawsze wszystko cholernie komplikowały. Działy na niego tak, jakby ktoś oblał mu kutasa zimną wodą. Geoff dalej trzymał drętwą mowę, a on tymczasem zastanawiał się, jakie to perły mądrości Francesca Gaetini zamierza rzucić, bez wątpienia złośliwie, na drogę ich współpracy.

Francesca czekała z zaplanowanymi tematami, aż ciepło pierwszego drinka rozejdzie się po całym ciele, czekała, aż Vic dojdzie do siebie i przestanie rozbierać ją wzrokiem. Rozbawiona, próbowała dociec, czy Vic zdaje sobie sprawę z tego, jak łatwo pozwala odgadywać swe myśli, ale odsunęła od siebie tę refleksję i skupiła się na ważniejszych sprawach. Było to przecież bardzo znaczące spotkanie ze współpracownikami. Miała im wiele do powiedzenia, bo ci dwaj musieli, choć w pewnym stopniu, poznać jej plany wobec firmy.

- Agencja Samuela ładnie się rozrosła przez ostatnie pięć lat - rzuciła.

- My też tak uważamy - potwierdził Vic z przesadną skwapliwością.

- Co, pana zdaniem, stanowi przeszkodę na drodze do pierwszego miejsca w rankingu? - spytała, badawczo przyglądając się jego twarzy.

- Hm, mamy pod wieloma względami trudny rok, zresztą sama pani o tym wie - zaczął. -
Oczekiwaliśmy szybszego wzrostu znaczenia w skali międzynarodowej, ale to jest oczywiście tylko kwestia czasu. Mamy opinię agencji o wysokim poziomie artystycznym, trzeba ją wykorzystać...
- Naturalnie, zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała cicho. - Szkoda tylko, że straciliście szansę, czego można byłoby uniknąć, gdybyście od początku mieli lepiej zorganizowany dział zagraniczny. -
Starannie odmierzyła pauzę. - Weźmy na przykład Kima Hasama, który właśnie powierza agencji JWT reklamę sieci hoteli Mogul. Gdyby Samuels był lepiej przygotowany, moglibyście sprzątnąć klienta konkurencji. - Odczekała chwilę widząc, że strzał trafił w dziesiątkę i twarz Vica blednie, po czym dodała: - Wpływy Samuela za granicą ocenia się jako małe, co oczywiście konkurenci wykorzystują. Musimy to zmienić, ale zanim będę miała czas się tym zająć, skupcie się, proszę, panowie na zabiegach kosmetycznych, żeby postrzegano nas przynajmniej jako firmę o wpływach porównywalnych z wpływami konkurencji. - Łatwo było odkryć najsłabsze punkty Vica i zorientować się, do czego w istocie jest zdolny. Facet rąbał prosto z mostu i rzadko zabezpieczał tyły. Francesca zdziwiła się, że tak bardzo zaskoczyły go jej uwagi. Czyżby naprawdę uważał, że pracuje w innych realiach niż reszta ludzi reklamy?
- Gdzie pani usłyszała o Hasamie? - spytał powoli.
- Przecież pan wie, Vic, że światek reklamy jest mały. Niezbyt trudno się zorientować, jak stoją sprawy. - Do ust przylgnął jej cień uśmiechu i wtedy zmieniła cel, odwracając się do Geoffa.
- Jak idzie zbieranie informacji o możliwościach fuzji z partnerem w Stanach? Henry mówił mi, że są wytypowane trzy agencje do wyboru.

- Zostało jeszcze sporo papierkowej roboty, trzeba też zebrać resztę danych o ewentualnych konfliktach po połączeniu - odparł bez zająknięcia. - Na przykład Ferrario & Bloom reklamuje Shuffreysa, który sprzedaje w Wielkiej Brytanii serię kosmetyków i środków przeciwbólowych, a to kolidowałoby z interesami Paynesa, któremu robimy kampanię wyrobów farmaceutycznych. Wolałbym uniknąć straty klienta za trzy miliony. - Geoff spojrział na nią i nagle uświadomił sobie, że dłonie zwilgotniały mu od potu. Czuł się jak na przesłuchaniu. Pomyślał o siedzącym obok Vicu, o gadkach szmatkach, które prowadzili przed jej przyjściem, i próbował zgadnąć, czy kolega żałuje swej chłodnej reakcji. To byłoby jednak do niego niepodobne. Teraz z pewnością zastanawiał się, jak wybrnąć z opresji.
- Ale jeśli popatrzyć na sprawę od drugiej strony - zripostowała - to Ferrario jest wart milion w Wielkiej Brytanii i prawdopodobnie około dwunastu milionów w Stanach, a nie liczę tego w dolarach. Ma też wpływy na zachodnim wybrzeżu i rozległą, nawet jeśli niesprawną, sieć w Europie.
- Tak samo Dunmar-Rock - odparł pośpiesznie, porzucając na razie myśli na temat Vica.
- To prawda. - Odnotowała informację w pamięci. Pan Buchanan odrobił lekcje.
- Właśnie Dunmar-Rock wydaje mi się, przynajmniej teoretycznie, najlepszym partnerem. Nie ryzykujemy poważnych konfliktów, jakie powstałyby w razie fuzji z Ferrario.
- W porządku. Wobec tego proszę o przysłanieteczki z charakterystyką firmy i ostatnim rocznym sprawozdaniem. Chciałabym też dostać szczegółowe informacje o głównych postaciach agencji Dunmar-Rock oraz takie dane, jak: przeszłość, potencjał na przyszłość, a przede wszystkim słabe i mocne punkty.

Geoff odetchnął z ulgą, tymczasem koniec przepytывania. Przejście do „prawdziwych interesów” zdecydowanie go odprężyło.

- Już zająłem się tym, więc pewnie będę mógł dać pani tę teczkę jeszcze w tym tygodniu - powiedział na pozór obojętnie, stwierdzając, że zarobił punkt.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się znowu i przeniosła spojrzenie na Vica. - Co słyhać w sprawie Matthiasa?

- Załatwiamy spotkanie, mam się z nim widzieć w przyszłym miesiącu. - Odpowiedział za gorliwie, jakby spodziewał się tego pytania. Wyrzucił te słowa niczym karabin maszynowy. Skoro wiedziała o Hasamie, to i wszystkie inne tematy też ma chyba opanowane. Dziwka.

- Siedemnastego, prawda? Chciałabym wziąć udział w tym spotkaniu - powiedziała. I znów zaskoczyła go delikatnym uśmiechem, aż poczuł się zażenowany.

- Nie jest to konieczne. Wszystko idzie gładko, a na tym etapie nie potrzebuję asysty. - Usiłował odwzajemnić uśmiech, ale poczuł, że tłumiona wściekłość usztywnia mu wargi. Skąd, do diabła, ona zna datę, przecież nie zaglądała do jego terminarza! Na pewno od Zoe. Ta nigdy nie nauczy się trzymać gęby na kłódkę.

- Nie wątpię w pańskie zdolności, Vic, ale mimo to chciałabym panu towarzyszyć. Jako obserwator z zewnątrz, jeśli tak pan sobie życzy. - Francesca wytrzymała wrogie spojrzenie Vica wiedząc, że nie pozostawiła mu wyboru.

- Będę panią informował na bieżąco - powiedział w końcu bardzo starając się, by gniewny grymas znikł mu z twarzy. Znowu zrobiła go na szaro.

- Świetnie - zgodziła się i dodała: - Chciałabym obejrzeć materiały zgromadzone do tej pory, ale na razie nie ma z tym pośpiechu. Zadzwońię do sekretarki, kiedy mi będą potrzebne.

Na pewno to zrobisz, cholerna babo, pomyślał.

Uśmiechnęła się i Vicowi wydało się, że odczytuje w jej oczach triumf, ale wtedy Francesca sięgnęła po kieliszek wina i skierowała rozmowę na mniej drażliwe tematy. Zrobiła to świadomie; osiągnęła założony cel i miała pewność, że kamyki, które właśnie wrzuciła do stojącej wody, wywołają w niej niejakie poruszenie. Obaj dyrektorzy mieli możliwość przekonać się, podobnie jak Henry Samuels, że Francesca zamierza wycisnąć na agencji własne piętno, tak samo, jak zrobiła to w GK. Tutaj też wszyscy powinni otrząsnąć się z samozadowolenia i przewietrzyć otłuszczone tyłki. Tak właśnie ująłby to jej ojciec.

Francesca zostawiła swych rozmówców zamyślonych nad kieliszkami koniaku, i wolno ruszyła z powrotem do agencji. Rachel Gold wytypowała kandydatki na jej asystentkę. Druga z nich miała przyjść o trzeciej. Początkowo Francesca nosiła się z myślą o zabraniu Jane z GK, jednak postanowiła tego nie robić. Jak na trzydziestosześcioletnią kobietę dotychczasowa asystentka miała zaskakująco sztywne poglądy, a agencję Samuela uważała za coś w rodzaju wygłodniałego sępa. Francesca nie miała ani czasu, ani cierpliwości, żeby jej odpowiednio naświetlić problem. Choć oczywiście odczucie Jane było słuszne... dowcip polegał tylko na tym, żeby poznać sępa lepiej, niż on znał sam siebie.

Sian czuła suchość w ustach. Oczekując na rozmowę z prezesem spodziewała się kobiety światowej, może nawet pociągającej, wygląd Franceski Gaeti-ni przeszedł jednak jej wyobrażenia. Uroda wprost biła od niej, stanowiła jej moc, zupełnie jakby w smukłym ciele kryła się grudka twardej, połyskliwej stali.

- Ty musisz być Sian? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Sian wstała i uścisnęła wyciągniętą dłoń, zaskoczona siłą uścisku.

W czasie gdy podawano kawę, padły pierwsze pytania, głównie na temat życia Sian, jej przeszłości i oczekiwań. Ani razu jednak nowa szefowa agencji Samuela nie wspomniała o Petie'em. Kiedy Sian wyczuła, iż rozmowa dobiega końca, uległa panice, pewna, że Rachel Gold zapomniała powiedzieć o dziecku.

- Pani wie, że mam synka? - wyrwało jej się niezręczne i zabarwione lękiem pytanie.

- Oczywiście.

- Myślałam... nic pani o tym nie wspominała... -Zabrakło jej głosu, nagle poczuła się jak idiotka.

- Sądziłam, że Rachel już cię wymaglowała na ten temat. Nie ma sensu wracać do załatwionych spraw. Zakładam, że nie byłoby cię tutaj, gdybyś nie potrafiła pogodzić pracy z obowiązkami domowymi. - Urwała i badawczo przyjrzała się dziewczynie. - Czyżbym się myliła?

- Ależ nie, wcale nie... tylko czasami jestem...

- ...trochę przewrażliwiona na tym punkcie? - dokończyła Francesca. - Nie przejmuj się. Jeśli miałybyśmy pracować razem, chcę, żeby było jak najmniej niepotrzebnych napięć. Wszyscy borykamy się z kłopotami i dźwigamy jakąś odpowiedzialność, mamy też prywatne sprawy. Nie utrudniamy więc sobie życia. - Uśmiechnęła się i dorzuciła lekko: - Koniec kazania!

Kiedy Sian nieco się opanowała, zobaczyła inną Francescę Gaetini, nie tak oficjalną. Kąciki ust jej drgnęły, uśmiechnęła się również, w duchu jednak zastanawiała się, jakież kłopoty może mieć ktoś taki jak nowy prezes agencji Samuela.

Francesca wstała i odprowadziła Sian wzrokiem Referencje miała znakomite, inteligencji jej nie brakowało, ale początkowa pewność siebie dziewczyny rozwiała się. Francesca podniosła z biurka teczkę z jej danymi. Ostatnio zatrudniła Sian Adam Gdmore z The Village. Dał jej tak wspaniałą opinię, że aż podejrzaną. Zaczęła tam pracować jako jego asystentka, potem awansowała, odpowiadała za kontakty z klientami i świetnie sobie radziła póki nie zaszła w ciążę. Francesca spotkała Gilmo're'a tylko raz: był typowym przedstawicielem świata reklamy, typowym ugrzecznonym biznesmenem, obytym ze środkami masowego przekazu i nastawionym na karierę. Natura obdarzyła go nie tylko wdziękiem, lecz również efektowną prezencją. Pod wpływem niejasnego przecucia Francesca pościła głową... Sian Hart nie miała najmniejszej

- Zoe, weź notatnik i natychmiast do mnie - Vic nawet nie spojrzał na sekretarkę, wiedząc, że ta lękliwie wykrzywi twarz z powodu niepojętej dla niej wrogości w głosie szefa. Stał przy oknie i powiódł wzrokiem po szarych zygzakowatych liniach dachów. Londyn był właśnie taki szary. Vic odwrócił się dopiero, gdy usłyszą cicho zamykające się drzwi.

- Rozmawiałaś z kimś o moim spotkaniu z Matthiasem? - Ton pytania był pozornie łagodny. Zoe gapiała się tępo na jego wysoką sylwetkę rysującą się na tle białego nieba nad miastem. Znowu zrobiła coś nie tak, i teraz czuła znajome skurcze w żołądku. Miała ochotę otworzyć drzwi i uciec, ale zaskoczył ją dźwięk własnego głosu, który dochodził jakby z cudzych ust automatycznie udzielając odpowiedzi.

- Henry Samuels chciał wiedzieć, czy pan już coś ustalił...
- Powiedziałaś mu? - wycodził Vic.
- Tak - odparła, coraz bardziej przestraszona.
- Czy jeszcze komuś?

Nie było sensu kłamać, i tak doszedłby prawdy. Zawsze dochodził.

- Był telefon z biura Franceski Gaetini... - Już wiedziała, że tu właśnie popełniła błąd, ale przecież to Francesca była teraz prezesem, może nie? Może nie?!

- Ty mała, głupia suko! - Słowa rozdzierały ciszę, szarpiąc nerwy Zoe. - Nie wolno ci mówić nikomu, rozumiesz, nikomu o moich posunięciach, dopóki nie uzgodnisz tego ze mną! - Odwrócił się do niej z twarzą ściągniętą gniewem. - Boże! Czy ty się niczego nie potrafisz nauczyć?! Nie mogę znieść sekretarki, która nie wie, że obowiązuje ją przede wszystkim lojalność wobec szefa.

Twarz dziewczyny zbieleła, wielkie, niebieskie oczy wypełniły się łzami. Przyglądał się przez chwilę jej zniekształconym łukiem rysom. Przecież to żółtodziób, niemal wprost z college'u. A mimo to wciąż jakoś paskudnie go fascynowało, że może z nią robić, co chce. No właśnie, powiedział, co miał powiedzieć i cel osiągnął.

- Chodź tu, Zoe. - Z nieprzeniknioną twarzą patrzył na jej niepewne kroki.

Zoe miała pełne, raczej dziecięce wargi, lekko wydęte. Vic przycisnął usta do ich wilgotnej różowości i natychmiast został nagrodzony żarliwym odzewem. Pożądał jej jak zawsze po lunchu, kiedy odzywała się w nim natrętna, choć ospała potrzeba seksu. Przypomniał sobie rozmowę kwalifikacyjną. Właściwie nie było konkurencji, Zoe zdecydowanie przewyższała resztę kandydatek urodą i miała najbardziej ponętne

cycki, bardzo okrągłe i jędrne. Sięgając do nich, poczuł wesołość, przypomniało mu się bowiem ulubione powiedzonko Henry'ego: „Pierwsi zawsze rzucają się w oczy”. Dał sobie jednak spokój z Henrym i wszystkim, co cisnęło mu się na myśl, skoncentrował się na swojej potrzebie. Jedną ręką nacisnął przycisk „Nie przeszkadzać”, drugą obrócił Zoe. Zadek też miała ponętny.

Po przeniesieniu pomysłu na papier nie miał już kłopotów z twórczym rozwinięciem go i przekształceniem w gotową reklamę. Także sprzedaż poszła gładko, przekazano mu, że facet od ciasteczek „Baronet” był szczęśliwy przewidując, że towar zrobi furorę. Efektowna tandeta Nicka spodobała się, więc klient był już ich. Jeszcze jeden powód do chwały agencji Samuela. Nick gapił się w kieliszek, obserwując bąbelki wznoszące się ku powierzchni szampana. Udało się, a to oznaczało więcej pieniędzy, oznaczało też zdobycie pewnej pozycji w agencji, bo przecież nawet Henry Samuels przyznałby, że trudno kręcić nosem na śledzie „Baronet” i resztę tego towaru, skoro kampania jest warta ponad dwa miliony funtów. Nick spojrzał sponad kieliszka na Bena Langleya, szefa kampanii. Langley promieniał zadowoleniem, niemal zachwytem, co było oczywiste dla wszystkich poza samym zainteresowanym, toteż Nick poczuł ukłucie zazdrości. Jego życie byłoby bajką, gdyby umiał czerpać z niego tak łatwą satysfakcję jak pocziwy stary Bumerang Ben.

- Nie jesteś zadowolony?

Odwrócił się gwałtownie, wyrwany z zamyślenia. Caroline.

- Pękam ze szczęścia. Nie widać? - Sarkazm wyszedł mu odruchowo. Ujrzał falę purpury zalewającą szyję i twarz Caroline.

- Przyszłam ci tylko pogratulować i napełnić kieliszek - powiedziała urażona, bo poczuła się głupio. Po chwili jednak zdobyła się na niepewny uśmiech. Przecież tak się cieszyła, kiedy doszło do niej, że dzięki Nickowi zdobyli klienta.

- To tylko jeden klient więcej, Caroline. Trudno traktować to osiągnięcie jak wodowanie „Titanica”.

- Zapadła kłopotliwa cisza. Nick czuł na sobie jej spojrzenie.

- „Titanic” zatonął.

- Cóż to ma znaczyć? - warknął zniecierpliwiony. Badawczo wpatrywała się w jego twarz, czując, że rośnie między nimi ściana złości i urazy.

- Byłoby ładnie z twojej strony, gdybyś chociaż raz nie zachowywał się tak ordynarnie. - Postawiła butelkę szampana na biurku i raptownie się oddaliła. Nie mogła już znieść spojrzenia Nicka, bo jej gniew ulotnił się tak szybko, jak się pojawił, i naraz zabrakło jej odwagi.

Przez ułamek sekundy kusilo go, żeby pójść za nią, ale machinalnie sięgnął po butelkę: jaki byłby w tym sens? Caroline się rozzłościła, naprawdę się rozeźliła, i to go zaskoczyło. Został sam w pewnym poczuciu winy. Upił duży łyk szampana i przestał dumać o Caroline.

- Zdaje się, że toniesz w myślach.

Nick nawet nie podniósł wzroku, rozpoznając z amerykańska brzmiały, nosowy głos Bena Langleya.

- Nie mam w głowie ani jednej przyzwoitej myśli. Powinieneś od dawna o tym wiedzieć, Ben.

- Dopóki robisz dobrą robotę, sram na to, co myślisz.

- Wiesz, Ben, wyraźnie masz dryg do składania słów. Wiele razy się zastanawiałem, dlaczego nie wykorzystujesz twórczo swych niewątpliwych talentów.

- Ironiczny uśmiech wykrzywił mu twarz.

- Nie martw się o mnie, szkoda twojego cennego czasu, chociaż muszę powiedzieć, Nick, że wzruszyłeś mnie tą troską. - Ben odpowiedział spokojnie, ale w jego słowach było słycać urazę. Potem nagle zmienił ton głosu, jakby słowa Nicka przestały go interesować. - Wielki Vic chce z tobą zamienić parę słów.

- Co, już po święcie...? - spytał Nick z ledwie ukrywanym znudzeniem.

- Kto wie? Nie jestem jasnowidzem. Na twoim miejscu byłbym grzecznym chłopcem, poszedłbym tam i sprawdził. - Wciąż się uśmiechając, wziął kieliszek i odszedł. Nick patrzył za nim przez chwilę w nagłym rozbawieniu. Przypomnił sobie, jak Alan Boyd, nie koronowany król reklamy, opisał Bena jako człowieka, „który myśli kutasem”. Nie był daleki od prawdy.

- Nie potrzebuję ci mówić, że dobrze sobie poradziłeś z „Baronetem”, strzeliłeś w dziesiątkę.

-Brunning stał za długim, tekowym biurkiem, nalewając szkockiej do szklaneczki. - Napijesz się?

-Nick pokręcił głową. - Aha, już siusiałeś? - Vic błysnął białymi zębami. - Zapracowałeś sobie na to. - Urwał na chwilę i zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

- Jak podobałaby ci się praca nad Matthiasem?

- Wymierzył w niego palcem.

Nick poczuł wielką gulę w gardle.

- Zdawało mi się, że to robota Garetha.

- Nasz dzielny Gareth zaczął ostatnio ćpać na dużą skalę, więc można powiedzieć, że postanowiliśmy mu dać długi urlop, póki się nie pozbiera, jeśli w ogóle się pozbiera. - Vic pociągnął długi łyk szkockiej, wyczuwając, że Nick nie zamierza odrzucić propozycji. - Zapomnij o nim. Musimy przygoto-

wać spotkanie z Matthiasem we dwóch, bo jak nie, to wpadniemy po uszy w gówno. Od tej chwili, Nick, myślisz tylko o jednym: mamy dostać tę kampanię. Rozumiemy się? - Z rozmysłem zawiesił głos, chcąc mieć pewność, że jego słowa trafią celnie. - Nie Saatchi, nie JWT, nie Young & Rubicam, tylko my. - Uśmiech znikł mu z twarzy i Nick uświadomił sobie, że jak zahipnotyzowany wpatruje się w dyrektora. Wyblakłe oczy Vica wydawały się teraz jaśniejsze, pozbawione wyrazu, jakby w jednej chwili ścięło je lodem. - Pamiętaj, że od tego zależy twoja reputacja w agencji - dodał Vic.

Nick opanował uśmiezek cisnący się na wargi. I pańska, Brunning. Pańska reputacja też.

Dom był nieduży, zbudowano go w miejscu, gdzie kiedyś stały stajnie. Okna pracowni, znajdującej się na pierwszym piętrze od tyłu, wychodziły na mały ogród otoczony murem. Francesca otworzyła okno i wpuściła orzeźwiające letnie powietrze. Miała zamiar przejrzeć notatki na temat agencji Dunmar-Rock, które dostarczył jej Buchanan, i zgromadzone dotychczas informacje o Matthiasie. Musiała też jeszcze raz przewertować teczki kandydatek na asystentkę. Na jej czole pojawiły się zmarszczki znamionujące skupienie. Jeszcze nie zdecydowała, od czego zacząć. Ciszę rozdarł dzwonek telefonu i, ku irytacji Franceski, wyrwał ją z zamyślenia.

- Halo, Francesco. Czy jest u ciebie Michael? - Głos matki był niewyraźny, daleki.

- Nie. A powinien? - Usiłowała się nie denerwować, jakby wcale jej nie dotknął znajomy chłód w głosie. Mimo woli przypomniawszy sobie jednak lata dzieciństwa i poczuła przypływ beznadziejności.

- Powiedział, że spędzi weekend w Londynie. - Matka starannie dobierała słowa.

- Widziałam go w piątek, nic nie wspominał o weekendzie - odparła beznamiętnie, czując nienawiść do gry prowadzonej z matką.

- Gdyby jeszcze się z tobą kontaktował, to, jeśli możesz, powiedz mu, że dzwoniłam. - Urwała i Francesca poczuła ciężar milczenia, ale głos odezwał się znowu. - Dziękuję. - Rozległ się trzask i Livia przerwała połączenie.

Przez chwilę Francesca trzymała jeszcze słuchawkę, wciąż zaskoczona dźwiękiem głosu matki, do którego nie przywykła, zaskoczona obojętnością i łatwością, z jaką Livia zawsze zadawała jej ból. A ona zawsze dusiła to w sobie. Od ich ostatniej rozmowy minęły dwa lata i nic się w tym czasie nie zmieniło. Francesca wzruszyła ramionami, starając się nie przejmować. Nie było właściwie powodu do jakiegokolwiek zmiany. Pomyślała o starszym bracie. Łatwiej było zastanawiać się nad Michaeliem, niż pozwolić, by majaczące na peryferiach świadomości wspomnienia wciągnęły ją w przeszłość. Michael powinien zdawać sobie sprawę, że Livia będzie niespokojna, a jednak do niej nie zatelefonował, bo inaczej przecież matka nigdy nie zdobyłaby się na tak bezprecedensowy krok jak kontakt z córką, której istnienie ledwie tolerowała. Może brat w końcu dojrzewa, przecież ma trzydzieści dwa lata... Może zaczął rozluźniać więzy, jakimi spętała go matka? Livia miała despotyczną naturę, nie było na nią siły, kiedy się czegoś uczepiła. Francesca pomyślała o imienniczce matki, Livii z ksiązek historycznych, żonie rzymskiego cesarza, którego była doradcą, błyskotliwym administratorem, zręcznie i perfidnie umiała manipulować ludźmi. Uśmiechnęła się. Matka niewiele się różniła od swej rzymskiej imienniczki.

Pogodny nastrój prysnął, rozwiały go dręczące wspomnienia, wywołane telefonem matki. Nie mając innego sposobu na stres, cicho podeszła do ma-

lego wiktoriańskiego kredensu, kryjącego równo ustawioną kolekcję butelek z alkoholami. Brandy była ciepła i szybko dotarła do żołądka. Francesca zaniknęła oczy i odczekała, aż alkohol rozproszy znużenie. Potem spojrzała na teczki zalegające biurko. Tam była jej praca: bezpieczna, logiczna praca trzymająca ją przy zdrowych zmysłach, odgradzająca od upiórów i bólu, powstrzymująca od przykrych rozmyślań.

Agencja Dunmar-Rock rzeczywiście wydawała się najlepszym partnerem dla Samuela, tak jak powiedział Buchanan. Nie było jeszcze dokładnych charakterystyk najważniejszych pracowników, ale dyrektor Philippe Sanchez sprawiał wrażenie interesującej postaci, nawet na podstawie skąpych informacji. Z wyciągnięciem ostatecznych wniosków trzeba było jednak poczekać na potwierdzenie w materiałach, które dopiero miały nadejść.

Matthias. Rzuciła okiem na fotografię. Niebieskooki jasny blondyn, piękny Matthias. Francesca znowu pomyślała o bracie, nie mogąc oprzeć się chęci porównania go ze sławnym, czy też niesławnym, gwiazdorem. Piękno Michaela było jednak dyskretne, delikatne, na jego widok myślało się o greckim bogu wykuty w najszlachetniejszym kamieniu. Matthias był również piękny, lecz piękno to było zupełnie innego rodzaju. Kości policzkowe miał wypukłe, oczy blade, na ustach światowy, wszystkim wiedzący uśmiech. Przypomniało jej się Szekspirowskie *Kto drzemać chce ze mną, niech za mną iść raczy* i wyobraziła sobie Matthiasa, wygrywającego na flecie melodię, której nie można się oprzeć, która przyciąga jak magnes. „Chodź do mego salonu - rzekł raz pajak do muchy...” - mruknęła i roześmiała się głośno, zdziwiona przeskokiem myśli. To

było zupełnie do niej niepodobne. Matthias był jeszcze niedawno błędną gwiazdą muzyki rockowej, a teraz najwyraźniej bożym dzieckiem. Znów się uśmiechnęła. Albo to najświeższy towar w branży proroków, albo naciągacz, jakiego świat nie widział od bardzo dawna. Zapowiadało się, że siedemnasty będzie ciekawym dniem.

Odchyliła głowę na oparcie krzesła i podkurczyła nogi. Rachel Gold chciała, żeby nowa asystentka rozpoczęła pracę jak najszybciej, ale Francesca nie pozwoliła się przynaglać. Wszystkie kandydatki, które przyszły na rozmowę, były bardzo dobre, tyle że dotąd nie miała ani chwili, by o nich pomyśleć. Sącząc brandy, podjęła jednak decyzję. Czasem kupowała łzawe historyjki, poza tym Adam Gilmore pracował z dużym rozmachem, a że w przyszłym roku Samuel-sa czekało szukanie partnera wśród agencji zajmujących się tworzeniem publicznego obrazu firm, to informacje od wewnątrz zawsze mogły się przydać. Zresztą dziewczyna wzbudziła jej sympatię. Chyba nawiązały ze sobą kontakt, co było bardzo obiecujące jak na pierwszą rozmowę. Na dłuższą metę życiorys i rozmowa kwalifikacyjna znaczą niewiele. Jak wszędzie, tak i tu rządzi przypadek.

Z ciężkim westchnieniem upuściła stertę teczek na podłogę. Milczący telefon stał na stoliku z włoskiego marmuru, stoliku ojca. Stłumiła wspomnienie i podniosła słuchawkę, palce machinalnie wybrały numer, jakby same go pamiętały. Było późno, ale wcale jej nie obchodziło, czy nie przeszkodzi Aidanowi w jakimś ważnym zajęciu.

- Chciałabym, żebyś przyszedł.

Nastała chwila ciszy i Francesca zorientowała się, że nie jest on sani.

- Masz na myśli teraz, prawda?

- Tak, właśnie teraz, Aidan.

Połączenie przerwano i Francesca głęboko odetchnęła. Potrzebowała go. Nie jutro, nie pojutrze. Teraz. Wyobraziła sobie, jak Aidan szuka wymówki dla dziewczyny, którą uwiódł albo dopiero zamierzał uwieść. Chciała wycisnąć z niego jak najwięcej, zanim zorientuje się w sytuacji, bo wtedy wszystko zacznie wyglądać inaczej. I Aidanowi wcale się to nie będzie podobało.

2

Dzwonek telefonu grał jej na nerwach, ale czekała, aż matka podniesie słuchawkę.

- To do ciebie. Agencja Samuela. - Sian spojrzała na zaniepokojoną twarz matki i bez słowa wzięła od niej słuchawkę.

- Sian? Tu Rachel Gold.

Jeszcze zanim urzędniczka przekazała wiadomość, Sian wiedziała, że dostała posadę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dzwoni, by powiedzieć, że pracę dostał ktoś inny. Do tego rodzaju informacji służy firmowy papier z nagłówkiem i list wysłany zwykłą pocztą.

- Kiedy możesz zacząć? - spytała Rachel z entuzjazmem.

- W poniedziałek - odparła natychmiast. Odpowiedź była nie przemyślana i zanadto gorliwa, żeby zabrzmiała zręcznie, ale Sian nie dbała o to. Boże, jak dobrze wrócić do prawdziwego świata!

Pomyślała o Petie'em i poczuła wyrzuty sumienia. Ale na dłuższą metę tak będzie dla niego lepiej: więcej pieniędzy, więcej bezpieczeństwa, powiedziała sobie, usuwając na bok inne argumenty.

- Doskonale, Sian. Wobec tego czekam w poniedziałek. Tymczasem wyślę ci pocztą potwierdzenie wiadomości o zatrudnieniu, informację o zarobkach, dniach wolnych i tak dalej.

Ulgę poczuła natychmiast po odłożeniu słuchawki. Uściskała matkę, a potem odwróciła się do synka, który przyglądał się jej siedząc na dywanie. Sian wzięła go na ręce.

- Widzisz, Petie, masz teraz pracującą mamę!

Jej radość stała się nagle także jego radością. Maluch uśmiechnął się niewinnie i wyciągnął małe piąstki, chcąc ją złapać za włosy. Kiedy Sian patrzyła w twarz dziecka, jej uśmiech powoli topniał. Zagłuszała wyrzuty sumienia tłumacząc sobie, że nie będzie jej łatwo, że odcierpi rozstanie z synkiem, ale w tym cudownym momencie taka ewentualność wydawała się nierealna. Z bezlitosną jasnością przypomniawszy sobie rok, który właśnie minął. Nie mogło być nic gorszego... nic gorszego niż coraz silniejsze poczucie beznadziejności, które przygniatało ją do ziemi. Tłuściutka rączka Petie'ego dotknęła jej twarzy. Sian spojrzała w lśniące, szare oczy i pomyślała o Adamie. Naszło ją niewesołe przypuszczenie, że syn będzie zawsze przypominał jej Adama. Nie chcąc jednak mącić chwili szczęścia, mocniej przytuliła Petie'ego, znowu zadziwiona ogromem swej macierzyńskiej miłości.

- Po tym, co dotąd przeczytałam, zgadzam się z tobą, że najlepszym kandydatem na naszego partnera w Stanach jest agencja Dunmar-Rock. Byłoby dobrze, gdyby zajmowała wyższą pozycję w światowych rankingach, ale i szesnasta może nam wystarczyć. - Francesca z uwagą studiowała twarz Geoffa Buchanana. Odwalił kawał roboty, analizując potencjalne fuzje. Uświadomiła sobie, że zależy mu na sukcesie tak samo jak jej.

- Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz. - Geoff oderwał się od dokumentów i spojrzał na Francescę, stojącą po drugiej stronie biurka. Próbował jej nie

lubić, próbował znaleźć słabe strony w jej technice pracy, w zachowaniu, w czymkolwiek... Czuł jednak, że budzi w nim szacunek. Vica czekał twardy orzech do zgryzienia, Geoff skwitował tę myśl półuśmiechem. Wprawdzie były to dopiero początki, ale bez względu na rozwój wydarzeń przyszłość zapowiadała się interesująco.

- Ich sieć międzynarodowa jest w nie najlepszym stanie - ciągnęła Francesca. - Ma zdecydowanie słabe punkty, szczególnie na rynku europejskim. Czy oni przypadkiem nie weszli do Europy z pomocą Berthole'a, którego potem zostawili na lodzie?

- Francuzi mieli dosyć rozległą sieć w Europie i nawet kilka agencji na Środkowym i Dalekim Wschodzie, ale potem Rock wystąpił z wielką ofertą i połknął ich, a Berthole się wycofał. Wszystko przeniesiono pod szyld Dunmar-Rock już ponad dwa lata temu.

- Zdaje się, że Rock nieszczególnie zajął się tą siecią: trzydzieści jeden biur w dwudziestu dwóch krajach, bez żadnego związku z agencją-matką, bez kierownictwa, tożsamości i perspektyw rozwoju. Co on, do diabła, zamierza z tym zrobić? - Lekko podniosła głos. Geoff zobaczył, jak jej oczy ciemnieją i wyczuł, że Francesca miewa kłopoty z opanowaniem nastrojów. Nagle, jakby zdając sobie sprawę z myśli rozmówcy, rozpogodziła się. - Po prostu nie znoszę, kiedy coś się marnuje.

- Z tego, co udało mi się dowiedzieć, wnoszę, że Rock ma kłopoty w Stanach. Agencja nie osiąga takich wyników, na jakie ją stać, a tak zwani spece się zasiedzieli. Opierają się na statecznych, eleganckich klientach, których sobie wychowali, i nie wysilają się na zdobywanie nowych. W ostatnim roku stracili B3M na rzecz Saatchi, a wiesz, ile to warte. Ale i tak mają obroty oscylujące wokół siedmiuset pięćdziesięciu

milionów dolarów rocznie, a zysk przed opodatkowaniem wynosi około dwunastu milionów. Zresztą sytuacja się zmienia, nie bez powodu. Słyszałaś już chyba o Philippe Sanchezie. To nowy mózg Rocka, ma sporo świetnych pomysłów. Chce przeprowadzić niemal rewolucję w agencji i zapewnić jej dopływ świeżej krwi. Plotki głoszą, że zmierza do połączenia z dobrą agencją, obejmującą zasięgiem Wielką Brytanię i kontynent. Dobrze byłoby się temu przyjrzeć - dokończył.

- Tylko nie przyglądajmy się za długo, Geoff, bo chyba czas rozpocząć negocjacje. Może polecilibyśmy do Stanów pod koniec przyszłego miesiąca, żeby sprawdzić, co piszczy w trawie.

- W porządku, a tymczasem dostarczę ci resztę materiału, zanim zaczniemy badać możliwości kupna. Francesca na chwilę zamilkła. Odwróciła się i utkwiała spojrzenie w szybie, za którą rysował się Londyn. Sprawiała wrażenie osoby głęboko pogrążonej w myślach..

- To dobra okazja, Geoff, za dobra, by ją przegapić. - Zaczepnęła powietrza i mówiła dalej: - Może to wiesz, a może nie, ale Samuels ma wystarczający potencjał, żeby stać się największą i najbardziej wziętą agencją reklamową na świecie... w dodatku bez brania przykładu z pokrewnych nam firm, które w drodze na szczyty rozrosły się wprawdzie, ale to i owo zatraciły. - Powiedziała to beznamiętnie, jakby stwierdzała tylko fakt. - Do 1990 roku powstanie globalny rynek o obrotach rzędu dwustu miliardów dolarów, może nawet trochę większych. Samuels musi mieć koncepcję eksploatacji tego rynku, bo inaczej pójdzie śladem tych wszystkich agencji, które okazały się nie dość dobre... - Urwała i znów odwróciła się w stronę Geoffa. - Świat się robi coraz mniejszy. Biedne kraje rozwijają się gospodarczo szybciej niż

bogate, weź na przykład Koreę, Singapur czy nawet Tajlandię. Jeżeli uda nam się stworzyć globalną sieć, to będziemy mieli doskonałą pozycję do wykorzystania nowej sytuacji.

- Nie wszyscy w reklamie mówią o kurczeniu się świata z takim entuzjazmem jak ty - stwierdził ostrożnie. - Globalizacja oznacza rozrost, prawdziwy rozrost, a to z kolei także większą biurokrację, częstsze konflikty... Ceną za to będzie prawdopodobnie utrata części naszego potencjału twórczego, naszej niepowtarzalności.

- Masz na myśli tworzenie następnego dinozaura... potwora.

- Czegoś w tym rodzaju.

- Łatwo pozostać małą lub średnią agencją i osiągnąć względny sukces. Zapewne wystarcza do tego oparcie pracy twórczej i zarządzania na garstce ludzi. Ale czy nie jest to odrobinę staromodne i introwertyczne? Czy nie jest to stagnacja? Boże! Dookoła mamy cały świat! - Jej oczy znów błysnęły.

- W ostatnim dziesięcioleciu techniki przekazu informacji imponująco się rozwinęły. Coraz więcej ludzi ogląda te same telewizyjne programy rozrywkowe, te same filmy i klipy na jednakowym sprzęcie, słucha muzyki z takich samych stereofonicznych odbiorników, pozuje na takich samych bohaterów, dzieli te same marzenia... Jeśli będziemy mądrze planować i przewidywać, możemy wykorzystać te rosnące podobieństwa, nie gubiąc tożsamości. Nie będzie to łatwe, ale nic wartościowego nie przychodzi bez wytrwałego wysiłku. Mamy takie możliwości, Geoff.

- Bierzesz na siebie gigantyczną pracę. Przecież na razie mamy tylko dojść do pierwszego miejsca w rankingach brytyjskich - zauważył z lekką ironią.

- Zawracanie dupy! Samuels mógł zająć pierwsze miejsce już dwa lata temu.

Nie odezwał się. Wiedział, że Francesca ma rację.

- Musimy uwierzyć, że wszystko jest możliwe. Rozwój, rozwój i jeszcze raz rozwój. Musimy uwierzyć, że jesteśmy w stanie dostarczyć dokładnie to, co obiecujemy, i pod żadnym pozorem nie poprzestawać na przeciętności, na osiągniętym już poziomie. To prowadziłoby donikąd, a właściwie do stagnacji i pozostania w tyle. Samuels ma dość sił i talentów, żeby stać się największą i najlepszą agencją. Do diabła, nie widzę powodu, który by to uniemożliwił. - Rysy jej stężały, ale po chwili znów rozjaśnił je uśmiech, a na policzki Franceski wystąpił lekki rumieniec. Jakby zakłopotała ją własna impulsywność.

Ale Geoff jej uwierzył. Francesca Gaetini była osobą, której trudno było nie wierzyć. Przyglądał się jej z jawnym podziwem, przejęty niemal czią wobec tego połączenia chciwości z pięknem: chytrych, szerokich ust i czujnych, płonących oczu. Taką twarz spotyka się rzadko; może należeć tylko do osoby, dla której pożądanie władzy jest treścią życia. Zastanawiał się, czy Henry lub Vic uświadomili sobie w pełni, jaka to wizjonerka została tak nierozważnie wprowadzona pomiędzy nich. Nagle przyszła mu ochota głośno się roześmiać. Zanim tamci się spostrzegą, będzie za późno, o wiele za późno. Trudno wyjaśnić dlaczego, ale wydało mu się to raptem zabawne. Wielki pan projektant Vic spietra się jak rzadko.

Drzwi były otwarte, więc stanęła na progu czekając, aż Nick podniesie głowę i zauważy ją.

- Ten nasz stary Bumerang to niezły tyran, co? - powiedział w końcu i oderwawszy wzrok od biurka, spojrzał na nią.

Caroline uśmiechnęła się niepewnie. Ulżyło jej, że obeszło się bez aluzji na temat ostatniej rozmowy. Może była to po prostu kwestia szampana. Ale gdy

tylko odważyła się spojrzeć na pociągłą, niemal ascetyczną twarz, zdziwiła się, że Nick ma tak ogromną umiejętność wpędzania jej w kompleks niższości samą swą obecnością; odczuwała przy nim bezsens własnej egzystencji. Wiedziała, że to głupota, ale ostatnio wszystko wydawało jej się głupie albo podejrzane.

- No cóż, nie bardzo mu się podoba, że Vic Brunning cię podebrał. Niezupełnie pasuje to do jego planów - odparła swobodniej.

Nick lekko westchnął.

- Mam już zarys reklamy wszystkich towarów z serii „Baronet”. Przez całą kampanię będzie się przewijał ten sam motyw, Ben już to wie. Dałem mu nawet parę alternatywnych rozwiązań, żeby mógł wybrać. Na miłość boską, przecież nie wyjeżdżam za granicę. - Ben mógł się zdobyć na słaby protest wobec jego decyzji, ale nie na więcej. Nikt nie odwiódłby teraz Nicka od zajęcia się Matthiasem. - Na wszelki wypadek Tony ma dokładne instrukcje i zna harmonogram kampanii. Nie powinno być żadnych kłopotów.

- Też tak sędzę - odparła. Zauważyła ciemne półkola pod jego oczami. Pojęła, że pracował przez pół nocy, żeby dokończyć wstępny projekt kampanii. - Ale wiesz, jaki on jest - ciągnęła. - Nienawidzi zmian.

- Owszem, w ogródku Bena wszystko musi być śliczne i różowe. A w tym wieku powinien już wiedzieć, że życie nie zawsze jest takie, szczególnie w naszej branży. - Urwał, przez chwilę się jej przyglądał, jakby rozważał następne słowa, a potem uznał, że nie ma się co przejmować. - ...Zresztą jeśli chodzi o kobiety, Ben nie ma nic przeciwko urozmaiceniu. Czy słyszałaś, Caroline, że nazywają go Bumerangiem, bo kobiety zawsze wracają do niego? Musi mieć czar, na którym mało wyrefinowany potomek klasy pracującej, taki jak ja, nie umie się poznać.

- Naprawdę nie powinnam wiedzieć nic na ten temat, Nick - powiedziała, jakby się broniła.

- Rzeczywiście - przyznał cicho.

Caroline zaczerwieniła się i spuściła oczy, jedynie niejasno pojmując sens tej wypowiedzi. Nie była w typie Bena Langleya, a gdyby nawet, to Bumerang i tak nie zaczęłyby z nią kręcić, wiedząc, że to beznadziejne. Dawniej zdarzało się, że gdy opowiadał po raz setny ten sam pieprzny dowcip albo opisywał zalety seksualne niektórych pań zatrudnionych u Samuela, tak żeby wszyscy słyszeli, Caroline czuła, jak na szyję i twarz wypełza jej rumieniec. Bąkała więc niewyraźne przeprosiny i wychodziła z pokoju. I zawsze miała wrażenie, że w chwili, gdy drzwi się za nią zamkną, wszyscy wybuchną śmiechem. Podobnie było teraz z Nickiem. Wstydlivość stanowiła słaby punkt Caroline. Nienawidziła się za to.

- Lepiej już wezmę tę teczkę, bo Ben czeka - powiedziała w końcu, uświadamiając sobie, że ich stosunki dobiegają końca, przynajmniej na razie, i najprawdopodobniej będzie teraz widywać Nicka bardzo rzadko, został bowiem zaliczony do elity agencji jako nowy bystrooki chłopak Vica Brunninga.

Nickowi wydało się, że widzi wyrzut w jej oczach i jak zwykle zirytował się, bo wyglądało na to, że znów powiedział coś nietaktownego. Ale kiedy Caroline pochyliła się nad nim, sięgając po teczkę, stłumił irytację. Znalazła się blisko niego, poczuł miły kobiecy zapach, i nagle owładnęło nim szalone pragnienie, by przyciągnąć ją i dokładnie poznać wargami jej usta, a potem całą twarz. Gdy skrzyżowali spojrzenia, zobaczył, jak fiolet jej oczu ciemnieje, a z twarzy znika napięty wyraz, rysy miękną pod wpływem lekkiego zmieszania, jakby Caroline czytała w jego myślach. Cofnęła się jednak szybko i znów stanęła w drzwiach. Chwila minęła.

- Powinnaś częściej używać tych perfum, są niezłe... - powiedział, usiłując rozładować napięcie.

Znów się zaczerwieniła i przycisnęła do siebie teczkę jak tarczę.

- Mam nadzieję, że dobrze ci idzie z Matthiasem - rzuciła, ignorując jego uwagę. - Chyba powinnam wreszcie zanieść te papierzyska Benowi. Pewnie się zastanawia, dokąd poszłam. - Uśmiechnęła się niepewnie, Nick usłyszał jeszcze coś przypominającego niewyraźne „do widzenia”, po czym Caroline ruszyła z powrotem do swojego zespołu, władanego niepodzielnie przez króla Bena. Nick spuścił powieki, nagle ogarnięty znużeniem, a potem bezgłośnie się zaśmiał, przypominając sobie wielkie oczy Caroline, pełne przerażenia. Zastanawiał się, jak mógł wziąć to uczucie za pragnienie, a może nawet pożądanie. To przecież tylko jego spalało.

W metrze było gorąco i duszno. Sian niezgrabnie manipulowała prawą ręką nad głową niskiego człowieka z czerwoną twarzą, usiłując złapać czarny, pękaty uchwyt. Nic się nie zmienia, pomyślała, kiedy wagon nagle ożył i poleciała w bok, tak że jej twarz znalazła się blisko mężczyzny, a wzrok z konieczności przebiegł po ohydnej skórze z tysiącami popękanych naczyń krwionośnych. Tego dnia jednak nawet monotony, odczłowieczający przejazd metrem w godzinie szczytu nie był w stanie stłumić jej podniecenia. Znów płynęła głównym nurtem, skończyło się przymusowe siedzenie w domu.

Agencja Samuela wabiła wysokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami, lśniącymi we wrześniowym słońcu. Sian czuła mocne bicie serca i mimo woli przyśpieszyła kroku, zbliżając się do schodów, które miały ją poprowadzić ku nowemu życiu. Była jedną z wielu osób przekraczających ten próg i przez ułamek se-

kundy zazdrościła innym, którzy wydawali się tu bardzo zadowoleni. Po kilku minutach Rachel Gold zeszła przywitać Sian w gwarnym holu i windą zawiozła ją na szóste piętro, do królestwa Samuela.

- Franceski jeszcze nie ma, możesz tymczasem zapoznać się z miejscem do pracy i z topografią piętra.

- Rachel Gold urwała, marszcząc brwi, zawadziła bowiem spojrzeniem o biurko stojące naprzeciwko tego, przy którym miała siedzieć Sian. - Przedstawiłabym cię Zoe, ale zdaje się, że też jeszcze nie przyszła. Pracuje dla Vica Brunninga, a tymczasem także dla Geoffa Buchanana, który musi sobie dopiero kogoś znaleźć. Vic Brunning i Geoff Buchanan wspólnie pełnią funkcję naczelnego dyrektora. No dobrze, na razie poczęstuj się kawą, a ja wracam do siebie, bo zaraz zaczniesz się młyn. Gdybyś czegoś potrzebowała, to dzwoń. - Rachel skierowała się do drzwi i dodała, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy: - Aha, życzę szczęścia w pracy.

- Dziękuję - odparła Sian pewna, że przewodniczkę świerzył język, by dodać: „Będzie ci potrzebne”. Rachel znikła z pola widzenia, rozległo się mruczenie windy, sygnalizującej odjazd z piętra, więc Sian zatrzymała spojrzenie na maszynie do pisania, górującej nad trzema płaszczyznami roboczymi, składającymi się na stanowisko pracy. Z cichym westchnieniem przebiegła palcami po wyłączonej klawiaturze, potem kwaśno się uśmiechnęła. Przed rokiem sądziła, że na dobre rozstaje się z tyranią maszyny. Awansem w The Village nie zdążyła się nacieszyć, ale jak cudownie czuła się, mogąc polecić pisanie własnych notatek komu innemu... Wreszcie zaczęto widzieć w niej człowieka mającego szare komórki! Tak, ale to było rok temu, skarciła się. Tyle że ten rok trwał dla niej chyba dłużej niż dziesięciolecie.

- Obawiam się, że z samego rana zawsze panuje tu

taki spokój. - Męski głos wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się i spojrzała na przybysza, a on ciągnął: - Jestem Geoff Buchanan... A pani chyba musi być Sian. Rachel Gold zapowiedziała nam pojawienie się nowej twarzy.

Był lekko opalony, co zdawało się cechować większość ludzi reklamy. Sian natychmiast pomyślała o Adamie, ale Geoff Buchanan miał piwne, nie niebieskie, oczy, był też dużo niższy i na swój wzrost jakby za szeroki w barach. Szeroki miał także uśmiech, który odsłaniał błyszczące, białe zęby. Sian zorientowała się, że widziała tego człowieka wcześniej.

- Chyba już się spotkaliśmy, choć w trochę nieformalnej sytuacji... - I odwzajemniła uśmiech.

Zamyślił się, a nagle powstałe na czole bruzdy dodały mu lat.

- W windzie, mniej więcej tydzień temu - pomogła mu Sian. - Zdaje się, że był pan zajęty klientami...

- Znów uśmiechnęła się niepewnie, żałując, że nie zapomniała tego incydentu równie łatwo jak on.

- Oczywiście... Byłem z Bobem Kornbergiem, prawda? - Przebiegł wzrokiem po jej twarzy i dostrzegł wyraźne wahanie. Jasne, skąd mogła wiedzieć, kto to jest Bob Kornberg. - Wszystko jedno, i tak lepiej poznać się oficjalnie - powiedział szybko, żeby zmienić temat. - Czy mogę zaproponować pani kawę, a przy okazji zademonstrować skomplikowane manewry w naszej mikroskopijnej kuchence?

Zanim Sian zdążyła odpowiedzieć, uwagę obojga przyciągnął pomruk windy, i już zbliżała się do nich Francesca Gaetini. Jakoś udało jej się poskromić masę czarnych pukli, więc tylko kilka kunsztownych pasemek wiło się jej na karku. W rytm kroków ciężko kołysały się kolczyki Davida Morrisa.

Francesca była w czarnym, dopasowanym, prawie obcisłym kostiu-

mie. Sian poczuła taksujące spojrzenie czarnych oczu i zaczęła się denerwować.

- Dzień dobry, Sian... Witaj, Geoff. Chyba już się poznaliście? - Usta Franceski ułożyły się w uśmiech i Sian trochę się uspokoiła.

- Właśnie zamierzałam zrobić kawę, napijesz się? - zaryzykowała.

- Chętnie, właśnie tego mi trzeba. Poproszę białą, bez cukru. - Odprowadziła wzrokiem Sian i zwróciła się do Geoffa.

- Masz wolną chwilę? Spojrzał na zegarek.

- Ściśle mówiąc, około ośmiu minut. O dziewiętej trzydzieści spotykam się z klientem w małej sali konferencyjnej na parterze.

- Z kim? - spytała obojętnie, kierując się do swojego gabinetu.

- MonCher, zestaw do pielęgnacji skóry.

- Chyba nie masz z tym kłopotów? Wydawało mi się, że wszystko tam gra - powiedziała ostrożnie, wyczuwając jego niepewność.

- Wyniuchali, że w branży kosmetycznej flirtujemy trochę z Paynesem...

- Ktoś ma za długi język... ale i tak kosmetyki nie są konkurencyjne dla ich zestawu. - Pchnęła drzwi do swego gabinetu i przystanąła zamyślona na progu.

- Wiem - odparł Geoff - ale znasz Francuzów. Świat musi się kręcić wokół nich, o kompromisach nie ma mowy...

- Jestem pewna, że potrafisz ich skłonić do zmiany poglądów, Geoff. Prawdopodobnie chodzi przede wszystkim o ich urażoną miłość własną. Dopieść ich trochę. - Zlustrowała wyposażenie gabinetu.

Zatroszczono się o wszystko, z wyjątkiem przeniesienia krzesła z GK Krzesło należało jeszcze do jej ojca i stanowiło najważniejszy element wystroju. A jed-

nak się tu nie znalazło, pomyślała z chłodnym uśmiechem. Głupcy.

- Właśnie zamierzam - oznajmił Geoff wyrывая ją z zamyślenia.

- Chciałam cię zapytać o Philippe'a Sancheza. Czy udało ci się już zebrać informacje na jego temat? -

Usunęła z pamięci MonCher. To był kłopot Geoffa.

- Prawdopodobnie będę ci mógł przekazać materiały wczesnym popołudniem.

- Świetnie - odparła, wyczuwając z napiętego tonu Geoffa, że czas go pożegnać.

- Na razie - rzuciła lekko. Przez chwilę słyszała jeszcze jego kroki, oddalające się w kierunku dyrektorskiego gabinetu. Nie wątpiła, że za chwilę Geoff będzie poddawał klienta subtelnym zabiegom kosmetycznym.

Zapach kawy podrażnił jej nozdrza wcześniej, niż filiżanka znalazła się na biurku. Kiedy Francesca poczuła pierwsze krople płynu na języku, wydały jej się aż śmiesznie orzeźwiające.

- Napij się ze mną, Sian, porozmawiamy. - Odczekała, aż dziewczyna usiądzie. - Nie chcę dzisiaj stawiać za dużych wymagań ani tobie, ani sobie. Obie jesteśmy tu nowe, a to oczywiście oznacza naukę prawie wszystkiego od początku, ale gdybyś od razu miała jakieś pytania, to proszę bardzo.

- Asystentka Vica Brunninga siedzi naprzeciwko mnie, więc na pewno mi pomoże. Pokaże, kto jest kto i powie, gdzie czego szukać - odparła Sian, przebiegając wzrokiem po wyposażeniu gabinetu: olbrzymiej szklanej misie pełnej marmurowych jaj, beżowym fotelu stojącym obok, szlachetnie i wiekowo wyglądającym notatniku z monogramem, wreszcie po zapierającym dech w piersiach obrazie wiszącym na ścianie za biurkiem.

- Wspaniałe, prawda? - powiedziała Francesca, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. - To Matisse.
 - Mam nadzieję, że jest tu dobrze strzeżony - rzuciła Sian z uśmiechem.
 - Ja też - przyznała Francesca. - W każdym razie towarzystwo ubezpieczeniowe nie narzekało, płacę mu niemało. Wiem, że można byłoby bezpiecznie powiesić ten obraz w domu, ale mój ojciec miał do niego wyjątkowy sentyment, więc chciałabym zatrzymać go blisko siebie, a teraz najprawdopodobniej będę tutaj spędzać więcej czasu niż w domu! - Energicznie sięgnęła do adwokatki. Mała tarcza numerowa w klapie przypominała zamek sejfu, ale otwieranie poszło szybko i Francesca wyciągnęła dwie teczki. - Chcę, żebyś się z tym zapoznała. Przeczytaj uważnie. To są materiały dotyczące agencji Dunmar-Rock, naszego potencjalnego nabytku w Stanach, a to informacje o Matthiasie, który ostatnio znajduje się na ustach całej Europy.
- Sian cicho jęknęła z wrażenia.
- Czy mamy dla niego pracować?
 - Prawdopodobnie. Właściwie prawie na pewno. Naturalnie proszę, żebyś traktowała wszystko, co ci daję jako materiały ściśle poufne.
 - To oczywiste.
 - A gdyby do którejś z moich teczek chciał się dostać Vic Brunning, to dyskretnie daj mi znać, zanim cokolwiek mu pokażesz. To samo odnosi się do Geoffa Buchanana, przynajmniej na razie.
- Rozumiemy się?
- Znakomicie.
 - Jeśli się nie mylę, to właśnie słyszę trele Vica. Przedstawię cię. - Francesca podniosła się z krzesła i skinieniem głowy zaprosiła Sian, by szła za nią. Tymczasem w biurze zjawiała się Zoe. Stała akurat nad maszyną do pisania, z pocztą w jednej dłoni i poranną prasą w drugiej. Natychmiast spojrzała na Francescę i Sian.

- Dzień dobry... Rozumiem, że to ty jesteś Zoe - powiedziała Francesca z uśmiechem. - Chcę ci przedstawić Sian, która od dziś pracuje dla mnie. Będę wdzięczna, jeśli przez kilka najbliższych tygodni zechcesz jej pomagać.

- Oczywiście - odparła Zoe, niezdolna do niczego więcej oprócz skinienia głową i niepewnego uśmiechu, jako że obie ręce miała zajęte. Z gabinetu Vica Brunninga dobiegło wołanie:

- Umieram z pragnienia. Do ciężkiej cholery, czy człowiek nie może tutaj dostać nawet filiżanki kawy?!

Francesca minęła biurko Zoe i przekroczyła próg dyrektorskiego gabinetu.

- Dzień dobry, Vic. Słyszę, że jesteś w dobrej formie.

Oderwał wzrok od biurka. Francesca zobaczyła, jak jego twarz pokrywa ciemny rumieniec. Z rozba- wieniem zastanawiała się, kiedy ostatnio Vic się tak ładnie zaczerwienił.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Ależ tak - odrzekła ze złośliwym uśmiechem. -Prawdę mówiąc, martwiłam się o ciebie. Myślałam, że ci odebrało władzę w nogach.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i lekko pchnęła Sian przed siebie.

- To jest Sian Hart, moja asystentka. Sian, to jest Vic Brunning.

Vic niezgrabnie wstał i obszedł biurko, by podać jej rękę. Był bardzo wysoki, nawet przystojny, ale nie miał w sobie ani trochę ciepła, tylko jakby urazę do świata. Sian uśmiechnęła się odruchowo i bez entuzjazmu uściśnęła jego dłoń. Doszła do wniosku, że to wszystko jedna wielka błąka. Vic Brunning wcale nie miał ochoty o niej usłyszeć, a kiedy spoglądał ponad jej ramieniem na Francescę Gaetini, wyraźnie powiało niechęcią. Puściwszy dłoń Vica, jeszcze raz

przelotnie spojrzała na niego. Poczwała nagle olbrzymią ulgę, że to nie dla niego pracuje. Tego byłoby za wiele nawet jak na świeżo odzyskaną wolność.

- Wykorzystałaś mnie! - Oburzony, rozwścieczony głos Aidana wibrował w słuchawce.

- Jak zdobyłeś numer mojej prywatnej linii? - spytała cicho.

Nie miałaś zamiaru załatwić mi niczego nowego w związku z twoim przejściem do Samuela, może nie?! - ciągnął, ignorując pytanie. - Podpuściłaś mnie, potraktowałaś jak irlandzkiego durnia, przez cały czas wiedziałaś, że pójde w odstawkę!

- Wcale cię nie podpuściłam, Aidan... - gładko odpowiedziała Francesca. - To ty pchałeś się na siłę i próbowałaś wykorzystać mnie do ułatwienia ci kariery. - Wrogość brzmiała teraz całkiem jawnie w jej głosie, nie było powodu do dalszej ostrożności. - Nie dość ci było, Aidan, że rzniesz szefową, chciałeś więcej. Wyłudziłaś ode mnie wystarczająco dużo, a jeśli ci się nie podoba rola pierwszego po Bogu w GK, która nagle okazała się za mała dla twych ambicji, to wiesz, co możesz zrobić. - Zamilkła i w słuchawce brzmiał przez chwilę tylko jego urywany oddech. Aidan nie umiał ukrywać rozczarowania. Przyzwyczał się, że dostaje to, czego zażąda, więc w swej arogancji oczekiwał zapewne, że Francesca będzie się kajać. Czyżby naprawdę tak mało ją znał? Czyżby nigdy nie było między nimi najcieńszej nici porozumienia? Pomyślała smutno, że gdyby rzeczywiście była, to nigdy nie doszłoby do takiego końca. Łączył ich tylko seks, owszem, dobry, teraz jednak wydawał się jej tani i wulgarny. Wiedziała to i przedtem, dlaczego więc nagle zaczęła się dziwić? W okamgnieniu zobaczyła płytkość tego związku, swoją samotność. Przed oczami zamajaczyła jej twarz ojca...

- Może zjemy lunch i przy okazji porozmawiamy. - Arogancja znikła, ton był teraz całkiem inny, podobny do tego, jakim Aidan często posługiwał się w sypialni. Francesca zastanawiała się, jak mogła dotąd ulegać jego namowom.

- Może - odparła powoli - ale w tej chwili jestem zajęta. - Z cichym stuknięciem odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w zamknięte drzwi, jakby ujrzała w nich swój wizerunek, zaraz jednak położyła palec na przycisku interkomu. Usłyszała głos Sian.

- Zajmij się, proszę, jak najszybciej zmianą numeru mojej prywatnej linii... Poza tym dopilnuj, żeby krzesło z GK przywieziono jeszcze dzisiaj. Jeśli będą jakieś kłopoty, chcę o nich natychmiast wiedzieć.

Sięgnęła po teczkę i wyjęła oprawione w ramkę zdjęcie ojca, które zawsze stawiała na biurku. Kiedy duża, ładna twarz zaczęła odwzajemniać jej spojrzenie, Francesca raptownie wciągnęła powietrze. Poczła znużenie, bo dawne, zniweczone, marzenia zaczęły powracać. Francesca usiłowała się odgrodzić od przeszłości, nie był to odpowiedni czas na wspomnienia. Właśnie wtedy ciszę przerwało energiczne pukanie. Zanim zdążyła zareagować, już szedł w jej kierunku Vic Brunning. Wyjątkowo była z tego zadowolona.

- Matthias nie może spotkać się z nami siedemnastego. Jeżeli nie chcemy czekać pół roku, musimy się zgodzić na piątek. - Wydawało się, że nie może złapać tchu.

- Rozumiem, że chodzi o najbliższy piątek. Czy to znaczy, że załatwili mu jeszcze jedną trasę koncertową? I cały szum jest z tego powodu? - Obraz ojca zatarł się, co Francesca przyjęła z ulgą.

- Mniej więcej. W każdym razie przez dłuższy czas ma go nie być w kraju. Odwołał umówiony lunch, żeby wygospodarować dla nas parę chwil. - Vic uśmiechał się szeroko.

- Czy już rozmawiałeś z nim? - spytała.
- Jeszcze nie. Kontaktuję się przez jego osobistego sekretarza, niejakiego Lucasa Chanta.
- Lucas Chant? To chyba nieprawdziwe nazwisko?
- Diabli wiedzą... zresztą kogo to obchodzi... Gość jest bardzo uczynny i chętny do współpracy, i to nas powinno w tej chwili interesować - odparł.
- Lubię być zorientowana we wszystkim, Vic, zwłaszcza w takich szczegółach jak nazwiska. - Na chwilę zamilkła. - Czy słyszałeś o niejakim Peterze Allisonie?
- Nie... a powinienem? - W głosie Vica zabrzmiała nuta sarkazmu. Francesca zmierzała do czegoś, czego nie miał ochoty usłyszeć.
- Ale pewnie słyszałeś o kremie po goleniu firmy Ramm?
- Naturalnie - odparł. - Klient agencji Collins-Gray.
- Początkowo agencji Gaetini-Kemp - powiedziała z nieznacznym uśmiechem, widząc zaskoczenie na twarzy Vica. - Pokpiliśmy sprawę. - Cieszyło ją, że mina Vica wyraża coraz większe zdziwienie. - Bez wątpienia wiesz, że Ramm zaspokaja potrzeby klas średnich i niższych i jest nastawiony na odbiorców w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, bardzo męskich. Chcieliśmy znaleźć do reklamy nową twarz, która zwróciłaby uwagę. Agencja przysłała nam kilku przystojnych facetów i w końcu po wielkim zawracaniu głowy konkurs wygrał niejaki Peter Allison. Nie tylko ze względu na ładne ciało
- wysokie, muskularne i tak dalej, ale i twarz z rodzaju, jaki się zapamiętuje. Miała w sobie coś niezwykłego, była pociągła, ascetyczna i pięknie opalona.
- W czym więc problem? - spytał zniecierpliwiony Vic.
- Peter Allison nazywał się naprawdę Alison Peters. Okazał się kobietą. - Mina Vica wyrażała osłu-

pienie. - Panna Peters zmieniała sobie papiery, kiedy wyrzucono ją z posady w banku w Romford za przychodzenie w męskich strojach. I nikt nie skojarzył sobie tego bysiora Petera Allisona z ekscentryczną Alison Peters... Oczywiście naszym klientom niezbyt się ta historia spodobała, tym bardziej że władowali mnóstwo pieniędzy w kampanię. Straciliśmy więc robotę i musieliśmy w dodatku pokryć koszty.

- Nie mogliście jakoś przekonać klientów?

- Nie żartuj, Vic. Ramm miał być następcą Bruta, najlepszym i jedynym przyjacielem stuprocentowych mężczyzn. A my zamiast trzymać się pewniaków, wziąć kogoś takiego jak Henry Cooper, postanowiliśmy wykreować nową twarz. Szkoda tylko, że jej posiadacz nie miał pewności, czy nie jest jednak posiadaczką. Takie wątpliwości nie są w męskim guście, Vic, i sprzedaży też by się nie przysłużyły. - Francesca przyglądała się przez chwilę rozmówcy, zaskoczona, że ten egocentryczny, gruboskórny półgłówek osiągnął tak wysoką pozycję w jednej z najlepszych brytyjskich agencji. Musiał być cholernie mocny w gębie. - A przecież - podjęła - nasz przyjaciel Lucas może być na przykład notowany albo może kiedyś handlował kokainą, opiekował się żigolakami czy coś takiego. Matthias ma bogatą przeszłość, więc to prawdopodobne. A jeśli nasz gwiazdor jest poważnie zainteresowany swym nowym obliczem, musi być czysty i tak muszą go widzieć ludzie. To samo odnosi się do jego prawej ręki, bo inaczej stracimy tylko czas.

- W porządku. Naukę pojąłem, sprawdzę - powiedział znękany głosem Vic. - Czy nie możemy porozmawiać o samej kampanii? - Starannie dobierał słowa, żeby podkreślały jego znudzenie. Co do płci prezes Gaetini nie było najmniejszych wątpliwości, tylko głupia baba może czepiać się dupereli, kiedy grozi gigantyczna wpadka przy pierwszym spotkaniu.

- Myślę, że musisz zintensyfikować swe działania
 - powiedziała cicho, świadoma jego irytacji.
 - Zdjąłem Garetha Jonesa, teraz sprawę ciągnie Nick Keogh, ten od kampanii „Baronet”. W zeszłym roku, tuż przed przyjściem do nas, dostał nagrodę za najlepiej wylansowany nowy produkt i srebrny medal za kolorową reklamę. Jest dobry, nawet bardzo dobry. - Miał ochotę dodać „W tym nadzieja”, ale ugryzł się w język.
 - Chcę, żeby spotkanie z Matthiasem odbyło się z samego rana.
 - Już zamówiłem dużą salę konferencyjną na dziesiątą rano.
 - Świetnie. - Nagle poczuła się bardzo zmęczona, zanosilo się na to, że dzień będzie piekielny. - Wobec tego czekam na piątek. - Oznaczało to, że rozmowa skończona.
 - Gdyby coś się zdarzyło, zawiadomię - kulawo podsumował Vic. Nie był przyzwyczajony do jej bezpośredniości, wciąż nie mógł się pogodzić z faktem, że to ona zajmuje fotel prezesa, na który liczył. Z ledwie skrywanym wzruszeniem ramion wyszedł.
- Francesca odprowadzała go spojrzeniem, zastanawiając się, czy Vic wie, że jego niechęć do niej rzuca się w oczy. Biedak. Życie czasem daje mocno w kość.
- W piątek?! Przecież na dobrą sprawę jeszcze nie miałem czasu zabrać się do konspektu scenariusza!
 - jęknął Nick. Chciał, żeby było to zrobione, jak należy, nie na chybcika, a tu nagle wymaga się od niego, żeby wyczarował na następny dzień coś wspaniałego, na czym będzie się można oprzeć podczas piątkowego spotkania. Ktoś tu oszalał.
 - Nie mam czasu się z tobą pieprzyć, Nick. Jeśli nie dasz rady, to muszę znaleźć kogoś innego. - Vic Brunning stanął nad nim, oczy mu pociemniały,

a w jego słowach wyraźnie zabrzmiała wrogość. Wiedział, że Nick zrobi to, bo bardziej zależy mu na wyrobieniu sobie marki niż na przespaniu dwóch najbliższych nocy.

- W porządku, Vic. - Podniósł głowę i spojrzał w bezlitosną twarz naczelnego. Wiedział, że nie ma wyboru. Wpadł.

- To rozumiem - rzucił Vic łagodniej, odnajdując w sobie szczyptę wyrozumiałości. - Duża sala konferencyjna ma być wytapetowana fotkami i plakatami Mat-thiasa. Mają też być gotowe do pokazania taśmy z jego ostatnich koncertów oraz z podróży do Bejrutu i Nikaragui. W dziale projekcji już o tym wiedzą. Wykorzystaj pomysł, o którym rozmawialiśmy: drugi plan rozsypuje się na kilka ujęć, a Matthias niezmiennie trwa na pierwszym. Rozpracuj to i przedstaw jako konspekt scenariusza. Jutro rano wszyscy mają go dostać. Wykorzystamy technikę burzy mózgów, potem pozostanie tylko kwestia wyważenia proporcji. Nie życzę sobie żadnych efektownych błyskotek ani nic z przeszłości Matthiasa. Chyba że on sam to wywlecze. Publiczność ma z reguły krótką pamięć, dla nas to dobrze, więc powinniśmy się tego trzymać. - Urwał, jakby chciał zaczerpnąć powietrza, i dodał: - Wszystko jasne?

- Widzimy się jutro rano - rzucił Nick w odpowiedzi i stwierdził, że gapi się w pustą przestrzeń, którą przed chwilą zajmował Vic Brunning. Postawna, wystudiowana sylwetka szefa mignęła mu jeszcze przy drzwiach. - Słyszę i słucham, mistrzu... - mruknął, starając się powstrzymać grymas cisnący mu się na usta. Przed chwilą widział na własne oczy buldożer Brunning w akcji. Ciekawe, czy klientów Vic traktuje w ten sam, mało subtelny, sposób, tyle że złagodzony błyskiem białych zębów? Dumął przez chwilę, a potem wolno odwrócił się do dwumetrowej kartonowej sylwetki Matthiasa, która ni

w pięć, ni w dziewięć zajmowała kąt pokoju. Wizerunek pochodził ze starej fotografii zrobionej podczas koncertu. Gwiazdor miał na sobie tylko czarne, obcisłe spodnie ze skóry, na jego obnażonym torsie rysowały się dobrze wykształcone mięśnie i krople potu, tego samego potu, który wąskimi strużkami spływał po twarzy. Twarz ta przykuła uwagę Nicka. Oprócz teatralności, w jej wyrazie było coś bardzo złożonego, dzikiego i hipnotycznego, coś, co trzeba poddać cenzurze. Wargi uśmiechały się przewrotnie, niegodziwie, a bladoniebieskie oczy rzucały ekstatyczne błyski, nie była to jednak ekstaza wywołana niebiańską światłością, w każdym razie nie wtedy. Wręcz przeciwnie, w głębi oczu czaił się mrok Nick przyjrzał się dokładnie tej twarzy i jakoś nie mógł dopasować Matthiasa, jakiego oglądał, do tego, który teraz „odnalazł Boga”. Na żywo widział piosenkarza raz, na Wembley. Stadion był wypełniony i Nick znalazł tylko tak odległe miejsce na płycie, że Matthias wyglądał jak punkcik na horyzoncie, ale dookoła rozmieszczono gigantyczne ekrany wideo i twarz wykonawcy krzyczała z olbrzymich płacht - nadludzka, piękna, wszytkowiedząca, dziecięca, wszechmocna jednocześnie... Nick pokręcił głową, zaciągnął się papierosem i nie-śpiesznie wydmuchnął chmurę dymu. Próbował się domyślić, co kryje umysł przesłonięty tą twarzą, co znajduje się za magnetycznymi niebieskimi oczami, sprawiającymi wrażenie narzędzi o hipnotycznej mocy. Zastanawiały go wizje, które ponoć miewał ten nowy Matthias. Nagle wzruszył ramionami i obrócił się do biurka. Tracił czas.

- ...Pokazać na zakończenie południowego serwisu wiadomości, żeby dotrzeć do kobiet zajmujących się domem, a ponadto włączyć do wieczornych serwisów na wszystkich kanałach. - Pomysł był jasny: krótki

film o ostatnich trasach koncertowych z dyskretnym akcentem religijnym. Oczywiście skutek zależał w dużym stopniu od samego Matthiasa, ale na podstawie właśnie obejrzanych taśm Francesca odniosła wrażenie, że dzięki swej charyzmie gwiazdor może zrobić prawie wszystko, co zechce. Czego jednak chciał? - Czy sądzicie, że jego ostatecznym celem jest polityka? Gdybyśmy mieszkali w Stanach, mogłabym to zrozumieć, ale Wielka Brytania to zupełnie co innego. - Zmarszczyła brwi i znów zerknęła na kartki. - A co do scenariusza, to podoba mi się. Przykro mi, Nick, że miałeś tak mało czasu.

- Dziękuję... Cóż, przynajmniej główne cele są chyba określone, resztę prawdopodobnie ustalicie podczas piątkowego spotkania. - Siedział naprzeciwko Franceski, wciąż zaskoczony, że znajduje się tam razem z nią i Brunningiem, członkami Rady Najwyższej, elitą, do której Samuels wybierał nielicznych. Do pełni szczęścia brakowało jeszcze Henry'ego Samuela we własnej osobie, ale ten wypoczywał gdzieś pod słońcem Antigui, ponoć w towarzystwie jakiejś wysportowanej blondynki. Samuela zawsze trzymały się blondynki, były jego tłem, obsesją, będącą publiczną tajemnicą. Nick zatrzymał wzrok na lekko pochylonej, ciemnowłosej i kształtnej głowie Franceski. Pani prezes musiała sama podejmować wszelkie decyzje, ale dla każdego, kto miał choć gram inteligencji, było jasne, że ją to cieszy. Nick nie dałby złamanego grosza za to, czy Henry w swej nieskończonej mądrości nie postanowił wycofać się definitywnie. Francesca wyraźnie wiedziała, co robi, nawet gdy wybierała smukłe ferrari. Nick zgasił uśmiech wywołany myślą, że jego upodobania w odniesieniu do płci pięknej skłaniają się raczej ku cięższym i bardziej wyważonym proporcjom rolls royce'a.

- Nie jestem pewien, czy on sam wie, czego chce.

- Uwaga Vica przerwała te rozmyślenia i Nick spojrzął na twarz naczelnego, który ciągnął: - Może rzeczywiście zamierza robić politykę, kto wie? Ale tymczasem wydaje się jasne, że zanim establishment zacznie go poważnie traktować, Matthias musi przede wszystkim zatrzeć pamięć o swojej przeszłości, a to oznacza odpowiednio ustawione publiczne wystąpienia.
 - Audycje telewizyjne można zorganizować bez trudu, to samo z radiem. Jak słyszałam, ludzie stamtąd pędzą na wyścigi, żeby zająć miejsce w kolejce.
 - Francesca odetchnęła. - Po spotkaniu z Matthia-sem będę lepiej wiedziała, na czym stoimy, i wtedy przedstawię kilka propozycji. Tymczasem mam wrażenie, że macamy w ciemności.
 - Naprzód, macajmy. Może Matthias właśnie chce, żebyśmy domacali się czegoś mistycznego i cudownego - rzucił Brunning niedbale i uśmiechnął się szeroko.
 - Marnujesz się tutaj, Vic. Powinieneś być komikiem - odparła bez wahania Francesca i wstała.
 - Myślę, że trzeba poczekać do piątku, a ty nie? -Uśmiechnęła się kwaśno i zwróciła się do Nicka.
 - Dostarcz mi przed jutrzejszym rankiem ten scenariusz ze zmianami, o których mówiliśmy. Będę wdzięczna.
- Nick skinął głową. Już po wszystkim. Na razie koniec jego roli w tej wielkiej grze. Wszystko poszło o wiele łatwiej, niż przewidywał. Ale gdy wstał i przyjrzał się, jak nowa pani prezes zbiera dokumenty i teczki, jak, usilnie skrywając irytację, zręcznie unika Brunninga i konfliktu, poczuł, że tak naprawdę jeszcze nie bierze udziału w grze. Działo się tu coś więcej, niż dostrzegał, coś bez żadnych reguł, a na to nie był przygotowany.

Wiadomość widniała na kartce obramowanej czerwienią notatnika. Francesca nie chciała teraz rozmawiać z Michaeliem, nie chciała, by wspomnienia znowu wdzierały się w jej życie, ale mimo to wyciągnęła dłoń w kierunku telefonu. Numer wskazywał na centrum Londynu. Brat podniósł słuchawkę prawie natychmiast; chyba czekał, w każdym razie tak wynikało z brzmienia jego głosu.

- Co się stało, Michael? - Zauważyła jego wahanie i od razu przypomniała sobie rozmowę z matką.

Zastanowiło ją, dlaczego nagle poczuła się starsza,

o wiele starsza, od brata.

- Miałem nadzieję, że możesz pożyczyć mi trochę pieniędzy... na pewien czas... - Głos zamarł. Francesca usiłowała wyobrazić sobie Michaela, gdziekolwiek się znajdował, ale bez powodzenia, bo głos jakby nie należał do znanego jej człowieka, był dziwnie daleki, kruchy, samotny... wszystko to naraz.

- Oczywiście, że mogę. - Urwała, chcąc znaleźć odpowiednie słowa. - Dzwoniła do mnie matka.

Chciała wiedzieć, gdzie jesteś. - Nie było żadnej reakcji. - Co się stało, Michael? Pokłóciliście się? -

Nadal nie odpowiadał i Francesca poczuła lęk o brata. - Chyba nie wpadłeś w żadne tarapaty? - Nawet nie była pewna, co rozumie przez to słowo, brzmiało ono obco

i niemądrze.

- Chcę po prostu mieć trochę czasu, żeby pomyśleć... chwilę oddechu, jeśli wolisz to tak nazwać. -

Sztywno cedził słowa, jakby mówiło dziecko, które starannie wyćwiczyło tekst.

- Może chcesz trochę pobyc u mnie? Mam mnóstwo miejsca.

- Nie, nie chcę. - Znużony głos płynął z oddali, po chwili Francesca usłyszała westchnienie i gwałtownie zapragnęła pocieszyć brata, uratować wszystko, co zostało ze wspianego chłopaka, jakiego znała

w przymglonej już przeszłości, kiedy to oboje byli dziećmi, a świat dorosłych wydawał im się obcą planetą, która dopiero kiedyś miała ich zainteresować.

- Gdzie mam zostawić pieniądze? - usłyszała w końcu swój głos. Świadoma zakłopotania Michaela, dodała: - Mogę zostawić w kopercie u portiera.

- Dobrze... dziękuję. - Znowu to wahanie, jakby Michael chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyślił.

- Pieniądze będą na pewno przed trzecią, więc możesz przyjść potem, o której chcesz.

- Nie będę mógł się z tobą spotkać - powiedział napiętym tonem, jakby chciał się bronić.

- Teraz, tak czy owak, byłoby to niemożliwe - odparła łagodnie - ale wiesz przecież, gdzie jestem, gdybyś czegoś potrzebował. - Omal nie powiedziała „gdybyś mnie potrzebował”, w ostatniej chwili zamieniła jednak to słowo.

- Wiem - powiedział beznamiętnie i rozłączył się, a ona wpatrywała się w słuchawkę tak samo jak po rozmowie z matką, jakby ta rozmowa była echem tamtej.

Przez chwilę siedziała jeszcze przy biurku, potem wstała i podeszła do okna. Niebo pociemniało, deszcz padał wielkimi, leniwymi kroplami, które rozpryskiwały się na dachach i występach szarych budynków, tworząc kałuże i spływając grubymi strugami po tysiącach szyb.

Francesca przeczytała charakterystykę jeszcze raz. Same superlatywy, wiedziała, że tak będzie.

Philippe Sanchez miał zaledwie trzydzieści sześć lat, a już praktycznie władał jedną z największych nowojorskich agencji, która ponadto dysponowała dosyć rozległą siecią. Wyrastał pod skrzydłami Rocka, osiągając kolejne szczeble kariery bez uniwersyteckiego

dyplomu, potem skończył zarządzanie w Harvardzie i jak syn marnotrawny wrócił do agencji Dunmar-Rock. Informacje były interesujące, ale w tej chwili raczej nieistotne. Francesca przyjrzała się fotografii mężczyzny, z którym miała toczyć ciężkie boje. Nie dowiedziała się o nim niczego poza tym, że jest śniady i bez wątpienia latynoskiego pochodzenia. Rzeczywiście wyrósł ponad swój stan. Pochyliła się nad biurkiem i powiedziała do interkomu:

- Sian, zobacz, czy uda ci się dzisiaj załatwić dla mnie kilkuminutowe spotkanie z Geoffem Buchananem. Dziękuję. - Pewnie nie miał dla niej nowych wiadomości, może nawet jeszcze nie ustalił terminu wstępnego spotkania, ale musiała z nim porozmawiać. Geoff poznał kiedyś Rocka osobiście.

- Zoe, czy masz tu gdzieś terminarz Geoffa Buchanana? - spytała Sian i podniosła głos, widząc na uszach koleżanki słuchawki. Zoe jak ukąszona podrzuciła miodową grzywę, lecz natychmiast rozluźniła się, stwierdziwszy, że to tylko asystentka Franceski Gaeti-ni czegoś od niej chce, a nie Vic.

- Co?... Tak, tak, mam tutaj... - odwróciła się z krzesłem do piętrzących się bezładnie na biurku papierów i teczek. W tej stercie leżały dwa terminarze z okładkami w płomiennym kolorze jej lakieru do paznokci.

- Geoff będzie wolny po lunchu. Czy wpół do czwartej ci odpowiada? - Zoe podniosła głowę. Na jej okrągłej, miłej twarzy malował się grymas.

- Jak najbardziej. - Sian przyglądała się, jak Zoe wpisuje spotkanie, a potem wraca do maszyny. - Może ci pomóc? - dodała, nie mogąc zlekceważyć gniewnych pomruków i tłumionych przekleństw, które dość regularnie wyrywały się z zaciśniętych warg Zoe i sprawiały bardzo żałosne wrażenie.

- Nie, nie... wszystko w porządku - odparła z wysiłkiem. - Vic nie lubi, kiedy ktoś inny zajmuje się jego sprawami. - Zoe obrzuciła swe biurko spojrzeniem i zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na bałagan.

- Tylko wolałabym mieć więcej czasu, kiedy coś nagle robi się pilne. Trzymał brudnopis przez dwa dni - powiedziała w końcu. - A teraz mam napisać sprawozdanie na wpół do szóstej i do tego jeszcze prywatne listy... - Jej wzrok podążył tym razem ku sąsiadce i Sian zauważyła w nim wyraźne wahanie.

- Wiesz, może jednak pomogłabyś mi w listach. Wszystkie są w rękopisie, nie da się nic pomylić... - Zoe wstała i przeszła przez pokój. - Ale nie wygadaj się, dobrze? Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział.

- Nie pisnę ani słówka... a już na pewno nie jemu

- odparła kwaśno Sian, ale stwierdziła, że Zoe nie dostrzegła podtekstu. Obserwując jej powrót do biurka, zastanawiała się, jak można pracować dla takiego człowieka i w dodatku pozwolić mu tak sobą pomiatać. Westchnęła, ogarnęły ją bowiem wątpliwości. Może Vic Brunning ma zalety, których ona nie zauważa, może zraziło ją grubiańskie zachowanie dyrektora i stąd ta niechęć? Sięgnęła po listy i szybko przebiegła je wzrokiem: zamówienie pokoju na weekend, pismo do banku, odnowienie członkostwa klubu, pytanie o ekskluzywny gabinet odnowy. Sian gwałtownie odetchnęła i usiłowała pozbyć się przygnębienia, które wywoływało w niej maszynopisanie. Wprawdzie ta czynność już nie należała do niej, przypominała jednak przeszłość i nudę, jaką kiedyś z tej okazji przeżywała, i wszystko to, co straciła. Przymknęła oczy, a potem odpędziła wspomnienia przyciskając wyłącznik maszyny. Wiedziała, że listy nie zajmą jej dużo czasu, a potem wróci do przeglądania teczek, które dała jej Francesca.

- Spotkałem Rocka mniej więcej półtora roku temu, na festiwalu w Cannes - powiedział Geoff, sadowiac się wygodniej w jednym z głębokich, obitych skórą, foteli. - To była bardzo szczęśliwa chwila, szczególnie z punktu widzenia naszych zamierzeń, bo dostaliśmy wtedy sporo nagród, z kilkoma Złotymi Palmami włącznie. Rock specjalnie szukał Vica i mnie, żeby nam pogratulować.
- Jakie zrobił na tobie wrażenie? Nie tylko jako profesjonalista... - zainteresowała się Francesca, siadając naprzeciwko.
- Facet pod siedemdziesiątkę, z takich, co pracują, aż padną, typowy Amerykanin, niezwykle bystry, ale bardziej menedżer niż szef. Dunmar był w tej firmie głównym poganiaczem, a po jego śmierci Rock chyba trochę stracił kontrolę nad całością. Świetnie pokonuje najrozmaitsze meandry biznesu, ale brak mu wizji, co spowodowało stagnację agencji.
- I stąd Sanchez? - wtrąciła.
- Na to wygląda. Sanchez jest może trochę niedoświadczony, ale żądny sukcesu i chyba ma liczne talenty. Jest gościem z wyobraźnią i umiejętnością wprowadzania swych wizji w życie.
- Ciekawi mnie ten brak doświadczenia. Sanchez wyłonił się jakby znikąd, a Rock doprowadził go do tak ważnej pozycji w agencji... - Zobaczyła, że Geoff marszczy brwi.
- Owszem. Ale nie byłem w stanie dokopać się do żadnych informacji o jego przeszłości. Prawdopodobnie musiał czymś zaimponować Rockowi, bo inaczej nie okazałby mu takiego zainteresowania.
- Bardzo chciałabym wiedzieć, co robił, chociaż w tej chwili może nie mieć to większego znaczenia.
- Urwała i sięgnęła po filiżankę stygnącej kawy. -Zainteresowały mnie także uwagi o innych postaciach, niektóre nawet rozbawiły.

- Czy któraś szczególnie? - spytał, odwzajemniając uśmiech. Nie miało sensu przygotowywanie charakterystyk wypranych z tego, co ludzkie. Część pracowników Rocka miała jakieś możliwości, ale zasiedziała się, poddała rutynie, zatraciła wiarę we własne siły. Innych trzeba było po prostu posłać na zieloną trawkę.
- Podobały mi się uwagi o Gerrym Schwartzu: „Półtora roku temu przyjęty jako dyrektor do spraw kontaktów ze środkami masowego przekazu; świetne pomysły, wielkie możliwości, ale nie wie o tym ani on sam, ani nikt z otoczenia”. - Roześmiała się i odłożyła teczkę na stół. - Ustaliliś już termin spotkania?
- Sekretarka Rocka obiecała odezwać się najpóźniej we wtorek. Przez ostatni tydzień szef był na zachodnim wybrzeżu, a mamy rozmawiać bezpośrednio z nim, przynajmniej początkowo.
- Wyraźnie nie życzy sobie, żeby jego pupilkowi za bardzo zachciało się władzy... - zauważyła Francesca z uśmiechem.
- Na to wygląda - przyznał Geoff. - Aha, chłopcy z finansów jeszcze pracują nad kilkoma wskaźnikami. Dam ci znać, gdy tylko skończą.
- To brzmi zachęcająco, Geoff. - Wstała i podeszła do biurka. - Powiedz mi jeszcze, jak poszło spotkanie z MonCher wczoraj rano.
- Lepiej, niż się spodziewałem - odparł, dopijając kawę. - Naburmuszyli się tylko trochę, okazało się jednak, że są wielbicielami naszej twórczości i nie chcieliby ryzykować przenoszenia się do kogo innego.
- Wspaniale. - Urwała i nieznacznie pokręciła głową. - To miłe, że dzisiejszy dzień okazuje się znacznie lepszy niż wczorajszy.
- Nie mów tego Vicowi - odparł, i już na stojąco błysnął zębami w uśmiechu. - Właśnie dowiedział się, że ludzie z General Breweries chcą się przyjrzeć rachunkom, jakie im wystawiamy.

- Jesteś pewien, że to zabawne, Geoff? Chodzi o cholernie duże pieniądze... - Twarz Franceski spochmurniała.
- To tylko groźba - odparł lekko. - Stary Swanson nagle zniechęcił księgowego swej kampanii.
- Kogo konkretnie i z jakiego powodu? - spytała.
- Mike'a Weinberga, starego kumpla Vica... bo posuwał córkę Swansona.
- O Boże, czy on nie wie, że sranie pod własnymi drzwiami to głupota? - rzuciła zniecierpliwiona. - A w ogóle na czym polega problem?
- Mike jest żonaty.
- Cholera jasna. - Geoff ujrzał czerwone plamy występujące jej na policzki. - Czyli mamy wybór między zmianą na stanowisku a klientem?
- Niezupełnie. Nie chodzi tylko o zmianę...
- Swanson chce, żebyśmy wywalili Weinberga definitywnie? - dokończyła Francesca.
- Geoff skinął głową.
- Powiedz Vicowi, niech to zrobi.
- On jest za dobry, żeby się go pozbyć.
- Nie wątpię, Geoff. Po prostu przesuniemy go do jakiejś kontrolowanej przez nas spółki, a za parę miesięcy, kiedy sprawa ucichnie, sprowadzimy z powrotem. - Na twarz Geoffa wrócił uśmiech. - Ale wywalę go osobiście, i to raz na zawsze, jeśli nie przestanie pieprzyć zysków Samuela.
- Całkiem uczciwe postawienie sprawy.
- Wolałabym jednak, żebyś nie mówił Vicowi o naszej rozmówce. Powinien dojść do takiego rozwiązania samodzielnie. - Spotkała porozumiewawcze spojrzenie Geoffa i pozwoliła sobie na leciutki uśmiech.
- Zgoda - odparł i wolno skierował się do drzwi. - Zobaczymy się jutro rano. - Usłyszał cichą, niewyraźną odpowiedź, jakby Francesca skupiła się już na czym innym. Pomyślał o Vicu i omal mu nie współczuł.

- To przecież nie twoja robota, co? - Vic nie pytał, lecz stwierdzał fakt, wiedząc że Zoe będzie zbyt wystraszona, by zaprzeczyć. - Zakwestionowane czyściutkie listy leżały równo między kolejnymi kartkami dziennika na korespondencję. Za równo. Wprawdzie mogła je napisać Zoe, ale było to nieprawdopodobne. Nie ujrzał ani jednej literówki, nie brakowało żadnego przecinka. Czy naprawdę uważała go za głupka?

- Bałam się, że ze wszystkim nie zdążę... - tłumaczyła słabym głosem.

- Nie zdążysz do kiedy? Jeśli nie udaje ci się zrobić w godzinach pracy wszystkiego, co ode mnie dostałaś, to powinnaś kończyć później. - Rugał ją za przewinienie, bo był wściekły i rozczarowany. Jego marzenia obrócono wniwecz, a teraz zwałił mu się na głowę jeszcze jeden kłopot. - Ostatnio jestem z ciebie niezadowolony, ale nie mam teraz czasu ani chęci, żeby o tym mówić. Odłożymy to do jutra.

Przez chwilę Zoe sprawiała wrażenie, jakby na coś jeszcze czekała, ale z napiętej ciszy wywnioskowała, że nic więcej nie usłyszy, więc ruszyła do drzwi z pochyloną głową, mając świadomość, że Vic odprowadza ją spojrzeniem. Ubrana była w obcisłe, nawet bardzo obcisłe, spodnie na gołym ciele, ponieważ tak jej kazał; mimo uległości niesłychanie go irytowała, a najbardziej drażniące było to ciągłe przymrużanie wielkich, niebieskich oczu. Vic zastanawiał się, czy ta mała nie sądzi, że złość mu wkrótce minie, a wtedy szybko wygodzi jej kutasem. Cholera, wszystkie kobiety są jednakowe. Zaszło mu w ustach, chętnie wypiłby drinka. Podszedł do okna, a potem ruszył ku drzwiom. Ulubiony lokal pracowników Samuela, „Drayman's Anns”, był o tej porze otwarty. Mógł tam pomyśleć nad kieliszkiem o Mike'u, General Breweries i tym całym zamieszaniu.

Zoe ciągle siedziała przy biurku. Stanął za nią.

- Wybywam na pół godziny. Będiesz jeszcze, kiedy wrócę... - rzucił.

- Tak - odparła Zoe niepewnie. - Skończę te poprawki w sprawozdaniu. - Minęła już szósta, ale Vic nigdy nie zważał na godzinę, tylko wydawał polecenia, zresztą i tak poczekałaby na niego, by upewnić się, że nie jest już na nią zły i wciąż jej pragnie.

- To pewnie ty napisałaś mojej sekretarce listy po południu. - Vic przeszedł przez pokój i stał teraz przy biurku Sian.

Podniosła głowę, świetnie zdając sobie sprawę, jak fatalne skutki wywołał jej dobry uczynek.

- Zdawało mi się, że potrzebuje pomocy...

- Doceniam twoje starania, ale wymagam, żeby moje sprawy załatwiała Zoe, i ma to robić sama.

- To chyba musi czasem wywoływać komplikacje? - rzuciła, nie umiając powstrzymać się od okazania niechęci temu wrednemu durniowi, próżnemu bęc-wałowi.

- To mój kłopot, nie twój.

Przyglądała się, jak odchodzi, usłyszała szum windy i poczuła, że atmosfera nieco się oczyszcza.

Spojrzała na Zoe, ale ta zdążyła już pochylić się nad maszyną, skupiona na swoich poprawkach i życzeniach człowieka, któremu zdawała się podporządkowywać w upokarzający sposób. Wyraźnie była nieświadoma ostatniego incydentu. Sian przymknęła oczy. Zaczęła się zastanawiać, jak się ma jej synek i czy za nią tęskni.

- On miał dzisiaj zły dzień...

Odwróciła się na dźwięk tych słów, wyrwana z zamyślenia przez Geoffa Buchanana, który przystanął obok jej biurka,

- Ten człowiek sprawia wrażenie, jakby miał same złe dni...

Niechęć do Vica emanowała z całej jej postaci, toteż Geoff omal się nie roześmiał. Vic miał szczególny talent do zrażania sobie ludzi.

- Po prostu lubi, żeby wszystko było tak, jak on chce, a kiedy coś układa się nie po jego myśli, wpada w kiepski nastrój. Nie bierz go zbyt poważnie.

Sian wciąż była spięta, twarz wykrzywiał jej grymas, który wywołała sama myśl o Brunningu.

- Żałuję, że nie mam tyle taktu, co ty - odpowiedziała w końcu i spojrzała mu w oczy.

- Zapomnij o tym. Jutro będzie nowy dzień. - Prawił banały, ale przynajmniej na czasie, a Vic miał bardzo krótką pamięć. Napięcie zaczęło ustępować z twarzy Sian, wreszcie uśmiechnęła się. Ładny uśmiech, pomyślał Geoff przelotnie.

- Na mnie też już czas - powiedziała.

- Gdzie mieszkasz? - spytał uprzejmie.

- W Wimbledonie. - Osłoniła maszynę przezroczystym pokrowcem z plastyku.

- Wynajmujesz pokój czy masz dom?

- Mieszkam z rodzicami. - Zobaczyła w jego oczach lekkie zaskoczenie. - No właśnie, mam dwadzieścia siedem lat i jeszcze z rodzicami. Aż wstyd mówić.

- Myślę, że najwyższy czas wybrać się do domu, odprężyć się, odpocząć, bo jutro znów praca... - powiedział, chcąc zatuszować niezręczną sytuację. Potem spojrzał zakłopotany na zegarek. - Ja też już lepiej pójdę. Do zobaczenia rano. - Uśmiechnął się z ulgą.

Sian odprowadziła go wzrokiem do windy. Drugi raz udało jej się wprawić Geoffa w zakłopotanie.

Skąd ta łatwość? Może przez ten rok nie tylko dorobiła się dziecka, ale i zaczęła roztaczać inną aurę, pozbawioną tego, co, zdaniem Adama, podkreślało jej kobiecość: ciepła i wdzięku. Nieważne, była zmęczo-

na po całym dniu, a jeszcze musiała dostać się do domu. Włożyła płaszcz i próbowała rozmyślenia zostawić na później. Nie miały zresztą większego znaczenia, na pewno nie w tej chwili.

Wydawał się większy, o wiele większy, niż sobie wyobrażała. Dziwne, że ani taśmy, ani wywiady nie przygotowały jej do spotkania z tym człowiekiem. Z intrygującym uśmiechem na wargach usiadł za prostym czarnym biurkiem, które było jedynym zwracającym uwagę meblem tej sali. Nie pozostało w nim ani śladu po rockowym gwiazdorze, po tej nieokrzesanej dzikości, która przesądziła o jego scenicznym obliczu. Ten nowy Matthias był ubrany na czarno - w golf, świetnie skrojoną marynarkę i spodnie. Czerń kontrastowała z krótko przyciętymi włosami siwoblond, które akcentowały wypukłość kości policzkowe i przenikliwe niebieskie oczy. Każdy rys jego twarzy zdawał się starannie zaprojektowany i umiejscowiony. Wiek nie do odgadnięcia. Matthias zwrócił się do Vica, a Francesca stwierdziła, że przymiotnik „złoćisty” aż się narzuca w odniesieniu do niego. Nawet w tej chwili gwiazdor zdawał się lśnić beztroskim, beczelnym połyskiem. Postarzał w ten sposób Vica, który naraz jakby poszarzał.

- Ten wasz pomysł może okazać się bardzo chwytny - powiedział Matthias neutralnym tonem.
- Oczywiście, ale tylko przy odpowiednim, efektownym, drugim planie - odparł entuzjastycznie Vic.
- I uważacie, że nadmierne akcentowanie Boga, jak to nazywacie, może nie wywołać pożądanego skutku? - Lekko się pochylił, złączył dłonie czubkami palców i wpatrywał się w twarz Vica.
- Hm, Bóg nie jest ostatnio modny... - bąknął Vic, zmuszony wytrzymać spojrzenie błyszczących, nieruchomych oczu.

- Może właśnie na tym polega problem, panie Brunning - zauważył gładko Matthias, a w kącie jego ust pojawił się szyderczy uśmiezek.
- Vicowi chodzi chyba o to - wtrąciła Francesca
- że dopóki nie zbadamy reakcji publiczności na proponowaną przez nas kampanię, lepiej rozgrywać ją ostrożnie. - Zawiesiła głos, jakby oczekiwała reakcji, ale on milczał. - Krótki film, o jakim myślimy, umiejętnie zestawiony z obrazów przeróżnych klęsk i niepokojów gnębiących świat, musi dotrzeć do ludzi, wstrząsnąć, zmusić ich do myślenia... Ujęcia płynnie się zmieniają, a pan trwa niewzruszenie na pierwszym planie, niczym kotwica. - Przeniosła spojrzenie z konspektu na jego twarz.
- Podoba mi się słowo „kotwica” - odparł cicho.
- W dzisiejszym świecie nikt ani nic nie jest kotwicą, nie daje nadziei, że istnieje alternatywa naszego głupiego, żalostnego sposobu życia. - Wstał, przeszedł przez pustą salę i zatrzymał się przed olbrzymim zdjęciem ujętym w ramę, przedstawiającym płaczące dziecko z ramionami wyciągniętymi ku zrujnowanemu, krwawemu Bejrutowi. - Bob Geldof miał dobry pomysł, tylko nie wykorzystał go do końca. To za mało zwrócić uwagę na globalny problem, a potem wyciągnąć rękę z tacą. Takiej idei trzeba dać napęd, wzmocnić ją, inaczej ludzie zapomną.
- Geldof wykonał świetną robotę - powiedziała Francesca.
- Nie kwestionuję tego, po prostu chcę iść dalej.
- Jak? - ostro spytał Vic. - Zająć się polityką? Nie zajmuje pan przecież pozycji, która umożliwiłaby dotarcie do parlamentu.
- Chyba nie, panie Brunning. - Uśmiechnął się lekko. - Ale są inne sposoby, które mogą nawet lepiej odpowiadać moim zamierzeniom. Przecież politycy, bez względu na pokolenie, narodowość czy wiarę, nie

znają prawdziwych odpowiedzi. Religia również, a ponadto została silnie wypaczona przez hierarchię.

- A pan ma odpowiedź? - ostrożnie spytała Franceses
- Nie mam odpowiedzi, panno Gaetini, ale być może mam alternatywę obecnej formy religii... Mam świadomość, czym mogłaby być religia.
- Publiczność brytyjska należy do najbardziej krytycznych i zapewne najbardziej cynicznych na świecie - powiedziała po chwili.
- Czy chce pani powiedzieć, że marnuję czas? - spytał obojętnie, odwracając się ku środkowi sali.
- Może.
- Widziała pani reakcje publiczności na moich trasach koncertowych? - Stał teraz obok jej krzesła.
- To było młodsze pokolenie. - Widziała w jego twarzy niezachwianą pewność siebie. Nie miał nawet cienia wątpliwości co do własnej umiejętności panowania nad rozmową.
- Zgoda... Ale czy młodzież nie uczy się właściwych i, niestety, również niewłaściwych postaw od innych ludzi? Ja też doświadczyłem tego na własnej skórze. - Pochylił się do niej. - Myślę, że wie pani, iż mój album wideo był na pierwszych miejscach list przebojów w dwudziestu ośmiu krajach, że sprzedano ponad szesnaście milionów egzemplarzy. - W przerwach między zdaniem Francesca słyszała jego cichy, równy oddech. - Jestem doskonałym wzorcem dla młodych ludzi, może nawet najpopularniejszym od dłuższego czasu...
- Popularniejszym od Jezusa? - przerwał mu Vic, bardzo starając się, by pytanie nie zabrzmiało cynicznie.
- John Lennon nie żyje, panie Brunning, a hymn, jaki wymyślił, umarł razem z nim. Wracając jednak do ostatniej uwagi, panno Gaetini, chcę powiedzieć, że spotykam się z olbrzymim odzewem u starszej ge-

neracji: duże datki pieniężne, poparcie dla tego, co robię, sugestie, dokąd powinienem podążać. No i kilka ofert od organizacji, których działalność opiera się na mocnych podstawach.

- Jakich organizacji? - spytał Vic, ledwie tłumiąc ponurą zajadłość, która zaczęła pobrzmiwać w jego głosie.

- Między innymi Amnesty International i Greenpeace.

- Czy jest pan zainteresowany tymi ofertami? - spytała Francesca.

- Owszem, ale nie chcę, żeby mnie identyfikowano z konkretnym ruchem. Nie jest chyba niedorzecznością wyobrażenie sobie działania tych organizacji i im podobnych pod wspólnym hasłem dobrej woli.

- Głoszonym przez pana, jak sędzę - zauważył Vic z nutą sarkazmu.

Matthias się uśmiechnął.

- Muszę rozszerzyć dotychczasowe osiągnięcia. Nie wykluczam, że przy starannej organizacji i właściwym nagłośnieniu mogę osiągnąć o wiele więcej.

- I podoba się panu pomysł olbrzymiej sieci satelitarnej? - spytała Francesca, kiedy gwiazdor znów na nią spojrział. Odwzajemniła spojrzenie czując, że się rumieni.

- Jest fantastyczny. - Oparł się o biurko.

- Myślę, że można by to nadać z Europy Środkowej, może nawet z któregoś kraju bloku wschodniego, co nie tylko dodałoby przedsięwzięciu oryginalności, ale jednocześnie uczyniłoby pańskie przesłanie, powiedzmy, łatwiejszym do przyjęcia przez tych, którzy w innym wypadku nawet by go pewnie nie usłyszeli.

- Bardzo dobrze, ale chcę, żeby to było o wiele więcej niż tylko jeszcze jedna ekstrawagancja rockowego gwiazdora. Chcę, żeby była to nauka... przeżycie. - Powoli przesunął wzrok po Francesce.

- Tu jest miejsce dla ujęć filmowych i plakatów, które przygotowujemy - powiedziała beznamiętnie, zwalczając w sobie pragnienie, aby uciec spojrzeniem. Nie chciała, by wyglądało, że ustępuje mu pola.

- To muszą być wstrząsające kawałki, panno Gae-tini, żeby ludzie otworzyli te swoje cholerne oczy. Olbrzymie pokłady nędzy i chaosu. - Powiedział te słowa cicho, ale nie było cienia wątpliwości, jaką wagę do nich przykładął. Francesca poczuła niepokój, bo jego twarz jeszcze bardziej się zbliżyła.

- Trudności techniczne i organizacja całości to odrębna sprawa - wtrącił Vic. - Musimy przedyskutować projekt i zapewnić sobie współpracę artystów, na których liczymy. - To miała być jego robota, a Francesca podobno chciała się tylko przyjrzeć. Powinien był przewidzieć, że wyjmie jakąś sensację z rękawa wytwornej kreacji.

- To trzeba załatwić i to zostanie załatwione, panie Brunning - odparł niecierpliwie Matthias, zwracając się ku bladej twarzy Vica. - Ludzie czekają na niemożliwe, uważają też, że powinno się coś zrobić z naszym zabagnionym światem.

Odwrócił spojrzenie i Francesca znów odczuła magnetyzm jego twarzy. Fascynowały ją drobne, pulsujące naczynia krwionośne na skroni i wąskie, niezwykle sugestywne usta.

- Powstało nowe rozumienie środowiska. Wiemy już, jak mały i ograniczony może się stać świat, jeśli nie będziemy przeciwdziałać konsekwencjom tego, co robimy teraz. - Podniósł nieco głos. - Musi istnieć możliwość rozliczenia każdego kraju, każdego rządu ze stosunku do ludzi i środowiska. - Dostrzegł powątpiewanie w oczach Vica. - To może brzmi niewiarygodnie, panie Brunning, jak marzenie, ale musimy od czegoś zacząć, bo inaczej będziemy zgubieni. - Urwał i zwrócił się znowu do Franceski, jakby pragnął, by

dzieliła z nim tę wizję. - Nie boję się próby, jeśli i pani się nie boi, miss Gaetini.

- Czy to znaczy, że powierza nam pan kampanię?

- Podniecony Vic dał upust swemu napięciu.

Francesca poruszyła głowę, zadowolona z pytania Vica, które stało się pretekstem do oderwania wzroku od Matthiasa. W gardle czuła wielką gulę, mrowienie w karku. Bliskość tego człowieka krępowała ją, wywoływała niepokój.

- Na to wygląda, panie Brunning - wycedził gwiazdor.

- Trochę za ostro pogrywałaś, nie sądzisz? - powiedział Vic, rozluźniając krawat. - Na początku wydawało mi się, że starasz się go zniechęcić, chociaż przyszliśmy tam, żeby zdobyć tę kampanię, a nie namówić klienta do rezygnacji! - To moja kampania, pomyślał.

- Sądzę, że nasz klient dokładnie zrozumiał, co próbuję zrobić. Wydawało mi się to całkiem jasne. -1 powinno być jasne nawet dla twojego zamulonego łba. - Odetchnęła i ze zdumieniem zauważyła kropelki potu pod nosem i na brwiach Vica. Naprawdę się denerwował.

- Jasne jak noc! - stwierdził oburzony, gdy zbliżyli się do czekającego samochodu. Gderliwie ciągnął:

- Ale dopóki ty i nasz przyjaciel Matthias znajdujecie wspólny język, wszystko jest w porządku.

- Daj spokój, Vic - ucięła zniecierpliwiona, gdy otwarto przed nią drzwi mercedesa. - Naprawdę nie jest mi teraz potrzebne takie gadanie. - Marnie panowała nad sobą i ta świadomość wytrącała ją jeszcze bardziej z równowagi. Pragnęła wrócić do swego biurowego sanktuarium, uciec przed tą irytującą rozmową i niepokojącymi myślami, które zaczęły ją nękać.

- A mnie nie był potrzebny ten wykład naszego

przyjaciela na temat zła spadającego na ludzi - odgryzł się Vic. - Ani jego protekcjonalne zachowanie. Boże! Kogo on chce nabrać? Wszyscy wiedzą, że ta pielgrzymka jest tylko sposobem na ściągnięcie na niego reflektorów po kilku latach ćpania. - Francesca nie odpowiedziała, więc ciągnął zniecierpliwiony: - Przypuszczam, że małpuje ten sławny numer „czterdzieści dni na pustyni”, tyle że musiał go zaplanować na znacznie dłużej, żeby zdążyć się odtruć.

- Może... ale tylko może, Vic. Niewykluczone, że naprawdę ma jakiś cel, że mówi całkiem poważnie - stwierdziła w końcu, zaskakując tym samą siebie.

- Czy ja dobrze słyszę? - parsknął pogardliwie. - Podobno jesteś mądra.

- Wracajmy do biura, Vic - odezwała się oschłym tonem i, zmęczona jego towarzystwem, odwróciła twarz do szyby.

- Jest zbyt zimny, żeby mógł być szczery, nie wierzę, że głos Boga dociera pod tę jego gładką, ugrzeczniłą otoczkę - ciągnął uparcie. - To kanciarz. - Nie odpowiedziała, więc Vic wzruszył ramionami, błędząc spojrzeniem po sklepach na Oxford Street, tłumach płynących po chodnikach, blokujących jezdnię, kupujących i jeszcze raz kupujących. - Dziś wieczorem urządzę w holu uroczystego drinka z okazji zdobycia nowego prestiżowego klienta - powiedział wreszcie z ironią. Ale Francesca, zatopiona w myślach, go nie słyszała.

Caroline przyglądała się zafascynowana filmowi wideo, natarczywa muzyka ogłuszała ją. Właściwie nie pamiętała Matthiasa jako gwiazdora rocka, którego tak wielu ludzi uwielbiało, ale teraz jego oblicze bez reszty wypełniało obszerny hol agencji i Caroline była oczarowana. Powoli sączyła szampana, chciwie wpatrując się w tę zmysłową twarz. Przypomniała so-

bie dla kontrastu Guya, ale nie było to uczciwe. Zamknęła oczy.

- Nie pogratulujesz mi? - Gdy tylko zobaczył ją z drugiego końca holu, odezwały się w nim wyrzuty sumienia, przypomniał sobie bowiem swe niesympatyczne zagrywki wobec niej. Teraz mógł przecież być uprzejmy.

- Nick... oczywiście, że tak. - Roześmiała się. - Gratuluję! - Była dziwnie odprężona. Nick zauważył rumieńce na jej policzkach oraz kieliszek w dłoni i domyślił się, że to skutek szampana. Przez chwilę oboje spoglądali na wielki ekran, potem dostrzegli wysoką postać Vica Brunninga przesuwającą się przez gwarny tłum i jego wyciągnięte ramię, wskazujące sylwetkę Matthiasa. Szef uniósł drugą rękę i złączył obie nad głową w geście zwycięstwa. Rozległy się wybuchy śmiechu, wiwaty, wreszcie zapadła cisza.

- A więc mamy go! - Znow huknęły wiwaty. - Przeczytacie o tym w jutrzejszej prasie i w „Campaign” w przyszłym tygodniu. Tymczasem możemy trochę poświętować, ale najpierw chciałbym, żebyście wnieśli toast za Nicka Keogha, który włączył się do pracy w ostatniej chwili, ale, jak widzicie, bardzo skutecznie. - Wypito toast, Vic mówił dalej: - i jeszcze jedno. To zwycięstwo w połączeniu z krótkotrwałą, choć ciężką pracą powinno zaprowadzić Samuela na pierwsze miejsce w rankingu brytyjskich agencji. A potem... kto wie? - Uśmiechnął się szeroko, gdy znow wzniesiono kieliszki, i spotkał wzrok Nicka ponad głowami obecnych.

- Muszę przyznać, że on jest w tym dobry - powiedział Nick do Caroline. - Ludzie uwielbiają takie rzeczy.

Jej jednak Vic Brunning nie interesował. Miła atmosfera, alkohol i muzyka jakby wprowadziły ją w nowy świat, dodały śmiałości.

- Czy widziałeś go z bliska? - spytała radośnie.

- Matthiasa? Nie. Ja jestem chłopcem do czarnej roboty, przynajmniej na razie. - Przesunął po niej spojrzeniem, zaskoczony, że tak łatwo mu się z nią rozmawia. - Ale czuję się, jakbym go dobrze znał. Cały pokój mam w zdjęciach, plakatach, rysunkach... jest tam nawet jego kartonowa sylwetka naturalnej wielkości.

- Po co ci taka wielka sylwetka? - Śmiała się teraz, a Nick zwrócił uwagę na jej szyję, dekolt i widoczne w nim gładkie, kremowe ciało.

- Myślałem, że mnie zainspiruje - powiedział lekko i sięgnął do tacy z szampanem, żeby napełnić kieliszki. - Chcesz obejrzeć? - Wprawnie nalał pianistego płynu.

- A mogłabym? - spytała. Nagle spojrział w wielkie, fiołkowe oczy i ogarnęło go niejasne poczucie winy. Caroline nie miała pojęcia, o co naprawdę chodzi. Poruszał się już jednak w odpowiednim kierunku i gestem zapraszał, by szła za nim.

Pokój był niewielki, przynajmniej tak się wydawało, bo zagracały go najrozmaitsze pozostałości ostatniej działalności Nicka. Kiedy Nick podszedł do biurka i zapalił lampę, objawił się wspaniały wizerunek Matthiasa. Caroline skierowała się do płaskiej postaci, stąpając po zamazanych kartkach i wycinkach z gazet. Usłyszał jej cichy śmiech.

- Co się stało?

- Ta figura... jest taka zabawna... - odwróciła się i zobaczyła podchodzącego Nicka. Poczuła, że zaczyna dygotać, ale on zatrzymał się tuż obok i oboje stali jak wartownicy przy kartonowym bóstwie, aż wreszcie Nick wziął ją za rękę i lekko pociągnął ku ścianie. W przyćmionym świetle oczy Caroline lśniły, wargi zdawały się drżeć, ale Nick uspokoił je dotknięciem palców. Pochylił się ku ustom dziewczyny i wyczuwał

jej przerażenie, ale gdy rozchyliła wargi, znalazł tam miłe ciepło, a ją przeniknął dreszcz rozkoszy. Męskie dłonie wprawnie objęły jej plecy, a wargi Nicka oszałamiały, nie mogła się im oprzeć. Poczwała delikatne palce na dekolcie, rozpinwały guzik po guziku. Zadrżała, gdy Nick przywarł ustami do jej naprzężonych piersi. Chciał nią owładnać, skłonić do krzyku, pragnął, by zapamiętała tę chwilę. Wtuliła się w niego z cichym jękiem. Mocno objął jej piersi, pragnąc poczuć jędrność i obfitość obu naraz, powiódł językiem po ciemnych brodawkach i podążył w dół, poznawać miękki brzuch. Skóra wydzielala lekki aromat. Bez słowa zaczął unosić spódnicę Caroline, wędrując dłońmi po udach, a wprawnymi pieszczotami języka odwracał jej uwagę. Zignorował pierwszy słaby protest, myślał już, że dopnie swego, lecz ręce Caroline powstrzymały go i spróbowały odepchnąć. Przez chwilę wydawało się, że jego wytrwałość zostanie nagrodzona, ale gdy spojrzał w górę, zobaczył ciężkie łzy kapiące z oczu Caroline mimo kurczowo zaciśniętych powiek.

- Na miłość boską - rzucił niecierpliwie, rozczarowany i zmieszany widokiem strug, które spływały po jej policzkach. Podniósł się, czując jak erekcja zanika. - Co jest? - Wyglądała teraz jak mała dziewczynka, a nie kobieta, która całowała tak namiętnie.

- Lepiej pójdę - rzekła głosem pełnym rozpacz. Znalazła się tu rozpalona podnieceniem, bo wreszcie udało jej się poskromić wstydlivość, a potem chciała przedłużyć tę chwilę. Szloch szarpnął ją i zagnieździł się na dobre w krtani. Caroline spuściła głowę, chcąc uniknąć ostrego, badawczego spojrzenia Nicka.

On poczuł się nagle zawstydzony, bo Caroline wzruszała go, chociaż wzruszenie nie należało do tej gry.

- No, no, no... Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- W uchylonych drzwiach zarysowała się sylwetka Vica Brunninga. Nick usłyszał przerażony pisk Caroline i czuł, jak dziewczyna szamocze się z zapięciem bluzki. Po chwili przemknęła za nim, w pośpiechu przewracając figurę Matthiasa. Przystanąła, jakby chciała ją podnieść, ale zaraz rzuciła się do przodu. Vic teatralnie odsunął się, by ją przepuścić i zwróciwszy się do Nicka, wyczarował szeroki uśmiech.

- Ani trochę, Vic, ani trochę - wolno odpowiedział Nick i oderwał wzrok od drzwi, w których zniknęła Caroline, po czym spojrzał wprost w błazeńsko roześmianą twarz dyrektora.

- Bardzo się cieszę, że talenty twórcze dają ci więcej powodów do chwały niż męskie wdzięki! - ciągnął Vic, rozkoszując się tą chwilą. - A ja tylko spełniam mój obowiązek. Przyszedłem tu, na górę, bo chciałem wyrazić ci uznanie za kawał roboty, jaki odwalileś...

Nick zamknął oczy i zacisnął zęby, nie chcąc wypowiedzieć słów cisnących mu się na usta. Skóra na twarzy napięła mu się. Ty dupku.

Pokój wydawał się większy i pustszy. Francesca podeszła do małego stolika z olbrzymim wazonem lilii. Delikatnie powiodła dłonią po smukłych kwiatach. Nagle drgnęła, natarczywy dźwięk telefonu przywołał ją z powrotem do biurka.

Zaskoczył ją gest, jakim ujęła słuchawkę - leniwy, jakby nie nagliło jej szaleńcze bicie serca ani nie czuła niemilej pustki w żołądku. Spokojny głos Sian poinformował, że na rozmowę czeka Matthias. Telefon ten nie był zaskoczeniem, zbyt wiele iskier posypało się w tamtej opustoszałej sali, gdzie nawet powietrze zdało się nasycone elektrycznością, a Francesce drżały kolana jak zadurzonej pensjonarce. A on to dostrzegł. Zabawne. Francesca chętnie roześmiałaby się, ale tak naprawdę nie było jej do śmie-

chu. Ogarnęły ją wspomnienia; znowu miała piętnaście lat, odzyskała niewinność i naiwność. On był instruktorem narciarstwa, opalonym i mocno zbudowanym mężczyzną całkowicie obojętnym na jeszcze jedno złamane dziewczęce serce. Teraz miała dwadzieścia dziewięć lat, należałoby sądzić, że jest za mądra, by zadurzyć się w tym złocistym, zagadkowym mężczyźnie.

- Lecę do Paryża w niedzielę wieczorem. Jest jeszcze kilka punktów, które chciałbym omówić... Może poleciałaby pani ze mną? - Cichy, władczy głos. Francesca uśmiechnęła się lekko na taką bezpośredniość. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Czy mogę odpowiedzieć później? - spytała zdziwiona spokojem własnych słów brzmiących, jakby dobiegały z cudzych ust. Naraz ujrzała go tak wyraźnie, że prawie mogła go dotknąć, poczuć pod palcami wysokie kości policzkowe, bladoniebieskie oczy i te niebezpieczne usta.

Już wiedziała, że poleci do Paryża.

3

Surowa biel damskiej toalety wywołała gwałtowną reakcję oczu, które same zaczęły mrugać. Caroline dowlokła się do najbliższej umywalki i puściła zimną wodę. Złączyła drżące dłonie, wyciągnęła je w kierunku strumienia i zaczęła ochlapywać twarz, póki nie poczuła chłodu, niemal drętwienia policzków. Sięgnęła po papierowy ręcznik, żeby zebrać krople, ale usłyszała kroki, głosy i śmiech. Zapragnęła się ukryć, wycofała się więc do kabiny. Usiadła na nie dostosowanym do tego celu miejscu, głęboko nieszczęśliwa. Kiedy dziewczęcy śmiech rozległ się głośniejszy, a potem zamienił w konspiracyjne chichoty i szmer niewyraźnych rozmów, czuła się jak idiotka. Nie miała dokąd uciec, więc siedziała w milczeniu, póki tamte nie poszły. W końcu otworzyła drzwi i zachnęła się na widok własnego odbicia w lustrze wiszącym naprzeciwko kabiny. Rumieniec wypełził jej na twarz, przymknęła oczy, nie chcąc widzieć swego wizerunku: w pośpiechu krzywo zapięła bluzkę. Żałosna przerwa w zapięciu, ukazująca delikatną skórę, wyglądała jak rana. Caroline przypomniała sobie twarz Nicka i usta szukające jej ust, wspomniała przenikliwy lęk, że przestanie nad sobą panować. Napłynęły jej do oczu łzy, białe kafelki zawirowały i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Guy na pewno już czeka. Niedbale odrzuciła włosy do tyłu i z wes-

tchnieniem zwróciła się w kierunku drzwi. Płaszcz miała w pokoju na górze, razem z torebką i reklamówką domu towarowego Marks & Spencer, zawierającą sweter z jagnięcej wełny, pieczołowicie wybrany w czasie przerwy na lunch, która teraz zdawała się należeć do innego czasu i miejsca. Hol agencji Samuela wciąż jeszcze pulsował euforią, w obszernym pomieszczeniu panował ścisk, zgromadzeni pili szampana i śmiali się, ale niektórzy zbierali się już do wyjścia. Wkrótce mieli utworzyć cały strumień, zostawiając tylko pijanych, samotnych albo tych, którzy nie mieli czego szukać w domu. Caroline ukradkiem prześlizgiwała się między grupkami, popatrując w stronę lśniących dwuskrzydłowych drzwi, gdzie powinien czekać Guy. Gdzie indziej nie spoglądała. Nie chciała, żeby ktokolwiek opóźnił jej ucieczkę rozmową. Zbliżając się do wyjścia, doznała skurczu żołądka, jakby ktoś zwijał jej w środku linę w coraz ciaśniejsze zwoje. Ujrzała znajomą postać, idącą jej na spotkanie. Guy pochylił się nad *-nią*, poczuła dotyk miękkich, chłodnych warg na policzku, i zaczęła rozmyślać, czy on odkryje resztki zapachu innego mężczyzny, a zarazem jej zdradę. W drodze do samochodu Caroline dokładnie przyjrzała się Guyowi, ale jego twarz była, jak zawsze, wyprana z uczuć i nie nosiła żadnych śladów niepokoju.

Nick obserwował jej odejście. Zauważył, jak pośpiesznie przemyka przez hol i bardzo chciał się uśmiechnąć, ale oporne wargi udaremniły tę próbę. Odprowadził ją spojrzeniem do drzwi i dostrzegł młodego człowieka, który z wielką akuracją ją pocałował. Odnotował w pamięci ciemny, prążkowany garnitur i żółty jedwabny krawat, który wskazywał na związek mężczyzny z City i oznaczał maklera, urzędnika banku handlowego, a może pełnomocnika majątkowego, nowy zawód, w którym nawet bezmyślny typ z klasy wyższej

mógł zrobić kokosowy interes. Nickowi pociemniało w oczach, odruchowo przytknął do ust kieliszek. Przez tę małą uwodzicielską sztuczkę, która wypadła tak fatalnie, Caroline z pewnością uznała go za chama. Niewątpliwie zniszczył jej wypieszczony, starannie zaplanowany świat, w którym żyje się na oczach innych. Zniecierpliwiony oderwał wzrok od drzwi i rozejrzał się dookoła. Tłumy wyraźnie już rzedyły; zobaczył Tinę, starą poczciwą Tinę, opierającą się o jedną ze śnieżnobiałych kolumn. Miała znudzoną minę, a facet, z którym rozmawiała, ledwie trzymał się na nogach. Nick dopił szampana i ruszył w jej kierunku. Nad nim i za nim twarz Matthiasa dziko się wykrzywiła, głos bożyszczka drażnił słowami: „...ból jest wart ceny... cena jest warta kosztu...”.

- Na dziś rano mieliśmy zaplanowane spotkanie - rzucił Vic urażonym tonem, mijając Sian, żeby zajrzeć do pustego gabinetu Franceski.

- Już ci tłumaczyłam. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie do domu i powiedziała, że wypadło jej coś ważnego, więc mam odwołać wszystkie spotkania w ciągu najbliższych dwóch dni. Dodała, że zadzwoni dzisiaj do agencji i powie coś więcej - wyjaśniła Sian.

- Cholera! Zdobyliśmy właśnie najbardziej prestiżowego klienta, a ona znika! - Westchnął dramatycznie i ciągnął podniesionym głosem: - Mieliśmy przedyskutować piątkowe spotkanie, a potem napisać konspekt.

- Mam tu rękopis konspektu, Francesca przysłała go rano... Przepisanie nie potrwa długo. Zostawię ci maszynopis ha biurku. - Sian odwróciła spojrzenie od posępnej twarzy Vica i skupiła się na papierach trzymany w dłoni. - Francesca chciałaby chyba, żebyś do jej powrotu opatrzył go uwagami.

Vicowi odebrało mowę. Rozchylił wargi i pokiwał lekko głową, jakby chciał milcząco wyrazić zgodę. - Dobrze, dobrze... w porządku... - wycedził w końcu, siłąc się na obojętność. Francesca nie tylko się ubezpieczyła, ale przy okazji zalazła mu za skórę. Wrócił do swojego gabinetu, zaciskając dłonie w przyływie wściekłości. Cóż tak cholernie ważnego trafiło się ukochanej pani prezes, że zdecydowała się na opuszczenie agencji na całe dwa dni? Po południu zadzwoni Henry. Zdziwi się pewnie, że jego protegowanej nie ma w miejscu pracy. Vic uśmiechnął się pod nosem, pocieszając się, że to on powie Henry'emu o zdobyciu Matthiasa i nie omieszka zaznaczyć, że to jego osiągnięcie, naczelnego dyrektora, którego nie doceniono jako kandydata na prezesa. Pociecha była to jednak wątpliwa. Dzień zaczął się niedobrze, a wciąż jeszcze czekało go rozwiązanie sprawy General Breweries. Stary Swanson twardo obstawał przy wyrzuceniu Mike'a. Wprawdzie praktycznie wystarczała kilkumiesięczna banicja, póki hałas nie ucichnie, a nieposłuszna, powabna Charlotte nie zmieni zainteresowań, ale i tak oznaczało to, że trzeba znaleźć odpowiednie zastępstwo i że w przyszłym miesiącu Mike nie będzie mógł dozorować startu kampanii komputerów osobistych firmy Storm, co z kolei spowoduje niezręczną sytuację wobec innego klienta. Vic, rozdrażniony, przemierzył wielkimi krokami pokój, przystanął koło okna i wrócił do biurka. Dopiero wtedy usłyszał, jak znajome ciche kroki zatrzymują się przed wejściem do gabinetu.

- Zoe - zapał. - Gdzie, do cholery, jest poczta, poranna prasa i moja kawa?! - W końcu znalazł łatwy cel, mógł się odegrać za poczucie krzywdy, które niczym kwas przeżerało mu wnętrzności.

Zanim samochód dojechał do peryferii Paryża, niebo już ciemniało. Francesca słyszała za szybami świst wiatru, tłumiony nieco przez grube szkło. Oparła głowę o siedzenie z miękkiej skóry i zamknęła oczy. Zadzwoiła do Matthiasa dopiero w sobotę późnym wieczorem, ale teraz uśmiechnęła się w półmroku; wiedziała, że odrzucając tę propozycję odwlokłaby tylko to, co i tak nieuniknione. Matthias poleciał pierwszy, powierzając kierowcy w liberii odebranie jej z lotniska Charles de Gaulle. Umiał zadbać o stylową oprawę. Kiedy twarz gwiazdora pojawiła się w jej wyobraźni, Francesca wróciła myślami do spotkania z nim i cynicznych uwag Vica: „Jest zbyt zimny, żeby mógł być szczery, nie wierzę, by głos Boga docierał pod tę jego gładką, ugrzecznoną otoczkę... To kanciarz”. Możliwe, ale nie ma to już żadnego znaczenia, - sama się wkrótce przekona. Spojrzała ku szybie, za którą wieczorne niebo zasnuwała gęsta, metaliczna mieszanina czerni i granatu. Księżyc rozlewał blado-perłową poświatę po czubkach drzew i było to jedyne światło na przestrzeni wielu kilometrów. Dawno już minęli Compiegne i teraz pędzili szosą przez gęsty las. Przypominało to tajemniczą wyprawę. Francesca westchnęła. Dawno już nie pozwalała sobie na żadne rozrywki, a i tak ogarnęło ją poczucie winy. Pomyślała jednak, że porzuciła agencję na krótko i zostawiła przecież biurowe sprawy we względnym porządku. A poza tym można uznać, że odbywa tę podróż w interesach. Po powrocie musi sporządzić z niej notatkę. Uniosła kąciki ust w kpiącym uśmiechu, światło i cień igrały na jej twarzy. Być może notatka nie będzie szczegółowa, nie obejmie całości „interesu” wiążącego ją z Matthiasem, takie wyjście jednak należy do jej przywilejów, z których zresztą korzysta rzadko. Samochód płynnie skręcił w bok i w oddali zobaczyła zameczek lśniący niczym klejnot. Droga biegła

teraz prosto jak strzelił, sprawiając wrażenie tunelu, bo była wysadzona wspaniałymi dębami. Matthias nie wyszedł na spotkanie. Francesca ruszyła więc za młodym lokajem po schodach. Budynek był bardzo przestronny i piękny. W szybko pogłębiających się cieniach wydawał się ogromny. Francesca dostrzegła zarys baszt, rzeźbionych kolumn, rzeźb ogrodowych. Nie mogła to być własność Matthiasa, nie miał na to środków... Czyżby powszechne przekonanie, że rozdał większość swojej fortuny było fałszywe? Tak czy inaczej, gwiazdor bez wątpienia przyjaźnił się z wieloma ustosunkowanymi i zamożnymi ludźmi. Wchodząc przez rzeźbione, dębowe wrota, zadała sobie pytanie, czy przyjaciele Matthiasa też czekają wewnątrz. Wcześniej nie brała tej możliwości pod uwagę. Westchnęła, zdziwiona swym nagłym rozczarowaniem. Jakoś straciła ochotę na interesy, nie chciała żadnych innych ludzi, w głowie miała jedynie spotkanie sam na sam, zasugerowane przez Matthiasa podczas krótkiej, przesyconej żarem rozmowy.

Apartament był olśniewający, zachwycał barokowym przepychem, ale w łazience nie zostało po nim ani śladu, zupełnie jakby właścicielowi domu raptem zmienił się nastrój. Tu wyjątkowość miała art deco: wanna, umywalka i podłoga z żółtego sieneńskiego marmuru, ściany wyłożone czarną japońską glazurą i odlewane kinkiety Lalique'a. Uwagę Franceski przykuła przede wszystkim wanna na środku pomieszczenia, podobna do wieloryba wyrzuconego na brzeg, ogromna, z trzema marmurowymi podporami. Przez chwilę przyglądała się jej z uśmiechem, potem odwróciła się i ujrzała swoje odbicie w ozdobnym zwierciadle w kutyh ramach. Twarz jej się zaróżowiła, oczy lśniły... wyglądała jak podekscytowane dziecko. Wolno pokręciła głową, nie wiedząc, czy ten widok jej się podoba. Co właściwie

robiła w tym przepięknym muzeum, należącym do Bóg wie kogo? I gdzie był on, mężczyzna, którego ledwie знаła? Czy ta jego nieobecność stanowiła część gry, czy w ten sposób tworzył swe oblicze tajemniczego człowieka, którego nie należy mierzyć zwykłą miarą? Poirytowana przymknęła oczy. Cała ta dziwaczna, zarazem podniecająca, przygoda bardzo nie pasowała do niej, do pani prezes agencji Samuela, skazanej na autorytet, do chłodnej, zdyscyplinowanej kobiety. Czyż to nie ona zawsze panowała nad sytuacją? Ona i nikt inny... bo przecież nie on? Ogarnęło ją dziwne uczucie, drętwiał kark. Było już za późno na odwrót, zresztą wcale go nie pragnęła. Nie przywykła do wycofywania się z raz obranej drogi, do wybierania łatwych rozwiązań. Cicho jęknęła. Zostało jej piętnaście minut do kolacji. Luksusowa kąpiel, którą sobie obiecała, musiała poczekać.

Nic się nie zmieniło. Pocałował ją w czubki palców jak wiedeński hrabia i Francesca miała ochotę się roześmiać, bo nic nie wydawało się tu naturalne. Nawet gdy wskazał jej miejsce, czuła, jak ulega jego magnetyzmowi. Matthias był ubrany na czarno, tak samo jak poprzednio. Usiadł po przeciwnej stronie rzeźbionego stołu oświetlonego świecami. Rozmawiali właściwie o wszystkim, ale bardzo mało o kampanii. Francesca zatrzymała przez moment wzrok na jego twarzy, lecz zaraz odwróciła głowę i rozglądała się wokół, podziwiając ogień w kominku, kopie obrazów osiemnastowiecznych mistrzów, łukowe sklepienie komnaty. Nie chciała patrzeć na niego, nie chciała walczyć, jeszcze nie. Ciepło, wino i niezwykle otoczenie ukończyły jej napięcie niczym łagodny narkotyk. Najchętniej zawisłaby w czasie jak drżąca w powietrzu bańka mydlana.

- Jak wypadł Lucas Chant w waszym małym śle-

dztwie, panno Gaetini? - Pytanie wdarło się nagle w świat marzeń. Francesca wróciła spojrzeniem na twarz Matthiasa.

- To była konieczność. Nie stać nas na ryzyko, które by nam zagrażało, gdyby Chant okazał się kłopotliwym człowiekiem. - Prędej czy później Matthias musiał się o tym dowiedzieć, ale stwierdziła ze smutkiem, że miły nastrój prysł. -I proszę mi mówić po imieniu.

- No więc czego się dowiedziałaś z tego miniśledztwa? - spytał ironicznie ugrzecznionym tonem.

- Przecież wiesz.

- Lucas, lepiej znany kiedyś jako Kevin Crowley, co pewnie już ci powiedziano, od ponad pięciu lat nie ma nic wspólnego z heroiną. Po odejściu z mojego zespołu w 1979 roku zaczął bawić się w scjentologię, potem bardzo szybko przeniósł się do ruchu Hare Kriszna i tak dalej. Przyszło rozczarowanie, czemu trudno się dziwić,

i wtedy Lucas podjął mądrą decyzję, postanowił bowiem pomóc mi w pracy, będącej wówczas niemal w powijakach. - Wziął kieliszek połyskującego żółtawo wina. - Jest teraz tak czysty, jak tylko może być... powiedzmy, czysty jak przeciętny urzędnik twojej agencji. - Roześmiał się cicho i uniósł kieliszek. - A to znak, że ci przebaczam... Niech to będzie ułaskawienie. -I uśmiechnął się w ten swój dziwny sposób, jakby wiedział coś, co Francesca starała się ukryć, coś, co jej się wymknęło.

- Po co mi ułaskawienie? - O tak, było potrzebne.

- Bo mylisz pracę z życiem, robisz z niej złotego cielca. - Blade oczy zaczęły lśnić metalicznie.

- Uczono mnie, że ambicja to zdrowe zjawisko -odparła, siląc się na żart.

- Źle cię uczono. - Sięgnął po kieliszek. - Dlaczego człowiek ma się stawać niewolnikiem błysku reklamy, tej nierządniczy dla klienta?

- To nie jest błysk, tylko cholernie ciężka robota

dla całej rzeszy profesjonalistów! A błyszczące opakowanie stanowi konieczność! Ludzie potrzebują reklamy, potrzebują tej babilońskiej nierządniczy, ty także. - Mierząc go przez chwilę spojrzeniem, dostrzegła drgnienie warg, poprzedzające słowa Matthiasa.

- To chyba źle świadczy o ludziach, prawda? - rzeki cicho. - Słucha się ciebie jak uosobienia reklamy, a ja naprawdę w to nie wierzę, kiedy z taką pewnością siebie wypowiadasz się w imieniu szarego człowieka, któremu ponoć niezbędny jest do życia świat w pięknym opakowaniu. A ty bez końca wciskasz mu pożywkę dla marzeń wymyślaną przez twoich, przyznając, rzeczywiście świętych fachowców od tej roboty. - Obracał kieliszek w dłoni. - Czemu nie zdobyć się na trochę uczciwości? Czyż nie jest to zwyczajnie wielki interes dla ciebie i twojej firmy, czyż nie są to miliony dolarów, dzięki którym nasz miły mały świat kręci się ciut prędzej?

- Czy nie chciałeś przypadkiem powiedzieć „zgniły świat”? - Alkohol zaczynał ją rozkładać, ale jakoś ulżyło jej, że wypowiedziała te słowa głośno, że oderwała się od typowych rozmówek świata, w którym żyła i oddychała na co dzień. Usłyszała jego dźwięczny śmiech. Przez kilka ciężkich sekund oboje milczeli, zapatrzeni w kieliszki, wreszcie Francesca zerknęła na Matthiasa.

- Skąd naprawdę pochodzisz? - spytała cicho. W starannie spreparowanej biografii nie było nic na ten temat. Wszystko pozszywano równo i bez dziur, nie było żadnych wstydliwych łat prywatności, na które publiczność mogłaby się chciwie rzucić i porwać w strzępy.

Rysy nagle mu zmiękły, jakby Matthias zastanawiał się, co powiedzieć.

- Wiesz, że po matce jestem pół-Niemcem, że przy-

wieziono mnie do Anglii jako śliniącego się trzymiesięcznego brzdąca i że od prawie czterdziestu lat jestem obywatelem brytyjskim.

- Äojciec?

- Elegancki pan, tak mi powiedziano. Może Anglik, może Austriak... matka nigdy nie wiedziała na pewno - wycedził cynicznie. - Była królową nocy... jeszcze jedna babilońska nierządnicą.

- Przepraszam.

- Nie ma potrzeby. Wybaczyłem jej wiele lat temu. Zaszła za daleko, ale kiedy znów spojrzała na niego,

zobaczyła już sobie znany, intrygujący półuśmiech.

- A twoi rodzice? - spytał powoli.

- Ojciec zmarł, kiedy miałam siedemnaście lat. Bardzo go kochałam. - Na chwilę znów ogarnęły ją wspomnienia i Francesca pożałowała, że za dużo wypila. - Z matką nigdy nie mogłam się dogadać. Nie widzimy się często. Nie widzimy się w ogóle. - Znów zmroziło ją poczucie winy, znów była dzieckiem, za wszelką cenę pragnącym się podobać, wymusić trochę miłości na tej lodowatej, budzącej lęk piękności, która była jej matką.

- Chyba rozdrapałem starą ranę... teraz moja kolej na przeprosiny. - Matthias powiedział to cicho i zdawał się skruszony. Francesca bała się, że może go urazić swą ciekawością, wścibstwem, nie przyszła jej jednak do głowy zamiana ról, która nastąpiła tak łatwo, jakby to on zaplanował rozmowę.

- Nie ma żadnej rany. - Odpowiedziała zbyt szybko. Zastanowiło ją samą, dlaczego usiłuje się wycofać.

Matthias wstał, usłyszała szurnięcie krzesła.

- Po rodzicach zawsze zostają rany - rzucił lekko. Zbliżył się. - Już późno, musisz być zmęczona.

Podniosła się i pozwoliła mu ująć swą rękę. Matthias obrócił jej dłoń wnętrzem do góry, lekko uściśnął i zaczął muskać wargami delikatną skórę. Piesz-

czota była zadziwiająco sugestywna i kiedy Matthias uniósł głowę i spojrzał Francesce w oczy, ta przełknęła tylko ślinę.

- Chyba będziesz dobrze spała... powietrze oszalał tu jak opium.

- Mam nadzieję. Zdaje się, że to był bardzo długi dzień. - Napotkała jego hipnotyczne spojrzenie i poczuła dudnienie w uszach.

- Ten dom, zameczek, czy jak go nazwać, nie jest autentyczny, to wiesz... - ciągnął, biorąc ją za ramię i ruszając do drzwi. Ma niewiele ponad sto lat. - Uśmiechnął się. - Ktoś urzeczywistnił swe fantazje czy raczej sny... Pomieszał antyk z barokiem, gotykiem i paroma innymi stylami.

- Może ten ktoś miał senny koszmar - podsunęła.

- O nie, Francesco, nie koszmar. - Powiedział to równie cicho jak ona, ale w głosie zabrzmiała stanowczość, która praktycznie kończyła rozmowę. Francesca poddała się temu nie wypowiedzianemu nakazowi, bo tego właśnie chciała.

Na kominku w jej sypialni płonął ogień, okna ktoś zasłonił ciężkimi, brokatowymi kotarami.

Odchyliła skrawek materiału, chcąc wyjrzeć w ciemność, zobaczyć księżyc i bryłę poczerńiałego lasu.

Opuściła zasłonę i otworzyła drzwi do łazienki. Spróbowała odchylić głowę do tyłu i drgnęła, znów bowiem poczuła drętwienie karku. Podeszła do żółtej, marmurowej wanny i przesuwając palcami po jej grubym brzegu, wymacała krany. Woda, która lunęła, wypełniła pomieszczenie parą, więc Francesca cofnęła się do sypialni, żeby się rozebrać. Zastanawiała się, gdzie jest Matthias, czy też wrócił do pokoju i przygotowuje sobie kąpiel? W pożegnaniu było jakieś niedopowiedzenie, coś jeszcze wisiało w powietrzu...

Woda była bardzo ciepła. Francesca zanurzyła się

z rozkoszą i przez jakiś czas po prostu siedziała, czując, jak napięcie i zmęczenie stopniowo ustępują. Nad jej głową, niczym aureola, lśnił wielki prysznic, więc w końcu wstała i odkręciła kurek. Połała się woda, gorąca, potem coraz zimniejsza. Tryskała na jej ciało szeroką strugą jakby z pękniętej rury, spływała tysiącami ostrych kropli, aż w końcu Francesca westchnęła zadowolona. Gdy odwróciła się, chcąc zamknąć ten strumień, usłyszała ciche kroki, a przez matowe szkło osłony prysznicza zobaczyła sylwetkę Matthiasa i znieruchomiała, czując oszalałe bicie serca. Matthias zatrzymał się u podnóża wanny. Naprawdę był złocisty, wyglądał jak antyczny bóg, wcale nie szokowało jej, nawet nie dziwiło, że jest nagi. Biła od niego fizyczna doskonałość, obiecująca rozkosz. Usta ułożyły mu się w zmysłowy uśmiech. Powoli sięgnął ramieniem, dotknął wgłębienia u nasady jej szyi i przesuwał palce coraz niżej, aż zagłębił je w miękkich włosach u zbiegu ud, i wtedy Francescę przeszył dreszcz.

- Jestem mokra... - zabrzmiał jej szept.

- Chcę, żebyś była mokra... - I wyciągnął do niej ramiona.

Francesca straciła władzę nad sobą, ale głos wewnętrzny mówił jej, że na zawsze już zapamięta tę chwilę, tę marmurową wannę, tę łazienkę, a także niebezpiecznie piękną twarz gwiazdora i sięgające po nią ramiona. Odruchowo postąpiła ku Matthiasowi, który miał już erekcję. Bez trudu uniósł Francescę i nasadził na wielki, sztywny członek. Stopili się w jedno w szybkim, rozedrganym ruchu. Ciasno splotła nogi, otaczające złocisty korpus, a podtrzymujące ją ramiona zaczęły się zsuwać po jej plecach, po łagodnym owalu pośladków, przyciągnęły ją bliżej. Potem czuła już tylko jego rytmiczny, gorący oddech i usta przywierające do jej warg. Zwarli się językami,

łączący ich ruch stawał się coraz gwałtowniejszy. Rozkosz wydarła z Franceski jęk i rosła, potężniała, rozlewając się po wszystkich zakamarkach ciała, aż w końcu Francesca wykrzyknęła:

- Tak, och tak... och tak...

Dzień minął spokojnie, bez żadnych sensacji, tak że nawet nieobecność Vica Brunninga zwracała uwagę. Sian, wkładająca płaszcz, drgnęła, słysząc hałas włączanej kserokopiarki. Zaciekawiona ruszyła do klitki, w której stały teleks i kopiarka. Geoff Buchanan wkładał papier do maszyny z ledwie wstrzymywanym zniecierpliwieniem.

- Może ci pomóc? - Nieprawda, nie chciała pomagać, chciała już iść.

- Chyba wybierasz się do domu...

- Niekoniecznie - skłamała. - Jeśli masz kłopot, to mogę jeszcze parę minut zostać. - Ogarnęła ją rozpacz, bo wpadła w potrzask.

- Byłoby wspaniale. - Wyraz ulgi na jego twarzy wyglądał niemal komicznie. - Zoe ma zwolnienie, więc dałem opis kampanii dziewczynie, która ją zastępuje. Napisała wszystko, ale jutro o dziewiątej rano mam spotkanie i potrzebuję przynajmniej dziesięciu egzemplarzy, a jest tego osiemdziesiąt stron.

- Westchnął ciężko, bo w maszynie znów zabrakło papieru. - Oczywiście telefonowałem do działu organizacji pracy i mają oddzwonić, ale jest dość późno. Myślałem, że już wyszłaś...

- Niezupełnie. - Uśmiechnęła się z przymusem i zaproponowała: - Daj mi połowę, to zejść piętro niżej, tam mają dużo większą i szybszą kopiarkę.

- Fantastycznie. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny.

Uśmiechnęła się cieplej stwierdzając, że Geoff mówi to szczerze. Odbijanie dokumentów zajęło jej wię-

cej czasu, niż przewidywała, była więc coraz bardziej zirytowana. Wiedziała, że mama będzie się zastanawiać, co się stało. Dotąd zawsze udawało jej się wrócić o przyzwoitej porze, chociaż matka zdawała sobie sprawę, że szefowa Sian nie pracuje jeszcze pełną parą i w końcu zostawanie po godzinach stanie się koniecznością, tym bardziej że fuzja z partnerem w Stanach nabierała realnych kształtów. Sian westchnęła. Rodzice oczywiście kochali Petie'ego, rozpieszczali go i robili wszystko co w ich mocy, żeby córka mogła rozpocząć życie od nowa, ale przecież mama zajmowała się chłopcem przez cały dzień. Sian starała się więc wracać tak, żeby spędzić z synkiem przynajmniej parę chwil przed kąpielą i położeniem go do łóżka. Mały zasypiał teraz bardzo nieregularnie, zdarzało mu się nie spać jeszcze o dziesiątej wieczorem, no ale o tej porze Sian zawsze była w domu. Życie zaczynało jej się układać całkiem znośnie, jednak dużym kosztem. Rodzice byli rozczarowani i urażeni, choć nigdy by się do tego nie przyznali. Znów westchnęła, spoglądając z odrazą na dokumenty. Przy takim tempie nie miała szans na powrót do domu przed północą. Gdyby to Francesca kazała jej zostać, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, ale Geoff był tylko połową naczelnego dyrektora, nie bezpośrednim szefem.

Kiedy wróciła do niego, wciąż jeszcze borykał się ze swoją częścią.

- Lepiej daj mi tę resztę. Robi się późno - wycodziła przez zęby.

- Nie ma sprawy... - odparł ostrożnie, słysząc jej ton. - Teraz już sobie poradzę.

Opanowały ją wyrzuty sumienia. Westchnęła.

- Nie żartuj, zrobię to o wiele szybciej. Przerwał pracę, poczuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

- Ale jeśli dam ci tę resztę, to pozwolisz mi zamówić taksówkę, żeby odwiozła cię do domu... oczywiście na koszt firmy. - Ozdobił tę wypowiedź kpiącym uśmiechem i nie pozostawało jej nic innego jak odpłacić tym samym.

- Dzięki... doceniam ten gest. - Policzki poróżniały jej od zakłopotania, wiedziała bowiem, że Geoff wyczuł jej wcześniejszą urazę.

- A więc zgoda - powiedział lekko i wręczył jej pozostałe papiery. Patrząc za odchodzącą Sian zastanawiał się, czy jej zboląłą minę wywołał zmarnowany czas, czy też trapi ją coś poważniejszego, a on tylko dolał oliwy do ognia. Wzruszył ramionami. Sian była miłą dziewczyną, chociaż trochę zbyt serio. Ale miłą zdecydowanie. Mógł zapytać o nią Francescę... kiedy się odnajdzie. Znowu wzruszył ramionami. Był ciekaw, gdzie pani prezes przepadła, ciekaw podobnie jak Vic, ale w odróżnieniu od niego umiał tę ciekawość ukryć. Odsunął się od znieruchomiałej maszyny i wrócił do swojego gabinetu. W małej lodówce miał ledwie napoczętą butelkę białego wina. Otworzył ją w piątek, w porze lunchu, gdy usłyszał o sukcesie z Matthiasem. Dziwiło go, że w chwili triumfu nie widział Franceski. Kiedy spotkał się z nią później tego samego dnia, zręcznie unikała rozmowy o swych zamierzeniach i odzywała się tonem zniechęcającym do dalszych pytań. Uśmiechnął się. Bez wątpienia wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą.

Siedział zamyślony, obracając w dłoniach kieliszek wina, kiedy wróciła Sian.

- Odbite, ułożone i spięte... - powiedziała bezbarwnie.

- Wspaniale. - Nalał wina do pustego kieliszka. - Napij się trochę, a ja tymczasem zamówię taksówkę. Nieszczęsne dokumenty zostały odsunięte na bok

biurka, Sian usiadła z kieliszkiem wina w dłoni, ciesząc się, że zdjęto jej z głowy kłopot z powrotem do domu.

- Za dziesięć minut - powiedział Geoff, odkładając słuchawkę.
- Bardzo dobrze. - Poczula, że wyraźnie się odpręża.
- Przepraszam za zepsucie wieczoru. Nie miałem pojęcia, że zajmę ci tyle czasu.
- To już nie ma znaczenia. - Nagle uświadomiła sobie, że powiedziała prawdę. Rzeczywiście nie miało to znaczenia.
- Jak ci się podoba u Samuela? - spytał Geoff.
- Muszę się lepiej zaaklimatyzować i wtedy chyba polubię tę pracę - odparła Sian. - Francesca umie ubarwić człowiekowi życie... - dodała z uśmiechem.
- Owszem - przyznał. - Co robiłaś przed przyjściem do nas?
- Pracowałam w The Village... - Kłamstwo było tylko połowiczne.
- Tworzenie publicznego obrazu firm, interes Adama Gilmore?
- Tak. - Coraz trudniej było jej znaleźć zgrabną odpowiedź. Kątem oka spoglądała na zegarek.
- I robiłaś tam to samo, co tutaj? - Dojrzał cień przemykający po jej twarzy.
- Byłam odpowiedzialna za kontakty z klientami, ale dość krótko... - Urwała, lecz szybko dopowiedziała, chcąc uprzedzić nieuniknione pytanie: - Nie wyszło.
- Cóż, to się zdarza... - odparł jakby nigdy nic, zauważył jednak, że kształtne palce Sian sięgające po kieliszek drżą. - Ot, cząstka wielkiego gobelinu życia... - Pomyślał, że musiało to zabrzmieć beznadziejnie głupio.
- Cząstka wielkiego gobelinu życia - powtórzyła drewnianym głosem i wstała. - Zejdę do holu, taksówka może przyjechać w każdej chwili.

- Oczywiście - potwierdził, chociaż oboje wiedzieli, że Sian ma mnóstwo czasu. - Cóż, jeszcze raz dziękuję. - Odprowadził ją do pokoju sekretarek i wziął z biurka płaszcz Sian rzucony tam w pośpiechu. - Pozwól, proszę. - Wymusił na niej uśmiech i poczuł niejasną ulgę, jakby Sian tym sposobem wybaczyła mu winę. Ramiona Sian gładko wsunęły się w rękawy, a ponieważ dziewczyna lekko się cofnęła, chcąc ułatwić rytuał podawania płaszcza, Geoff wyczuł aromat perfum. Zaraz jednak wróciła do poprzedniej pozycji i po zapachu nie zostało śladu. Odprowadził ją spojrzeniem do windy i rzucił niewyraźne „dobranoc”, gdy zniknęła za metalowymi drzwiami. Gdyby ktoś spytał, dlaczego nie poszedł zaraz swoją drogą, dlaczego zatrzymał wzrok na drzwiach windy, nie umiałby odpowiedzieć.

Powietrze rzeczywiście było oszałamiające jak opium. Na samo wspomnienie Francesca odetchnęła głębiej i zapięła pas, bo samolot zniżył lot, schodząc do lądowania. Matthias jej nie rozczarował, jeszcze nikogo podobnego w życiu nie spotkała. Było w nim coś tajemniczego, do czego nie umiała dotrzeć. Nawet w największym porywie namiętności panował nad sobą i sytuacją, a Francesca wydawała się jego zabawką. Zachnęła się, uświadamiając to sobie i odwróciła się do okna. Chmury otaczały samolot, białoszare, ponure. Ostatni wieczór był triumfem Matthiasa. Ciekawe, czy zaplanował go jak rasowy showman. Kolację zjedli w sali balowej. Francesca śmiała się, bo sala okazała się niemal repliką tej, którą kiedyś widziała wraz z ojcem w wiedeńskim Schönbrunnie, tyle że tutejsze wymiary były skromniejsze. Kiedy zaczęli sączyć koniak, rozległa się muzyka, jego muzyka, a on porwał Francescę w kierunku drzwi pod złoconym łukiem i dalej, do holu pełnego luster. Stał za

nią, opierając dłonie na jej nagich ramionach, i razem przyglądali się nieskończonemu korytarzowi odbić, a w nim własnym, powielonym postaciom. Z drzeniem przypomniała sobie, jak ją rozebrał i jak kochali się wśród tych wszystkich luster, aż cały świat wydał się jednym wielkim, wspaniałym odbiciem pożądania. Francesca pokręciła głową i poczuła wstrząs, gdy koła samolotu dotknęły ziemi. Odchyliwszy głowę na oparcie, zamknęła oczy, wspomnienia uleciały.

Nie była przygotowana na błyski fleszy po przejściu przez komorę celną ani na grad pytań. Zakłęła pod nosem, kiedy otoczył ją zwarty tłumek.

- Panno Gaetini, gdzie jest Matthias? Czy wróci do Londynu później?

- Panno Gaetini, kiedy oficjalnie rozpoczyna się kampania?

- Panno Gaetini, ile ta kampania będzie kosztować?

- Panno Gaetini, gdzie dokładnie znajduje się zamek, w którym odbyło się spotkanie?

Francesca przełknęła ślinę. Matthias musiał o tym wiedzieć, był jedynym człowiekiem, który mógł wiedzieć.

- Jeśli państwo zechcą przyjść do siedziby agencji Samuela jutro rano o dziewiątej, z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania. Teraz jestem trochę zmęczona. - Posłała im promienny uśmiech i szybko ruszyła do wyjścia.

- Samochód czeka, panno Gaetini. Zaskoczona Francesca odwróciła głowę.

- Nazywam się Lucas Chant. Naturalnie osobiście się nie znamy.

- Ten cały cyrk to pański pomysł... czy jego? - spytała.

- To sprzyja rozgłosowi - powiedział zakłopotany.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.
 - Zwykle przed zrealizowaniem pomysłu dyskutujemy go wspólnie - odparł obojętnie.
 - Bardzo mądrze. Naprawdę. Aż dziw, że potrzebujecie usług najlepszej brytyjskiej agencji reklamowej - powiedziała impulsywnie.
 - Samochód jest... - Zdanie pozostało nie dokończone, bo Francesca odepchnęła ramię Lucasa.
 - Bardzo dziękuję, panie Chant, ale wolę jechać taksówką. - Uśmiechnęła się smętnie i przyjrzała chudej, niepociągającej twarzy, tak kontrastującej z obliczem pracodawcy Chanta. Zniecierpliwiona zwróciła się w stronę najbliższej połyskującej czernią taksówki. Chciała uciec, i to jak najszybciej, zanim prasowe pieski dopadną ją i wyniuchają, że coś jest nie tak. Kiedy taksówka ruszyła, Francesca westchnęła z ulgą, ale skórzany uchwyt ścisnęła o wiele za mocno, jakby usiłując za wszelką cenę zapanować nad gniewnym rozczarowaniem.
- Kiedy otworzyła małą furtkę, ujrzała Michaela skulonego na stopniu przed domem. Francesca spojrzała na niego i poczuła ucisk w krtani.
- Michael... - Wymówione przez nią imię zabrzmiało trochę jak echo, cicho i obco, zupełnie jakby bała się brata zbudzić i dowiedzieć, dlaczego kuli się pod jej drzwiami niczym bezdomny sierota. Natychmiast podniósł głowę i Francesca uśmiechnęła się niepewnie, a on odwzajemnił uśmiech, prawie niewinnie, jakby wszystko było w porządku, jakby zawsze zapadający mrok wyrywał go z półsnu na marmurowym schodku domu Franceski. Pozwolił się wziąć za rękę i poprowadzić do wnętrza. Kiedy ostre światło padło na jego twarz, Francescę ogarnęło smutne zdziwienie, że mogła porównywać brata z Matthiasem. Ogień i woda. Powrót wspomnień nie-

spodziewanie rozproszył jej gniew, pozostawił tylko rozczarowanie i świadomość własnej słabości. Matthias dostrzegł wszystkie korzyści płynące ze spotkania wcześniej niż ona i zrobił z nich użytek. A ona zadowolona się tylko częścią i wzięła ją dla siebie, bo tego akurat chciała. Czyżby traciła wycucie? Z olbrzymią wyrazistością zobaczyła w wyobraźni, jak jego dłonie wprawnie i zaborczo przesuwają się po jej ciele, jak wyciąga rękę i kryje ją w jasnych włosach. I gdy wyobrażenie rozwiało się, coś nadal rozpalało w niej pragnienie ujrzenia Matthiasa.

- Przepraszam za to... - powiedział Michael łagodnie, wręcz potulnie, biorąc jej rozkojarzenie za zmieszanie.

- Wszystko w porządku, nie ma o czym mówić. Przez chwilę byłam bardzo daleko stąd. - Na jego twarzy spostrzegła wielkie zmęczenie. - Zostaniesz u mnie, prawda? Jest mnóstwo miejsca.

- Coś tak jakby skończyły mi się pieniądze... - odparł wymijająco.

- Dam ci jeszcze trochę, ale dopiero rano, kiedy porządnie wypoczniesz. - Tym razem postawiła na swoim.

- Miałem inne plany - powiedział wolno, spuszczać oczy.

- Chciałabym wiedzieć, co się właściwie dzieje, chociaż mam wrażenie, że nie palisz się do zwierzeń...

- stwierdziła spokojnie. - Chcesz kawy czy czegoś mocniejszego? Jadłeś coś?

Na wszystkie pytania odpowiedział przeczącym ruchem głowy i Francesca zaczęła się niecierpliwić. Podeszła do barku i nalała dwa kieliszki koniaku.

- Wypij to, może trochę rozwiąże ci język - próbowała żartować. Ale Michael nie odpowiedział. - Obiecałam matce, że zadzwonię, kiedy cię znowu zobaczę.

- Podpuszczała go, choć było w tym i trochę prawdy.

- Nie chcę, byś to zrobiła - powiedział w końcu.

- Czy nie rozumiecie, że chcę po prostu, żeby zostawić mnie w spokoju?! - Ni stąd, ni zowąd podniósł głos i Francesca już miała się wycofać, ale dała o sobie znać uraza wywołana tym napadem złości.

- Chcesz, żeby zostawić cię w spokoju... Byłoby ci o wiele łatwiej, Michael, gdybyś zaplanował ucieczkę z matczynej twierdzy z większą starannością. Zwracanie się do mnie raz po raz o pieniądze jakoś nie zgadza się z twoją deklaracją.

- Przepraszam cię... przepraszam. - Rozpaczliwie pokręcił głową. Natychmiast pożałowała swej porywczosci.

- Ona będzie się bardzo martwić. - Pomyślała o Livii przemierzającej tam i z powrotem długi taras z widokiem na morze.

- Wiem. - Uniósł głowę. - Telefonowałem, żeby nie przyjeżdżała, bo tego bym nie zniósł.

- Czy ona kiedykolwiek... - Francesca uciekła spojrzeniem przed bratem. Zamierzone pytanie nie przeszło jej przez gardło.

- Nie, Fran.

Rzucił to zbyt łatwo i rumieniec pokrył policzki Franceski zarówno dlatego, że brat dostrzegł jej ból, jak i z powodu dziecięcego zdrobnienia, które nagle chwyciło ją za serce, mimo iż Michael używał go zawsze. Livia oczywiście nigdy nie wspomniałaby o niej, bo niby dlaczego...

- Myśli tylko o mnie. - Nie było w tym wyższości, jedynie stwierdzenie faktu. - Oprócz mnie nie ma w jej życiu nikogo, ani prawdziwych przyjaciół, ani mężczyzn, tylko znajomi albo ludzie, z którymi wiążą ją interesy. - Uśmiechnął się smutno. - I ona chce, żeby właśnie tak było.

- Zawsze odnosiłam wrażenie, że bliskie stosunki z kimkolwiek poza tobą nie są w jej stylu. - Znowu próbowała żartować.

- Wcale nie jesteśmy blisko, właściwie nie mamy kontaktu, bardziej przypomina to z jej strony wyjątkowo silną chęć posiadania. - Nadal spoglądał Francesce w twarz. - Nie wydaje mi się, żeby lubiła mężczyzn w sensie fizycznym, bo że lubi ich w ogóle, tego jestem pewien. Ale seks chyba jej nie interesuje.
- Biedna matka - powiedziała beznamiętnie i oczywiście pomyślała o pełnym ciepła ojcu. Zastanowiło ją, jak to się stało, że ona i Michael przyszli na świat.
- Biedny ja - poprawił ją Michael i uniósł do ust kieliszek. - Wiesz, nigdy nie miałem kobiety - rzucił gwałtownie, i słowa te na długą chwilę jakby zawisły w powietrzu.
- Nie musiałeś mi tego mówić - odpowiedziała cicho.
- Wiem... ale to zrobiłem. - Zamknął oczy, ożywiając wspomnienie, bo pewną kobietę niemal posiadał, kiedyś się tak zdarzyło. Młoda wdówka w Menton usilnie starała się go uwieść i prawie jej się udało. Poczciwa Chantal. Miała takie wielkie, jędrne ciało, zawsze gotowe do wzięcia. Ale kiedy jej palce zamknęły się już wokół stwardniałego członka Michaela, męskość go zawiodła. Na myśl o tym aż się skulił, a trzymany kieliszek wydał mu się nagle bardzo zimny.
- Posłuchaj... - Francesca kucnęła obok niego i spostrzegła, że wargi mu drżą, że proste, jasne włosy są za długie i zakrywają mu twarz. - Możesz tu zostać tak długo, jak chcesz, nie mam nic przeciwko temu. Nie siedzę tu zbyt często, więc będziesz prawie niepodzielnym panem domu. - Nie odpowiedział, a jej zabrakło słów, uwięzły w gardle.
- Chciałabym, żebyś pozwolił sobie pomóc, Michael - powiedziała w końcu, właściwie do siebie. Rano nie chciała mu przeszkadzać. Stała jednak przez dłuższą chwilę w uchylonych drzwiach i przy-

glądała się, jak śpi. Leżał skulony na boku, w pozycji płodu, ręką zakrywał twarz. Francesca pomyślała o Livii i o tym, do czego matka doprowadziła brata. Przykre wspomnienia nasuwały się kolejno, a ona znów stawała się zagubionym dzieckiem, nie akceptowanym i nie akceptującym. Gorzko pomyślała, że przez te tysiące dni tysiące razy pragnęła i modliła się, żeby jej włosy stały się jasne, plarynowoblond. Takie jak mamy i Michaela. Zupełnie jakby zamiana czarnych pukli na złote miała sprawić, że łatwiej ją będzie kochać, że łatwiej będzie wzbudzić w Livii miłość do córki. Vic był w dobrym nastroju. Namówił potencjalnego klienta na połów łososi i z niecierpliwością oczekiwał beztroskiego, a zarazem owocnego, weekendu nad rzeką Tweed, choć oczywiście pozyskanie Jamesa Barraclougha nie mogło nastąpić łatwo. Ale whisky Barraclough nie była już tym samym trunkiem co kiedyś, jej pozycja w rankingach wyraźnie spadła. Teraz niesienie sztandaru rodziny przypadło w udziale Jamesowi juniorowi i wiadomo było, że jeśli ten czegoś szybko nie zrobi, to Barracloughowie stracą znaczenie. Vica cieszyło, że przynajmniej raz czas działa na jego korzyść, a poza tym żaden Szkot nie oparłby się pokusie takiego weekendu. Łosoś stanowił punkt kulminacyjny, a Vicowi udało się wynająć posiadłość księcia Roxburghe. Dwa i pół tysiąca funtów za dwa dni będzie niezłą inwestycją dla firmy, jeśli wszystko pójdzie gładko. Ani się obejrzą, a James zacznie jeść z ręki. Vic uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po poranne gazety... Czy przypadkiem nie obilo mu się o uszy, że Barraclough ma słabość do cycatych blondynek? Może uda się jakoś zabrać na weekend Zoe, naturalnie jako asystentkę...

- Kurwa! - wykrzyknął, ujrawszy pierwszą stronę

gazety. Szeleszcząca płachta zatrzęsła mu się w dłoniach, przysunął ją bliżej oczu, jakby chciał się przekonać, że to wzrok go zawiódł, ale o omyłce nie było mowy. Uroczą twarz Franceski śmiała się do niego z „Mirror”. *Matthias powierza kampanią wschodzącej gwiazdzie reklamy...* Podobne tytuły zamieściły „Sun”, „Express” i „Mail”, może nie tak dynamiczne, ale dostatecznie nachalne, żeby Vica skręcało. Wszędzie też powtarzały się fotografie. Nie potrzebował już wyjaśnień, gdzie Francesca spędziła dwa ostatnie dni, wszystko stało się jasne. Cóż za przebiegła cicho-dajka. Zgrzytnął zębami, świetnie zdając sobie sprawę, jak Henry zareaguje na ten zręcznie wywołany szum, bo zręczności nie można było Francesce odmówić. Vic wzdrygnął się, przypominając sobie telefoniczną rozmowę z Matthiasem, kiedy to usiłował przedstawić Francescę jako osobę ociężałą umysłowo, a nawet nieodpowiedzialną... Teraz to on wyszedł na głupka, bo nie miał zielonego pojęcia, co się święci.

- Vic...

Poderwał głowę i zaskoczony ujrzał Francescę na progu swego gabinetu.

- Sądzę, że nie masz chwilowo nic ważnego do roboty, więc, jeśli możesz, to zastąp mnie na małym przyjęciu dla prasy, które zorganizowałam w dużej sali konferencyjnej... - Podeszła do niego i Vic mimowolnie zatrzymał oczy na krągłych biodrach, rysujących się pod obcisłą, jedwabną sukienką w kolorach brzoskwińowym i czarnym, ale Francesca pochwyciła jego wzrok i Vic poczuł, że oblewa go rumieniec.

- Przyjęcie dla prasy? - spytał zaintrygowany. - Myślałem, że jedno już wydałaś. - Podsunął jej poranne gazety.

- To było jak na mój gust, no powiedzmy, nieco za spontaniczne - odparła lekko Francesca. - Dużo hałasu, i dobrze, ale oczywiście więcej szczegółów bar-

dzo się przyda. - Zdobyła się na specjalny uśmiech dla naburmuszonego Vica. - Podałam im trochę informacji o spotkaniach z Matthiasem, teraz musisz tylko dorzucić parę szczegółów o kampanii i o naszych planach na jej temat.

- Rozumiem... - Musiał bardzo się starać, żeby nie zabrzmiało to sarkastycznie, siłą woli powstrzymał grymas cisnący mu się na usta. Co, do cholery, Francesca nazywa „spotkaniami z Matthiasem”? Brał udział tylko w jednym, i ona świetnie o tym wie. A teraz miał potulnie ciągnąć tę intrygę, bo odpowiadało jej opowiedzenie mu tylko części historyjki. Zżymał się w duchu, jeszcze raz przeklinając Henry'ego.

- W porządku, załatwione - odparł, tłumiąc złość. Odmowa nie tylko wyglądałaby niegrzecznie, ale byłaby głupotą. Przecież później będzie miał czas na przyparcie Franceski do muru w związku z tą tajemniczą wycieczką. Teraz musiał przede wszystkim sprawić wrażenie kogoś, kto trzyma kampanię w rękę. Konferencja prasowa mogła częściowo uzdrowić jego zboląłą jaźń, przy okazji zaś przywrócić mu wiarygodność w oczach Henry'ego. Vic wstał i poprawił krawat, stwierdzając, że może znajdzie okazję do zaprezentowania się na zdjęciu. Sporo czasu minęło, odkąd zaszczyił swą obecnością, łamy „Campaign”.

- Jak się czujesz? - spytała Sian. Zoe w niesłychanie efektownym stroju zamasyście mijala jej biurko. Czarna, skórzana minispódniczka była może trochę za śmiała, ale wielkie, niebieskie oczy w obramowaniu zaróżowionej cery i blond grzywy sprawiały, że Zoe wyglądała niewinnie. Sian poczuła się jakoś przytłoczona jej wyglądem.

- O wiele lepiej, - dziękuję - odparła Zoe z szerokim uśmiechem. - Miałam kłopoty z zębem mądrości, ale bolało tylko, dopóki nie zaczęłam brać leków.

Solidna dawka antybiotyków już prawie załatwiła problem. - Przebiegła wzrokiem po biurku, znajdującym się w stanie niezwykłego dla niej ładu. - Jak tam moja zastępczyni?

- W porządku - odparła Sian. - Jak na mój gust, chyba trochę za wydajna, chociaż pierwszy raz zdarzyło mi się widzieć na zastępstwie kogoś, kto nie lubi pracy po godzinach!

- Czy była atrakcyjna? - spytała cicho Zoe, przechodząc do najważniejszego dla niej tematu.

- Atrakcyjna? - powtórzyła Sian. - Nieszczególnie. Czemu pytasz? - Z zaciekawieniem przyjrzała się Zoe, starając się dociec znaczenia tego pytania.

- Och, tak sobie. Po prostu zastanawiałam się...

- odparła Zoe, spuszczać wzrok, jakby Sian mogła odgadnąć prawdziwą przyczynę jej zainteresowania.

- Bo widzisz... - ciągnęła zakłopotana - Vic miał już kiedyś asystentkę na zastępstwie, podobno niezbyt atrakcyjną, w każdym razie tak mi powiedziano, a on uważa, że to źle wpływa na image... - dokończyła słabym głosem.

- Jego własne czy firmy? - spytała Sian, nagle zirytowana.

- Daj spokój, Sian - powiedziała Zoe, usiłując wymyślić coś dowcipnego. - Wiesz, jacy potrafią być mężczyźni, a przecież nie ma nic złego w tym, że wolisz pracować z ludźmi, którzy podobają ci się bardziej niż inni, prawda?

- Chyba nie - niechętnie przyznała Sian. - Ale co mają robić ci inni, żeby nie psuć estetycznej doskonałości naszego świata? Chodzić z kubłami na głowie czy popełnić harakiri? - Zdawała sobie sprawę, że przesadza. Zoe chyba nie miała pojęcia, dlaczego jej najzupełniej niewinna uwaga wywołała taką irytację. - Nie przejmuj się, Zoe, to naprawdę nie ma znaczenia - stwierdziła w końcu.

- Ale czy nie lubisz pracować z ludźmi, którzy są atrakcyjni, przynajmniej fizycznie? - nalegała Zoe.
- Pewnie tak - odparła z ledwie ukrywanym zniecierpliwieniem i sięgnęła po poranną pocztę. - Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Teraz jednak z zażenowaniem próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy pozwoliłaby się tak łatwo omamić Adamowi, gdyby był mniej pociągający.

- Nigdy nie wzięłabym tej pracy, gdybym nie uważała Vica za atrakcyjnego mężczyznę.

Sian zachłysnęła się i szybko przeniosła wzrok z koperty trzymanej w dłoni na bezmyślną, miłą twarz Zoe. Zastanawiała się, czy naprawdę mówią tym samym językiem, ale w idiotycznych słowach Zoe pobrzmiwała tak poważna nuta, że wbrew sobie Sian się uśmiechnęła.

- Jest dość seksowny, nie sądzisz? - ciągnęła Zoe, jakby oczekując potwierdzenia.

- Prawdę mówiąc, nad tym też się nie zastanawiałam - zbyła ją Sian, nie mogąc się zgodzić na wyraz „seksowny” w odniesieniu do gruboskórnego, pyskatego dyrektora o mięsistych wargach.

Nieznacznie pokręciła głową. Pomyślała kwaśno, że ludzie są różni, a ona po własnych doświadczeniach nie powinna się czuć uprawniona do oceniania innych. Gdy tylko ponury obraz Vica zniknął jej sprzed oczu, zaraz zastąpił go Adam. Rozmyślała, jak on się czuje, co robi i czy często o niej myśli. I przeklinała swą głupotę.

Dzień należał do tych cholernie nieudanych. Caroline zacisnęła wargi, bo gwałtowny podmuch wiatru znów załopotal jej spódnicą i potargał włosy. Pociąg nie tylko się spóźnił, lecz i nie dojechał do końca, musiała więc wysiąść przystanek wcześniej, co oznaczało długi marsz po Tottenham Court Road. Że też

akurat tego dnia los zesłał jej spóźnienie. Ben Langley uznał w swej nieskończonej mądrości, że Caroline powinna mu towarzyszyć na spotkaniu z klientem w Croydon. Zwykle lubiła spotkania z klientami, które w dziewięćdziesięciu procentach okazywały się interesujące, a nawet inspirujące, ale zestawienie serów Cheetwood, prezesa tej firmy Humphreya Sullivana, Bena Langleya oraz Croydon wykluczało wszelką inspirację. Firma Cheetwood była wiernym, ale nudnym klientem, podobnie jak sam Humphrey Sullivan, z kolei Langley denerwował Caroline, a po Croydon nie miała się czego spodziewać. Ponieważ spotkanie kończył lunch, cały dzień można było spisać na straty. Westchnęła ciężko i ciasniej owinęła się płaszczem. Wyłonił się przed nią budynek agencji. Przyszła jej nagła ochota uciec, jednak Caroline wiedziała, że jest na to zbyt tchórzliwa. Kiedy przekraczała próg, windy właśnie się zamykały, ale ktoś ją zauważył i przytrzymał drzwi, więc w ostatniej chwili zdążyła się wepchnąć między innych spóźnialskich. Dopiero gdy winda ruszyła, Caroline struchlała. W kącie stał Nick. Było za późno na udawanie, że go nie widzi. I to akurat teraz... kiedy wygląda jak nieszczęście, z włosami rozczochranymi przez wiatr i oczami piekącymi od gwałtownych podmuchów. Z ulgą przymknęła oczy, zorientowała się bowiem, że Nick musi wysiąść co najmniej trzy piętra wcześniej. W miarę zbliżania się tej chwili miała w ustach coraz większą suchość, ale okazało się, że Nick nawet się nie poruszył. Za każdym razem, gdy winda przystawała, Caroline spodziewała się jego zniknięcia, on jednak stał i na piątym piętrze Caroline zyskała już pewność, że wysiądzie razem z nią. Kiedy znalazła się na korytarzu, zwolniła kroku. Podczas gdy mijali ją spóźnialscy, poczuła niepewny dotyk dłoni na ramieniu.

- Caroline...?

Odwróciła się powoli ze spuszczoną głową, żeby nie spojrzeć mu od razu prosto w oczy.

- Chciałem tylko... - Usłyszała raptowny wdech. -No... chciałem cię przeprosić.

- Wszystko w porządku - bąknęła tylko, bo wspomnienia przeniosły ją w przeszłość i ożywiły bolesną chwilę w dzień po ich ostatnim spotkaniu, kiedy to w holu zobaczyła Vica Brunninga i dosłownie uciekła schodami, by uniknąć jego spojrzenia. A on pewnie nawet jej nie zauważył.

- Byłem pijany - skłamał Nick, uchwyciwszy w końcu jej spojrzenie. Caroline zastanawiała się tymczasem, czy on wie, jak delikatna jest jego pociągła, ascetyczna twarz, jak mocny zarys szczęki dodaje jej siły, jak ładny kształt mają jego wargi, jakie długie są te ciemne rzęsy, które muskały jej twarz i ciało, gdy tak umiejętnie obejmował ją. Ledwie wierzyła teraz, że omal jej nie uwiódł.

- Wszystko w porządku - powtórzyła, nie mogąc wymyślić nic innego. Jak zwykle obecność Nicka paraliżowała ją, nastąpiła więc niezręczna pauza, aż w końcu Caroline odezwała się: - Muszę już iść, jestem spóźniona.

Zaczęła się oddalać, ale dobiegi ją głos Nicka:

- Czy idziesz na przyjęcie?

Odwróciła się raptownie, przez chwilę nie mogła zrozumieć, o czym mowa.

- Co takiego?

- Na pewno dostałaś zaproszenie na urodzinowe przyjęcie Henry'ego Samuela, towarzyskie wydarzenie roku... - powiedział ironicznie.

- Ach tak, zapomniałam - odparła niejasno. Przyglądał się jej zmieszaniu i zastanawiał, po co się wysiła, skoro Caroline wyraźnie nie jest nim zainteresowana.

- Może się tam spotkamy - powiedział w końcu zniecierpliwiony.

Uśmiechnęła się niepewnie i odeszła. Nick odprowadzał ją wzrokiem, ogarnięty nagłym pragnieniem, by chwycić ją za ramiona i mocno potrząsnąć. Zaraz jednak z rezygnacją wzruszył ramionami i wyciągnął dłoń do przycisku przywołującego windę.

Caroline wolno szła korytarzem. Nie obchodziło jej już, że się spóźnia. Ben i tak będzie się wydzierał. Odsunęła tę myśl i skupiła się na najświeższej informacji. Czyżby Nick naprawdę pytał ją, czy wybiera się na przyjęcie? Zapomniała o tej uroczystości, a właściwie usunęła ją z myśli, bo normalnie na pewno by nie poszła. Spotykano się wyłącznie w gronie pracowników Samuela, gdyż żony, mężowie, dziewczyny i chłopcy nie mieli tam wstępu. Na wzmiankę o wieczorze Guy prychnął z dezaprobatą. Uśmiechnęła się, wezbrał w niej bowiem niezwykle bunt. Była już raz na takim przyjęciu przed dwoma laty, a z plotek wiedziała, że każde kolejne zaćmiewa poprzednie. Urodziny Henry'ego Samuela stały się niemal legendą. Guyowi nie podobałoby się, gdyby chciała pójść, ale może nic mu nie mówić. Przed wejściem do swojego pokoju stwierdziła z niejakim zaskoczeniem, że już się zdecydowała. Uchylając drzwi, słyszała tylko monotony klekot maszyny do pisania i stuk teleksu. Zatrzymała się niepewnie w progu, ale głos Bena znikąd nie dobiegał, więc przez moment żyła nadzieją, że szef postanowił iść bez niej.

- Przyspieszyłem spotkanie - powiedział Geoff. -Wprawdzie rozmawialiśmy o końcu przyszłego miesiąca, ale Rock i Sanchez wybierają się na objazd Dalekiego Wschodu, a potem do Europy. Moim zdaniem brzydko to pachnie, więc ich przycisnąłem.

- Myślisz, że będą szukali oferentów? - zainteresowała się Francesca.
- Mniej więcej - odparł chłodno. - Zdaję sobie sprawę, że teraz pewnie będą próbowali nas oskubać, ale gra jest warta świeczki. - Urwał, wiedząc, że Francesca czeka na dalszy ciąg. - Oni nas potrzebują w tym-samym stopniu, w jakim my ich chcemy.
- Cieszę się, że powiedziałaś „chcemy”, a nie „potrzebujemy”. Sprawiamy przez to solidniejsze wrażenie - dodała ironicznie.
- Dobrze, dobrze. - Francesca wyraźnie nie była w nastroju ułatwiającym współpracę. - Ich firmę ogarnęła stagnacja, potrzebują wzmocnienia, świeżej krwi, potrzebują naszych wysokich notowań, żeby zrównoważyć własne, a ponadto wiedzą równie dobrze jak my, że - w odróżnieniu od innych firm brytyjskich - możemy się z nimi połączyć, nie wywołując poważnych konfliktów w interesach klientów.
- Wobec tego kiedy lecimy?
- W końcu przyszłego tygodnia - odparł Geoff z ulgą.
- Załatwisz przygotowania do podróży, czy ja mam się tym zająć? - spytała, sięgając po słuchawkę.
- Już zamówiłem miejsca w samolocie i zarezerwowałem hotel - powiedział pospiesznie i zaśmiał się, widząc, jak jej ręka wraca na blat biurka, a Francesca odpowiada mu zaskoczonym uniesieniem brwi.
- Czy na pewno jestem ci potrzebna, Geoff? - spytała zastępując wąły uśmiezek szerokim uśmiechem.
- Nawet nie przyszłoby mi do głowy lecieć bez ciebie - odparł poważnie i dodał: - Zamówiłem miejsca w hotelu „Mayfair Regent”, ale gdyby ci to nie odpowiadało...
- „Mayfair” będzie dobry. Rozumiem, że zostaniemy tam na weekend?
- Sądziłem, że to może być dobry pomysł. Na razie

nie wiemy, z kim rozmawiamy, więc mielibyśmy więcej okazji do poznania naszych przyszłych kolegów.

- Nie mów hop, Geoff. Przeczuwam, że jeśli ktoś ma nam bruździć, to Sanchez, więc poczekajmy i nie kuśmy losu. - Tak naprawdę ucieszyła się, że sprawy nabierają rozmachu. Gdyby spotkali Rocka i Sancheza już po ich podróży dookoła świata, to i tak Amerykanie zyskaliby pretekst do stawiania twardych warunków, może nawet twardszych niż teraz, bo przecież mieliby za sobą wizyty u właścicieli innych europejskich sieci.

- Czy do końca tego tygodnia możesz dostarczyć mi szacunkowe dane ich agencji, pełną listę klientów i tak dalej?

- Na pewno. Przy odrobinie szczęścia może nawet uda mi się przed weekendem - swobodnie odparł Geoff i chciał podnieść się z krzesła, ale Francesca zatrzymała go gestem dłoni.

- Czy Vic rozwiązał problem General Breweries? - Przypomniała sobie bladą twarz Brunninga, kiedy to stanęła w drzwiach jego gabinetu zaledwie przed dwiema godzinami. Wyglądał, jakby właśnie oberwano mu jaja, więc poczuła się trochę nieswojo, bo przyszło jej do głowy, że to z powodu klienta, którego mu odebrała i, co gorsza, wpakowała na pierwsze strony najważniejszych pism. Westchnęła ciężko. Teraz Vic będzie się starał za wszelką cenę utrudnić jej życie. Ironia losu polegała na tym, że wiedziała o planach Matthiasa równie mało jak on. Doskwierała jej ta świadomość, ale z tym można było żyć, pod warunkiem że Matthias nie powtórzy numeru, no i nie uzna jej za osobę, którą łatwo można manipulować... po raz drugi.

- Na pewno ucieszysz się, że załatwił sprawę dokładnie tak, jak proponowałeś - powiedział Geoff ze śmiechem i wizja Matthiasa powoli od Franceski odpłynęła.

- Znakomicie. Właśnie to chciałam usłyszeć. Dokąd postanowił wysłać Weinberga? - zapytała, choć nie miało to żadnego znaczenia.

- Do Egiptu.

- O Boże! - Ona też się roześmiała.

- Vic uznał chyba, że im dalej, tym lepiej. Mike, zdaje się, nigdy nie był na Bliskim Wschodzie, więc może nawet zatęskni do żony. Zdumiewające, do czego potrafi doprowadzić rozłąka. - Uśmiechnął się, ale Francesca dojrzała cień na jego twarzy.

- Jesteś żonaty, prawda Geoff?

- Żyjemy w separacji - odparł, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - Na moją żonę rozłąka też podziałała zadziwiająco. Znalazła kogoś, kto zajął wolne miejsce... Miała dość świata reklamy.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

- Nie przejmuj się. Teraz wydaje mi się, że to stare dzieje. - A przecież rana wciąż była świeża. Wstał, zbierając się do wyjścia, bo nagle poczuł zmęczenie. Spojrzał na zegarek i westchnął. Była dopiero jedenasta. Czyżby ogarniał go typowy dla ludzi w średnim wieku kryzys, którego tak się obawiał? Czasem chodził po agencji, czując się jak dziewięćdziesięciolatek, tyle spotykało się tu dzieciaków, błyskotliwych, sprytnych, które mają całe życie przed sobą i czują się zauroczone blaskiem reklam. Jak ćmy krążące wokół płomienia.

Odszedł. Francesca przemierzała wolnym krokiem pusty dom. O owalne lustro w gabinecie oparta była karteczka. Nie mógł zostać, potrzebował czasu dla siebie... żeby odkryć, kim jest. Westchnęła ciężko i wlepiła wzrok w lustro.

- Pieprzysz, Michael, pieprzysz w bambus - zaklęła cicho. - Uciekasz przed matką, a teraz również przede mną.

Poczuła się zawiedziona, odrzucona, wykorzystana. Michael zawsze miał wszystko, a ona musiała walczyć

O każdy centymetr przestrzeni. Czy jemu kiedyś przyszło do głowy, że siostra może go potrzebować? Że to ona może pragnąć jego obecności? Uśmiechnęła się sarkastycznie na myśl o głupich planach, jakie jej się lęły w głowie. U Samuela znalazłoby się przecież zajęcie dla Michaela... Mogłaby to załatwić, gdzieś go wcisnąć. Mieszkałby u niej, póki by się nie pozbierał, a w końcu przyjechałaby matka i doszłoby do pojednania, przynajmniej z Michaelem. A może przy okazji

1 jej matka okazałaby przychylność? Ale o takiej możliwości nie było już mowy i nie mogło być. Nigdy. Zawsze udawało się tej dwójce ją zranić, a ona jeszcze do tego nie przywykła.

Przeraźliwie zabrzmiał dzwonek telefonu. Podchodziła do aparatu rozważając, czy może to być Livia, zwariowana matka, szukająca rozkapryszonego syna. Przez minione lata Francesce zdarzało się, że miała ochotę krzyknąć: „A co ze mną? Co ze mną?”. Nigdy jednak nie krzyknęła i nie sądziła, by do tego doszło.

Dzwonił Matthias.

- Myślałem, że może chcesz, by cię przeprosić.

- Tylko jeśli naprawdę chcesz to zrobić - odparła bez zająknięcia. Ucieszył ją ten telefon, i to bardzo, bo spłoszył widmo matki, bo Matthias był w stanie to uczynić. Jego głos miał tę właściwość, że mówił wszystko, nie mówiąc nic. Niepokoił ją natarczywością i intymnością zarazem, przywracał do rzeczywistości, zapadał w pamięć.

- Mógłbym cię zobaczyć?

- Czy znowu reklamowa maszynka Matthiasa pójdzie w ruch? - spytała z ironią.

- Ostatnio wcale tak nie było.

- A jak? - Głos miała chłodny, opanowany.

- Było pięknie, Francesco.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Matthias był dobry, nawet bardzo dobry, uświadomiło jej to przyspieszone tętno. Zastanawiała ją, czy on zdaje sobie z tego sprawę, ale właściwie była pewna.

- Przygotowuję ważny wyjazd do Stanów w końcu przyszłego tygodnia - powiedziała ostrożnie.

- Nie myślałem o przyszłym tygodniu, tylko o dzisiejszej nocy.

Roześmiała się.

- Zdawało mi się, że masz zamiar spędzić kilka tygodni w Paryżu.

- Paryż może poczekać.

- A czy ty możesz poczekać, przynajmniej do jutra? - Była zmęczona, a poza tym nie pozwoliłaby mu przecież postawić na swoim, mimo że bardzo go pragnęła.

- To chyba niemożliwe.

- Szkoda - powiedziała obojętnie.

- Ale podobno wszystko jest możliwe...

- Istotnie.

- Wobec tego jutro wieczorem. Niech będzie - zakończył, a Francesca wiedziała, że to ustępstwo wiele go kosztowało.

4

- Chcemy, żebyś poszła.
- Nie wiem... Naprawdę się nad tym nie zastanawiałam - odparła Sian wymijająco.
- Gdybyś się nie zastanawiała, to po co traciłabyś czas na wspomnianie o tym? - Matka stała nad nią z wątlm uśmiechem na ustach. - Wiesz, Sian, od miesiący już nie wychodziłaś nigdzie wieczorem, więc jeśli masz ochotę na przyjęcie Samuela, to idź.
- To dla was takie obciążenie... - odparła w końcu, odwracając spojrzenie od twarzy matki.
- Nie takie znowu wielkie... - nalegała matka. - Ojciec i ja będziemy tutaj i zaopiekujemy się Petie'em... Nie planujemy w najbliższym czasie szczególnie bogatego życia towarzyskiego. - Zaśmiała się cicho.
- Właśnie - odparła Sian rozdrażniona. Matka westchnęła i usiadła obok.
- Naprawdę sądzisz, że takie zachowanie czemuś służy? Czy, twoim zdaniem, pomaga Petie'emu albo, w tym konkretnym przypadku, nam, że wieczorami siedzisz w domu, przejęta irracjonalnym poczuciem winy, iż tracisz czas, który mogłabyś miło spędzić poza domem? - Urwała na chwilę. - Musisz znowu zacząć żyć normalnie... Nie możesz bez końca rozpatrywać tego, co się stało... Chciałabym widzieć wreszcie, że jesteś szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Nie

będzie już tak, jak było, ale musisz chociaż spróbować.

- Wszystko jest teraz... inne - powiedziała cicho Sian i poczuła pieczenie w oczach.

- Wiem... wiem... ale przecież nie na zawsze. - Matka wyciągnęła dłoń, by odgarnąć gęstą, miodową grzywę z twarzy córki, a potem wzięła z jej objęć dziecko.

Od drzwi nadchodził Vic i Francesca ze zniecierpliwieniem pomyślała, że powinna spodziewać się czegoś więcej niż tylko dyskusji o konspekcie kampanii Matthiasa. Rozbawiła ją pewna drapieżność, z jaką Vic zbliżał się do biurka. Zastanawiała się, czy on świadomie chce wywołać takie wrażenie i czy mierzy w nią osobiście, czy też w ogóle w prezesa. Przyoblekła twarz w wyraz powagi, gdy Vic odsunął krzesło, by usiąść.

- To miło zastać cię przy biurku - zaczął sarkastycznie.

- Niestety, Vic, obowiązek mnie wezwał.

- Mogłaś dać mi znać o paryskim spotkaniu z Matthiasem. - Słyszac naburmuszony ton, Francesca westchnęła.

- Dowiedziałam się o nim dopiero w piątek wieczorem, a decyzję o wyjeździe podjęłam późnym wieczorem w sobotę. - W jej głosie dało się odczuć napięcie. Sięgnęła po konspekt.

- Miałas czas mnie zawiadomić... Mogliśmy polecieć razem.

- On nie zaprosił ciebie, Vic, tylko mnie. To takie proste - odparła ostro. - A teraz zapomnijmy o tym, dobrze? Mamy mnóstwo roboty z Matthiasem, więc im szybciej wszystko uzgodnimy i uruchomimy, tym lepiej.

Vic z goryczą przełknął słowa Franceski, a teraz

uważnie śledził najdrobniejsze poruszenia jej głowy nad jego uwagami o kampanii. Jego kampanii.

- To wygląda zachęcająco. Myślę, że w większości punktów nie będziemy mieli kłopotów z dojściem do porozumienia - powiedziała, unosząc głowę.
- Cieszę się - odparł zdziwiony, że nie udławił się tym słowem.
- Czy już wybrałeś ludzi do zespołu? - Odezwała się ugodowo, choć wiedziała, że niczym go nie ujmie. Uraza Vica zdawała się wypełniać pokój i nie było na nią rady.
- Nazwiska znajdziesz na końcu... - powiedział oschle. - Pete Morgan może zająć się wszystkim na bieżąco: załatwić sprawne łącza satelitarne, nawiązać kontakty z artystami, ustawić wywiady w radiu i telewizji. Oczywiście każdy krok będzie uzgadniał ze mną.
- Czy możesz mi przypomnieć, co Pete Morgan działał wcześniej?
- Myślałem, że dostałaś informację o naszych najlepszych ludziach - rzucił z poczuciem wyższości, zadowolony, że znalazł u niej słaby punkt.
- Nawet moje możliwości są ograniczone, Vic - odparła niecierpliwie. - Bądź łaskaw mi przypomnieć, jeśli możesz.
- Na początku zeszłego roku Pete kierował zespołem lansującym magazyn „Glitz”. Kampania wypadła błyskotliwie. Pracował też dla Rady Filmowej, a parę lat temu organizował temu księdzu z Ameryki Łacińskiej, Jose Parente podróż po Wielkiej Brytanii, więc może mieć ciekawe doświadczenia.
- Co robi obecnie?

Vic poprzedził odpowiedź dramatycznym westchnieniem.

- Amerykańską modę w Wielkiej Brytanii i serię ogłoszeń prasowych, mających wprowadzić „Tattlera” na rynek międzynarodowy.

- Wygląda na to, że właśnie kogoś takiego potrzebujemy.
- Chyba że masz lepszy pomysł - powiedział z niechęcią.
- Zostawiam ci w tej kwestii wolną rękę - odparła, ignorując jego uwagę. - Ustalamy, że cały zespół spotka się za tydzień albo zaraz po moim i Geoffa powrocie ze Stanów. Przyjrzymy się startowi kampanii.
- Nie wiedziałem, że już lecisz z Geoffem do Stanów. Słyszałem dotąd o przyszłym miesiącu. - W głosie Vica zabrzmiało poczucie krzywdy.
- Dowiedziałbyś się niebawem. Dziwię się, że Geoff cię jeszcze nie zawiadomił - odparła znużonym tonem i zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Lecimy w sprawie fuzji, trzeba było przyspieszyć spotkanie w agencji Dunmar-Rock. - Wstała i podała mu teczkę Matthiasa, zaznaczając tym gestem zakończenie rozmowy.
- Dziękuję - powiedział wolno. Nie miał za co. Odniósł wrażenie, że umyślnie odstawia się go na boczny tor. Geoff mościł sobie przytulne gniazdko, na to w każdym razie wyglądało, a Francescę zajmowało dobieranie się do jego, Vica, superkampanii. Dawno już nie czuł się tak podle. Do tej pory on decydował o wszystkim, był u Samuela pierwszym po Bogu, a zarazem człowiekiem przynoszącym największe zyski. Wszystko się zmieniło, odkąd Henry dostał pomieszczenia zmysłów i postawił mu nad głową kobietę.
- Idziesz na lunch? - spytała Sian, przyglądając się Zoe, nerwowo przeszukującej biurko. - Co się stało?
- Nie mogę znaleźć długopisu.
- Weź na razie ten. - Sian podeszła z pisakiem w dłoni. - Po co ci potrzebny? Już po pierwszej.
- Vic chce mi coś podyktować - bąknęła, dostrzegając dezaprobatę w oczach Sian.
- A on nie wie, która godzina?

- To nie zajmie dużo czasu... a mnie to naprawdę nie przeszkadza, słowo.
 - Och, Zoe... - powiedziała Sian z poczuciem beznadziejności, wiedziała bowiem, że nie ma sensu wszczynać dyskusji. - Przynieść ci jakieś kanapki?
 - Tak, wszystko jedno z czym. Dziękuję. - Odczekała, aż Sian się ubierze i zniknie w windzie. Szóste piętro było teraz puste, tak jak się spodziewała. Odetchnęła z ulgą. Czasem zastanawiała, co by się stało, gdyby ktoś ich nakrył, gdyby ktoś wszedł do pokoju... Pocieszała się, że Vic z każdej sytuacji umie znaleźć wyjście. Poza tym kochała go przecież, a czy nie oznacza to, że zrobiłaby dla niego wszystko? On jej potrzebował. Dla Zoe było to takie proste.
- Kiedy weszła do jego gabinetu, opierał się o biurko. Był wściekły, wyczuwała to. Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, potem bez słowa wyjął jej z rąk długopis i notatnik. Odwrócił ją, żeby nie widzieć jej twarzy. Ich seks był zimny, brutalny, ale Vic wchodził w nią jeszcze i jeszcze, póki sobie nie ulżył. Wszystko zostało urządzone z największą dyskrecją. Kierownictwo restauracji „Le Suquet” umożliwiło Matthiasowi skorzystanie z nie używanych zwykle bocznych drzwi, prowadzących bezpośrednio do stolika w niszy, którą wybrał na spotkanie. W przygotowanie kreacji Francesca włożyła wszystkie swe umiejętności, a ze spojrzeń podążających za nią przez salę jadalną wywnioskowała, że jej się udało. Szkarłatny jedwab. Zawsze dobrze w nim wyglądała, więc i tym razem go wybrała. Chciała lśnić własnym światłem, a nie odbijać tylko blask gwiazdora. Chciała, żeby jej pragnął. Bardziej niż bardzo.
- Wyglądasz zachwycająco. - Głos Matthiasa był aksamitny.
 - Dziękuję - odparła swobodnie, ale kiedy usiadła

i jego twarz znalazła się nagle bardzo blisko, poczuła suchość w gardle. Matthias miał uśmiech, któremu nie można się opierać. Pomyślała tak, mimo że oparła się już wielu uśmiechom.

- Jeśli zachować ostrożność, można znaleźć odrobinę prywatności nawet w publicznym miejscu - powiedział cicho. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Ani trochę. - Ale zaraz się uśmiechnęła. - Pod warunkiem że zza boazerii nie wyskoczy nagle banda dziennikarzy.

- Och... masz na myśli moją małą niespodziankę na lotnisku? - Bez pośpiechu nalał jej wina. - Błąd w obliczeniach, biorę za niego pełną odpowiedzialność. Ale przecież przeprosiłem. - Znów zrobił krótką pauzę. - Zresztą warto było przeprosić, żeby zobaczyć cię w glorii na pierwszych stronach wszystkich gazet. Czy będzie mi wreszcie wybaczone?

Patrzyła na niego przez moment. Był taki gładki, smukły jak żbik. Znów miał na ustach ten swój półuśmiech. Jak łatwo byłoby mu teraz zaufać...

- Do następnego razu...

- Trafiony! - powiedział i roześmiał się.

- Chyba dość szorstko potraktowałam pana Chan-ta - stwierdziła. - Bądź co bądź, nie była to jego wina.

- Coś wspominał. Ale znosił już większe przykrości, a należy do ludzi, którzy szybko wracają do formy.

- Takie sprawia wrażenie... mimo pewnej delikatności.

- Oczekiwałaś czegoś zupełnie innego?

- Owszem. Wyobrażałam sobie przemądrzałe „dziecko szczęścia” albo beztróskiego i pewnego siebie faceta... tymczasem Lucas wygląda niemal jak sierota.

- Samotny, zagubiony sierota... którego znalazłem. - Uśmiechnął się i przytknął kieliszek do warg. - Ale jest dobry i mogę mieć do niego zaufanie.

- Czy chcesz porozmawiać o kampanii?

- Nie teraz, później... w przyszłym tygodniu. - Znów się roześmiał i podał jej menu. - Zmęczyła mnie ta kampania... Ta nisza jest jak bańka mydlana, siedzimy w niej i pragnę cieszyć się tym luksusem jak najdłużej. - Na moment jego twarz jakby straciła blask, ale zaraz się uśmiechnął i cień znikł. - Zjedźmy coś. Proponuję półmisek z „owocami morza”. Jest tu wyborny. Czasem zdarza mi się nad nim zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że siedzę w restauracji na nabrzeżu w StMalo... czasem mam nawet wrażenie, że czuję zapach morza. - W uśmiechu Matthiasa odbiła się odrobina smutku.

- Często tu bywasz? - zaciekała się.

- Nie tak często, jak chciałbym. Nigdy nie mam czasu - odpowiedział. - Zwykle proszę, żeby przyniesiono mi coś do domu. - Zapatrzył się w okno i Francesca wyjrzała na ulicę, podążając za jego wzrokiem. Usłyszała prawie szept: - Nigdy nie ma czasu. - Długo trwało, zanim znów zwrócił się ku niej, i wtedy na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały, a oni znieruchomieli, zatopieni we wspomnieniu.

- Chateau de la Chenerie wydaje się teraz bardzo odległy - powiedziała Francesca.

- Za bardzo... Jest jak sen... mój Dębowy Zamek - zamyślił się.

Kiedy opuścił powieki, przyjrzała się jego twarzy, a zwłaszcza wykrzywionym leciutkim grymasem ustom, które przywodziły jej na myśl śliczne, zawiedzione dziecko. Ale spojrzenie wróciło do niej, Matthias jakby odgadł jej myśli, i nie było w nim już śladu dziecka, tylko mężczyzna obserwujący ją czujnie.

- Czy mam poprosić, żeby znowu sprowadzili St. Mało do mojego domu? - Wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć jej ręki i Francesca zrozumiała raptem, jak to

jest, gdy między mężczyzną a kobietą przeskakuje iskra.

Zadrżała, kiedy mocniej ścisnął jej dłoń.

- To już, zdaje się, postanowione?

- Chodźmy więc... - Nie spiesząc się, puścił jej rękę i wstał. - Chyba że zmieniłaś zdanie?

- Nie. Nie zmieniłam - odparła bezbarwnie, dobrze rozumiejąc, że sytuacja znowu wymknęła jej się spod kontroli. Matthias wiedział, że nie napotka oporu. A ona wiedziała, że on o tym wie. Stłumiła jednak te rozmyślenia, wychodząc na mroczną ulicę do samochodu. Udawanie niechęci miałoby niewiele sensu. Byłoby zresztą spóźnione, tak w każdym razie sygnalizowało jej ciało. Czuła, że jest opętana tylko jednym pragnieniem. I to ją przerażało, bo pojmowała, że Matthias tak naprawdę nigdy w życiu nikogo nie potrzebował.

Aidan wodził wzrokiem po białych, nierównych ścianach i zakurzonych butelkach chianti zwisających na sznurkach z plastikowych winorośli. Na obu dłuższych ścianach ktoś wymalował śródziemnomorskie pejzaże, ale morze było tam zbyt zielone, a niebo zbyt niebieskie. Aidan westchnął na myśl, że podczas tego lunchu Brunning na pewno nie zamierza wykazać się hojnością, a najwidoczniej i punktualnością. Oparł dłoń na pękatej butelce wina i jeszcze raz spojrzął ku otwartym drzwiom. Omal nie odwołał tego spotkania, ale gdy przypomniał sobie ciąg upokorzeń, jakie go spotkały przy próbie skontaktowania się z Francescą, postanowienie utrzymał w mocy. Francesca zmieniła numer bezpośredniego telefonu w agencji, a kiedy usiłował do niej dotrzeć służbowymi kanałami, ta cholerna sekretarka stale znajdowała wymówki. Czuł się wystrychnięty na dudka, bo kiedy jeszcze sprawy układały się dobrze, nie dowie-

dział się numeru domowego, oczywiście zastrzeżonego. Francescą stosowała zręczne uniki, gdy wspominał na ten temat. Teraz domyślał się, że musiała przewidywać takie zakończenie znajomości z nim. Bystra z niej dziwka, nie ma dwóch zdań, zresztą to właśnie go pociągało... to i oczywiście jej cholernie urokliwa buźka. Ale wykorzystała go, a potem wystawiła do wiatru, kiedy przestał być potrzebny. Wiedzieli o rym wszyscy w agencji, wszyscy... Ona powinna zdawać sobie sprawę, że tak będzie, zorientowałyby się, gdyby tylko poświęciła tej myśli choć sekundę swego drogiego czasu. Aidan zachnął się, wciąż niepokodzony z porażką. Jego poczucie godności zostało ciężko zranione, a teraz rozdrapywał tę świeżą ranę, karmiąc wyobraźnię wizerunkiem roześmianej buźki z pierwszych stron dzienników. Podejrzeń nabral zresztą, gdy tylko zelżał szok po ostatnim spotkaniu, a los okazał mu łaskawość i potwierdził podejrzenia, zsyłając go w odpowiedniej chwili pod restaurację na Draycott Avenue. Zobaczył Francescę wychodzącą stamtąd ze Złocistym Bogiem. Och, oczywiście starała się zachować dyskrecję, ale trudno o to w jednej z najmodniejszych części Londynu. Aidan nie miał żadnych wątpliwości, że tych dwoje się pieprzy. Jakżeby ta para dzieci-kwiatów mogła się oprzeć swoim wdziękom? Czyż nie znał Franceski? O ile wiedział, w jej życiu nie było nikogo innego, a przecież mimo swej piekielnej ambicji była kobietą, i to z tych, które muszą mieć mężczyznę na podorędziu... Aidan usiłował nie myśleć o jej nagim ciele, ale obraz ten wbrew woli miał ciągle przed oczami, co sprawiało mu ból w kroczu. Zawsze robiła z nim, co chciała. Przymknął oczy, jakby odgradzając się od wizerunku Franceski i wyciągnął dłoń po kieliszek. Zastanawiał się, czy telefon bez drutu zrobił swoje i Brunning wie już o uroczym rendez-vous swej

szefowej i jego ewentualnych następstwach. Aidan wątpił w to. Ta wspaniała informacja była jeszcze ciepła. Musiał więc teraz planować długofalowo i ostrożnie, bardzo ostrożnie, dobierać słowa, ale wiadomość mogła się przydać, tym bardziej że udało mu się dowiedzieć w reklamarskim maglu, jak bardzo Vic cierpi z powodu odstawienia na boczny tor przez nową panią prezes. Kto nie ryzykuje, ten nic nie zyska. Może Francesca zrobiła w końcu nierozważny krok? Oczywiście w pieprzeniu się nie ma nic złego, choćby i w pieprzeniu z klientem, ale zestawienie nowej gwiazdy agencji Samuela z wspaniałym i nieskazitelnym Matthiasem... czy to nie kłóci się z zasadami profesjonalizmu? Aidan nalał sobie następny kieliszek ciężkiego, czerwonego wina i dalej ćwiczył się w sztuce cierpliwości. Pogoda dotrwała do weekendu, Francesca czuła jednak w powietrzu chłód, zapowiadający zimę. Było cicho i spokojnie, nawet jak na niedzielę, ale właśnie takiego spokoju potrzebowała do przewertowania teczki agencji Dunmar-Rock. Większą część szperania miała już za sobą, więc jesienne słońce oderwało ją w końcu od biurka. I zaraz jej wyobraźnię opanował Matthias. Ta nieodwracalność biegu myśli wytrąciła ją z równowagi. Francesca pokręciła głową, zdziwiona, że tak łatwo wpadła w jego sieć, bo choć usiłowała patrzeć na tę sprawę z różnych punktów widzenia, konkluzja zawsze była ta sama: pająk i mucha. Matthias fascynował ją od początku, ale wiedziała, że to on postanowił ją uwieść. Udało mu się tak, że lepiej nie mogło. Uwiedzenie i nowy Matthias - to się jakoś nie zgadza, drażniła go tym spostrzeżeniem poprzedniej nocy, ale on odpowiedział tylko: „Uwieść oznacza sprowadzić na błędną drogę albo przywieść do grzechu...

chyba tak?". Przypomniała sobie dłonie Matthiasa pieścące jej piersi. Słyszała jego głos: „Ale ja nie sprowadzam cię na złą drogę i nie przywodzę do grzechu... z własnej woli robimy to, co robimy, chcemy tego, potrzebujemy siebie nawzajem". Wyczarował swój niedbały uśmiezek i dokończył: „Nigdy nie mówiłem, że jestem bogiem czy natchnionym prorokiem... Jestem zwykłym śmiertelnikiem, żyję i kocham tak, jak uważam, że należy". Nie pozwolił jej na żadne protesty, stłumił je gorącymi ustami, pokonał ją, rozproszył wątpliwości; pozostało w niej jednak tępe uczucie zażenowania.

Chmura zasłoniła słońce i rzuciła nagły cień na ogród. Francesca zadrżała. Zwróciła się w kierunku domu i wtedy natarczywy dźwięk telefonu przerwał jej zadumę.

- Francesco - rozległ się głos matki. - Muszę wiedzieć, gdzie jest Michael.

- Nie wiem gdzie, mam. - Była to prawda, która, jeśli sędzić po reakcji Livii, nie zyskała wiary. Francesca znów stała się dzieckiem, jakby za skinieniem czarnoksiężskiej różdżki trzymanej przez Livię. Ten nieszczęsny efekt kontaktów z matką nieodmiennie ją zadziwiał.

- Nigdy nie lubiłam gier i nie zamierzam polubić. - Nastąpiła przerwa. - Powiedz, proszę, gdzie on jest. Francesca poczuła znajomy ucisk na karku, rosło w niej napięcie.

- Przespał u mnie jedną noc na początku tygodnia, a rano poszedł. Zostawił wiadomość, ale nie napisał, dokąd się wybiera.

- Nie zrobiliby czegoś takiego, ja to wiem. - Słowa Livii brzmiały ostro. Francesca poczuła złość.

- Hm, tym razem zrobił.

Słowa zawisły w powietrzu, wreszcie Livia przerwała niezręczne milczenie.

- Trudno mi w to uwierzyć - upierała się. Zupełnie jak za dawnych czasów.
- Podobno powiedział ci przez telefon, że chce sam decydować o sobie.
- To wszystko jest śmieszne... - odparła, nie chcąc słuchać Franceski, ignorując jej słowa. - On jest chory. Chcę, żeby poszedł do lekarza.

Ale to ty chcesz, czy nie tak?

- Na razie chyba lepiej zostawić go w spokoju.
- Czyżby matka naprawdę była ślepa?
- Nie pytałam cię o zdanie, Francesco.
- Może się zdziwisz, mamó, ale Michael obchodzi mnie tak samo jak ciebie. Jest przecież moim bratem.

Cisza, która zapadła, wydawała się niemal namacalna. Francesca spojrzała na dłoń ściskającą słuchawkę. Knykcie jej pobielaly. Nie rozumiała, dlaczego pozwala się tak traktować. Matka była jedyną osobą, która wprawiała ją w takie zakłopotanie.

- Powiedz mu tylko, żeby do mnie zatelefonował.
- Żadnego pożegnania, tylko dźwięk odkładanej słuchawki. Livia zakończyła rozmowę w swój niepowtarzalny sposób.

Francesca patrzyła tępo na umilkłą nagle słuchawkę, a potem stwierdziła:.

- Mamó, jesteś zwykłą suką.
- Syf i szyk... - mruknął Philippe Sanchez, spoglądając przez okno na Nowy Jork. O syfie wiedział mnóstwo, urodził się w najbardziej syfiastym miejscu pod słońcem. Chciało mu się śmiać, ilekroć słyszał piosenkę „Hiszpański Harlem”. Dla niego nigdy nie było żadnych róż, może oprócz matki, która miała na imię Rosa, ale ona zwiędła i umarła przed wieloma laty. Pochodziła z Hondurasu, do Nowego Jorku przyjechała tuż po drugiej wojnie światowej, razem z jego babką. Dziadek, włóczęgowaty Francuz, zniknął, po-

szukując kopalni, która „odmieni ich życie” i dokonał żywota gdzieś na północ od Ekwadoru, tak przynajmniej głosiła wieść. Philippe przymknął oczy, owładnięty wspomnieniami, i ujrzał wyblakłą fotografię chudego, wysokiego białego mężczyzny, którego matka darzyła uczuciem stanowczo za długo. Jego dziadek-imiennik, Philippe Alain Poirier, marzyciel i pijak, odchodził wiele razy od babki, zanim odszedł na dobre. Ale matka kochała go, bo nie wiedziała, że można nie kochać ojca. Po jej śmierci Philippe podarł brązowo-białą fotografię. Nie wierzył w opowieści o Ekwadorze. Rosa Sanchez wyszła za mąż mając piętnaście lat, być może za wcześnie, ale tak wówczas bywało. Bernardo Sanchez potrzebował młodej żony, gdyż jego pierwsza połowica zmarła i został z trzema synami. Pracował jako kierowca ciężarówki. Był zwalisty, miał czerwoną twarz, żonę traktował dobrze, toteż przez kilka lat Rosa żyła bezpiecznie. Potem zdarzył się wypadek i Bernardo nie mógł już prowadzić ciężarówki, a w gruncie rzeczy nie mógł także nic innego. Kiedy Rosa zapłaciła za pogrzeb, niewiele zostało dla niej i dzieci. Na szczęście, Bernardo nie dał jej potomstwa, mogła więc pracować, ale pieniądze zdobywała z trudem. Rosa była znużona, osamotniona, zrozpaczona. Miała niewiele lat i życie bez mężczyzny, któremu mogłaby ofiarować miłość i służbę, nie zgadzało się z jej naturą i wychowaniem. Początkowo mężczyzn nie było wielu, jeden czy dwóch, tylu tylko, żeby trochę pomogli, wygrzali łóżko, no i może od czasu do czasu zapłacili jakiś rachunek. Niektórzy z nich zachowywali się sympatycznie, chwalili jej kuchnię i wracali, tak się jednak złożyło, że ci akurat, co do jednego, mieli żony. Rosa zachowywała wielką ostrożność, za każdym razem robiła sobie irygację sokiem z cytryny albo octem, ale i tak

zwątpiła już, czy Bóg w ogóle zamierza pobłogosławić ją potomstwem. Bernardo niczego w tej mierze nie dokonał, a przez pierwsze lata wdowieństwa inni mężczyźni też nie, toteż Rosa odczuwała zarazem poczucie winy i wdzięczność, bo w jej życiu nie było miejsca na własne dziecko, nie pozwalała na to również chuda sakiewka.

Wtedy właśnie pojawił się Philippe. Matka nie musiała nic mówić, sam wiedział, że stanowił punkt zwrotny w jej życiu, jego narodziny zmieniły wszystko. Zabrakło mężczyzn, a więc i pieniędzy, i gdyby Rosa miała wtedy powiedzieć, co odczuwa, najprawdopodobniej stwierdziłaby, że Bóg jednocześnie ją nagroził i zesłał na nią karę, która, zważywszy okoliczności, była zbyt wielka w stosunku do winy. Kiedy Philippe miał szesnaście lat i zaczął dopytywać o ojca, Rosa usiłowała mu wmówić, że jest ostatnim synem Bernardo Sancheza, łatwo było jednak stwierdzić, że Bernardo zginął za wcześnie. Wiedział o tym zresztą, zanim zapytał matkę, przyrodni bracia wyjaśnili mu wszystko z wielką przyjemnością. Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy Philippe czuł gniew na matkę. Philippe przebiegł wzrokiem po ulicach oddalonych z tej wysokości o kilometry. Jeszcze jeden wóz policyjny z włączoną syreną mknął po oszalałamijąco długiej Piątej Alei, by w końcu zniknąć gdzieś na peryferiach Harlemu, w „Małej Hiszpanii”. Philippe uśmiechnął się smutno. Większość nowojorczyków unikała tej części Harlemu bardziej niż murzyńskiej... Słyszając skrzyp otwieranych drzwi, odwrócił się i jego wzrok spoczął na człowieku drobnej postury, przypominającym z wyglądu komika George'a Burnsa. Był to Ed Rock, szef, przewodnik... może także ojciec? Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Philippe'a. Nie, ojciec w żadnym wypadku nie. Nie Ed,

facet z wielką gębą, wielkim cygarem i wielkim portfelem. Czasami na myśl o nim robiło mu się niedobrze, chociaż nie mógł dociec powodu takiej reakcji.

- Jak tam interesy? - Było to ulubione wejście Eda.

- W porządku, Ed - odparł Philippe. - Wszystko nagrane na trzecią

- Nie mogę się doczekać... - powiedział Ed, uśmiechając się lubieżnie... - Zdaje się, że to niezła kobitka.

- Owszem - zgodził się z tą oceną Philippe, zastanawiając się, dlaczego stary z uporem posługuje się tym wytartym określeniem. Ed był muzealnym eksponatem. - Ale mnie bardziej interesuje, co ona nam zaoferuje w imieniu Samuela.

- Jasne, jasne... Myślałem tylko... - Ed zawiesił głos. - Na miłość boską, to był zwykły żart. - Westchnął i usiadł. - Pamiętaj, siedemdziesiąt pięć milionów, w tym pięćdziesiąt od ręki, i ani centa mniej.

- Wiem, Ed, wiem - odparł Philippe ze zniecierpliwieniem. - Omówiliśmy to ze wszystkich stron.

- Po prostu chcę, żeby dobrze wyszło, i już - bronił się Ed. - Mała powtórka jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Nawet tysięczna? - spytał krótko Philippe.

- Ten interes wiele dla mnie znaczy. - W głosie Eda dał się słyszeć wyrzut.

- Jeśli tak cię to martwi, to czemu, do diabła, nie siądziesz do rozmów sam - rzucił szorstko.

- Bo chcę, żebyś to ty załatwił - stwierdził Ed. - A gdybym uważał, że nie masz w głowie dość oleju, to nie siedziałbyś na tym krześle. - Westchnął, zastanawiając się, dlaczego tak łatwo o spięcie między nimi. - Do diabła, jestem już stary, nie możesz mi chociaż raz, dla świętego spokoju, przytaknąć?

Była to prośba, ale Philippe tylko się odwrócił i znów spojrzał w okno.

- Wszystko pójdzie zgodnie z planem, Ed... Nie

musisz się o nic martwić - powiedział w końcu, manifestacyjnie okazując cierpliwość. Ed zmierzył spojrzeniem szczupłe plecy młodego człowieka. Nie wątpił w jego słowa. Philippe zawsze stawiał na swoim. Eda czasem martwił jedynie sposób, w jaki to osiągał. I czy naprawdę Philippe musiał go traktować jak starego sklerotyka? Ed ugryzł się w język i zatrzymał to pytanie dla siebie. Wszystko przez Rose, wszystko przez to, że pieprzył tę jego cholerną latynoską matkę. Stare, piekące oczy Rocka zaszyły mgłą. Pomyślał o tym, co mogło być, lecz nie nastąpiło, zaraz jednak uśmiechnął się, uświadomił sobie bowiem, że coraz łatwiej ulega taniemu sentymentalizmowi. Starzeje się. Może rzeczywiście jest już prawie na tamtym świecie i Philippe ma rację. Sala konferencyjna miała tak konserwatywny wystrój, że mogłaby niemal zaspokoić tradycyjny gust Brytyjczyka ale, co ciekawe, boazerię ozdobiono wspaniałymi okazami amerykańskiej sztuki ludowej. Francesca zastanawiała się, czy to Rock, Dunmar, czy też inny jakiś projektant osiągnął taki efekt. Wróciła spojrzeniem do Rocka, przygotowującego drinki, i do pulchnego faceta, niejakiego Cornwella, głównego specja od finansów. Zwracała uwagę na nieobecność Sanchez. Właśnie zastanawiała się nad tym, kiedy dyrektor agencji Dunmar-Rock wkroczył do sali. Nie mogło być mowy o pomyłce, choć człowiek, którego Francesca pamiętała ze zdjęcia, wyglądał inaczej. Sanchez był o wiele wyższy, niż sądziła, miał grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, smukłą sylwetkę i regularne rysy. Pochylił się ku niej, by wymienić uścisk dłoni, i wtedy zauważyła, że jego oczy nie mają tego głębokiego brązu, jakiego spodziewała się po Latynosie. Był tam raczej bursztyn. Uznała, że mimo pewnego chłodu Philippe wydaje się interesujący.

- Usiądźmy, zanim przejdziemy do rzeczy. Nie znoszę omawiania poważnych interesów na stojąco. - Ed zachichotał i mrugnął do Franceski. Przez chwilę czuła się nieswojo, ale zaraz wrócił jej dobry humor. Rock był człowiekiem starej szkoły, według jej obliczeń, pracował w reklamie już ze czterdzieści lat, co dawało się odczuć. Zastanawiała ją, dlaczego się dotąd nie wycofał. Tymczasem padł kolejny żart, porozmawiali o niczym i dopiero potem Sanchez zwrócił uwagę gości na dokumenty.

Francesca zerknęła na kartkę z wypunktowanymi propozycjami.

- Sądzę, że ta kwota jest do uzgodnienia - rzuciła obojętnie.

- Naszym zdaniem to całkiem rozsądna suma - oznajmił Philippe.

Francesca usłyszała gwałtowny wdech Geoffa, siedzącego obok niej.

- Ale do negocjacji? - chciała się upewnić.

- Dużo czasu upłynie, zanim pani znajdzie międzynarodową sieć, która tak dobrze pasowałaby do agencji Samuela... Przecież dlatego tu przyjechaliście, prawda? - odpowiedział Philippe bez zajknięcia.

- Przyjechaliśmy podyskutować o propozycji, panie Sanchez - wyjaśniła. - O ile wiem, potrzebujecie nas w tym samym stopniu, w jakim my was chcemy.

- Trafiony - wtrącił Rock i Francesca stwierdziła, że stary świetnie się bawi. Dojrzała jednak ostrzegawcze spojrzenie Sancheza, po którym Rock posłusznie zamilkł.

- Panno Gaetini, nie sprzedajemy samej agencji, tylko całą sieć o obrotach wynoszących w przybliżeniu osiemset milionów dolarów rocznie.

- Siedemset pięćdziesiąt milionów - poprawiła go rzeczowo i z zaskoczeniem zobaczyła niewyraźny uśmiech na wargach Sancheza.

- Chcielibyśmy dostać pięćdziesiąt milionów od razu i dwadzieścia pięć w ciągu następnych dziesięciu lat, w ratach zależnych od obrotów. - Powiedział, co miał powiedzieć, i teraz przyglądał się twarzy Franceski. Była rzeczywiście niezłą kobitką, jak bezceremonialnie określił to Ed, młodszą, niż sobie wyobrażał i bez wątpienia przyzwyczajoną do stawiania na swoim.
- Czy proporcjonalność rat przewidziana jest do negocjacji, panie Sanchez? - spytała ironicznie, usiłując zatrzeć wrażenie, jakie wywarła na niej jego bezpośredniość.
- Oczywiście. - Odpowiedział zbyt rozsądnie. Wiedział, że trochę przeciąga strunę, więc reprezentanci Samuela mogą się szarpać, ale w końcu przecież dojdzie do jakichś uzgodnień. Miał własne kontakty w londyńskich kręgach reklamy, toteż słyszał co nieco o ambicjach Franceski i kierunku, w jakim zamierza prowadzić agencję. Nie mogła jednak zrealizować swych planów własnymi siłami agencji; międzynarodowa sieć była nieodzowna. W grę wchodziło również kilku innych kandydatów, ale żaden z nich nie był tak bezkonfliktowy jak Dunmar-Rock.
- Zanim podejmiemy decyzję - przerwał im Geoff - musimy szczegółowo zbadać potencjalny nabytek... Interesuje nas polityka finansowa, lista dochodowych i niedochodowych klientów z ostatnich trzech lat, budżety, aktywa i tak dalej.
- Naturalnie - odparł Philippe.
- I naturalnie - dodała sztywno Francesca - jeśli mamy w ogóle rozmawiać, to zakładamy, że liczby mogą stanowić przedmiot negocjacji.
- Jeśli tak, to lepiej będzie spotkać się ponownie po moim i Eda powrocie z Dalekiego Wschodu.
- Możliwe, panie Sanchez. - Obrzuciła go ponurym spojrzeniem. Nie mogła się doczekać tej podróży do

Stanów i ciężkiej batalii, ale to krótkie, pełne spieć spotkanie i widok przesadnie pewnego siebie, narcyzowatego mężczyzny, siedzącego naprzeciwko, wywołały u niej irytację i przygnębienie. - Zostawmy to na razie - odezwała się znowu. - Mamy przed sobą długą drogę. Sensownie będzie chyba poczekać i rzeczywiście podjąć rozmowy po waszym powrocie.

- Ale przyjdziecie na kolację, wydaną specjalnie na waszą cześć? - spytał Ed, lekko zaniepokojony tonem jej głosu.

- Ja, niestety, nie mogę - skłamała. - Muszę wrócić do Londynu. Ale pan Buchanan z chęcią zostanie.

- Och... - Stary był wyraźnie rozczarowany, Francesca czuła jednak, że zdobyła punkt. Wprawdzie taka reakcja w zaawansowanym stadium rozmów zakrawała na dziecinadę, ale od myśli o czekającym ją wieczorze przewracało jej się w żołądku. A Geoff da sobie radę, może nawet sprawi mu to przyjemność.

- Przesadziłeś trochę, chłopaku, nie sądzisz? - powiedział niespokojnie Rock.

- Nie bardziej, niż ty przesadziłbyś, gdybyś miał moje lata - odciął się Philippe. - O co ci chodzi, Ed? Pozwalasz ładnej buzi niszczyć swe interesy?

- Porządnie załazłeś jej za skórę, wiesz o tym? - ciągnął Rock, jakby mówił do siebie. - Gdyby miała rusznicę, to ręczę, że strzępy twojego tyłka znalazłyby się w pół drogi stąd do Denver.

- To się nazywa biznes, Ed, i ona o tym wie równie dobrze jak ja. Może trafiłem na jej zły dzień - dokończył znużonym tonem. Ed zaczynał go denerwować.

- I tak jest ostra... Nie wolno jej nie doceniać, chłopaku - ciągnął stary.

Philippe westchnął. Nie znosił, kiedy Ed nazywał go chłopakiem.

- Wiem, że jest ostra - odparł nerwowo. - Miejmy

nadzieję, że dość ostra, żeby dała nam w końcu właściwą odpowiedź.

- Na pewno tak będzie, zobaczysz - stwierdził Ed autorytatywnie. - Ale to była dopiero pierwsza runda, nie zapominaj... Ona może cię jeszcze zaskoczyć.

- Gadasz, jakbyś trzymał jej stronę - odparł niecierpliwie Philippe.

- Och, znasz mnie przecież, Philippe... Po prostu lubię czasami popatrzeć, jak lecą iskry. To mnie odmładza - dokończył w pogodnej zadumie.

- Tak, Ed - odrzekł Philippe bez entuzjazmu i podniósł głowę znad pliku papierów trzymany w dłoni. Spojrzał na starego. Ed miał siedemdziesiąt dwa lata i powinien był dawno się wycofać. Trzy razy się żenił, pił za dużo szkockiej, palił za wiele hawańskich cygar, za dużo marzył i miał serce, które w każdej chwili mogło się rozpaść na kawałki. Nie przejmował się tym wcale. Na chwilę Philippe mimo woli uległ niejasnemu uczuciu podziwu dla starego, ale rozległ się dzwonek telefonu, który rozwiął to wrażenie.

- Postanowiłam jednak iść na przyjęcie - powiedziała Sian z uśmiechem, ale pochylona nad biurkiem Zoe jej nie usłyszała.

- Zoe?

Blond czupryna poderwała się, jak zwykle nerwowo.

- Przepraszam, Sian, nie słyszałam, co mówiłaś.

- Zoe lekko zmarszczyła czoło.

- Idę na przyjęcie.

- Wspaniale! - wykrzyknęła, po czym zaraz rzuciła nieuniknione pytanie: - Co włożysz?

Sian uśmiechnęła się niewesoło na myśl o dobrze znanych, nieefektywnych strojach wypełniających jej szafę.

- Jeszcze nie wiem - powiedziała wolno.

- Masz tylko dwa dni do namysłu... Lepiej zdecyduj się jak najszybciej. - Zoe szeroko się uśmiechnęła i otworzyła jedną z szuflad biurka: - Przejrzyj „Vo-gue”. Może znajdziesz tam jakieś pomysły.

- Raczej wpędzi mnie to w depresję! - zaśmiała się, ale dała się namówić na przejrzanie magazynu i nieoczekiwanie przyjęcie zaczęło ją podniecać.

- Możemy się spotkać wcześniej - entuzjastycznie zaproponowała Zoe. - Znam niewielką winiarnię w pobliżu Grosvenor House.

- To chyba dobry pomysł. Nie jestem pewna, czy chciałabym się zjawić na tej fecie całkiem trzeźwa - swobodnie odparła Sian.

- Czyli jesteśmy umówione - powiedziała Zoe i pospiesznie wróciła do swojego biurka, słysząc, że drzwi windy się otwierają. Vica nie było przez większość popołudnia i mógł się pojawić w każdej chwili. On też wybierał się na przyjęcie, ale Zoe wiedziała, że spędzą razem niewiele czasu, bo trzeba zachowywać pozory... Jeśli będzie miała szczęście, może choć raz zatańczą. Pocieszała się jednak wyobrażeniem swego atrakcyjnego wyglądu w nowej sukience, którą kupiła specjalnie na tę okazję, a także nadzieją, iż może Vic odwiezie ją potem do domu. Krzepiła ją też myśl, że do czwartku pewnie zacznie się jej okres. Nie było zresztą powodu do obaw, pigułki brała regularnie, nawet sprawdzała opakowanie, żeby się upewnić. Na samą myśl o tym Zoe sięgnęła do torebki opartej o biurko i wymacała puste pudełeczko po tabletkach antykoncepcyjnych, ukryte w kieszonce zapiętej na zamek błyskawiczny. Wzięła wszystkie, o omyłce nie było mowy. Naprawdę nie mogło się stać nic złego. Nick ciężko oparł się o bar, otoczony ciasnym wianuszkiem ludzi. Kiedy dostał już duży dzin z tonikiem,

przepchnął się przez tłum i znalazł dobrą pozycję do obserwacji parkietu. Henry Samuels miał klasę: drinki nie kosztowały ani pensa, a do bufetu w przyległym pomieszczeniu w pełni pasowało określenie „wystawny”. Jubilat oczywiście nie przyszedł, nigdy tego nie robił, ale nadal rok po roku przynoszono olbrzymi tort, jakby miał osobiście go pokroić. Dyskoteka w części olbrzymiej sali balowej migotała światłami i rykiem ściągała żądne zabawy tłumy. W przerwach przez tłum zebranych przeciskał się chiński połykacz mieczy, za którym krok w krok postępowała kobieta z kilkoma wężami owiniętymi wokół obfitego ciała. Były też balony, serpentyny i osobliwy klaun, który od czasu do czasu wyciągał dziwne i tajemnicze przedmioty z fałdów olbrzymich spodni godnych Gar-gantui. Nick pokręcił głową i przesunął spojrzeniem po gęstniejącym tłoku na parkiecie. Odnosił dziwne wrażenie patrząc, jak ludzie, których zna na co dzień, tańczą, podrygują, wykręcają ciała, pogrążeni w szaleństwie. Nawet Vic Brunning, z pewnością będący ostatnim człowiekiem, który powinien znaleźć się na parkiecie, wił się jak w ekstazie w takt starego numeru Rolling Stonesów. Nick omal nie roześmiał się w głos. Ale śmiech zamarł mu na ustach, kiedy ujrzał ciemnowłosą głowę, widoczną w drugim rzędzie ludzi otaczających parkiet.

Caroline uciekała od zgiełku muzyki, przesuając się w kierunku najbliższego baru. Była zdenerwowana i zagubiona, niespokojnie przebiegała wzrokiem tłum w poszukiwaniu znajomej twarzy, ale została przyciśnięta do stolika i do pleców kelnera, biorącego z kontuaru tacę z drinkami. Przez kilka chwil na próżno starała się zwrócić na siebie uwagę któregoś z barmanów. Cierpliwie czekała, patrząc na kryształowo lśniące lustro, tworzące tło dla butelek z trunkami. Zobaczyła tam własne odbicie. Spodobał jej się

ten widok, chociaż wywoływał zdziwienie. Ciemnoniebieska suknia bez ramiączek odkrywała jej piersi znacznie bardziej, niż ukazywało to domowe lustro, zupełnie jakby kreacja zaczęła żyć własnym życiem. Caroline postanowiła poprawić suknię w toalecie, a na razie pociągnęła za złoty medalion na szyi, jakby mogła nim przysłonić obnażone ciało. Zerkając znów w lustro, nie opodal swojego odbicia zobaczyła Nicka. Z trudem przełknęła ślinę, chwyciły ją skurcze żołądka, ale on uśmiechnął się i zapytał, czego się napije, a potem znalazł się nagle tuż obok.

- Nie sądziłem, że przyjdiesz. - Nick starał się zatrzymać wzrok na jej twarzy, nie spoglądać na zgrabną szyję i ramiona, które budziły w nim pragnienie dotknięcia ich.

- Ja też nie. Tak jakoś wyszło w ostatniej chwili

- bąknęła i pociągnęła zbawczy łyk dzinu z tonikiem, podanego przez Nicka.

- Chodźmy stąd, tu za dużo ludzi - powiedział, jakby uznawał za pewnik, że Caroline podaży za nim. Zaczął się przeciskać w kierunku schodów, chcąc wrócić na miejsce, z którego ją zobaczył.

Przez kilka minut stali nic nie mówiąc, po prostu przyglądali się zgromadzonym na parkiecie.

Caroline trzymała szklaneczkę z coraz większą swobodą i w końcu odważyła się spojrzeć Nickowi w oczy. Próbowwała przypomnieć sobie, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Nick ją pociąga, ale chwila ta wydawała się tonąć w odległych wspomnieniach. Był pod każdym względem tak inny od Guya, że aż się uśmiechnęła.

- Co cię tak bawi? - Zwrócił się do niej, jakby wyczuł spojrzenie.

- Nie wiem... Chyba po prostu to, że tu jestem.

- Niewiele minęła się z prawdą, czuła jednak, że kiedy patrzy na niego, rumieni się.

- Zatańczmy. - Wyjął szklaneczkę z jej dłoni i poprowadził partnerkę na parkiet. Muzyka była teraz wolniejsza, Phil Collins lamentował nad życiem płynącym w samotności, ale tego właśnie Nick potrzebował. Caroline w jakiś sposób onieśmielała go, a taniec stanowił bezpieczny krok naprzód. Nick nie był jednak pewien, dokąd ten krok go zaprowadzi. Odsunął od siebie myśli i przytulił Caroline. Nad następstwami mógł się zastanowić później, teraz liczyło się tylko, że Caroline jest przy nim i że trzyma ją w ramionach, taką ciepłą, pachnącą i taką... taką delikatną.

- Francesca... jak to miło, że ci się udało przyjść!

- wykrzyknął jowialnie Vic Brunning.

Gwałtownie zwróciła się ku niemu, leniwie opartemu o kontuar w prywatnym barze, i zmrużyła oczy, rozpoznając obok niego Aidana.

- Nie mogłabym opuścić urodzinowego przyjęcia Henry'ego, nawet jeśli on sam nie jest obecny - powiedziała gładko.

- Znasz oczywiście Aidana O'Donnella - stwierdził Vic i na jego ugrzecznionej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Naturalnie - odparła chłodno, zastanawiając się, co właściwie Vic chciał powiedzieć przez „oczywiście”. Nietrudno było sobie wyobrazić. Westchnęła ze znużeniem, przeczuwając, że Vic coś knuje. Ale czy musi to robić tak ostentacyjnie? Skupiła spojrzenie na twarzy Aidana i porozumiewawczym uśmiezką, przyczajonym na jego wargach.

- A cóż to znowu? - Staął za nimi Geoff. - Zgromadzenie klanu czy co?

Na dźwięk głosu Geoffa Francesca odetchnęła z ulgą. Nie do końca uświadamiała sobie dlaczego, wiedziała jednak, że nie podoba jej się komitywa

Vica i Aidana, która tak nagle wyszła na jaw. Jedno było pewne: ani jeden, ani drugi nie pragnął jej dobrego samopoczucia.

- Może pójdziemy porozmawiać z pracownikami? Co ty na to, Geoff? - rzuciła swobodnie. - Jestem pewna, że Vic i Aidan mają wiele do omówienia. - Marne to było wyjście, ale Francesca musiała się nim na razie zadowolić.

- Bardzo chętnie - odparł Geoff. - Na razie, chłopcy.

Weszli w tłum, muzykę i światło, Francesca z pewnym skrępowaniem, Geoff ze świadomością, że się starzeje, co zresztą niepokoiło go coraz częściej. Przed oczami mignęła mu Zoe szalejąca na parkiecie. Ciekawe, czy mógłby już być jej ojcem. Niewykluczone, że uległ po prostu obsesji wieku, w każdym razie próbował się tą myślą pocieszyć, bo przecież dopiero niedawno stuknął mu czwarty krzyżyk. Oderwał spojrzenie od Zoe i przeniósł je na również tańczącą Sian.

- Chyba dobrze wybrałaś asystentkę, Francesco

- powiedział, kiedy przeszli na drugą stronę sali.

- Owszem. Udało mi się... Do tego jest bardzo ładna.

- Może trochę za bardzo serio... - dodał, nagle zainteresowany tematem.

- Cóż, ma swoje problemy, kto zresztą ich nie ma?

- powiedziała wolno Francesca, zadowolona, że muzyka stała się mniej wrzaskliwa.

- Jakie problemy? - nalegał Geoff.

- Może powinieneś spytać Sian?

- Och, nie żartuj... - zniecierpliwził się.

- Tak, jak mówiłam: spytaj ją sam - powiedziała stanowczo. - Popatrz, jest Pete Morgan. Idę zamienić z nim kilka słów. - Obdarzyła Geoffa uśmiechem i odeszła, ginąc w tłoku. Został sam w morzu ludzi

i kolejny raz zastanawiał się, po co tu przyszedł. Odwrócił się do baru z myślą, że mały drink mu nie zaszkodzi, a może nawet odpędzi napad dziwnej litości nad sobą, jakiemu zdaje się uległ. W końcu było to przyjęcie.

Caroline przytknęła do policzka pustą szklaneczkę z nadzieją, że lód, wciąż brzęczący na dnie, złagodzi pieczenie skóry. Nick podszedł z następnymi drinkami. Caroline spojrzała na nie nieufnie..

- Nie musisz pić - powiedział, widząc jej minę. - Jeśli wolisz, to przyniosę ci soku pomarańczowego albo czegoś w tym stylu. - Nie zamierzał popełnić tego samego błędu co poprzednio.

- Wszystko w porządku. Chyba się jeszcze po tym nie przewrócę - zaśmiała się, zdając sobie sprawę, że wreszcie wróciła jej swoboda, że Nick nie jest już obcy, jak jeszcze tydzień temu czy nawet przed godziną. Ale czy naprawdę były jej potrzebne aż dwa duże dziny z tonikiem, żeby rozproszyć skrepowanie?

- Chcesz jeszcze zatańczyć? - spytał, podchwytyjąc jej spojrzenie w kierunku parkietu na dole.

- Nie, dziękuję. - Odwróciła się do niego. - Tam jest za gorąco, a tu bardzo przyjemnie... można się wszystkiemu przyglądać.

Patrzył na jej rozjaśnioną twarz i wstydlivy uśmiech, który, o dziwo, go wzruszył. Otoczył dłonią miękką krągłość policzka Caroline, uniósł podbródek i przycisnął usta do jej ust. Bez wahania, bo oboje wiedzieli, że jest to nieuniknione. Pragnienie rozchyliło wargi Caroline, serce waliło jej trwoźnie, gdy czuła wolno zsuwające się po plecach ręce Nicka. A gdy Nick przytulił twarz do jej policzka, doznała cudownego wrażenia. Tak bardzo była pewna, że po tym niefortunnym spotkaniu wydała mu się ofiarą

losu, że zniechęcił się do niej. Przytłoczona bezmiarem młodzieńczej tragedii nie wątpiła, że mieli już swoją chwilę, która z jej winy przepadła...

Sian czuła, że krew nabiega jej do twarzy na widok Zoe zalotnie nagabującej Vica.

- No, bądź dobry, Vic... - dopraszała się na pół żartobliwym głosem.

- Posłuchaj, kochanie, już raz powiedziałem „nie”

- odparł z ledwie ukrywanym zniecierpliwieniem. - Mam swoje plany i nie przewiduję odwożenia do domu ciebie ani twojej przyjaciółki.

Sian drgnęła. Chciałaby ulotnić się natychmiast, znaleźć się gdziekolwiek indziej.

- Poczekaj - zawołał nagle Vic. - Jest tu Geoff, zdaje się, że nie narzeka na nadmiar towarzystwa.

Geoff został więc przywołany i Sian czuła, jak rośnie jej zakłopotanie niezręczną sytuacją, w którą pozwoliła się wplątać.

- No, właściwie to niezupełnie tak sobie wszystko wyobrażałem... - mruzczał Geoff, wiedząc, że nie ma wyjścia.

- To nie zajmie ci dużo czasu - stwierdził jowialnie Vic, klepiąc go po ramieniu. - Postawię ci drinka u Draymana.

- Tysięczne dzięki - odparł Geoff ironicznie i zwrócił się do dziewcząt.

- Przepraszam - odezwała się natychmiast Sian.

- Naprawdę nie chciałam nikogo wrabiać.

- Nie ma o czym mówić - powiedział Geoff i lekko westchnął. - I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Zoe zamilkła, przygnębiona zachowaniem Vica. Zatańczyła z nim tylko raz, na początku wieczoru, czyli wieki temu, miała więc nadzieję, że przynajmniej odwiezie ją potem do domu, ale Vic wyraźnie

jej unikał. Pewnie nie chciał, żeby ktoś nabrał podejrzeń na temat łączącego ich stosunku. Westchnęła, nieszczęśliwa, zastanawiając się, czy nie robi się zbyt wymagająca.

Poza, jak zwykle ruchliwymi, okolicami Park Lane, ulice były stosunkowo spokojne i Sian czuła, że dobrze jej na wygodnym, tylnym siedzeniu. Zoe ulokowała się obok kierowcy, bo miała wysiąść pierwsza. Wróciła jej radość życia, więc szczebiotała do Geoffa, jakby wieczór podniecił ją i zachwyił.

- A ty się dobrze bawiłaś? - Sian stwierdziła, że pytanie jest skierowane do niej.

- Hm, nie ma wątpliwości, że Henry Samuels wie, jak pokazać klasę - odparła.

- Nie odpowiedziałas mi - nalegał Geoff.

- Fajnie było - przyznała w końcu. - Może to ja jestem trochę nie na bieżąco z takimi rzeczami. - Pożałowała tych słów natychmiast, gdy tylko skończyła mówić.

- Dlaczego „nie na bieżąco”? - podchwycił Geoff. Sian usłyszała zaciekawienie w jego głosie i klęła się w duchu za brak zdolności przewidywania.

- Och, po prostu rzadko wychodzę wieczorami... Chyba jestem kurą domową - skłamała.

- Z Petie'em chyba i tak niełatwo gdzieś wyjść - wtrąciła Zoe. - Nie mam racji, Sian?

Sian poczuła, że wpada w jakąś przepaść. Dlaczego nigdy nie powiedziała Zoe, że jej prywatne życie ma pozostać prywatne? Refleksja była jednak spóźniona.

- Kto to jest Petie? - wypytywał Geoff, chociaż już się domyślił. Wiedział też, że Sian nie jest mężatką, to zdążył wyciągnąć ód Franceski.

- Mój syn - odparła Sian drętwą i po raz drugi w ciągu krótkiego czasu zapragnęła przenieść się

w okamgnieniu do jakiegoś innego świata, gdzie ludzie pilnują własnych spraw. Geoff natomiast tokował dalej, jakby wszystko było w porządku. Wyraźnie nie zdawał sobie sprawy z zamętu, jaki wywołał w myślach Sian swym dociekaniem.

- Ile ma lat?

- Prawie dziewięć miesięcy.

- Na pewno jest bardzo żywy.

- Owszem.

- Jak sobie radzisz z opiekunkami?

- Mam bardzo dobrych rodziców.

Rozmowa przypominała przesłuchanie i Sian zaczynała być tym zmęczona.

- Zbliżamy się do South Kensington, Geoff - zapiszczała Zoe i Geoff skupił uwagę na zakamarkach Roland Gardens, szukając domu, w którym Zoe dzieliła mieszkanie z trzema dziewczętami. - Teraz prosto, potem drugą albo trzecią przecznicą w lewo - dodała.

Kiedy przystanęli przed dużą, wiktoriańską kamienicą, Zoe odwróciła się, by pożegnać Sian. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że przez nią duma przyjaciółki została zraniona.

- Dobranoc, Sian - powiedziała. - Do rana.

- Dobranoc - odparła, z najwyższym trudem ukrywając irytację.

- Może przesiądziesz się teraz na przednie siedzenie, Sian? - zaproponował Geoff. - Inaczej będę się czuł jak taksówkarz.

Posłusznie zmieniła miejsce i samochód ruszył na południe, w kierunku Fulham Road. Przez kilka minut panowało dziwnie kojące milczenie, Sian zaczęła jednak odczuwać zmęczenie wieczorem, toteż jej niepokój stawał się coraz wyraźniejszy.

- Musi być ci czasami trudno - powiedział Geoff, a Sian cicho westchnęła.

- Masz na myśli mojego syna? - spytała, z góry znając odpowiedź.
- Tak. A właściwie pracę... zwiększoną odpowiedzialność - odparł kulawo, nie rozumiejąc, dlaczego drażni ten temat.
- Czasami... ale jakoś przywykłam. - Zwróciła głowę ku szybie i z ulgą stwierdziła, że za najbliższym rogiem będzie most Putney, czyli do Wimbledonu i do domu zarazem już niedaleko. Znowu zapadła cisza, ale już nie kojąca. Sian myślała o tym, jak długo ciągną się minuty, kiedy niecierpliwie się je liczy. Przez chwilę wpatrywała się w dal, a potem rzuciła ukradkowe, zaciekawione spojrzenie na nieruchomy profil Geoffa.
- Rodzice będą czekać na twój powrót? - zaczął znowu indagację. Może skusiły go jej oczy? Usłyszał gwałtowny wdech, jakby ją przyłapał na czymś zdrożnym.
- Już skończyłam dwadzieścia jeden lat, Geoff -odparła zniecierpliwiona.
- Przepraszam... bardzo przepraszam - sumitował się. - Trzeba było mi powiedzieć, żebym pilnował własnego nosa. Zdarza mi się czasem zagalopować.
- Po prostu zejdźmy ze mnie, nie jestem dobrym tematem do rozmowy. - Powiedziała to ostrzej, niż zamierzała, i znów odwróciła się ku szybie, za którą majaczył Wimbledon Common, oznaczający wyzwolenie.

Geoff przyglądał się, jak Sian pospiesznie oddala się ścieżką w kierunku domu i rozczarowany zamknął oczy. Dręczyła go świadomość, że wyszedł przed nią na beznadziejnego głupca. Ten wieczór był od początku do końca dziwaczny i denerwujący, a on nie potrafił uczynić go nawet odrobinę znośniejszym. Chyba nawet jeszcze pogorszył sprawę, powodowany jaki

miś niezrozumiałymi, masochistycznymi pobudkami. Może istnieje coś takiego jak męska menopauza? Uśmiechnął się niepewnie i wrócił myślami do Sian i „problemu”, który tak natrętnie usiłował zgłębić. Petie... ładnie. Może gdyby mieli z Joanną dziecko, to nie rozleciałoby się ich małżeństwo? W chwili, gdy obraz byłej żony zaczął mu się rysować przed oczami, warkot samochodu sprowadził go na ziemię i Geoff pojął, że sam się oszukuje. Joanna nigdy nie zaryzykowałaby dla dziecka swej figury modelki. Kochała przede wszystkim siebie samą... i mężczyzn. Ciężko westchnął i zawrócił w kierunku West Endu. Uświadomił sobie, że jest zmęczony, pioruńsko zmęczony, a co gorsza od zakończenia tego fatalnego tygodnia dzieli go jeszcze cały piątek.

- Czyli Rock wcale nie jest taki zły - powiedziała Francesca.

- Już ci mówiłem we wtorek, po powrocie z Nowego Jorku, że okazał się wyjątkowo sympatyczny - przypomniał Geoff, choć miał wrażenie, że tylko traci czas.

- Czy pan Sanchez zaszczycił cię swą łaskawą obecnością podczas weekendu? - spytała zgryźliwie.

- Przyleciał helikopterem w sobotę rano - wyjaśnił i ujrzał, że Francesca wznosi oczy ku niebu.

- Oczywiście... Zapomniałam... - stwierdziła sucho.

- Do Hampton trudno się inaczej dostać, chyba że na skrzydłach.

- Bardzo mnie dopieszczali, przyznaję. Nie męczyli mnie już żadnymi szczegółami transakcji. - Westchnął ciężko. - To naprawdę było ciekawe, Francesco. Rock ciągle wszystkim kręci, mimo iż Sanchez niecierpliwie oczekuje na przejęcie steru.

- A ty wpadłeś w te rozgrywki? - Uśmiechnęła się krzywo.

- Ta fuzja naprawdę mogłaby być bardzo udana - nalegał. - Nawet jeśli...
- Nie rozmyślałam się, Geoff - przerwała mu. - Bo chyba to próbujesz powiedzieć? Nasze ustalenia z poprzedniej rozmowy są aktualne.
- Ale nie ma w nich wyraźnego „tak” - rzucił, nie całkiem usatysfakcjonowany.
- Posłuchaj, wcale nie zmieniałam zdania w sprawie agencji Dunmar-Rock jako potencjalnego partnera. - Westchnęła. - Sanchez mnie zwyczajnie zirytował, chociaż nie powinnam była pozwalać sobie na irytację... Po prostu nie chcę, by nabrał przekonania, że trzyma nas w garści.
- Podpuszcza nas na próbę. - Geoff zmienił pozycję przy oknie obserwując, jak Francesca podchodzi do stolika po srebrną papierośnicę. Nigdy przedtem nie widział, żeby paliła.
- Wiem, że nas podpuszcza - potwierdziła i powoli wydmuchnęła chmurę dymu. - Sama często tak robię.
- Nawet jeśli przystaniemy na pięćdziesiąt milionów od ręki, to co do drugiej części możemy się twardo postawić - powiedział. Francesca na pewno się zdecyduje, nie lubi być bita własną bronią. Sanchez niech sobie będzie trudny, ale już zaczyna zmieniać nieciekawe oblicze agencji Dunmar-Rock i niewątpliwie spodziewa się wzrostu obrotów w przyszłości, a więc również podwyższenia kursu akcji. Cwany facet i nawet jeśli niezbyt finezyjny, to przecież Francesca zachowałaby się w tej sytuacji podobnie, choć bardziej elegancko.
- Tyle to już sama wykombinowałam.
- W porządku - ustąpił.
- Ten sukinsyn nie dostanie ani centa więcej, jeśli w ciągu dziesięciu lat wpływy agencji Dunmar-Rock nie wzrosną o dwanaście procent! - Mimo iż prawie nie podniosła głosu, oczy pociemniały jej ze złości.

Geoff sztywno przytaknął na znak zgody, chwila nie była bowiem odpowiednia, by wspominać, że on sam zadowolony byłby się dziesięcioma procentami.

- Może spotkamy się na początku przyszłego tygodnia i wyjaśnimy szczegóły - powiedział w końcu.

- Tymczasem powinienem wrócić do siebie. Mam za pięć minut spotkanie zespołu.

- Którego? - spytała krótko, nadal z trudem tłumiąc irytację.

- Pod kierownictwem Claire Hewitt. Mają kampanię papierosów Chico i trochę im brzdzi antynikotynowe lobby.

- Dlaczego? - Nagle uświadomiła sobie, że trzyma w palcach papierosa, choć rzuciła palenie dwa lata temu. Bez pośpiechu zgasła niedopałek w ciężkiej, marmurowej popielnicy.

- Producenci chcą się nastawić przede wszystkim na odbiorców w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Ci z lobby twierdzą, że to niemoralne. - Wzruszył ramionami. Też nie był przekonany, ale dopóki istnieje tytoń i dzieciaki chcą palić, nic ich nie zniechęci, choćby lobby nie wiadomo jak protestowało. Gdyby Samuels nie dostał kampanii Chico, to i tak dostałby zlecenie od konkurencji. Wprawdzie trudno było nazwać ten argument przekonującym i Geoff o tym wiedział, ale dał sobie spokój z moralizatorstwem. Jego wyrzuty sumienia w niczym nie pomagały klientowi.

- Wobec tego przestańmy też reklamować alkohol, motorowery, klej i seksowną bieliznę...: Boże, nawet seks już zabija! - Wkrótce cnota zwycięży wszelkie pokusy i nieustraszeni bojownicy stwierdzą, że nie mają już kogo stawiać pod pręgierzem w tym nowym, sterylnym świecie. - Może tamci powinni raczej odkryć przyczynę, dla której jedni młodzi ludzie palą, a inni nie. Może powinni dojść

do tego, czemu wielu tak zwanych dorosłych chła. Może po prostu powinni się skupić na odkrywaniu powodów, dla których niektóre osoby są podatne na odwieczne ludzkie słabości w takim stopniu, że praktycznie dokonują samozniszczenia... -Pokręciła głową wiedząc, że przebrała miarę. - Zapomnij o tym, Geoff, po prostu zrób, co możesz. - A kiedy ruszył do wyjścia, dodała powoli: - My mamy chronić nasze interesy, kwestie moralne zostawmy tamtym. - Zamknięcie drzwi oznaczało dla niej zamknięcie tematu. Świat zawsze był pełen niebezpieczeństw. Jeśli usuwa się jedno, zastępuje je inne. Taki już jest barwny i okrutny gobelin życia.

Minęły już prawie dwa tygodnie i nic. Może jestem chora... może to coś poważnego... Zoe przyglądała się parującej, brązowej kawie. Z samego rana chwyciły ją lekkie mdłości, ale już przeszły i Zoe z nadzieją zastanawiała się nad wirusem, którego pewnie gdzieś złapała. Oczywiście, zawsze pozostawał lekarz, ale na wizytę zdecydowanie nie miała ochoty. Doktor Andrews opiekował się jej rodziną od lat. Wprawdzie wiedziała, że nie ma się czego obawiać, ale gdyby rzeczywiście zaszła taka potrzeba, wolałaby chyba wybrać się do kogo innego. Podniosła głowę znad nietkniętej kawy i spojrzała w drugi koniec pokoju.

- Sian...?

- Słucham, Zoe. - Odwróciła się i trzymając w dłoni plik papierów, a w zębach spinacz, spojrzała na bladą twarz koleżanki.

- Spóźniam się już prawie dwa tygodnie - Zaskoczyła ją łatwość, z jaką wygłosiła te słowa. Wypowiedzenie ich na głos przyniosło ulgę.

Sian wolno wyjęła spinacz z ust.

- Chodzi ci o okres, jeśli dobrze rozumiem?

- Ale na pewno nie mam się czego obawiać, Sian

- dodała szybko.

- Co masz na myśli?

Na białych policzkach Zoe wykwitły czerwone plamy. Sian przyglądała się jej przez chwilę, zaniepokojona echemi własnej przeszłości.

- Jestem na pigułkach - powiedziała Zoe niemal wyzywająco - i wiem, że żadnej nie zapomniałam wziąć.

- Czyli nie możesz być w ciąży - stwierdziła Sian obojętnym tonem, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego nie czuje się przekonana. Ogarnęły ją wspomnienia, jak to nie chciała uwierzyć w swój stan, choć Petie już w niej rósł.

- No, przecież nie mogłam chyba zajść, prawda?

- rzuciła bez troski Zoe.

- Może mimo wszystko powinnaś sprawdzić - odparła Sian.

- Ale naprawdę nie ma powodu do obaw, Sian, nie może być - upierała się Zoe, i dopiero niezwykła ostrość jej głosu uprzytomniła Sian, że tak naprawdę koleżanka żywi poważne obawy.

- Przy Tottenham Court Road jest klinika kobieca. Są bardzo dyskretni i szybko dają wyniki - ciągnęła niezłomnie Sian. Tak czy owak, Zoe powinna wiedzieć.

- Dziękuję, Sian, chociaż nie skorzystam. Wiem, że nie ma potrzeby. To tylko jakiś mały przestój.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, ale na wypadek gdybyś zmieniła zdanie, chętnie dam ci numer telefonu. - Zoe przecząco pokręciła głową. - Powiedziałaś swojemu chłopakowi? - spytała w końcu Sian dziwiąc się, że przyjaciółka nigdy przedtem o nim nie wspomniała.

- Chłopakowi...? - zająknęła się. - Nie, nie warto.

- Zobaczyła przed oczami twarz Vica. Nigdy nie my-

ślała o nim jako o „swoim chłopaku”, to słowo zupełnie do niego nie pasowało. Po raz pierwszy Zoe poczuła odrobinę lęku. Jeśli jakimś niewiarygodnym zrzędzeniem losu zaszła w ciążę, nie może się z tym zwrócić do Vica. On nigdy nie pytał, czy bierze pigułki. Widocznie uważał to za pewnik, podobnie jak większość mężczyzn. Była to jedna z niepisanych reguł: nie ma pytań, nie ma żądań z jej strony, Zoe po prostu jest i czeka.

Caroline wyciągnęła jak zwykle kartę przejazdową, przeszła jak zwykle przez bramkę na przystanku Richmond, ale poza tym nic nie było jak zwykle. Kiedy wróciła z przyjęcia, w domu czekały ją swa-ry; przyszła o wiele za późno, a w dodatku podczas jej nieobecności dzwonił Guy i na rodziców spadło „przykre zadanie powiadomienia go, gdzie znajduje się jego narzeczona”. Postawiła się wyjątkowo zuchwale, odparła, że jeszcze nie jest jego narzeczoną. W efekcie matka prawie z nią nie rozmawiała, a Guy się dąsał. Caroline znalazła miejsce przy oknie i wyciągnęła książkę ze schowka w pojemnej torbie, ale czytać nie zaczęła. Nie widzącym wzrokiem wodziła po znajomych reklamach w wagonie metra, oferujących absolutnie wszystko - od miejsc urlopowych począwszy, na sekretarkach skończywszy - ale po chwili znowu odwróciła się do okna i zobaczyła w szybie odbicie twarzy. Nick umówił się z nią na lunch, drugi raz od przyjęcia. Jak dotąd, udało jej się wykręcić od spotkań wieczornych, które nadałyby ich znajomości zupełnie inny charakter, a poza tym spowodowałyby następne utarczki z rodzicami i Guyem. Oczywiście, była to tylko kwestia czasu; Nick musiał w końcu stać się bardziej natarczywy, i Caroline nie umiała przewidzieć, do czego wtedy dojdzie. Westchnęła ciężko i zaczęła

się przyglądać, jak oddech zaznacza się niewielkim, matowym kółeczkiem na szybie. Nick był człowiekiem, jakiego szukała, chociaż jeszcze niedawno nie dopuszczała tej myśli do siebie. Zawsze wydawał jej się poza wszelkim zasięgiem, nie potrafiła sobie wyobrazić, że pragnie jej zupełnie tak samo jak ona jego. A jednak. Caroline przełknęła ślinę i poczuła, jak na wspomnienie Nicka ściska ją w gardle. Siedzieli bez końca w samochodzie, a on tak cudownie ją pieścił, i była w tym tylko czułość. Ale nie robili nic, co byłoby w jej pojęciu nieprzyzwoite. Wiedziała, że Nick postępuje w ten sposób rozmyślnie, ale nie była pewna, czy go rozumie. Rumieniec zalał jej policzki, gdy przypomniała sobie własną reakcję, gdy uświadomiła sobie, jak go pragnęła i jak dobrze Nick musiał o tym wiedzieć. Serce jej rosło. Nie miało znaczenia, że zaczęło padać, że ciężkie, grube krople popłynęły strugami po szybie i zbierały się w kałuże na niezliczonych peronach przystanków metra, nie miało to najmniejszego znaczenia.

Francesca przejrzała pocztę i sięgnęła po dużą filiżankę kawy. Weekend przebiegł spokojnie, jeśli nie liczyć telefonu od Matthiasa o nieludzkiej porze w niedzielę rano. Niebo jeszcze mieniło się barwami świtu, kiedy dzwonek bezlitośnie wyrwał ją ze snu. Odniosła wrażenie, że Matthias nie spał przez większą część nocy, mimo to promieniał świeżością. Może złościści bogowie nie potrzebują snu? Upiła gorącej, mocnej kawy i czuła, jak gardło z wdzięcznością przyjmuje płyn. Matthias telefonował z przyjęcia, promocji czegoś tam, urządzonej przez Lucasa, spędzono tylu ludzi, że nie mógł odmówić, nie stać go było na odmowę. Uśmiechnęła się, wiedząc, że Matthias pozwala się przyciągać akurat na właściwe przyjęcia z właściwymi ludźmi. Na tyle go

znała. Zadzwoił do niej, bo potrzebował rozmowy z kimś „zdrowym na umyśle”, a ona jest jedyną znaną mu osobą tego rodzaju. Pytał, dlaczego nie przyleciała do Paryża. Przez chwilę była zaskoczona jego głosem, w którym dźwięczał autentyczny żal, ale ton zaraz się zmienił i odezwał się ten sam stary Matthias. Teraz Francesca zastanawiała się, czy sobie nie wyobraziła tylko, że słyszała w jego głosie prośbę. Z zamyślenia wyrwało ją ostre pukanie do drzwi. Wszedł Vic.

- Nie mam dużo czasu, Francesco, chcę tylko, żebyś była na bieżąco. - Usiadł.

- W sprawie kampanii Matthiasa?

- Aha.

- Chyba nie ma kłopotów, prawda?

- Ależ skąd. Pete Morgan panuje nad wszystkim

- powiedział tonem człowieka pewnego siebie.

- Wiem, rozmawiałam z nim w czwartek podczas przyjęcia - odparła. - Nawiasem mówiąc, nie wiedziałam, że jesteś zaprzyjaźniony z Aidanem O'Donnellem.

- Bo niezupełnie jestem. Poznaliśmy się całkiem niedawno. - Uśmiechnął się. - Utalentowany gość, ale przecież na pewno świetnie o tym wiesz.

- Owszem, Vic. - Odwzajemniła się wymuszonym uśmiechem. Dlaczego właściwie ten nowy, jowialny Vic budził niechęć dużo większą niż stary, skwaszony?

- A wracając do Matthiasa... - rzucił swobodnie.

- Połączenia satelitarne będą jedną wielką łamigłówką, ale przecież tego się spodziewaliśmy.

- Odzew od zaproszonych artystów Pete ma, jak dotąd, niezły. Oczywiście szczegóły techniczne na pewno nie będą łatwe, ale zdaje się, że większość krajów, z którymi nawiązaliśmy kontakty, wykaże chęć współpracy. Naturalnie z miejscem w głównych

wydaniach wiadomości telewizyjnych, radiowych magazynach i porannym bloku programów nie będzie najmniejszych kłopotów. - Zabębniła palcem po stole. - Czy jeszcze coś?

- Właściwie nie. Chciałem tylko upewnić się, że jesteś w kursie - odpowiedział gładko.

- Peter ma mnie natychmiast informować o wszystkich nowych wydarzeniach, to już ustaliliśmy.

- W porządku, właśnie tak mu powiedziałem. - Wstał, uśmiechnął się i poprawił różowy, jedwabny krawat. - Jest jeszcze drobiazg, który może nam sprawić trochę kłopotów.

- Jaki mianowicie? - spytała, spoglądając w jego bladą twarz.

- Byłoby chyba dobrze, gdybyś nieco przyhamowała Matthiasa z przyjęciami. To nie pasuje do jego nowego oblicza, chyba się zgodzisz? - Zbierając się do odejścia, zatrzymał na chwilę ręce na oparciu krzesła.

- Co masz na myśli? - A więc do tego zmierzał przez cały czas. - Przecież on teraz powinien być w Paryżu - dodała pośpiesznie.

- Cóż, w sobotę wieczorem na pewno nie był. Siedział, w najciemniejszym zakamarku Buckinghamshire - powiedział, z trudem powstrzymując się przed okazaniem triumfu. - Nie widziałaś dzisiejszego wydania „Mail”.

- Rzeczywiście, nie. - Machinalnie przeniosła spojrzenie na stolik, zaślany poranną prasą.

Vic podążył za jej wzrokiem, wolno podszedł do sterty papierów i znalazł to, czego szukał.

- Znowu dzieło Nigela Dempstera - oznajmił z szerokim uśmiechem, kładąc przed nią gazetę otwartą na właściwej stronie, tej z kolumną towarzyską.

Na głównym miejscu znajdowało się zdjęcie Matthiasa wystrojonego w smoking, z ramieniem niedbale otaczającym oparcie krzesła, na którym zasiadała

„zapierająca dech w piersiach piękność, Melissa Barton-Carr... powabna blondynka, córka magnata prasowego, sir Richarda...". Francesca nie cierpiała takiej plotkarskiej atmosfery, pogoni za rozgłosem, który zawsze budził uwielbienie jej matki, królowej dobroczynności, kochanej za wszystko, co dobre. Matthias spoglądał na nią ze swoim przewrotnym, wszystkowiedzącym uśmiechem, znanym Francesce tak dobrze. Czy pozwolił się sfotografować umyślnie, chcąc, by go zobaczyła? Czy zdawał sobie sprawę, że będzie skreślać ją od upokorzenia i czegoś zgoła nieoczekiwanego, zwanego zazdrością?

- Skąd o tym wiesz, Vic? - Upajał się każdą chwilą tej sceny, a Francesca czuła, jak wściekłość raptownie przyspiesza jej tętno.

- Z gazety, oczywiście, ale miałem wcześniej przeciek od przyjaciela. - Położył nacisk na ostatnim słowie, stąd wiedziała, że myśli o Aidanie. - Nasz wspaniały prorok najwyraźniej jest zajęty urocą Melissą już od pewnego czasu.

- Czy to też wiesz od swojego „przyjaciela”? - spytała oschle.

- Zgadza się.

- Rozumiem. - Mówiła obojętnym tonem, nie okazując żadnych uczuć. - Co masz zamiar zrobić w tej sprawie?

- Ja? - zachnął się.

- Skoro to ty tak bardzo się przejmujesz zachowaniem naszego klienta... - ciągnęła - to chyba lepiej byłoby, gdybyś ty właśnie porozmawiał z nim.

- Sądziłem, że odpowiednią osobą jesteś ty - oświadczył, marszcząc czoło.

- O nie, Vic... zostawiam to tobie. - Uśmiechnęła się. - Zwłaszcza że sam zacząłeś. - Skierowała uwagę na nie przeczytaną korespondencję, wciąż jeszcze zajmującą biurko, po chwili jednak dodała: - Cała ta historia mo-

że oczywiście być nieporozumieniem. Znasz przecież naszych nienasyconych przyjaciół-dziennikarzy... Na twoim miejscu przed podjęciem jakichkolwiek kroków sprawdziłabym wiarygodność informacji.

- Na moich źródłach można bezwzględnie polegać - powiedział z wysiłkiem.

- Masz na myśli „swojego przyjaciela”? - spytała sarkastycznie i znów się uśmiechnęła, po czym zwróciła się ku stercie korespondencji, dając tym samym znak, że rozmowa skończona.

- Muszę iść na zebranie - powiedział w końcu nieporadnie. Odwróciwszy się poczuł niepewność, jak wypadło to spotkanie, miał jednak niejasne przeczucie, że raz jeszcze Francesce udało się zamienić z nim rolami. Ale przecież kiedy pokazał gazetę, coś się stało, policzki jej lekko poróżwiały, Czy naprawdę?

Francesca nie zareagowała na ostatnie zdanie, czekała na cichy trzask drzwi, za którymi zniknął Vic. Wstała z krzesła i podeszła do okna. A więc albo Matthias skłamał, albo przemawiały przeciwko niemu pozory. Musiała oczywiście sprawdzić, ale w tym wypadku Aidan nie przesadziłby z naciąganiem faktów, bo za wiele od tego zależało. Czyżby sądził, że zdoła przed nią ukryć tę machinację? Najwyraźniej obeszła się z nim zbyt łagodnie. Może powinna była przede wszystkim się go pozbyć? Na razie jednak nie to było ważne. Odchyliła głowę i sięgnęła ręką, by rozetrzeć kark, w którym odezwał się ostry ból. Z Aidanem mogła policzyć się później. Teraz znaczenie miał wyłącznie Matthias. Rzeczywiście był na przyjęciu w sobotę wieczorem, tyle wiedziała sama, ale sugerował, że siedzi w Paryżu. Buckinghamshire. Śmiałyby się, gdyby nie to, że wargi jej nagle zdrętwiały, a w ustach poczuła suchość. Powróciły echem dawne słowa Vica: „Jest zbyt nieopanowany, żeby głos Boga

docierał pod tę gładką, ugrzecznioną otoczkę. To kanciarz".

Kiedy piękna twarz Matthiasa ukazała się w jej wyobraźni, Francesca zamknęła oczy, jakby nie chcąc patrzeć na ten obraz. Odkąd bowiem poznała Matthiasa, pragnęła mu wierzyć.

Minęły prawie trzy tygodnie, nim zadzwonił do niej znowu. Rozmowa z Vikiem odeszła w zapomnienie i nie miała reperkusji, a Francesca z obojętną miną pozwoliła mu występować z wszelkimi inicjatywami w sprawie Matthiasa. Teraz to on miał utrzymywać z klientem bezpośrednie kontakty, bo tak sobie życzyła. Zapowiedziała, że wszystkie rozmowy z gwiazdorem należy przełączać do biura Vica. Była zresztą tylko jedna i Francesce udało się jej uniknąć. Sama oddała się bez reszty innej pracy. W końcu Matthias znalazł ją jednak w domu.

- Twoja nieobecność rzuca się w oczy - powiedział obojętnym tonem i na dźwięk jego głosu uczucia, które Francesca zepchnęła do podświadomości, niebezpiecznie ożyły.

- Naprawdę? Jestem ostatnio bardzo zajęta - odparła, zdając sobie sprawę, że wypowiadała te słowa, jakby należały do roli teatralnej.

- Dlaczego przełączają mnie do tego bufona Brunninga? - spytał ze źle skrywanym zniecierpliwieniem.

- Mam na głowie bardzo ważną transakcję, a poza tym kieruję jeszcze kilkoma kampaniami. Nie mogę być wszędzie naraz - odparła przez zęby, czując wreszcie, jak powoli ogarnia ją wściekłość. Przecież ją zdradził, może nie? - Zresztą Vic jest bardzo kompe-

- tentny... - Nigdy nie przypuszczała, że przyjdzie jej powiedzieć coś takiego. - Czy masz jakiś kłopot?
- Nie lubię załatwiać interesów z bufonami.
 - Może wyjaśnij, co jest nie tak, jak powinno - powiedziała beznamiętnie, tłumiąc gniew.
 - Miałem zamiar prosić cię o to samo.
 - Powiedziałam już: jestem ostatnio zajęta, mam mnóstwo spraw.
 - Guzik prawda. - Nastąpiła długa chwila milczenia. Francesca zamknęła oczy. - Czy zjesz dziś ze mną kolację?
 - W Paryżu... Czy może nadal jesteś w Buckinghamshire? - wyrwało jej się. Poczula do siebie nienawiść za te słowa.
 - Och, rozumiem. - Westchnął dramatycznie i Francesca znowu poczuła falę gniewu. - To była fotka zrobiona dla rozgłosu, z pewnością nie taka, na jaką miałbym ochotę.
 - Szkoda, że świętek, w którym oboje się obracamy, jest tak mały - wycedziła.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Że nie wciśniesz mi czegoś takiego.
 - Pojutrze lecę do Monachium. Spotkamy się, kiedy wrócę.

I już go nie było.

Starannie odłożyła słuchawkę dziwiąc się, że ręka jej nie drży. Nie miała jednak wrażenia ulgi, jakiego się spodziewała. Była znużona, doskwierało jej osamotnienie. Czyżby wyczucie ją zawiodło?

Wyglądało bowiem na to, że zagrała złą kartą i w końcu tylko zadała sobie ból.

Zoe wpatrywała się w lśniącą biel umywalki. Miała mdłości, ale nic nie zwróciła, czuła tylko wyczerpanie, tak wielkie wyczerpanie, że chyba mogłaby zasnąć na stojąco. Przez chwilę opierała głowę o chłod-

na, pleksiglasową ściankę kabiny. Dolegliwość odczuwała dosyć długo i następnego ranka zamierzała wybrać się do tego miejsca, o którym powiedziała jej Sian. Nadal jednak to „coś” wydawało się niemożliwe, była przecież taka pewna, taka ostrożna. Wracając do biurka, przypomniała sobie, że obiecała Vico-wi posegregować dane dotyczące kampanii Matthiasa, w tej chwili bowiem wszystkie znajdowały się w jednej, przytłaczającej rozmiarami, tece. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest dobrze po piątej, Vic na pewno już do pracy nie wróci, ale tak czy owak rano będzie chciał zobaczyć gotową robotę. Zoe ciężko westchnęła i zdobyła się na uśmiech, bo jej stroskana twarz przyciągnęła uwagę Sian.

- Co się stało?

- Muszę zrobić parę rzeczy dla Vica, a zupełnie nie czuję do tego nastroju, tym bardziej że już niedługo czas do domu. - Znowu westchnęła.

Sian obserwowała przez chwilę jej twarz i odnotowała brak rumieńca, obecnego zwykle na policzkach. Zoe pobladła i stanowczo nie była sobą.

- Nic ci nie jest? - dopytywała się, unikając jednak zasadniczego pytania, które cisnęło jej się na usta.

- Lepiej chyba daj mi numer tej kliniki, o której wspominałaś - powiedziała Zoe ostrożnie, uciekając wzrokiem przed badawczym spojrzeniem przyjaciółki.

- Och, Zoe... - szepnęła Sian.

- Nie rozumiem... Byłam taka ostrożna. Przecież wiem, że nie mogłam zająć. - Poczula się całkiem zdezorientowana.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że brałaś pigułki codziennie? - sondowała Sian.

- Tak... Tak często sprawdzałam opakowanie, że mało nie dostałam zęza.

- Nie byłaś przypadkiem chora? Przy wymiotach,

na przykład, można zwrócić połkniętą wcześniej pigułkę.

- Nie, nie, na pewno nie - stanowczo odpowiedziała Zoe. - Ostatnio nie miałam kłopotów ze zdrowiem, oprócz tej historii z zębem.

- I wtedy brałaś antybiotyki, prawda? - spytała Sian, która powoli zaczynała rozumieć.

- Tak, a co? - Zoe dostrzegła spojrzenie Sian i poczuła, jak wszystko w niej zamiera.

- Czy stosujesz pigułki z obniżoną zawartością hormonów?

- Tak... ale do czego zmierzasz, Sian? - W jej głosie dała się słyszeć panika.

- Czytałam gdzieś, już wieki temu, że jeśli bierzesz antybiotyki, będąc na pigułce, to powinnaś jednocześnie stosować jeszcze inną formę antykoncepcji. - Spuściła oczy. - Przypuszczam, że antybiotyki osłabiają skuteczność pigułki.

- O, mój Boże! - Mówiąc te słowa, zastanawiała się jeszcze, czy nie mogła zdarzyć się pomyłka, czy nie jest po prostu chora, a mdłości, zmęczenie i zatrzymana miesiączka nie wiążą się z jakąś zarazą. W duchu jednak wiedziała to samo, co tysiące kobiet przed nią.

- Dam ci ten numer. - Głos Sian zabrzmiał, jakby dobiegał z oddali. - I mogę z tobą iść, jeśli chcesz.

- Nie, Sian, nie ma sprawy - powiedziała zdrętwiałymi wargami.

- Może pójdziesz do domu? Skończę za ciebie.

- Nie, nie mam ochoty iść do domu. - Poczuła, że łzy napływają jej do oczu, a wszystko wokół zaczyna tańczyć.

- Czy ktoś tu chce drinka? - wdarł się w ciszę głos Geoffa i Zoe gwałtownie się odwróciła. - Co ja takiego powiedziałem? - Sprawiał wrażenie urażonego.

- Ona się kiepsko czuje - pośpiesznie wyjaśniła Sian, kiedy Zoe znikła w gabinecie Vica.

- O, cholera... - zająknął się. - To zabrzmiało banalnie, ale są moje urodziny i pomyślałem, że może koledzy z pracy będą mieli ochotę się ze mną napić...
 - W jednej dłoni trzymał butelkę białego wina, a w drugiej parę kieliszków.
 - Oczywiście. I wszystkiego najlepszego, Geoff - powiedziała Sian, siląc się na radosny ton. Od czasu niefortunnego odwożenia do domu po przyjęciu Sa-muela Geoff schodził jej z drogi, jakby chciał okazać subtelność w stopniu niemal irytującym.
 - Prawdę mówiąc, ostatnio staram się raczej zapominać o urodzinach, ale niech tam! -1 wprawdzie nalał ochłodzonego wina do kieliszków.
 - Rozumiem, że nie wolno mi spytać, ile masz lat. Cicho westchnął i Sian stwierdziła, że bardzo mu współczuje.
 - Czterdzieści jeden, co do dnia.
 - Naprawdę? Nie podejrzewałabym cię o to. - Słowa były szczere i zostały nagrodzone wspaniałym uśmiechem.
 - Poczekaj chwileczkę, tylko zaniosę kieliszek Francesce.
 - Obawiam się, że jest zajęta, rozmawia przez telefon - zauważyła Sian.
 - Nieważne, wejdę tylko na sekundę... - powiedział kierując się ku zamkniętym drzwiom. - Myślałem, że wszyscy razem zjemy kolację i trochę poświatujemy.
 - Jęknął w duchu wiedząc, że Francesca, mimo powszechnie znanych cech, jest jego ostatnią szansą. Byli dobrymi partnerami w interesach, może nawet zaprzyjaźnili się, ale na tym wszystko się kończyło.
- Kiedy znikł w pokoju Franceski, Sian wzięła do ręki kieliszek i zniosła go Zoe, schylonej przed jedną z szaf na dokumenty stojących u Vica.
- Napij się i pozwól, że ci pomogę - powiedziała wolno.

- Dzięki. - Zoe nie uniosła jednak głowy i Sian westchnęła bezsilnie, widząc, że przyjaciółka płacze.
- Wszystko się ułoży, Zoe, będzie dobrze, zobaczysz. Zresztą jeszcze musisz się upewnić. - Obie jednak już wiedziały.
- Tak, tak... Po prostu nie chcę o tym myśleć, to wszystko. - Pociągnęła nosem, a Sian pomyślała, że w tej chwili Zoe nie wygląda na więcej niż czternaście lat.
- Ach, więc tu się chowacie... - Znowu Geoff. Przyjrzał im się i uśmiechnął się z przymusem. - Czy nie miałybyście ochoty pójść ze mną na kolację?
- Sian spojrzała zakłopotana. Kolacja z Geoffem była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.
- Zoe...? - Zerknęła na jej pochyloną głowę.
- Dziękuję bardzo, Geoff. Nie jestem w najlepszej formie.
- A ty, Sian? - Wyczytał wahanie z jej twarzy i poczuł się w obowiązku dodać: - Francesca musi tu jeszcze chwilę zostać, dojdzie później... Zastanawiałem się tylko...
- Wpadła w pułapkę. Mimo wszystko były jego urodziny, a nie wyglądało na to, żeby Francesca miała skorzystać z zaproszenia.
- Muszę załatwić jeden telefon... i chciałabym pomóc Zoe w zrobieniu porządku z tymi teczkami - powiedziała oględnie.
- W porządku, mamy mnóstwo czasu - stwierdził z przesadnym pośpiechem i wrócił do swojego gabinetu z kieliszkiem w dłoni, a Sian zastanawiała się, dlaczego w taki dzień, we własne urodziny, Geoff musi się zniżyć do zapraszania na kolację biurowej sekretarki.
- Fajny facet z -tego Geoffa - powiedziała nagle Zoe.
- Takie sprawia wrażenie - niechętnie przyznała

Sian, ale wolałaby, żeby to nie ona musiała zapełniać puste miejsce przy jego urodzinowym stole. Caroline przyglądała się, jak Nick przepycha się przez wczesnowieczorny tłok u Draymana. W lokalu było pełno ludzi reklamy, przede wszystkim od Sa-muelsa, i wciśnięto ją do samego kąta.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, kiedy znalazł się blisko.

- Nie szkodzi. Przyszłam zaledwie przed kilkoma minutami.

- Moglibyśmy coś zjeść. - Ktoś przeciskając się, popchnął Nicka na Caroline. Przez cienki materiał koszuli poczuł gorącą, krągłą jędrność jej piersi i po raz tysięczny zastanawiał się, dlaczego wśród tylu kobiet właśnie ta doprowadza go do takiego podniecenia.

- Ojej, mówiłeś, że idziemy tylko na drinka... - Jego oczy pociemniały, wyraźnie powiedziała nie to, co powinna.

- Spieszysz się do domu? - spytał oschle.

- Tylko dlatego, że nie uprzedziłam rodziców.

- Ile masz lat, Caroline? - rzucił napastliwie.

- Dwadzieścia trzy... - odparła ledwie słyszalnym głosem.

- Czy nie sądzisz, że już czas zacząć własne życie? A może po prostu wolałabyś być gdzie indziej i z kim innym? - Spozrzegł jej zakłopotaną minę i poczuł zniecierpliwienie.

- Przecież wiesz, że chcę być tutaj... - odparła i spojrzała na niego wielkimi, urażonymi oczami, ale nie udało jej się wywołać współczucia.

- Wobec tego zadzwoń do nich. - Caroline nie zareagowała, miał ochotę potrząsnąć nią jak szmacianą lalką.

- Czy chodzi o Guya? - spytał ostro.

- Nie. Sama nie wiem... - Cichutkie słowa zawisły w powietrzu, Caroline odwróciła oczy.
- Może lepiej zapomnijmy wobec tego o wspólnym spędzeniu wieczoru? - Przebrała miarę w zbywaniu go wymówkami.
- To wszystko dzieje się tak szybko. Chciałabym powoli się przyzwyczaić. - Zabrzmiało to błagalnie, ale wiedziała, że Nicka tym nie zadowoli.
- Do czego chcesz się powoli przyzwyczajać? Do mnie? Do myśli o powiedzeniu Guyowi? O powiedzeniu rodzicom? - rzucił zapalczywie i zaraz dodał: -Zmęczyło mnie czekanie, aż się zdecydujesz. Zmęczyły mnie twoje wymówki. Na miłość boską, czy to naprawdę taki problem spędzić ze mną wieczór? Czy tak bardzo zraniłabyś uczucia kochanego Guya? -Ciężko westchnął. - Nie możesz mieć wszystkiego, Caroline. W każdym razie nie ze mną.
- Nie chcę wszystkiego. Próbuję po prostu posuwać się do przodu krok po kroku - powiedziała z wyrzutem. Jej rodzice nigdy by tego nie zrozumieli. Guy też nie. Sytuacja była zupełnie jak z nocnego koszmaru, a ona wpadła w sam jej środek i tkwiła tam jak oszołomione dziecko.
- Właśnie o to chodzi. Nie posuwasz się ani o krok, a ja mam być szczęśliwy, że czasem spotykamy się na lunchu albo że wymkniesz się ukradkiem na szybkiego drinka po pracy. - Gwałtownie wciągnął powietrze, starając się nie ulegać zniecierpliwieniu i dobrać właściwe słowa. - To nie wystarczy, Caroline! - I przypomniał sobie, jak po przyjęciu tuliła się do niego w bezpiecznym schronieniu samochodu, a on pieścił wargami jej kark, ramiona, piersi.
- Przepraszam... - wyszeptała.
- Nie chcę, żebyś przepraszała. Chcę, żebyś coś zrobiła - powiedział zirytowany. Caroline czekała, żeby podsunął jej, co ma robić,

uwolnił ją od obowiązku podejmowania decyzji, a wtedy mogliby zacząć od początku. Tymczasem jednak odruchowo spojrzała na zegarek.

- Boże! - wykrzyknął łapiąc ją na tym.

- Przepraszam. - Znow strzeliła gafę. Zastanawiała się, czy w ogóle jest w stanie zrobić przy nim coś, co wypadnie zręcznie. Nick był jak obca planeta -dzika, nie zbadana, przerażał ją i fascynował jednocześnie. Caroline przestała pojmować, co się z nią dzieje.

- Na miłość boską, nie mów bez końca „przepraszam”... a jeśli późna godzina tak bardzo cię niepokoi, to lepiej idź. - Odwrócił się wściekły i rozczarowany, stwierdzając nagle, że ma sucho w gardle. - Idę zamówić drinka. Napijesz się ze mną? - Oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Przez krótką chwilę obserwowała oddalającą się postać, a potem utorowała sobie drogę w tłoku i znalazła się na ulicy.

Nick poczuł chłodny powiew od drzwi i spojrział w tamtym kierunku, tylko po to, by stwierdzić, że miejsce, gdzie stała Caroline, jest puste.

Poszli do Langana. Adam raz przyprowadził ją tutaj z okazji zdobycia nowego klienta. Sian wyrzuciła jednak to wspomnienie z myśli, kiedy Geoff, poprzedzany przez kelnera, prowadził ją do stolika przy oknie.

- Niech sobie tu będzie raj dla pozerów, ale ja lubię atmosferę tego lokalu - rzucił swobodnie i uśmiechnął się zachęcająco, jakby się bał, że Sian nagle zmieni decyzję i postanowi iść do domu.

- Znam ją - odparła - ale bardzo dawno już tu nie byłam. - Dostrzegła cię przebiegający po jego twarzy.

Geoff jęknął w duchu, wyczuł bowiem, że Sian myśli o „tamtym mężczyźnie”, o Ojcu Petie'ego.

- Nie wiesz, że siedzisz na miejscu, które dwa

tygodnie temu zajmował Michael Parkinson. - Było to nudziarstwo, ale wszystko jedno, żeby tylko jakoś przełamać zły nastrój. Chryste, przecież to jego urodziny!

- Nie znoszę Michaela Parkinsona - odpowiedziała wolno, ale w kącikach jej ust zamajaczył uśmiech, zrozumiała bowiem nagle, jak gigantyczne wysiłki czyni Geoff.

- Ja też. - Roześmiał się, prawie odprężony. Zatrzymał spojrzenie na twarzy Sian i uprzytomnił sobie, jak pociągająca jest jego towarzyszka, gdy się uśmiecha. - A teraz zamówimy szampana. Oboje już chyba do tego dojrzeliliśmy, a poza tym okazja wydaje się jak najbardziej stosowna.

- Masz urodziny, więc nie potrzebujesz dodatkowych pretekstów, prawda? - powiedziała cicho, napotykać jego wzrok.

- Chyba nie - odparł, z zaskoczeniem stwierdzając, że nie wytrzyma tej obserwacji i się czerwieni. Sian przyglądała mu się nadal, kiedy odwrócił się i skinął na kelnera. Zauważyła, że dłonie trzymające kartę win lekko drżą. Tak bardzo się starał, a w dodatku był samotny, miał urodziny, a ona omal nie kazała mu świętować w osamotnieniu.

- Krug Grandę Cuvee nigdy nie zawodzi... - powiedział Geoff jowialnie, odwracając się do Sian. Uderzyło go jej spojrzenie i lekki grymas na szerokich, ślicznych ustach. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby siedziała tu Francesca, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale Franceski raczej nie należało się spodziewać i nie miało to dla niego znaczenia. Nie teraz.

Powietrze było wilgotne, przesycone zapachem listopada, nad samą ziemią unosiła się nawet mgiełka, zmiękczająca kontury samochodów. Francesca zasta-

nawiała się przez chwilę, jak wypadną wieczorem sztuczne ognie. Omal nie zapomniała, że to piąty, dzień Guya Fawkesa. Nieznacznie pokręciła głową, wspinając się po marmurowych stopniach prowadzących do agencji Samuela. Jej ojciec zawsze pilnował przyjęcia i sztucznych ogni, jeśli tylko byli w Anglii. Mimo włoskiego pochodzenia, używał wtedy do woli. Przy tej okazji Li via schodziła na dalszy plan, ponieważ Michael nalegał, żeby ojciec urządził wszystko po swojemu. Livia stała więc na tarasie, ubrana w czarne futro, samotna i milcząca.

Francesca wysiadła z windy na szóstym piętrze. Lubiła tę część poranka, chwilę przed godziną szczytu, gwarem i natłokiem ludzi. Sian już siedziała za biurkiem. Francesca uniosła brwi, widząc jej pogodną twarz.

- Jeszcze jeden ranny ptaszek.

- To pomysł Petie'ego, nie mój. Zachciało mu się zbudzić o świcie - odparła Sian ze śmiechem.

- Jak ci się wszystko układa? - spytała Francesca, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

- Znakomicie... naprawdę... - odparła Sian, świadoma, że jest obserwowana.

- To dobrze - wesoło powiedziała Francesca i dodała: - Właściwie nie muszę pytać. Twoja twarz mówi tak wiele.

Sian z zaintrygowaną miną odprowadziła wzrokiem Francescę aż na próg jej gabinetu, ale szybko odsunęła ciekawość na bok, wyrwana z zadumy natarczym dzwonkiem telefonu. Interes zaczynał się kręcić wcześniej, ledwie starczało czasu na łyk kawy. Gdy tylko przełączyła rozmowę do Franceski, znów trzasnęły drzwi windy i zobaczyła kolektywnego naczelnego dyrektora. Oto szły dwa Michały, pajak i mucha, piękny i bestia. Sian uśmiechnęła się leciutko. Przecież mimo oczywistych różnic, Vic i Geoff zdawa-

li się dobrze rozumieć w pracy, przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz...

- Gdzie jest Zoe? - spytał Vic nadąsanym tonem, kierując spojrzenie na puste biurko swej sekretarki. Bez „cześć”, bez „dzień dobry”...

- Hej! - wpadł mu w słowo Geoff, zanim Sian zdążyła zareagować na burknięcie Vica. Dostrzegła jeszcze radosny błysk w jego oczach, kiedy przechodził do gabinetu, i dopiero później odwróciła się do Vica.

- Jeszcze nie przyszła - stwierdziła obojętnie. - Dziewiąta minęła dopiero przed chwilą. Odburknął coś niewyraźnie.

- Właśnie miałam dorobić kawy. Napijesz się? - Było to kłamstwo, ale Sian za wszelką cenę chciała rozproszyć niezadowolenie Vica, choć zarazem zastanawiała się, dlaczego po prostu nie poradzi dyrektorowi, żeby skoczył z najbliższego mostu do rzeki. Zimna kąpiel dobrze by mu zrobiła.

- Och... dziękuję - wybąkał i Sian omal się nie roześmiała, bo zabrzmiało to, jakby się tym słowem dławził. Wie, że go nie lubię, pomyślała, i nie może zrozumieć, czemu jestem dla niego taka uprzejma. Ja też nie. Ale zaraz westchnęła, bo przed oczami zamajaczyła jej twarz Zoe.

- Kiedy przylatują? - spytała Francesca, widząc że Geoff usiadł.

- Pojutrze. - Rock telefonował do niego z Amsterdamu. Wraz z Sanchezem chciał zakończyć podróż po Europie kilkudniowym pobytem w Londynie, a przede wszystkim przyjrzeć się z bliska agencji Samuela.

- Odbędziemy więc oficjalne spotkanie. Czy twoim zdaniem prezentacja osiągnięć firmy będzie z tej okazji na miejscu? - Naturalnie ludzie z Dunmar-Rock znali możliwości Samuela, ale montaż najnowszych reklam agencji wypadł wyjątkowo dobrze. Był

oryginalny i dynamiczny. Jeśli cokolwiek mogło tamtych zachęcić, to właśnie to.

- Oczywiście. Przecież chcą się rozejrzeć, zobaczyć, co z tego mogą mieć... Powinniśmy pokazać im efekty naszej pracy. - Geoff uśmiechnął się chytrze. - Ludzie z Dunmar-Rock dostali pierwszą nagrodę Klio od trzech lat, za reklamę tego futurystycznego biura, więc trochę nastroszyli piórka... Ale wiedzą, że nasz rekord, jeśli chodzi o nagrody twórcze, jest trudny do pobicia, nawet w skali światowej. Sądzę więc, że małe przypomnienie dobrze im zrobi; po prezentacji powinni być pokorniejsi.

- Świetnie. - Poczula przyływ optymizmu. Udało im się z tą wizytą przed odlotem Rocka i Sancheza do Nowego Jorku. Tym razem nie okaże irytacji bezczelnym zachowaniem protegowanego Rocka, będzie czarująca i postara się dograć wielki interes. Uśmiechnęła się leciutko. Może uda się uzgodnić i podpisać dokument w sprawie fuzji jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Tyle że oni chcą, by Henry był pod ręką - powiedział Geoff z ciężkim westchnieniem.

- A on jeszcze nie wrócił z Antyli, prawda? - Francesca pokręciła głową. Prawie zapomniała o istnieniu założyciela i prezesa agencji.

- Wrócił wczoraj wieczorem - powiedział ostrożnie Geoff. - Skorzystałem z okazji i zatelefonowałem do niego, żeby opowiedzieć, jak stoją sprawy. Spotkanie z Rockiem interesuje go dopiero po sfinalizowaniu fuzji, to znaczy po podpisaniu dokumentu o formalnym połączeniu.

- Musimy więc sobie poradzić bez niego... - odparła swobodnie. Rockowi Samuels mógł się wydawać ozdobą całości, ale tymczasem lepiej trzymać poczciwego Henry'ego na drugim planie, aż do chwili, gdy okaże się potrzebny jego podpis. Henry będzie przy-

netą. Poza tym ta fuzja była jej dziełem, i Francesca nie chciała, żeby ktoś zaglądał jej przez ramię, nawet w dobrej wierze.

- On wydaje się zadowolony z takiego stanu rzeczy

- dodał Geoff. - Zresztą ma już sześćdziesiąt dwa lata i wyraźnie chce sobie trochę odpuścić... - Geoff zaśmiał się bezgłośnie. Przez ponad sześć tygodni Henry zabijał czas, balując z nienasyconą blondynką, która mogłaby uchodzić za jego córkę. Rozpustny sukinsyn. - ...Tym bardziej że oddał agencję w dobre ręce

- dokończył, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Wazelina jest dobra na wszystko - zripostowała, odwzajemniając uśmiech, po czym spoważniała.

-Chciałabym dostać krótkie zestawienie liczb, o których dyskutowaliśmy... Nic się nie zmieniło.

- Nadal obowiązuje dwanaście procent wzrostu obrotów? - spytał.

- Nadal dwanaście procent - potwierdziła. Sanchez może dostać swoje pięćdziesiąt milionów, ale jej się też coś należy.

- W porządku, jak sobie życzysz - powiedział, wstając. - Lepiej zajmę się organizacją, a to zostawię tobie.

- Znakomicie - odparła, sięgając po słuchawkę. -Aha, Geoff, przepraszam za wczoraj, miałeś urodziny...

- Nie przejmuj się, Francesco. Spędziłem wyjątkowo miły wieczór - powiedział zagadkowo i znowu się uśmiechnął.

Z zaciekawieniem odprowadziła go wzrokiem, stwierdzając z wyrazu jego twarzy, że na horyzoncie pojawiła się kobieta. Geoff był fajnym facetem w dosłownym znaczeniu tego słowa i nie należał do ludzi znajdujących szczęście w samotności albo zadowolających się licznymi przygodami. Właściwie stanowi idealny materiał na męża, pomyślała Francesca z dyskretnym uśmiechem. A takich mężczyzn nie by-

ło wokół wielu. Życzyła jak najlepiej Geoffowi i tej kobiecie, kimkolwiek była. Ale kiedy drzwi się zamknęły, skierowała myśli na sprawę fuzji. Może rzeczywiście dobrze byłoby wydać elegancką, kameralną kolację, na przykład w hotelu Dorchester. Nie ma co oszczędzać, tym razem nie wolno ryzykować, stawka jest zbyt duża. Agencja Samuela zrobiła już wielki krok we właściwym kierunku, a do tego Francesce udało się utrzymać w niemal nie zmienionym kształcie agencję Gaetini-Kemp, jak z pewnością chciałby ojciec, który tę firmę stworzył. Od czasu zdobycia kampanii Matthiasa Samuels zajmował pierwsze miejsce w brytyjskim rankingu, ale żeby stać się siłą uznaną na całym świecie, potrzebował sieci Dunmar-Rock. Francesca nagle zorientowała się, że wciąż trzyma w dłoni słuchawkę. Wybrała numer, który jej brat zostawił przed dwiema godzinami, ale nikt nie odpowiadał. Poczula zniecierpliwienie. Michael pomyśli, zresztą słusznie, że zapomniała. Trudno. Szybko pozbyła się poczucia winy, bo przez najbliższe dwa dni w jej życiu nie było miejsca na myśli o Michaelu czy matce... O Matthiasie także...

- Ich zdaniem, jestem w dziesiątym tygodniu - powiedziała Zoe ledwie słyszalnym głosem.

- O Boże, Zoe... co teraz zrobisz? - Sian wpatrywała się w bladą twarz przyjaciółki.

- Nie mogę urodzić... To niemożliwe... Po prostu nie mogę - powiedziała jakby przekonując samą siebie. Lekarka była bardzo szybka, ale życzliwa, sprawnymi palcami stwierdziła wszystko, co potem miał wykazać test. Zoe czuła wielką gulę w gardle, w głowie dźwięczał jej krzyk: To nieuczciwe, to nie było uczciwe!

- Co właściwie powiedzieli ci w klinice? - spytała Sian.

Zoe uniosła głowę. Wyglądała mizernie, w jej błyszczących oczach czaił się lęk.

- Jeśli zdecyduję się na skrobankę, muszę iść na coś, co się nazywa konsultacją przedaborcyjną, chyba, by nabrać pewności, że wiem, co robię. - Głos jej się lekko załamał. - Jutro wieczorem. - Gdy tylko wyrwały jej się te słowa, przed oczami Zoe pojawił się obraz ojca, lojalnego sługi kościoła, członka rady miejskiej. Nieraz słyszała, jak nazywał aborcję morderstwem, a zawsze mówił to tak, żeby na pewno słyszała, zupełnie jakby potrząsał płonącym mieczem na oczach swego jedyne dziecko. Opuściła powieki, chcąc uwolnić się od tej wizji i w tej samej chwili wyrwał ją z zamyślenia brzęczyk telefonu. Drżącą ręką podniosła słuchawkę, wysłuchała oschłych instrukcji Vica i machinalnie odłożyła słuchawkę na widełki. Wiedziała, że o poinformowaniu go nie ma co myśleć, nic by nie zrozumiał, zaraz też przyszło jej do głowy w rzadkim i bolesnym przyptywie intuicji, że Vic poczułby tylko niesmak, a atrakcyjność Zoe spadłaby w jego oczach do zera, co uniemożliwiłoby jej utrzymanie posady u Samuela.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? - Głos Sian dochodził jakby z daleka.

- Nie, dam sobie radę. - Zoe przeniosła spojrzenie na twarz przyjaciółki. - Już postanowiłam i nic nie zmieni mojej decyzji - powiedziała stanowczo i ze znacznie większym przekonaniem w głosie niż w duchu.

- Jesteś tego absolutnie pewna? Czy nie sądzisz, że mogłabyś przynajmniej powiedzieć swojemu chłopakowi? - spytała łagodnie Sian.

- Nie - ucięła Zoe. - Nie chcę mówić nikomu, Sian, nikomu. - Nie życzyła sobie, by namawiano ją do przemyślenia decyzji, nie potrzebowała żadnych rad. Chciała tylko, żeby było już po wszystkim, żeby skończył się ten koszmar.

Sian patrzyła, jak Zoe odwraca się i z niezwykłą starannością zbiera papiery leżące przy biurku, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Chciała wrócić na swoje miejsce, ale powędrowała spojrzeniem do okna i białych chmur widocznych za nim. Ogarnęły ją wspomnienia. Może kochała Adama bardziej, niż powinna, bardziej niż Zoe swojego chłopaka... i może w swej naiwności myślała, że Adam stanie u jej boku, bo długo przecież snuła marzenia o wspólnym życiu w przyszłości. Ale to były tylko marzenia, zawiodła się na Adamie tak samo jak na sobie samej. Odczuła ból i pojawiły się wątpliwości, które wydawały się dawno minione. Czasem, teraz też, dziwiła się, jak zdołała przetrwać to wszystko, jak wytrzymała despotyzm Adama i jego nalegania, by zrezygnowała z ulubionej pracy, zanim wybuchnie skandal, a potem miesiące samotności, i jeszcze upokorzenie w szpitalu, kiedy nie przyszedł jej odwiedzić żaden mężczyzna oprócz ojca. A ojciec zjawił się z nareczem białych stokrotek; patrzyła na jego smutny uśmiech i płakała. Sian zaczęła gwałtownie mrugać, obraz uleciał, a ona pomyślała o Petie'em i poczuła przyływ macierzyńskiej miłości. Adam mógł ignorować ją, ale nie Petie'ego, to było okrucieństwo. A minęły już prawie dwa miesiące od jego ostatniego telefonu. Czyżby tylko ładna, śniada twarz i niewątpliwy męski urok tak ją odurzyły? Podejrzewała już bowiem, że pod tą efektowną powierzchownością nie kryło się nic godnego uwagi.

Bulbul. Caroline skrzywiła się. Z pewnością można było wymyślić lepszą nazwę. Wpatrywała się w podłużną, zgrabną puszkę, starannie pokrytą metalicznym, chabrowym błękitem, i pomyślała, że opakowanie kwalifikowałoby się do miana eleganckiego, gdyby nie było zwykłą, blaszaną puszką zawierającą

mdły napój. Ben autorytatywnie oświadczył, że ludzie zjedzą, wypiją i włożą na siebie wszystko, co ładnie wygląda, pod warunkiem że będzie to sprzedawane wystarczająco natrętnie i w odpowiedniej oprawie. Wróciła spojrzeniem do prawie pustej metryczki klienta, leżącej przed nią na biurku. W rubryki wpisano tylko zleceniodawcę, markę towaru i datę, a Caroline obiecała Benowi uzupełnić braki do następnego dnia. Westchnęła ciężko. Szef prawdopodobnie odniesie się do jej wysiłków bezceremonialnie, kiedy tylko położy na tym formularzu swoje tłuste paluchy. W tej chwili natomiast te same paluchy były niewątpliwie zajęte trzymaniem okazałego kieliszka wina i rozgniataaniem smakołyków z firmowej kuchni, przygotowanych na pożegnalne przyjęcie Diany. Oczekiwano tam również Caroline, która przypuszczała, że rzeczywiście się wybierze, jeśli tylko uda jej się wypełnić tę cholerną metryczkę i zaprzestać rozmyślania o Nicku Keoghu. Bo w tej sprawie wszystko popsuła, to jasne, zresztą Nick i tak miał chyba dość tej sytuacji. Znów westchnęła. Prawdopodobnie ich związek nie miałby szans, stanowili dwa różne światy, byli zbyt odmienni, „ulepieni z różnej gliny”, jak powiedziała matka, kiedy wykorzystując swą przymilność wyciągnęła z Caroline tyle, ile tylko mogła. Ale mimo tych pokrętnych uzasadnień pozostało uczucie niepokoju, coś jakby nieśmiałe pragnienie postawienia na swoim. Nic, co mówiła matka albo ktokolwiek inny, nie zmieniało przecież faktu, iż nikt dotąd nie obudził w Caroline takich doznań jak Nick, za każdym razem bowiem, gdy o nim myślała, ogarniało ją tak silne pragnienie, że doprowadzało ją niemal do utraty świadomości. Zamknęła oczy, zastanawiając się, czemu jest taka- miękka. Właśnie ostatniego wieczoru Guy, niewątpliwie namówiony przez matkę, wspomniał o zaręczynowym pierścionku, na co ona

nie zareagowała. Dziś wieczorem Guy miał po nią przyjść do agencji i odprowadzić po przyjęciu do domu. Prosiła, by tego nie robił, ale on nalegał i naturalną kolejną rzeczą ustąpiła. Taka jest miękka. Zatrzymała oczy na kartce i jej starannie zaprojektowanych rubrykach, potem obrzuciła spojrzeniem puste biuro i nagle uznała, że może wypełnić metryczkę później. Popracuje nad nią wieczorem w domu. Wstała i wsunęła papiery z powrotem do firmowej teczki Samuela. Przynajmniej zyska wymówkę, żeby nie zapraszać Guya do domu, co oznacza, że może znacznie ograniczyć spodziewane uściski. Lekko pokręciła głową. Dlaczego nie powie mu po prostu, że już nic do niego nie czuje, że nie znosi myśli o jego dotyku, że ich długi i nudny związek opierał się wyłącznie na przyzwyczajeniu i skończył się definitywnie? Wiedziała jednak, że nie zdobędzie się na to. Ruszyła w kierunku drzwi i odłożywszy rozmyślenia o Guyu na później, może nawet na następny dzień, skoncentrowała się na przyjęciu i najważniejszej w tej chwili sprawie: najprawdopodobniej był tam Nick. Opierał się leniwie o ścianę, trzymając kieliszek w dłoni. Był w niebieskich dżinsach i niebieskiej koszuli, a jego równie niebieskie oczy wyrażały zachwyt brunetką, z którą rozmawiał. Caroline ujrzała go zaraz po wejściu na salę i sięgnęła po kieliszek wina. Zauważyła, że drżą jej dłonie. Włączyła się do lekkiej rozmowy kolegów z zespołu, jednak ani na chwilę nie spuszczała oka ze smukłej, błękitnej postaci Nicka stojącego pod przeciwległą ścianą. W miarę upływu dręcząco długich minut i ubywania wina ze stale napełnianych kieliszków Caroline zaczęła pojmować, że Nick nie zamierza do niej podejść. Chce zachować dystans, jakby uznał, że zmarnował już na nią dość czasu. Ktoś wygłosił mowę, wręczono podarunki, a ona z ciężkim sercem biła bra-

wo, ciesząc się na pozór wraz ze wszystkimi, jakby nie działo się nic złego. Kiedy aplauz zaczął przycichać, Nick się poruszył. Caroline z ulgą przymknęła oczy, bo sądziła, że idzie do niej. On jednak minął ją, za nim przesunęła się brunetka i oboje zniknęli w drzwiach. Caroline tłumaczyła sobie, że nawet okropne chwile mijają, ale ta okropność zdawała się trwać bez końca, przenikała do jej wnętrza i zbierała się w żołądku jak ołów. Ogarnęło ją żalosne zdumienie, jak to możliwe, że stoi nieruchomo z kieliszkiem wina w dłoni i oficjalnym uśmiechem na twarzy... czekając na Guya.

Nick przyglądał się, jak Tina wolno zdejmuje z siebie ubranie. Myślała, że go podnieca swym prowokującym zachowaniem, on jednak pozostał bierny, jak widz na przedstawieniu. Pozwolił się uwieść, to było najłatwiejsze, ale teraz kusiło go, żeby powiedzieć po prostu, by wkładała szmaty i zabierała się do domu. Nikły uśmieszek przemknął mu po wargach, bo Tina odwróciła się do niego odziana jedynie w kuse, czerwone majteczki. Jej zwisające piersi kołysały się w zgodnym rytmie. Nick nie zamierzał iść na przyjęcie, ale w niezrozumiały dla siebie samego sposób znalazł się tam, jak zwykle, razem z innymi ludźmi, zwabionymi nadzieją na darmowego drinka i miłe chwile. Nie miał nic lepszego do roboty. Oczywiście, spodziewał się przyjścia Caroline i początkowo sądził, że Tina, przystająca obok i szczebiocząca coś, jest darem niebios. Miał paskudną satysfakcję z urażonej miny Caroline, kiedy wychodził z sali z Tiną sumiennie drepczącą jego śladem. Teraz jednak wszystko to wydało mu się bezsensowne. Nie zyskał nic, chociaż prawdę-mówiąc nic nie zyskał także na równie bezsensownym i przelotnym związku z Caroline, która bała się podjęcia decyzji, a zapewne i ob-

darzenia go zaufaniem. No, i swym zachowaniem okazał, że miała rację. Westchnął, zirytowany własną impulsywnością, ale przecież Caroline właściwie nie dała mu żadnego wyboru przez swe ciągłe wahania i skrupuły, bo on takich obciążeń nie chciał. Była zbyt wstydliwa, zbyt wrażliwa, zbyt uległa, a jej zahamowania miały zbyt wiele wspólnego z drobnomiesz-czańskim wychowaniem. Tego zaś nie potrzebował na pewno. Uświadomił sobie, że natrętne palce Tiny prześlizgują się po jego piersi, ale trwał w bezruchu, czekając na reakcję swego ciała, wiedział bowiem, że w końcu do niej dojdzie. Chciał jednak, żeby przedtem Tina solidnie się napracowała, nie pragnął przecież jej białego, napalonego ciała ani masy kasztanowych włosów kłębiących mu się na brzuchu. Właśnie gdy ta myśl nabrała kształtu, łapczywy język Tiny zdradziecko pokonał Nicka i zdobył dla niej zasłużoną erekcję.

- Słyszałeś chyba o metodzie łagodnej perswazji - powiedział Ed z rozdrażnieniem.

- Świetnie wiem, o czym mówisz - warknął Philippe. - Ale teraz zmieńmy temat, zgoda? - Odwrócił twarz w stronę widoków przesuwających się za szybą samochodu, na Piccadilly Circus, wrzącej masie ludzi i aut dławiących ulicę.

- W porządku, widzę, że cię wkurzam, ale chcę, żeby wszystko było jak trzeba. - Ed z lubością zaciągnął się cygarem nadnaturalnej wielkości i wolno wypuścił ustami chmurę dymu, która na moment przysłoniła mu twarz. - Zagrałeś już twardziela, teraz przyszła pora, by pokazać im, że tak naprawdę jesteś sympatycznym gościem, który - tak samo jak oni - zamierza dobić targu.

- Chcesz mi dyktować słowo po słowie, co mam mówić? - spytał sarkastycznie Philippe, a jednocześnie-

nie słyszał cichy szmer opuszczanej szyby. Ed myślał o wszystkim, nawet o tym, co zrobić z ohydny dymem cygara.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi, Phil. - Ed przymknął oczy, usiłując stłumić narastającą irytację. - Na miłość boską, dlaczego zawsze musisz zachowywać się tak cholernie bez sensu?

- Takim mnie zrobili, Ed. - Badawczo spojrzął na starego i znów odwrócił wzrok ku szybie, demonstrując tym gestem stanowczość, po której możliwe było już tylko milczenie.

Ed nie lubił takich spojrzeń, litościwych i bezlitosnych zarazem. Przywodziły mu na myśl zbyt wiele, budziły niebezpieczne wspomnienia. Czasem zastanawiał się, czy Phil rzeczywiście czuje do niego aż taką niechęć, jak to okazywał. Niekiedy w zachowaniu Phila odczytywał niemal nienawiść. Ed znowu wetknął cygaro do ust, nie chciał o tym rozmyślać. Najgorsze, że kochał tego sukinsyna, kochał nawet jego wrogość i ponury chłód w oczach. Odnosił wrażenie jakiejś dawnej straty, kiedy Phil przyglądał mu się w ten swój sposób. Ale było tam i ciepło, musiało być, bo przecież Philippe'a urodziła Rosa, mająca w sobie tyle ciepła, że niewiele kobiet mogłoby się z nią równać pod tym względem. Ed żałował, że była tylko Latynoską i gospodynią, inaczej mogliby się pobrać. Pod wpływem natrętnych wspomnień czoło pokryły mu głębokie bruzdy. Etta wciąż się jeszcze wtedy przy nim kręciła, usiłując wycisnąć z niego więcej zielonych tym swoim głupkowskim uśmiechem i rozbujaną ponad miarę wielką dupą. Ale wszystko kręciło się tylko dzięki Rosie, to ona utrzymywała go przy zdrowych zmysłach. Naturalną kolejną rzeczą najpierw delectował się jej kuchnią, potem również wspaniałym ciałem, tak chętnym do dawania i otrzymywania rozkoszy. Poczul wewnętrzne ciepło na to

wspomnienie i rzucił okiem na młodego człowieka siedzącego obok. Chłopak Rosy. Phil był wszystkim, co Ed miał.

Prezentacja osiągnąć poszła dobrze. Geoff zaskoczył Francescę refleksem, poczuciem humoru i swobodą, z jaką namawiał do rozciągnięcia amerykańskiego rynku na Wielką Brytanię i całą Europę. Rock był wyraźnie pod wrażeniem jego wywodu, ale Sanchez zachował dystans, nawet podczas lunchu, również pomyślanego pod kątem wywołania wrażenia. W pewnej chwili Francesca dała umówiony znak, światła w sali przygasły i na ekranie pojawił się montaż nagrodzonych reklam agencji. Wiedziała, że nie ma wśród nich żadnej miernej, żadnej, która nie reprezentowałaby najwyższego poziomu artystycznego, z wolna stającego się firmowym znakiem Samuela. W tej dziedzinie nie ustępowali nawet takiemu gigantowi jak Saatchi. Francesca uśmiechnęła się triumfalnie: każdy ma swój dzień.

- Fantastyczne - powiedział z entuzjazmem Rock, kiedy podano kawę.

- Miło mi, że się panu podobało - odparła Francesca.

- Zakładam, że wasza błyskotliwa twórczość prowadzi do całkiem wymiernych wyników - ostrożnie odezwał się Sanchez.

- O tak - swobodnie odrzekła Francesca. - Weźmy na przykład Stempel China and Glass. To wielka firma, ale nie doceniana, a jej image'u stanowczo nie można nazwać dynamicznym. Kampanię zaczęliśmy w prasie, potem włączyliśmy i telewizję. Prawie od razu zmienił się stosunek do firmy. Akcje Stempel China and Glass poszły w górę, a do rejestru akcjonariuszy przybyło ponad dziewięć tysięcy nazwisk.

- Czy mam rozumieć, że specjalizujecie się w bo-

gatyh klientach? A co z mniejszymi firmami? - Philippe stwierdził, że prowadzi z Francescą walkę na spojrzenia, ona bowiem niezmiennie patrzyła mu prosto w oczy.

- Staramy się próbować wszystkiego, panie Sanchez... Uważamy, że możemy uczynić naszą specjalnością absolutnie wszystko. - Miała go jak na widelcu, wyraźnie się zainteresował. Tylko odgrywał twardziela. Poczwała ulgę. Ciężko będzie pracować z tym sukinsynem, nie ma dwóch zdań, ale przynajmniej jest bystry i ambitny, no i oboje będą dążyć do tego samego celu.

- Oczywiście, ciągle mówimy o tej samej sumie... - Uśmiechnął się z nieznacznym grymasem i Francescą odpłaciła mu tym samym.

- Oczywiście. - Skierowała się ku drzwiom. - Może będziemy rozmawiać dalej w sali konferencyjnej naprzeciwko...

Philippe obserwował jej ruchy, zachęcony do tego delikatnymi poruszeniami ciała widocznymi pod czarnym kaszmiem. Od dawna już nie pragnął kobiety, teraz jednak uświadomił sobie, że tej właśnie pragnie i bardzo mu się to nie spodobało. Onieśmiało go takie mnóstwo walorów w jednej osobie: Francescą była zbyt pewna siebie, zbyt doskonała, a jego wychowano w przekonaniu, że to on trzyma karty atutowe.

- Zgoda na pięćdziesiąt milionów od ręki - powiedziała Francescą neutralnym tonem. - Naszym zdaniem, pozostałe dwadzieścia pięć milionów zależy od dwunastoprocentowego wzrostu obrotów w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

Zapadła cisza.

- W porządku - odparł w końcu Philippe i usłyszał, jak stary westchnął. Miał wprawdzie nadzieję na dziesięć procent, ale dostają przecież żądane pięć-

dziesiąt milionów od razu. Nie miał więc innego wyjścia jak z wdziękiem ustąpić i zapewnić nieco szybszy wzrost dochodów, niż planował. Nieważne! Czy to nie Phil dyrygował robotą, która przyniosła im nagrodę Klio? Czy nie on namówił Pizza Pałace do powierzenia im reklam za osiemdziesiąt milionów, w dodatku pod nosem konkurentów z Orwell-Stein? I to on również przejechał się po starej gwardii agencyjnej, po zwiędłych buddach, którzy żyjąc z odsetek od zasług utrzymywali ciepłe posadki dzięki wiernym, statecznym, choć nie dającym wielkich dochodów klientom. Zamiast nich wprowadził młodych, agresywnych twórców prosto ze szkół artystycznych. Przewietrzył agencję, z której jechało już stęchlizną. Ed za długo celebrował jednokierunkowe myślenie. Ale przecież stary ma swoje lata i nie chce podejmować żadnego ryzyka.

- To świetnie - powiedziała Francesca, nie zmieniając tonu. Łatwo poszło. Przez chwilę zastanawiała się, w co teraz zagra Sanchez, ale stwierdziła, że po prostu dostał to, czego sobie życzył, i stać go na hojność. Musiała się jednak upewnić, że o to właśnie mu chodziło. - Szczegóły uporządkuję i włączę do brudnopisu umowy. - Zwróciła się z kolei do Rocka: - Czy chciałby pan zaproponować termin podpisania?

- Proszę mówić do mnie Ed - poprawił ją z uśmiechem. - Przecież wszystko wskazuje na to, że interes zostanie w rodzinie.

Philippe drgnął.

- Może dwudziestego grudnia...? To dobry czas na świąteczny prezent. - Stary roześmiał się i Francesca nie mogła się oprzeć chęci zawtórowania mu. A prezent zapowiadał się naprawdę okazale: udziałowcami agencji Dunmar-Rock było około stu pięćdziesięciu pracowników, w tym sam Rock był posiadaczem dwudziestu procent akcji. Transakcja miała go znacznie

wzbogacić. Nawet Sancheza, dysponującego niespełna procentem, czekały duże pieniądze. Poza tym jego firma łączyła się z najbardziej twórczą brytyjską fabryką reklam. Po obu stronach Atlantyku robiono dobry interes.

- Podoba mi się ten pomysł. - Zwróciła się do Geoffa. - Może postaramy się o szampana? - Geoff uśmiechnął się i skinął głową. Wszystko było zaplanowane: trzy butelki Roederer Cristal chłodziły się w barku Franceski, czekając na wielką chwilę. Instykt jej nie zawiódł i po wyjściu z sali konferencyjnej Geoff zadał sobie pytanie, czy Francesca kiedykolwiek się myli.

- Mam nadzieję, że zostaniecie do wieczora i zjecie ze mną kolację - odezwała się, gdy Geoff cicho zamknął za sobą drzwi.

- Oczywiście - machinalnie odparł Sanchez.

- Bardzo bym chciał... - powiedział Ed, kręcąc głową - ale zdaje się, że te wszystkie podróże zaszkodziły moim starym kościom. - Wydawało się, że smutek z powodu nieuniknionego zasnuwa mu twarz. Stary poczuł na sobie pełne zażenowania spojrzenie Phi-lippe'a.

- Dobrze się czujesz? - spytała Francesca, uświadamiając sobie, że Rock ma ponad siedemdziesiąt lat.

- Tak, tak... ło prostu się zmęczyłem, to wszystko. Ale ty i Philippe idźcie, mnie nic nie będzie.

- Czy naprawdę wszystko w porządku, Ed? - Tym razem zainteresował się Philippe. Przenosząc wzrok z twarzy Franceski na swojego protegowanego Ed ukrył uśmiech. Miał ochotę powiedzieć: „Nie wiedziałem, że cię to obchodzi...”.

Konwersacja dobiegła końca, bo Geoff wrócił z szampanem na tacy. Philippe jeszcze przez chwilę uważnie przypatrywał się staremu. Odmowa uczest-

nictwa w kolacji, a już z pewnością tej kolacji, nie pasowała do Eda. Może rzeczywiście był zmęczony... a może coś knuł. Philippe odegnał tę myśl, nie było czasu na zastanowienie, ale w końcu dojdzie prawdy; zawsze tak było.

Niezupełnie tak to planowała. Wyobrażając sobie tę kolację, widziała na niej Rocka i Sancheza razem. Stary rozluźniłby napięcie. Został jednak tylko Sanchez. Francesca jeszcze nie wyrobiła sobie opinii o nim; nie mogłaby powiedzieć, że go lubi albo nie. Był chłodny, bystry i był też nieprzenikniony. Ode-rwawszy wzrok od dna szklaneczki z mieszaniną dżinu i toniku, zobaczyła, że Sanchez nadchodzi wzdłuż baru. Uznała, że jeśli pominąć lodowaty wyraz oczu, partner Rocka ma bardzo dobrą prezencję. Nagle ucieszyła się, że wybrała na tę okazję bardziej kokieteryjny niż zwykle strój: obcisła sukienka z aksamitu

O barwie mchu wydawała się idealna. Może pan Sanchez odrobinę stopnieje, pomyślała z uśmiechem. Gdy jednak podszedł bliżej i ujrzała jego twarz, złała się za tę zarozumiałą myśl. Sanchez był chłodny

I panował nad sobą. W dodatku przypomniła sobie cierpką opinię Aidana na swój temat: królowa śniegu. Philippe zatrzymał się, więc w milczeniu wstała, zastanawiając się, czy prawem akcji i reakcji nie spotkała teraz króla śniegu. Oczy miał jak z żółtego szkła.

- Chyba się nie spóźniłem? - zapytał, gdy usiedli.

- Nie, to ja przyszedłam trochę wcześniej.

Przez pierwsze pół godziny rozmowa o niczym była ciężka. Francesca widziała przed oczami postać Matthiasa i zastanawiała się, po co tu siedzi z tym trudnym człowiekiem, ale wnet zapanowała nad tęsknotą. Teraz liczyła się fuzja, do której dochodziło dzięki temu, że Sanchez zgodził się na dwanaście procent.

Ojciec byłby zadowolony i odbyłby tę kolację, przypominającą celebę, bez mrugnięcia okiem. Od dawna już Francesca uważała, że gdyby była mężczyzną, wszystko byłoby łatwiejsze... Chyba tak? Ale w miarę upływu czasu Sanchez zaczął się odprężyć i Francesca poczuła, że również ona uwalnia się od sztywności w karku. Może mimo wszystko Sanchez miał jakieś ludzkie cechy?

- Jak zaczęłaś zajmować się reklamą? - Znał z góry odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od Franceski.

- Przez ojca. Był właścicielem agencji Gaetini & Kemp, prowadziłam ją przed przyjściem do Samuela.

- Zanim odezwała się znowu, zapatrzyła się w kieliszek

- Ojciec zmarł, kiedy miałam siedemnaście lat, mnie i bratu zostawił jednakowe udziały. Zawsze chciał, żeby przynajmniej jedno z nas zajęło się interesami.

- A co z twoim bratem? - Zauważył cień w jej oczach i zdziwił się.

- Zajmuje się dość kosztownymi antykami, to znaczy zajmował się... - Michael. Wyleciał jej z pamięci równie szybko, jak znikł z jej życia, ale przecież na pewno wróci po coś... choćby po pieniądze.

Widocznie poświęcała mu za mało uwagi. Głęboko odetchnęła, usiłując się skupić. - Tak czy owak, reklama wydawała mi się najnaturalniejszą rzeczą na świecie, a że również chciałam się nią zajmować, więc przeszłam staż w GK pod okiem niezmiernie życzliwego i cierpliwego naczelnego dyrektora, który wycofał się natychmiast, gdy uznał, że dam sobie radę sama.

- Co stało się raczej szybko...

- A ty? - spytała, ignorując komplement, pragnęła bowiem jak najszybciej zmienić kierunek tego przesłuchania.

- Ja? - Omal się nie roześmiał. - Mój marsz ku potędze w granicach świętego królestwa Dunmar-Rock jest żywcem wzięty z komiksu... - Powoli obrócił

kieliszek w dłoni. - Ed zobaczył we mnie coś, czego nikt inny wcześniej nie dostrzegł, i wyciągnął mnie z mroku na światło dzienne. - Była to niemal prawda.

- Miałeś... no, trochę więcej niż łut szczęścia - powiedziała cicho i dostrzegła, jak oczy nagle mu matowieją. Domyśliła się, że nie powiedział wszystkiego.

- Och, Ed lubi się czasem bawić w filantropa, a biedny latynoski szczeniak, który być może okazał trochę bystrości, ale nie miał szansy na miejsce w zarządzie, stanowił idealny materiał. - Próbował zatrzeć gorycz tych słów, ale wiedział, że Francesca ją wyczuła.

- Sprawia wrażenie, że bardzo cię lubi.

- Ed zawsze wywołuje takie wrażenie. - Podniósł głowę, skrzyżował z nią spojrzenie i spokojnie znosił dalszą obserwację.

- Czy masz rodzinę?

- Żadnej... Tylko gromadkę przyrodnych braci. - Uśmiechnął się. - Oni sądzą, że zostanę pierwszym latynoskim prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej... - Łagodnie pokręcił głową i napełnił kieliszki. Zaczynała mu się podobać ta kolacja. I nie miał nic przeciwko dociekliwości Franceski; czuł, że już sobie z nią poradzi. Na razie podjął wyzwanie do walki na spojrzenia, przebiegł wzrokiem po twarzy i włosach przeciwniczki i zatrzymał go na śniadej szyi, w miejscu, które stykało się z lśniąca zielenią aksamitu.

- A twoi rodzice? - Może nie powinna była pytać, ale wyważone odpowiedzi budziły w niej coraz większą ciekawość.

- Ojciec zabił się wiele lat temu, prowadząc ciężarówkę. Nie znałem go. - Skłamał, ale nie miał zamiaru ze wszystkiego się przed nią spowiadać, nie życzył sobie wspomnień o Edzie w żadnej postaci. - A matka zmarła na atak serca, po napadzie.

- O Boże, przepraszam.

- Nie żartowałem, mówiąc, że mój marsz ku potędze w granicach świętego królestwa Dunmar-Rock jest wzięty wprost z komiksu... banalnego komiksu. Matka była sprzątaczką, pojmujesz chyba, że jest to profesja masowo uprawiana przez Latynosów i czarnych. Zaczynała pracę wcześniej rano, kiedy jeszcze panował mrok. Była sama, kiedy to się stało, chyba zresztą cudem tylko nie zdarzyło się wcześniej. - Philippe miał wtedy dziewiętnaście lat i był w agencji Dunmar-Rock takim samym gońcem jak wielu innych. Biegał załatwiać proste sprawy, robił herbatę, przynosił pocztę. Nie zastanawiał się nad przyszłością, surowe ziarna ambicji dopiero zaczynały kiełkować w jego świadomości. Mieszkał z matką, cieszyło go jej gderanie i narzekanie, gdy wracał do domu późnymi wieczorami, cieszyły gorące, ostro przyprawione posiłki, podawane na stole z obrusem w biało--czerwoną kratę, cieszył znajomy zapach matki, pochodzący z tanich pachnideł, których wciąż jeszcze używała, choć dawno przestała efektownie wyglądać. Miał czasem ochotę kogoś zabić, i ta ochota dotąd go nie opuściła, a to dlatego, że nigdy nie był w stanie wynagrodzić jej tego, co straciła, co nie zdarzyło się, choć mogło. Nie zdążył zastąpić jej tanich pachnideł aromatem z efektownego flakonu kupionego za dwieście dolarów na Piątej Alei. Pociągnął długi łyk wina. - Nieważne, to wszystko było cholernie dawno. -Rock usłyszał w agencyjnym maglu o tragicznej śmierci Rosy Sanchez i poszedł po rozum do głowy. Wprawdzie minęło prawie dwadzieścia lat od czasu, gdy była jego gospodynią, ale pamiętał o tym, a Philippe chciał zapomnieć. Rosa bowiem opowiedziała synowi wszystko o swym dawnym pracodawcy, który miał teraz jemu pomóc. Na Philippe'a padł życzliwy wzrok Rocka. Zaczęło się od zapłaty za pogrzeb, po-

tem nastąpiło terminowanie. Philippe wszedł do wąskiego kręgu ulubieńców, wreszcie pojechał na studia do Harvardu. Rock uśmiechał się szeroko. Dopiero po kilku latach Philippe dowiedział się, dlaczego.

- Nie powinnam była pytać. - Ale Francesca nie umiała się powstrzymać przed zadawaniem pytań, nawet jeśli sprawiały komuś ból. Cicho westchnęła.

- Nie sędzę, żeby twoja matka musiała brudzić sobie ręce sprząając u obcych. - Znał odpowiedź, ponieważ wcześniej to sprawdził, tak samo, jak sprawdzał wszystko.

- Rzeczywiście nie. Najprawdopodobniej nie wiedziałyby nawet, jak to się robi.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Czy to miło urodzić się w czepku? - Jakże często przeklinał z zazdrością towarzystwo z Harvardu i Yale, do którego nigdy tak naprawdę nie wszedł, i bogatych, zblazowanych, uprzywilejowanych absolwentów prywatnych szkół.

- Nie zawsze to tak przyjemne i proste, jak się wydaje.

- Ale zawsze pomaga.

- Naturalnie. - Przez chwilę przyglądała się twarzy Philippe'a: szerokim ustom, kształtnemu nosowi, czołu naznaczonemu inteligencją... Zastanawiała się, czy jej pierwsze wrażenie było słuszne i czy ten człowiek naprawdę może krzywdzić swą agresywnością. - Robi się późno.

- Odprowadzę cię do domu. - Wstał i dopiero teraz Francesca zwróciła uwagę na jego wysoki wzrost.

- Dziękuję, ale przed lokalem czeka na mnie samochód.

- Wobec tego do zobaczenia podczas podpisywania umowy.

Wyciągnąwszy do niego rękę, poczuła chłód gładkiej, długiej dłoni. Spoglądała w stare-młode oczy

i usiłowała wyobrazić sobie Sancheza jako chłopca, ale jej się nie udało.

Philippe patrzył za nią. Przypomnił sobie inne miejsce, inny czas. Miał wtedy siedemnaście lat i wydawało mu się, że jest zakochany w portorykańskiej tancerce o imieniu Carlotta. Śmiała się wprawdzie z jego adoracji, ale pocałowała go... raz... i na zawsze już pozostanie mu w pamięci smak jej grubo położonej różowoczerwonej szminki, płynny, zmysłowy ruch pośladków i masa czarnych jak smoła włosów, które otaczały twarz rzeźbioną chyba przez bogów. Była podobna do Franceski. Z trudem przełknął ślinę, a potem dopił wino. Czas na niego, Ed będzie czekał. Założyłby się o tysiąc dolarów, że znajdzie tego starego sukinsyna siedzącego w łóżku z wielkim hawańskim cygarem w jednej ręce i szklaneczką whisky w drugiej. Będzie chciał, żeby mu powtórzyć każde słowo, ale tym razem dozna rozczarowania. Philippe nie miał nastroju do przesłuchań. Westchnął ciężko, stwierdzając nagle, że pragnie kobiety. Miał nawet przy sobie numer pewnej dobrej agencji towarzyskiej, wiedział jednak, że nie zrobi z niego użytku, w każdym razie nie zaraz. Pragnął bowiem tylko jednej kobiety, która była niedostępna dla niego, choć niewiele brakowało. Zawsze jednak wiedział, gdzie kończą się jego możliwości. Był jak samotny basior wyjący do księżyca. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko, dokładając pięć-ciofuntowy banknot do napiwku. Udała się ta kolacja.

- Kiedy idziesz do kliniki? - spytała cicho Sian, kiedy Zoe postawiła filiżankę kawy na jej biurku.

- W przyszłym tygodniu. - Nie chciała myśleć o tym, co ją tam czeka. Kobieta, u której była na konsultacji, okazała wiele zrozumienia i nawet nie bardzo nalegała na zmianę decyzji, co Zoe przyjęła

z ulgą. Nie miała przecież wyboru. Wpatrzyła się nie widzącymi oczami w skrawek nieba za oknem. Bez względu na to, które wyjście by wybrała, ojciec napiętnowałby ją - jako dziwkę albo jako morderczynię. Zamknęła oczy. Musi się też liczyć z pracą. Z Vikiem. No, i z resztą życia.

- Gdybyś chciała, bym ci jakoś pomogła... - Sian niezręcznie zawiesiła głos. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. To straszne, kiedy podejmuje się taką decyzję samotnie, tak jak Zoe, zresztą matka-natura nie daje zbyt wiele czasu na roztrząsania. Sian patrzyła na nieruchomy profil i zastanawiała się, dlaczego przyjaciółka z takim uporem wzbrania się przed zwierzeniem się swojemu chłopakowi. Może boi się, że go straci? To oczywiście świadczyłoby, że jest wart porzucenia, ale Zoe miałaby prawdopodobnie odmienny pogląd. Może przeżyła tylko krótką przygodę, co wyjaśniałoby jej powściągliwość. Sian pomyślała o Adamie. Zastanawiała się, ilu mężczyznom na świecie zdarzyło się wykorzystać kobietę, a potem odejść swoją drogą. Bez oglądania się, bez żadnych pytań.

- O czym tak dumasz? - spytał wesoło Geoff, wychodząc z biura Franceski.

- Przykro mi, Geoff, ale to zbyt osobiste myśli, by je zdradzać. - Mimo to uśmiechnęła się. - Pewnie powinnam zaliczyć błyskawiczny kurs niefrasobliwości.

- Zrobię coś w tej sprawie jutro wieczorem - powiedział z uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, znikł u siebie w gabinecie.

Sian patrzyła za nim wciąż zaskoczona, że przyjęła drugie zaproszenie na kolację. Do Geoffa pasowało określenie Zoe „fajny facet”, poza tym miał wiele uroku, opiekuńczości, był wspaniałomyślny. Wszystko to budziło w niej poczucie winy, bała się bowiem, że

może Geoffa zranić, bo, o dziwo, jest wrażliwszy niż ona. Czasem zastanawiała się, czy nie ukryła swych uczuć zbyt głęboko, by móc je teraz odnaleźć, bo odnosiła jedynie wrażenie wewnętrznego odrętwienia. No, i był jeszcze Adam, którego twarz pojawiała się w jej wyobraźni z bezlitosną regularnością, choć nie chciała o nim myśleć. Cokolwiek by powiedzieć, Geoff potrafił wywołać jej śmiech, Adam nawet nie próbował.

Było późno, mimo iż obiecała sobie wczesny spoczynek. Francesca naląła do kubka gorącego, słodzonego mleka i dodała spory kieliszek brandy. Był to niezawodny środek ojca na bezsenność. Pomyślała ze smutkiem, że długich, niespokojnych nocy musiał przeżyć wiele. Przypomniały jej się lata, kiedy to zaczęła rozumieć sytuację w domu. Odkryła, że lodowate milczenie między rodzicami przerywają tylko burzliwe kłótnie, że ich związek jest właściwie prymitywną atrapą małżeństwa - z oddzielnymi pokojami i wielodniowymi nieobecnościami ojca, którego za każdym zniknięciem podejrzewała o definitywne opuszczenie domu, rządzonego przez matkę. Jednak wracał. Francesca odpędziła od siebie tę myśl i przytknęła kubek z mlekiem do warg. Płyn był za gorący, więc odstawiła naczynie na biały blat i wtedy ciszę rozdarł przenikliwy dźwięk dzwonka. Nieco ciaśniej ściągnęła luźne fałdy białego szlafroka i przeszła przez hol do frontowych drzwi. Spojrzenie przez wizjer ujawniło jedynie, że mężczyzna jest blondynem. Pomyślała o Michaelu, ale kiedy otworzyła drzwi, ujrzała na progu Matthiasa, przesywającego ją spojrzeniem.

- Przejeżdżałem obok, więc pomyślałem, że wpadnę... - powiedział cicho, krzywiąc usta w kpiącym uśmiešku.

- A Monachium? - spytała, próbując za pomocą nawiązania do interesów rozproszyć pragnienie, które widok Matthiasa wywołał.

- Monachium to już przeszłość. Powinienem być w Paryżu, ale uznałem, że wolę Londyn. - Blade, sugestywne oczy mówiły tak wiele. - Czy mogę wejść?

Otworzyła drzwi na oścież, zastanawiając się, dlaczego nie każe mu iść do diabła, tak jak planowała. Było późno, czuła się zmęczona, a on za wiele sobie wyobrażał. A mimo to poddała się jego woli, co musiał przewidzieć.

- Przyszedłeś porozmawiać o kampanii i o reklamie? - zapytała, nie patrząc na niego. Skierowała się do barku stojącego w gabinecie.

- Gdybym chciał, mógłbym się wszystkiego dowiedzieć od tego bufona Brunninga... Wiesz, że nie dlatego przyszedłem. - Wziął od niej kieliszek koniaku, obiegi wzrokiem pokój i znowu popatrzył na nią.

- Więc dlaczego? - Na nieszczęście przypomniała sobie „życzliwość” Vica i zdjęcie z „Mail”: przewrotny uśmiech, ramię prowokacyjnie otaczające plecy córki króla Fleet Street, sir Richarda, bardzo mocno wycięty dekolt drogiej Melissy, naprawdę niewiele pozostawiający wyobraźni... Upiła duży łyk koniaku, czekając, aż alkohol rozgrzeje jej ciało i przyniesie uspokojenie. Skorzystawszy ze śladu nachalnie podsuniętego jej przez Aidana, dowiedziała się wszystkiego, co było jej potrzebne, nawet tego, że do rodziny sir Richarda należy zamek, gdzie Matthias ją uwiódł. Tę pannę z towarzystwa widywał już od kilku miesięcy, zresztą nie ją jedną.

- Chciałem cię zobaczyć... Czy to nie wystarczy? Słowa trafiły w próżnię, nie chciała odpowiedzieć. Ale Matthias podszedł tak blisko, że poczuła jego

zapach, mocny, męski, który przyprawił ją o zawrót głowy.

- Jestem zmęczona... Naprawdę bardzo zmęczona - powiedziała w końcu.

- Czy z powodu tego ślicznego zdjęcia? - spytał znużonym głosem.

- Nie mam ochoty na takie rozmowy - powiedziała cicho.

Ale on ujął jej podbródek i dłonie zaczęły podążać wzdłuż ramion, tak że szlafrok zaczął się zsuwać, aż w końcu opadł. Przeniknął ją dreszcz. Czując, że usta Matthiasa znalazły jej piersi, zacisnęła powieki i odchyliła głowę w milczącym cierpieniu. On myśli, że może uwieść cały świat, że nic, co żyje, nie oprze się jego złotym palcom. Przytuliła Matthiasa, pogłaskała go po głowie, delikatnie muskając blond kosmyki, a potem rozpaczliwie odepchnęła.

Wyprostował się i patrzył, jak Francesca naciąga biały szlafrok, żeby przykryć nagość. Na jego twarzy zamajaczył smutny uśmiech.

- Czemu to robisz?

- Nie mam innego wyjścia. Westchnął ciężko.

- Dlaczego chcesz mieć wszystko? - W zakłopotaniu zmarszczył czoło.

- To nie ja chcę mieć wszystko, tylko ty.

- Potrzebowałem jej, potrzebne mi były kontakty.

- I tak samo było ze mną... Stanowiłam część interesu, prawda? - stwierdziła sarkastycznie.

- To nie było tak...

- To było piękne... Pamiętasz? - powiedziała z pogardliwym uśmiechem, chcąc mu dopiec jego własnymi słowami.

- Czy nie sądzisz, że można iść do łóżka z jedną osobą, a kochać inną?

- Och, nie częstuj mnie banalnym usprawiedliwie-

niem sławnego, chutliwego mężczyzny. - Poczula gniew, którego wcześniej nic nie zapowiadało. On dotykał tamtej... tamtych... w taki sam sposób jak jej, Franceski, pieścił je w ten sam doskonały sposób, pokazywał im te same sztuczki... A miał przy tym dar przekonywania, że każdy gest, każde dotknięcie jest przeznaczone tylko dla ciebie. Zacisnęła pięści. - To się nazywa niepohamowanie... inaczej mówiąc: chęć posiadania wszystkiego.

- A ty nigdy nie chciałaś osiąść wszystkiego, nigdy nie próbowałaś? - Tym razem to jego słowa były przesycone sarkazmem.

- Nigdy nie uważałam się za natchnioną prorokinię, „nowego człowieka”, który chce zmienić świat!

- Nie ja przyczepiłem sobie taką etykietkę...

- Ale nigdy jej nie odczepiłeś... Uwielbiasz ją, zachwyca cię jak cholera! - Pokręciła głową. - Nabrałeś mnie! - Jej głos był teraz cichy, zmęczony. - A ja ci ufałam, i to jest takie smutne, cholerna idiotka...

- Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Tysiące ludzi, młodych ludzi chce ci ufać i prawdopodobnie ufa, a ty zamierzasz ich oszukać. - Tak jak mnie. Tak jak wszyscy inni przed tobą... miażdżąc złudzenia, burząc marzenia... bo przecież to wszystko wyjdzie na jaw... każde przyjęcie, każda dziewczyna... prędzej czy później.

Wpatrywał się w nią, a Francesca czuła łzy wściekłości cisnące się do oczu.

- Nie obchodzi cię to?

- Obchodzi. - Nadal się w nią wpatrywał. - Tylko ty nie myślisz w gruncie rzeczy o tysiącach ludzi, prawda? Myślisz o sobie i swoich zburzonych marzeniach, o tym, że jestem reformowanym mistykiem, który chce zmienić świat, ale zarazem chce ciebie i tylko ciebie.

Pokręciła głową, ale Matthias mówił dalej:

- Nie możesz znieść myśli, że mam ludzkie odruchy, że mogę zapragnąć kogoś innego, kiedy cię nie ma w pobliżu. A ja przecież nie ślubowałem ci siebie, nie mówiłem, że będę wierny do grobowej deski. Mówiłem? Mogę kochać się, uprawiać seks, czy jak chcesz to nazwać, z innymi, a mimo to kochać ciebie albo potrzebować ciebie bardziej niż tamtych kobiet... - Dostrzegł rozżalenie w jej oczach i zrozumiał, że jego słowa nie odniosły skutku. - Ale tobie to nie wystarcza, prawda?

- Nie... - Za nic by na to nie przystała, nie zgodziłaby się na żaden kompromis, bo nie uznawała półprawd. Nie chciała zastanawiać się, gdzie jest Matthias i z Mm.

- Tak myślałem. - Jego oczy wydawały się teraz jaśniejsze i bardziej puste. - Ja się nie mogę zmienić, Francesco, już nie. Za późno. - Brzmiało w tych słowach błagalne ostrzeżenie, zupełnie jakby spodziewał się, że Francesca zrobi to, czego on sam nie jest w stanie. Nie usłyszał jednak odpowiedzi, więc odwrócił wzrok, nie chcąc, by zauważyła ogrom jego rozczarowania.

Nie mogąc znieść kłopotliwego milczenia, znów spojrzał na Francescę.

- I niech cię nie obchodzi, czy zamierzam pozbawić marzeń tysiące niewiniątek. W ostatecznym rozrachunku będzie się liczyć to, co osiągnąłem, a nie, z kim chodziłem do łóżka - powiedział, starannie ważąc słowa. - Mam wrażenie, że to tylko twój problem. - Mimo wszystko nadal jej pożądał, nadal nie chciał zrozumieć, że został odrzucony. - A co z wielkim bogiem imieniem „Reklama”? Co z obietnicami i słodkimi snami, które sprowadzasz za ciężkie pieniądze... dając szarym ludziom świat marzeń, o którym wiesz, że jest kłamstwem, i budując fortunę właśnie na tych marzeniach: perfumy,

które budzą pożądanie każdego mężczyzny, papieros, z którym podobno jest ci do twarzy, chociaż przy okazji cię zabija, samochód, w którym czujesz się jak król, chociaż szarego człowieka na to nie stać...? -Ryknął śmiechem, gorzkim, desperackim śmiechem... Urwał nagle, ostatni, chrapliwy dźwięk przypominał szloch. - i to ty oskarżasz mnie o burzenie marzeń... Chociaż sprzedajesz je każdego dnia twojego efekciarskiego życia.

- Dość!

- To się nazywa „biznes”, prawda? - zakończył z sarkazmem.

Nastąpiła okropna chwila ciszy, oboje stali nieruchomo.

- Lepiej pójdę...

Nie odezwała się, kiedy sączył ostatnie krople koniaku ani później, gdy widziała, jak oddala się, ale jeszcze w słabo oświetlonym holu Matthias słyszał za sobą jej kroki. Obrócił się do Franceski, zaskoczony wyrazem żalu na jego twarzy.

- Pozwolisz mi czasem do siebie zadzwonić? - spytał cicho, nagle wolny od gniewu i zjadłości, i znów wzruszył ją.

Wymuszonym uśmiechem pokryła chęć zatrzymania go.

- Oczywiście...

Zrobił krok w kierunku drzwi, ramieniem sięgając ku Francesce.

- Tylko dla mnie... to... - I przyciągnął ją do siebie, dłonie wsunął w jej włosy, potem odchylił głowę i zaczął muskać wargami twarz i szyję. Francesca miała ochotę krzyknąć, ale zamiast tego delikatnie uniosła rękę i położyła mu na wargach, żeby go powstrzymać.

Spuścił oczy, zobaczyła grymas na jego jakby zawstydzonej twarzy.

- Widziałem takie rzeczy, jakich nigdy nie widziałaś, robiłem to, o czym nawet nie śniłaś... - Zaraz jednak na jego wargi wrócił uśmiech, przewrotny, niegodziwy. - Nie jestem dobrym człowiekiem. Wiesz o tym, prawda? - szepnął smutno i obwiodł palcem zarys jej ust. - Ale byłbym, gdybym umiał. Oparła głowę o zamknięte drzwi i mocno zacisnęła powieki, słysząc, jak Matthias przystaje na ścieżce, a potem jak cichną jego kroki. Skuliła ramiona pod ciężarem niezwykle smutku, przez głowę przemknęło jej pytanie, czy znalazłaby odwagę, żeby powiedzieć mu „nie” po raz wtóry, gdyby zawrócił. Czowała, że otacza ją atmosfera Matthiasa: oszałamiający, męski zapach, zupełnie jakby stał nadal obok, budząc ogromne pragnienie i wspomnienie nieprzytomnej rozkoszy. Zadzwoił telefon i przez chwilę myślała, że to Matthias, bo chciała, żeby tak było, ale odezwał się głos Michaela, wprawiając ją w zdziwienie, że tak łatwo ich myli.

- Francesca? Czy możemy się zobaczyć?

- Już bardzo późno, Michael - powiedziała znużonym głosem.

- Myślałem, że zechcesz odwiedzić mnie w hotelu.

- Z dalszymi pieniędzmi? - zapytała krótko. Nastąpiła pauza, potem westchnienie.

- Naprawdę nie potrzebuję wiele...

- Co ty robisz z pieniędzmi, Michael? Dałam ci o wiele więcej, niż potrzeba do końca miesiąca.

- Zwrócę ci, przecież wiesz.

- Nie martwię się o pieniądze, tylko o ciebie... poza tym byłoby miło, gdybyś kiedyś chciał zobaczyć mnie, a nie tylko moje pieniądze. - Nie odpowie-

dział. - Matka dzwoniła do mnie jeszcze raz, wkrótce po twoim odejściu. Uważa, że cię przed nią ukrywam i jest, delikatnie mówiąc, nieco wytracona z równowagi. - Nie chciała prowadzić tej rozmowy, na pewno nie w tej chwili.

- Nie chcę jej widzieć.

- Boże, Michael... Czego ty chcesz! Naprawdę jestem tym wszystkim zmęczona... Chciałabym, by choć raz ktoś pomyślał o mnie. - Westchnęła zniecierpliwiona. - Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, co ja mogę czuć, czego pragnąć? - I natychmiast, ku swej udręce, ujrzała przed oczami smutną, gładką twarz Matthiasa. Było w nim tyle ciepła...

Znowu przez chwilę nic się nie działo i Francesca przymknęła oczy, czując, że traci cierpliwość.

- Potrzebuję tysiąc funtów... na coś w rodzaju zaliczki.

- Jakiej zaliczki? W co się wpakowałeś, Michael?

- To jest legalne... Słowo daję, że legalne. - Usłyszała jego wahanie i wiedziała, że zastanawia się, czy można jej zaufać. - Chcę sam kierować swoim życiem, rozkręcić własny interes... bez matki, bez nikogo.

- Ale za pomocą moich pieniędzy.

- Tylko do czasu, to pożyczka... Już ci powiedziałem.

- Zdaje się, że nie zamierzasz mi wyjaśnić, na czym polega ten „własny interes”... Ale widzisz, myślę, że mogłabym ci pomóc.

- Chcę to przeprowadzić sam.

- W porządku... Rób jak chcesz, ale nie spodziewaj się, że zjawię się u ciebie o tej porze. Weź taksówkę, Michael. -1 odłożyła słuchawkę

Dobre, bardzo dobre. Nick raz jeszcze przebiegł wzrokiem ostatnie kadry filmu, więcej niż zadowolony z ujęć, które wybrał do kampanii. Trzeba było

jeszcze wmontować Matthiasa, ale Nick nie wątpił, że wytypowane fragmenty zrobią na piosenkarzu wrażenie. Całość została podzielona na cztery części: konflikt izraelsko-palestyński, ilustrowany scenami z kryzysu w Strefie Gazy, Bejrut i znakomite zdjęcia, zrobione po wybuchu samochodu-pułapki, zatrucia naturalnego środowiska, a do tego wstrząsające skutki nielegalnego niszczenia odpadów przemysłowych na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych oraz chwytające za serce obrazy pogromu fok w zanieczyszczonym pasie wód przybrzeżnych Wysp Brytyjskich, wreszcie rozprzestrzeniający się na cały świat problem narkotyków, ze zręcznym montażem przedstawiającym zarówno uzależnionych, jak i handlarzy. Film skończył się i Nick zerknął na brudnopis scenariusza, który, mimo kilku niezbyt zgrabnych elementów, rozwijał się gładko, tak że za kilka dni będzie można zająć się ścieżką dźwiękową. Wstał i przeciągnął się. Zesztywniały mu nogi od ponadgodzinnego siedzenia bez ruchu, dręczyło go też pragnienie, więc z przyjemnością pomyślał o filiżance gorącej kawy. Spojrzał na zegarek. Brunning chciał zobaczyć gotową szpulę z materiałami za pół godziny. Akurat był czas na powrót do pokoju i krótki relaks przed tym spotkaniem.

Jak na piątkowe popołudnie, agencja Samuela wydawała się podejrzanie cicha. Nick uśmiechnął się, mijając na wpół opuszczone pomieszczenia. Bez wątpienia większość zespołów jeszcze siedziała nad przydługim lunchem albo zakrapiała go u Draymana. Skręcił w długi, wąski korytarz na trzecim piętrze, tak zwanym „piętrze nagród”, tam bowiem największe kampanie kiełkowały, a potem rosły, wraz z poczuciem wartości własnej ich szefów. Spostrzegł, że ktoś zbliża się z przeciwka. Już ze sporej odległości widać było, jak Caroline blednie. Nick zwolnił kroku, lecz w końcu stanęli oko w oko.

- Hej! - Ogarnął ją szybkim spojrzeniem.
 - Hej! - powtórzyła zakłopotana i poczuła, że policzki jej pokrywa zdradliwy rumieniec.
 - Jak się masz?
 - W porządku - odparła, zaciskając palce na teczce. - A jak kampania?
 - Wspaniale... - Nick uśmiechnął się lekko. - Za dwadzieścia minut mam się pokazać u pryka Vica ze scenariuszem... Właśnie idę na szybką kawę, żeby się pokrzepić przed tym ciężkim przeżyciem. Skinęła głową, błagając w myślach o zręczną odpowiedź, ale ogarnęło ją zakłopotanie, wydawało jej się, że wargi mają wyschnięte, ostre krawędzie, które pękłyby, gdyby tylko otworzyła usta. Jęknął w duchu. Znów zdziwiło go wrażenie, jakie wywierała na nim ta dziewczyna. Była beznadziejna, a mimo to wciąż jej pragnął.
 - Może uda ci się wyskoczyć na drinka wieczorem? - Przyjrzał jej się uważnie i dostrzegł, że miłe, łagodne usta układają się w szeroki uśmiech.
 - Tak... chętnie.
 - Czekam u Draymana, mniej więcej o wpół do siódmej.
 - W porządku. Spojrzał na zegarek.
 - Muszę iść... Zobaczymy się później.
- Patrzyła za nim spod przymrużonych powiek, upajając się smakiem tej chwili. Może teraz wszystko się ułoży, może będzie umiała lepiej pokierować swoimi sprawami. Wsunęła teczkę głębiej pod pachę i ruszyła korytarzem. Oczami wyobraźni zobaczyła żalostną twarz Guya. Powiedziała mu wreszcie, że wszystko skończone, że nie chce go już widywać. Zaraz potem zdziwiła się, dlaczego tak długo z tym zwlekała, bo nagle wydało się to dziecinnie proste. Początkowo zareagował wściekłością, później się dąsał, później

znów się wściekał, aż wreszcie zmęczona Caroline próbowała wysiąść z samochodu. Wtedy ogarnęła go skrucha i posmutniał, a w końcu spróbował pocałunku, omal nie udusił jej długim, wilgotnym językiem, kiedy boleśnie przygniótł ją do siedzenia i zamknął w nachalnym uścisku. Odepchnęła go z niesmakiem. Od tej pory było kilka niemiłych telefonów, zaangażowała się matka, biorąc stronę „biednego, drogiego Guya”... Caroline wiedziała jednak, że bez względu na namowy i intrygi matki nie cofnie swej decyzji, nawet gdyby z Nickiem się nie udało. Pomyślała o pierścionku, który Guy podobno jej kupił... z brylancikiem... To do niego podobne, cały Guy. Przypomniało jej się, „jaka jest niewdzięczna, odrzucając go teraz, kiedy tyle dla siebie znaczą”... Caroline doszła do zakrętu, przy którym znajdowało się okno z widokiem na mały, wyłożony płytami, plac. Przystanąła i odchyliła głowę. O Boże, jak dobrze, że nie wzięła tego cholernego brylancika, jak dobrze, że pierścionek Guya nie błyszczy na jej palcu.

- Udało mi się wyjść w porę - powiedziała Sian z wąłym uśmiechem i niezgrabnie położyła lekko zmiętą torebkę winogron na stoliku przy łóżku.

- Niepotrzebnie narobiłaś sobie kłopotu - odrzekła Zoe bezbarwnie.

- Dobrze się czujesz? - spytała Sian.

- Już po wszystkim, i tylko to jest ważne... Nie chcę o tym myśleć. - Nie potrafiła jednak powstrzymać ciężkich łez, które zaczęły wolno spływać po policzkach.

- Och, Zoe, tak mi przykro...

- Nie ma sprawy, naprawdę nie ma sprawy - sprzeciwiła się słabo. - Wiem, że nie wytrzymałabym tego wszystkiego, nie potrafiłabym. Nie sama. - Pokręciła głową. - Lepiej tak niż skończyć jako...

Słowa uwięzły jej w gardle, spuściła wzrok z poczuciem winy i odwróciła twarz.

- Ja tylko dokonałam innego wyboru, i to wszystko, Zoe - odparła cicho Sian.

- Przepraszam, nie chciałam zachować się nietaktownie... Po prostu nie jestem taka silna jak ty, nie zniósłabym tych wszystkich miesięcy, a potem samotnego porodu - powiedziała. - Rodzice też nie są podobni do twoich... Ojciec nie wytrzymałby takiego skandalu, prędzej zabiłby mnie albo siebie.

Sian patrzyła na płataninę jasnych loczków, słysząc zduszony szloch.

- Wobec tego postąpiłaś słusznie. Dopóki tak czujesz, wszystko w porządku. - Rozejrzała się po pokoju z udanym zainteresowaniem, chcąc przerwać tę przykrą rozmowę.

- Nie chciałam, żeby tak wyszło... Nie chciałam tego... To nie była moja wina. - Zoe podniosła głowę i kurczowo skrzyła w dłoni chusteczkę do nosa.

- Nie twoja - przyznała Sian. - Zresztą niech sobie ludzie mówią, co chcą, ja uważam, że rodzenie niechcianej dziecka jest okrutne. - Była święcie przekonana, że ma rację, ale w tym białym pokoju z płaczącą Zoe konwencjonalne słowa pocieszenia dziwnie raziły. Poczula niemiłe ukłucie, przypomniała sobie bowiem Petie'ego i swoje najskrytsze myśli o tym, jak wyglądałoby jej życie bez niego. Byłaby wolna. Zamknęła oczy, żeby odgrodzić się od tego wyobrażenia, potem znów zwróciła się do Zoe.

- Drogo cię to kosztowało?... Jak zebrałaś pieniądze?

- Pożyczyłam sto funtów od przyjaciółki. Powiedziałam, że przekroczyłam kredyt bankowy. Ale pokryłam tylko połowę kosztów. Resztę muszę spłacić w ciągu kilku najbliższych miesięcy. -

Powiedziała to automatycznie i przytknąwszy do oczu zmoczoną chu-

steczkę, spojrzała w małe okienko. Na zewnątrz było już ciemno.

- Jeszcze nie powiedziałaś swojemu chłopakowi? Zoe wybuchnęła niemiłym śmiechem, który zamarł szybko, przechodząc w szloch.

- Nie... I nie zamierzam. - Uniosła dłoń i otarła łzy. - Nie mówiłam ci, kto to był, prawda?

- Nie musisz.

- Vic - powiedziała Zoe cicho. - To był Vic.

Sian wpatrywała się w nieruchomy, profil Zoe, sądząc, że się przestyszała.

- Wiem, że go nie lubisz... - ciągnęła Zoe z zakłopotaniem - ale on nie jest taki zły, kiedy się go pozna.

- Oczywiście.

- I Vic nic nie wie? - spytała Sian oszołomiona.

- Nie...nie. - Głos Zoe się załamał, zamienił się w sztuczny śmiech. - Nie wie i nie dowie się.

- Nie powinnaś była mi tego mówić.

- Dlaczego? - spytała Zoe niespodziewanie ostrym tonem. - Musiałam komuś powiedzieć. Nie mogłam tego dłużej tłamsić w sobie.

- Czy będziesz się z nim dalej spotykać? - Wciskała nos w nie swoje sprawy, ale pytanie wyrwało jej się mimo woli.

- Może trochę przyhamuję - powiedziała Zoe, usiłując zdobyć się na rozwagę. - A może powinnam sobie poszukać innej pracy... - Wiedziała jednak, że tego nie zrobi.

- A może on chciałby wiedzieć? - bąknęła Sian. Ale Vic należał do tego typu mężczyzn, którzy biorą nogi za pas, nie dostrzegając związku między seksem a dzieckiem.

- Nie rozśmieszaj mnie, Sian - odparła Zoe z goryczą.

- Jeśli tak, to dlaczego... - Pytanie zawisło w powietrzu.

- Nie wiem... - odparła niezgrabnie. - Po prostu nie mogę inaczej. - Po chwili napiętego milczenia dodała: - Czasem wydaje mi się, że go kocham.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. Sian była bardzo zdenerwowana. Ale on cię nie kocha... Siedziała tam jeszcze przez kilka długich chwil, w końcu z poczuciem winy zerknęła na zegarek. Wstała, zbierając się do wyjścia.

- Na twoim miejscu starałabym się nie myśleć o tym wszystkim. Pomyśl o powrocie do zwykłego stanu, to potrwa pewnie dłużej, niż sądzisz. -

Włożyła płaszcz. - Potrzebujesz może czegoś?

Zoe obróciła zaczerwienioną, wilgotną twarz i spojrzała na koleżankę.

- Nie, już wszystko dobrze.

- No, to do poniedziałku - powiedziała Sian, smutno patrząc na młodszą od siebie dziewczynę. Młodszą, jak się zdawało, o wiele lat.

Zoe skinęła głową i powoli odwróciła pozbawioną wyrazu twarz do okna.

Mżawka nadawała chodnikom srebrny połysk. Sian przeszła szybko przez wąską jezdnię wyłożoną kostką, kierując się ku światłom głównej ulicy widocznym w oddali. Zadrżała, bo przeniknął ją nagle chłodny podmuch wiatru. Vic. Zoe i Vic. Ależ z niej idiotka. Tyle razy Zoe wynajdywała mętne preteksty, żeby zostać z Vikiem, choć nie było to wcale potrzebne, tyle razy Sian zostawiała ją „przy pracy”, kiedy nie było nic pilnego. Gdzież miała oczy?! Ale ten pyskaty zarozumialec...! Sian próbowała sobie wyobrazić tych dwoje razem, ale jej się nie udało. Znowu przeszył ją dreszcz. Oczywiście, nie było realne, żeby Zoe powiedziała Vicowi o usuniętej ciąży. Skaziłoby to oblicze supermana reklamy, a poza tym źle wpłynęłoby na jego stosunki z Zoe, niezależnie od tego, jakie żywił

do niej uczucia. Nagle przypomniała sobie roześmianą, jakby niewinną twarz Geoffa i odetchnęła. Geoff był fajny, łatwo z nim się rozmawiało i na tym na razie zamierzała poprzestać. Słyszając basowe muczenie autobusu pnącego się na wzgórze, odwróciła głowę i przyspieszyła kroku. Jeśli zdąży na przystanek, uda jej się dotrzeć do domu tak, żeby położyć Petie'ego do łóżka. Postawiła kołnierz płaszcza, osłaniając twarz, i pobiegła.

Ekran monitora pokrywała bezładna plątanina białych i czarnych punktów. Dźwięku właściwie nie było, prócz cichego, irytującego pobrząkiwania.

- Cholera jasna! - Ben Langley wyciągnął taśmę z czarnej kieszeni magnetowidu i wściekły wlepił wzrok w etykietę, starannie przyklepioną do kasety. - Clarence to cipa! Ile razy mówiłem, że ten chłopak to po prostu kwadratowa cipa?! - Cisnął taśmę na biurko, patrząc, jak ślizga się po blacie i spada wraz z papierami. - Prosiłem, żeby taśma była w PAL-u, nie w NTSC. W PAL-u! - Spojrzał złym wzrokiem na Caroline, która przystanąła w progu. - Zdaje się, że ten przyjemniaczek wziął dupę w troki, więc musisz zejść do sali projekcyjnej i upewnić się, że do jutra rana to poprawią.

Caroline skinęła głową, doskonale zdając sobie sprawę, że o tej porze nie zastanie nikogo, kto zrobiłby porządek z taśmą. Minęło już wpół do siódmej i Nick na pewno czekał, ale musiał poczekać jeszcze trochę, bo żądanie Bena nie miało alternatywy. Na nieszczęście, była akurat jedyną osobą w jego zasięgu, która mogła załatwić tę sprawę. Ruszyła w głąb wielkiej, wydłużonej hali biurowej, szybko oddalając się od królestwa Bena i brzęku szkła, szef bowiem właśnie wyciągnął z szafy butelkę czegoś mocnego, nadal przeklinając. Robotę musiał wykonać ktoś z zewnątrz, a ona nie знаła numeru żadnej z firm,

o których tak często mówiono w biurze. Z rozpaczą w sercu sięgnęła po pękatą książkę telefoniczną... Może poszukiwania nie zajmą jej dużo czasu.

Dopiero jednak tuż przed wpół do ósmej dotarła do Draymana i zaczęła się przepychać przez tłok, który w tym lokalu nie rzedł chyba nigdy. Początkowo nie mogła dostrzec Nicka, w końcu zauważyła w kącie baru tył jego głowy. Westchnąwszy z ulgą, utorowała sobie drogę i znalazła się w pobliżu Nicka. Nagle nogi się pod nią ugięły, stwierdziła bowiem, że nie jest sam, wyciągnięte jego ramię otacza czyjeś plecy. Dziewczyna, stojąca w kokieteryjnej pozie, była bardzo ładna i bardzo kobieca, to z nią właśnie Nick wyszedł z przyjęcia. Caroline pomyślała, że zemdleje, że łomoczące serce odmówi posłuszeństwa. Nic takiego się nie stało. Zorientowała się za to, że jej nogi cofają się, mimo że natrafiły na czyjąś zadziwiająco twardą stopę, wywołując jęk ofiary.

Tina wpatrywała się w dziewczynę za plecami Nicka, zaintrygowana jej nagle pobladłą twarzą.

- Co się stało? - spytał Nick, odwracając głowę, by przekonać się, co przyciągnęło uwagę Tiny. Dostrzegł Caroline niezgrabnie przeciskającą się przez tłum. - Boże - mruknął i wzniosł oczy ku niebu. Spóźniła się, cholernie się spóźniła, a on myślał, że wystawiła go do wiatru. - Posłuchaj, Tina, przepraszam cię bardzo, muszę coś załatwić... -

i ruszył za Caroline.

- Ale wrócisz? - spytała Tina oburzona, wpatrując się w nie dopity kieliszek.

Nick jej nie słuchał. Ciemna głowa znikła już za drzwiami, obawiał się więc, że zanim uda mu się przepchać do wyjścia, po Caroline nie będzie śladu. Kiedy wreszcie wyskoczył na zewnątrz, poczuł uderzenie deszczu w twarz. Zaklął cicho, widząc Caroline idącą szybko po czarnej, mokrej ulicy. Nie zare-

agowała na wołanie, więc nie wiedział, czy go usłyszała. Zerwał się do biegu.

- Caroline?!

Przystanęła, ale się nie odwróciła. Łagodnie pociągnął ją ku sobie. Stanęli twarzą w twarz.

- Mogłaś poczekać.

- Po co? - Uniosła głowę i zobaczył, że płacze.

- Myślałem, że nie przyjdiesz... - powiedział bez przekonania.

- I wobec tego postanowiłeś znowu uciąć sobie przyjacielską pogawędkę z panną Pachnącą.

- Nie ułatwiasz mi życia.

Pokręciła głową i Nick usłyszał ciche westchnienie.

- Ty mi też nie - powiedziała impulsywnie. - Chciałbyś mieć wszystko naraz... - Łzy popłynęły strumieniem po jej policzkach. - Jestem już zmęczona tym, że wszyscy rozstawiają mnie po kątach, dyrygują mną... - Usta zaczęły jej drżeć, a ciałem wstrząsnął szloch. Nick przyglądał się jej przez chwilę, widział, jak światła samochodów padają na wykrzywioną rozpaczą twarz i odpływają.

Wyciągnął ręce, delikatnie przygarnął ją do siebie, znalazłszy schronienie przed deszczem we wnęce drzwi jakiegoś sklepu. Oparł się o ścianę, nie puszcżając dziewczyny ani na moment. Gładził pochyloną głowę, znów zdziwiony, iż Caroline tak potrafi go wzruszyć.

- Chcę, żebyś poszła do mnie.

Nie sprzeciwiła się, kiedy wyprowadził ją na deszcz.

Aidan czekał cierpliwie ponad godzinę. Deszcz ściągnął go na podziemny, podobny do grobowca, parking agencji Samuela. Opierał się o kolumnę, nie spuszcżając oczu ze lśniącego czerwonego ferrari. Usłyszał monotony pomruk windy i zgrzyt drzwi,

a potem zwielokrotniony echem stukot obcasów Franceski. Kiedy mijała kolumnę, ujrzał znajomą sylwetkę w znakomicie dopasowanym kostiumie. Włosy, zaczesane do tyłu, podkreślały doskonały kształt głowy. Jak dawniej poraziła go moc bijąca z czarnych oczu, które podchwyciły jego wzrok.

- Próbujesz mnie przestraszyć, Aidan? - Udało mu się, krew jej zaczęła pulsować szybciej.

- Skoro Mahomet nie przychodzi do góry, to góra musi przyjść do Mahometa.

- Nie wiedziałam, że mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia. - Wsunęła kluczyk w zamek drzwi samochodu.

- Ależ mamy. - Założył ręce.

- Naprawdę? - zdziwiła się - Niestety, nie mam teraz czasu na rozmowę.

- Czy zawsze przyjmujesz Matthiasa o północy, gdy tylko jest w Londynie? - Poznał panienkę z jego biura prasowego. Wzmianka o agencji Samuela zrobiła na niej potężne wrażenie, a kiedy zaprosił ją na drinka, wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Nie musiał nawet stawiać obiadu, tak słodko i grzecznie trąkotała małym różowym dziobkiem. Powiedziała mu wszystko. Łatwo było zgadnąć, że nagła decyzja Matthiasa o locie do Londynu wiąże się między innymi z wizytą u Franceski. Wystarczyło już tylko poczekać.

- Ho, ho, solidnie się napracowałeś, Aidan... ale myślę, że szpiegowanie jest chwytem poniżej pasa, nawet w twoim wykonaniu. Przestań zabierać mi czas. - Schyliła się, chcąc wsiąść do samochodu.

- Prasę może to zainteresować... - Była to jego ostatnia szansa. Brunning wycofał się w ostatniej chwili, nie chciał „podejmować żadnego ryzyka, które mogłoby zagrozić kampanii... za wysoka stawka...”. Poprzestał na podsunięciu Francesce dowodu niewierności Złocistego Boga. Wielkie rzeczy. Może tro-

chę jej utarł nosa, ale Francesca nie bardzo przejmowała się mężczyznami, o czym Aidan przekonał się na własnej skórze.

- Mój Boże, Aidan, w co ty próbujesz grać? - spytała zmęczonym głosem.

- Przecież chcesz, żeby twoja drogocenna kampania udała się, prawda? Chcesz, żeby spłynął na ciebie cały splendor? - Powoli podszedł do samochodu i oparł się o dach.

- Pytałam, w co usiłujesz grać.

- Chcę, żebyś okazała mi trochę szacunku, zwykłego, staroświeckiego szacunku. To wszystko.

- Czy rzeczywiście wszystko? - Zaśmiała się sztucznie. - Sądysz, że bratając się z typami w rodzaju Vica Brunninga, wycierając ciemne kąty, by mnie szpiegować, zasłużysz sobie na szacunek? Nie wiem, czy nie chcesz po prostu stanąć mi kością w gardle, zemścić się - pokręciła głową z udanym smutkiem. - Nic z tego, Aidan... Zawsze musisz się przeliczyć.

Usiłował nie zwracać uwagi na jej słowa.

- Prasa zapłaci mi mnóstwo forsy za tę historyjkę.

- Naprawdę chodzi ci po prostu o pieniądze? Zresztą, za jaką historyjkę? - warknęła. - Gdybyś wtedy posiedział w krzakach odrobinę dłużej, tó* zapewne przekonałbyś się, że Matthias był u mnie około dziesięciu minut... No, i nie widziałam błysku flesza, kiedy przekraczał próg, żeby rzucić mi się w otwarte, spragnione ramiona... - Uśmiechnęła się pogardliwie. - Prasa lubi zdjęcia, Aidan, nie wiedziałeś o tym? Ładne, efektowne obrazki, które budzą dreszcz emocji u czytelników.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Silnik ryknął, Aidan w milczeniu odsunął się. Klęska wykrzywiła mu rysy w niemal komiczny sposób, przypominał teraz głupawego, kiepskiego klauna.

Ale Fran-

cesca jeszcze nie skończyła, miękkim ruchem opuściła szybę i wychyliła głowę.

- Nie martw się. Nie zamierzam cię wylać z roboty. Myślałam o tym, ale ci się udało nad podziw: ty naprawdę masz talent. Jesteś niezły w łóżku i dobrze sobie radzisz jako dyrektor artystyczny.

- Dziwka...

- Dziwka czy nie, ale jeśli jeszcze raz wsadzisz paluchy w jakieś paskudztwo, to i tak cię wyleję, a do tego załatwię, żeby nie chciał cię nikt inny w naszym kochanym świecie.

Kiedy samochód potoczył się ku wyjazdowi, Aidan poczuł, że w gardle coś mu rośnie, a w ustach ma smak żółci. Rozejrzał się gniewnym wzrokiem i splunął w kałużę pokrytą srebrzystą warstewką oleju.

- Dziwka, dziwka, dziwka...

Caroline dyskretnie rozejrzała się po pokoju, który wyobrażała sobie zupełnie inaczej. Pomyślała ze wstydem, że nie spodziewała się u Nicka elegancji, z rozmysłem zaznaczonej artystyczną niedbałością. W pokoju było mnóstwo miejsca, zwracały uwagę stonowane barwy, wielkie, wzorzyste poduchy i gra światła. Kilka pięknych w swej dziwaczności grafik -w bardzo głębokich odcieniach niebieskiego i ciemnej czerwieni - rozbijało biel ścian, a masywna, marmurowa figura antycznej bogini, zuchwale eksponującej w kącie nagość, wywołała uśmiech Caroline. Podeszła do szafy z książkami i równymi rzędami kaset, które zaczęła przeglądać, pochłonięta odkrywaniem Nicka od nieznanej dotąd strony.

- Mam dzin z tonikiem... Moim zdaniem, pyszny. Kiedy wszedł do pokoju z drinkami i miseczką orzeszków, Caroline odwróciła się do niego, zawstydzona.

- Ciepłej ci? - spytał, usiadłszy.

- O tak, dziękuję.

Drżała prawie przez cały czas jazdy na King's Road, teraz jednak opanowała się. Po płaczu nie zostało prawie śladu, oprócz czerwonych plam na policzkach i wilgotnego połysku, dodającego głębi i blasku wielkim, sarnim oczom.

- Od dawna tutaj mieszkasz? - spytała tak układnie, że miał ochotę się roześmiać.

- Mniej więcej pół roku, ale zostało jeszcze dużo do zrobienia.

- Jest uroczo. - Uśmiechnęła się i usidliła go tym uśmiechem.

- Napij się.

Kiedy, nie spuszczać z niego wzroku, posłusznie uniosła szklaneczkę do ust, obszedł powoli dzielący ich stolik i usiadł tuż obok. Delikatnie odgarnął jej z twarzy kosmyk ciemnych włosów.

- To szalone i śmieszne, ale pragnę cię, Caroline... - Może nawet więcej, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, nie dbał o to, wiedział tylko, że ulega gwałtownej tęsknocie, która ogarniała go w różnych porach dnia. Wyjął z jej dłoni szklaneczkę i odstawił na stolik, po czym pociągnął Caroline do sypialni. Posadził ją na brzegu łóżka, ostrożnie ujął twarz w dłonie i pocałował usta wykrzywione lekkim grymasem. - Możesz kazać mi przestać, to przestanę... - powiedział. Pokręciła przecząco głową i zaczęła rozpinać bluzkę, ale on delikatnie usunął jej dłonie. - Chcę to zrobić sam.

Caroline przyglądała się jego pochylonej głowie, czuła palce zsuwające jej bluzkę z ramion. Lekko zadrżała, kiedy uporał się z haftkami i rzucił na podłogę stanik. Pozbył się koszuli i przytulił Caroline, która przymknęła oczy. Sięgnęła w górę i przycisnęła głowę Nicka do zagłębienia przy szyi. Czuła ciepło jego ciała stapiające się z jej własnym ciepłem, czuła palce gładzące piersi i mięśnięcia miękkich warg na

policzku, uchu, na szyi. Usłyszała własny jęk, bo Nick całkiem ją obnażył, jego dłonie sunęły po jej udach, po czym znów znieruchomiały na talii. Odchylił pościel i z wielką czułością ułożył ją w chłodnej bieli. Leżała oczekująca, czujna, nieruchoma, póki nie wyciągnął się obok, a wtedy przywarła do niego.

Zniknęły wszelkie obawy, wahania. Jego ciepło przenikało ją, rozlewało się wszędzie, czuła palce ześlizgujące się niżej i niżej. Nick znalazł ustami jej piersi, sutki uniosły się i rozkosznie nabrzmiwały pod dotknięciem języka. Wśród westchnień i cichych pojękiwań usta Nicka przeniosły się na brzuch, a palce wsunęły się powoli między uda i dotarły do najczulszego miejsca, przygotowując drogę dla języka. Caroline zdrętwiała, przełęczona swoim brakiem doświadczenia i szeroką wiedzą partnera, ale zaraz usłyszała jego uspokajający, pełen miłości głos, a potem nadeszła fala czystej przyjemności. Ciałem Caroline wstrząsnęła rozkosz. Zamknęła oczy w półświa-domym oczekiwaniu, opuściła ręce, zanurzyła je we włosach Nicka. Ogarnęło ją cudowne zdumienie, bo razem osiągnęli szczyt i nie była już sama.

Było już późno, a on wciąż spał jak dziecko. Caroline spojrzała na głowę w zgięciu jej ramienia i uśmiechnęła się. Nick cicho pochrapywał chwilami, a właściwie sapał, zupełnie inaczej niż jej ojciec, który wydawał potężne chrząknięcia, odbijające się echem niczym klakson samochodowy.

Westchnęła ciężko, wiedząc, że jeśli wkrótce nie odejdzie, będzie ją czekać awantura, kiedy w końcu dotrze do domu. Richmond nie leżało przecież w sąsiedztwie King's Road; potrzebowała co najmniej godziny, żeby się tam dostać. Prawdopodobnie znowu telefonował Guy, więc naturalnie dostanie jej się od matki; usłyszy coś o przyszłości i będzie musiała się zastanawiać, czy wie, co

robi ze swoim życiem. Oczywiście, nie wiedziała tak naprawdę, co z tym życiem robi, ale po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się szczęśliwa i wolna.

- Nie powinnaś tyle myśleć, bo przybierasz wtedy srogą minę.

Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Nick wpatrywał się w nią łobuzersko jednym okiem.

- Muszę iść...

- Wiem.

- Przepraszam.

- Nie mów ciągle „przepraszam”. - Zachłannie przesunął dłoń na jej pierś. - Następnym razem zostaniesz całą noc... - Przyciągnął ją do siebie, chcąc, by spojrzała mu prosto w oczy, żeby mogła go poczuć i przyjąć jeszcze raz. - Zostaniesz, prawda?

- Mogę cię prosić na chwilę, Sian?

Mimo iż Francesca się uśmiechała, Sian wstała od biurka zaniepokojona.

- Siadaj.

Sian śledziła wzrokiem Francescę, która wyjęła z biurka żółtobrązową teczkę.

- Zamierzamy zwiększyć zakres naszych usług... Sian poczuła ulgę i zaciekawienie zarazem.

- Zbliża się czas ogłoszenia informacji o fuzji. Temat wzbudzi na pewno duże zainteresowanie prasy i wywoła mnóstwo plotek. Wiem, że potrafisz sobie z tym poradzić... - Francesca otworzyła teczkę. -

Ale nie zamierzam na tym poprzestać, Sian. - Uśmiechnęła się i wręczyła jej kartkę. - Chcę, żeby nasza agencja zajęła się energiczniej takimi sprawami, jak tworzenie publicznego obrazu firm, promocja sprzedaży, reklama pocztowa... Wiem, że w wielkich agencjach to wszystko jest uznawane za niewdzięczne, a nawet nieciekawe. - Podniosła głowę i spotkała zaciekawione spojrzenie Sian. - Chcę, żebyś poznała

trochę wszystkie firmy, choćby na podstawie rocznych sprawozdań, które zostawiłam ci na biurku, a potem skontaktowałam się z sekretariatami tych zaznaczonych na kartce agencji, specjalizujących się w tworzeniu publicznego obrazu firm. Spróbuj zorganizować spotkania z szefami w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Sian wyłowiła wzrokiem pozycje spisu, które Francesca obwiodła na czerwono. Rozpoznała znane nazwiska, przed rokiem potrafiłaby wymienić je z pamięci. Szybko znalazła to, które zdawało się wybijać i kłuć w oczy. Przypuszczała, że Adam przyjdzie, i po raz pierwszy od prawie sześciu miesięcy będzie miała okazję zobaczyć jego opaloną, pociągłą twarz.

- Jeśli nie masz już dla mnie nic innego, to biorę się do roboty. - Wstając, uśmiechnęła się z przymusem.

- Dobrze - odparła Francesca. - Sian...?

- Słucham.

- Nieważne...

Kiedy zobaczyła w oczach Sian lęk, słowa uwięzły jej w gardle. To spojrzenie mówiło wszystko. Francesca wiedziała jednak, że nic jej do tego. Po wyjściu asystentki westchnęła. Terminy wizyt mogła ustalić sama, w rozmowach z szefami agencji, ale Sian i tak musiałaby się w końcu zająć szczegółami. Może więc lepiej było przygotować ją wcześniej. Zarówno The Village, oczko w głowie Gilmore'a, jak i inna z wyznaczonych firm, Prime PR, były zainteresowane rozszerzeniem działalności, obie też, o czym Francesca wiedziała, miały się dobrze pod względem finansowym. Ich przekształcenie w spółki akcyjne było jednak w tej chwili nieprawdopodobne, co oznaczało, że raczej zostaną sprzedane odpowiedniemu nabywcy, a to, naturalnie, wiązało się z przynajmniej kilkoma spotkaniami z potencjalnym kupcem. Francesca

spojrzała na fotografię ojca, stojącą na biurku. Zamierzała podjąć zdecydowane działania w ramach strategii różnorodności, chciała bowiem mieć pewność, że zaplanowany przez nią wzrost zostanie zrealizowany i utrzymany, a w przyszłości może doprowadzić do znaczniejszych osiągnięć. Uśmiechnęła się smutno, patrząc na miłą twarz Carlo Gaetiniego.

- Cieszyłaby cię ta gra, tato...

Zwróciła myśli ku innym sprawom, ale smutek jej nie opuścił. Myśli jej krążyły wokół Michaela, a także matki i dręczyła ją tęsknota za niebezpiecznie przystojnym Matthiasem. Ludzie, których nie ma. Wszyscy raptem znikli z jej życia, choć kiedyś stanowili jego część. Francesca poczuła, że znalazła się nagle w próżni.

Sian położyła listę przy telefonie i powoli przesuwiała po niej wzrokiem, aż znów znalazła to nazwisko. Dobrze, że dowiedziała się wcześniej. Może powinna trzymać się od niego z daleka, kiedy przyjdzie do Franceski... ale wiedziała, że to niewykonalne. Sam widok nazwiska Adama wywołał napływ wspomnień i wyobrażeń, jak wszystko mogło się ułożyć. Oczywiście, tak naprawdę nigdy nie miało się co układać, nie było żadnych obietnic ani planów... Spojrzała na Zoe, pochyloną nad biurkiem. Odkąd odwiedziła ją w szpitalu, przyjaciółka nie zdradzała swych uczuć, nie wspominała Vica ani swych przeżyć, jakby usunęła z pamięci nieodległą przeszłość. Cóż... Zoe musiała się pogodzić z sytuacją, ona miała to już za sobą. Mimo to wciąż zastanawiała się, dlaczego wybrała tak trudne wyjście, dlaczego tak bardzo skomplikowała sobie życie. Bo przecież odczuwała brak swobody, odsunięcie na dalszy plan kariery zawodowej, uciążliwość wspólnego zamieszkiwania z rodzicami... Czuła się pokrzywdzona. Ale nie Petie'em, nie nim. Napłynęły jej do oczu łzy i pomyślała ponuro, że gdy-

by w tej chwili Adam stanął przed nią, chętnie zamachnęłaby się i zostawiła czerwony ślad na pięknie opalonym policzku. Otrząsnęła się i pomyślała, że tego wieczoru Geoff ma ją zabrać na „Czterdziestą Drugą Ulicę”, a weekend chce również spędzić z nią, z nią i Petie'em. Zbyt się spieszy, a przecież bez względu na to, co zdrowy rozsądek podpowiada jej na temat Adama, już tylko myśl o nim przyprawia ją o mocniejsze bicie serca i ożywia szaloną, głupią nadzieję. Najostrzejszy ból jednak już minął...

Chyba minął? Wydawało jej się, że powoli zniknie całkiem, tak samo jak Adam.

Vic mocno tarł kark rękami. Pot ściekał mu po plecach, po nogach, niemal zalewał oczy. Grając w squasha, Vic nie oszczędzał się, uważał, że warto zdobyć się na wysiłek. No, i tym razem wygrał.

Obejrzał swoje smukłe ciało w klubowym lustrze. Podniósł głowę i rozpoczął masaż nieznacznej fałdy skórnej pod brodą. W ciemnych włosach przebijały w paru miejscach pasma siwizny, ale to było do przyjęcia. Dziewczyna z recepcji przyglądała mu się z prawie nie skrywanym zainteresowaniem.

Vic uśmiechnął się, z satysfakcją szczerząc zęby. Recepcjonistka miała długie nogi i ładne ciało, a poza tym, zdaje się, dorabiała sobie jako masażystka. Przysunął twarz do lustra i obejrzał skórę pod oczami. Może w przerwie na lunch posunąć tę dziewczynę? Zoe była ostatnio nie w sosie, a zresztą zaczynała go nudzić.

- Czy znów przeżywałeś rozkoszne chwile z de Vico Sherry?

- Z nikim nie przeżywałem rozkosznych chwil, a już na pewno nie z de Vico Sherry... - odparł Vic kwaśno, odpowiadając Andy'emu Kiddowi, swemu długoletniemu partnerowi od squasha: - O co ci, do diabła, chodzi?

- Słyszałem, że Julian Baring jest na gigancie. - Andy uśmiechnął się od ucha do ucha. Lubił drażnić Vica.
- Polubił biały proszek?
- Aha - potwierdził z triumfem Andy. - Od dłuższego czasu nie przestaje wąchać.
- Julian Baring! - Vic był zdumiony. - Ten gość, którego każde dziecko zna jako Świętego Mikołaja bez renifera... Boże! - Przypomniał sobie pulchnego i nudnego jak flaki z olejem telewizyjnego gwiazdora i spojrzał na bladą twarz czterdziestokilkuletniego Andy'ego. - Ty wiesz, ile ta kampania jest warta?
- Pamiętaj, że jestem tylko niezależnym producentem... - z zadowoleniem uśmiechnął się Andy. - I wiesz na pewno, że nie mam w programie de Vico Sherry.
- To lurowate sherry, razem z porto tej samej firmy, jest dla nas warte około czterech milionów. Powiem ci jeszcze, że Julian Baring dostaje za każdą kampanię okrągłe dwadzieścia pięć tysięcy funtów...
- Rozwścieczony Vic podszedł do kabiny prysznicza.
- Co, do ciężkiej cholery, zamierza z tym zrobić Pat Shearer?
- Pat? On jest zwykle nabuzowany jak bombowiec, więc nie zauważyłby nawet, gdyby Baringowi odpadł nos od wąchania. - Uśmiech Andy'ego stał się szerszy.
- Niech to szlag... - mruknął Vic, stojąc pod silnym strumieniem wody. Dlaczego, do diabła, chłopcy nie mogą zostawić tej zabawki w domu? Sam wąchał kilka razy na różnych przyjęciach, ale na tym się skończyło. A tymczasem liczni pracownicy artystyczni żyli w oparach proszku, jakby widzieli w nim środek na przeczyszczenie umysłu. Jak dotąd, wyszło z tego kilka dobrych reklam, ale niewykluczone, że przy okazji mózgi artystów rozmiękają. Westchnął, myśląc o Gar-

recie Jonesie i jego żalonych wysiłkach podczas kampanii Matthiasa. Musi pogadać z Shearerem, a nawet z samym Baringiem, jeśli sprawy rzeczywiście wymknęły się spod kontroli. W styczniu ma być opublikowany następny ranking, a w tej fazie gry nie mogą sobie pozwolić na stratę żadnego klienta. Matthias wywindował ich na pierwsze miejsce w Wielkiej Brytanii, ale Saatchi depta po piętach i jeśli stracą de Vico, jego, Vica Brunninga, głowa poleci, co niewątpliwie ucieszy panią prezes Gaetini. Zaklął i zakręcił wodę. Pocieszył się, że dzięki Bogu sam jest człowiekiem o mało skomplikowanych upodobaniach: od czasu do czasu papieros, szklaneczka dżinu z tonikiem u Draymana... no i jakże potrzebna do życia odrobina dobrego seksu. Ludzie mają dziwny zwyczaj - najpierw wsadzają sobie łeb w zadek, a potem dziwią się, że błądzą w ciemności. Znużony spojrzął na zegarek i stwierdził, że robi się późno, ledwie starczy czasu na przejrzanie prasy i wypicie porannej kawy. Pomyślał o Zoe, po czym wspomniiał długie, ponętne nogi recepcjonistki... Dawno już nie miał porządnego masażu. Informację na temat fuzji, przeznaczoną dla prasy, przekazano faksem do biura Rocka, a Francesca z satysfakcją przeczytała jeszcze raz zakończenie tekstu. Samuels-Rock. Nazwiska pasowały do siebie, a zestaw ludzi kierujących pracą po obu stronach Atlantyku tymczasem właściwie się nie zmieniał, co dobrze wpłynęło na morale zarówno u Samuela, jak u Rocka. Sanchez zrobił czystkę w agencji Dunmar-Rock na długo przed fuzją, a Henry nigdy nie pozwalał swoim generałom na nieruchawość ani zbyt szybkie usamodzielnianie się. Niewątpliwie czekały ich starcia z niektórymi klientami, ale w zasadzie nic poważnego, tego była pewna. Rock twierdzi, że w konta-

ktach z klientami ujawnia się u Sancheza niezwykle dar przekonywania i nie widziała powodu, żeby temu nie wierzyć, choć czasem dziwiła się, jak to możliwe, skoro za każdym razem, gdy się spotykali, Sanchez prawie się nie odzywał. Uśmiechnęła się jednak na wspomnienie ostatniej kolacji. Czy wtedy przypadkiem nie był ciut przystępniejszy? Najpierw był onieśmielony, potem uroczy, potem znów onieśmielony. Francesca uważała jednak, że w gruncie rzeczy Sanchez jest oschły i twardy. Wciąż intrygowały ją relacje Philippe - Rock. Odłożyła informację dla prasy do lśniącej czerwieni teczki. W Nowym Jorku będzie dość czasu, żeby się zorientować w sytuacji; może zresztą Rock w końcu zacznie mówić o wszystkim, w każdym razie sprawia wrażenie otwartego faceta. No ale samotny. Nie ma żony, dzieci ani krewnych, o których można by opowiadać. Ma za to psa, olbrzymiego rozpaskudzonego bernardyna o imieniu Okruch. Francesca poczuła rozbawienie. Jednego Rockowi na pewno nie można było odmówić: poczucia humoru.

Zadzwęczał telefon.

- Hej. Matthias.

- Gdzie jesteś? - Znowu odczuła pożądanie.

- Na planie w twojej wspaniałej firmie... Z genialnymi szefami produkcji i kamerzystami...

- Mogę ci w czymś pomóc? - Próbowała zachować dystans, mówiąc obojętnym tonem.

- Nie... poza znalezieniem się tutaj. - Wybuchnął, kpiącym śmiechem, jakby znał jej odczucia. - Chciałem tylko usłyszeć twój głos.

- Czy wszystko idzie gładko? - spytała.

- Przecież wiesz, że w moim życiu nic nie idzie gładko... Same wzgórza i doliny, tak że najpierw jestem wysoko, a zaraz potem bardzo nisko...

- A teraz znów nisko? - spytała cicho, widząc oczami wyobraźni jego twarz.

- Być może - odparł. - Powiem ci następnym razem. Trzask odkładanej słuchawki sprawił, że drgnęła, a potem zapatrzyła się w biel aparatu.

W Covent Garden było tłumnio. Saksofonista stojący na skwerze grał dziwaczną, lecz zapadającą w pamięć wersję „Imagine” Lennona, a ludzie przesuwali się wokół, wchodząc do winiarni, restauracji i sklepów, nastawionych na łowców pamiątek oraz zapobiegliwych klientów, którzy już kupowali świąteczne prezenty. Sian przystanęła przed jaskrawo oświetloną wystawą przedstawiającą grootę Świętego Mikołaja, nietypową, bo wszystkie plastikowe wróżki, kiwające głowami nad pracowicie zawijanymi podarkami, nosiły męską bieliznę. Rozbawiona Sian stwierdziła, że istotnie jest to sklep z męską konfekcją.

- Fajne - powiedział Geoff. - A Petie jest jeszcze chyba za młody na odwiedziny u Świętego Mikołaja...?

- Odrobinę.

Wolno szli zatłoczoną ulicą, posuwając się w białym, mglistym powietrzu. Włoska restauracja, w której Geoff zamówił stolik, miała już w witrynie napis „Wesołych Świąt”, obramowany sztucznym śniegiem, a rośliny doniczkowe, obrazy i jadłospisy wewnątrz były ozdobione wąskimi paskami srebrnej i złotej folii.

- Mają wycucie chwili - powiedział Geoff z uśmiechem, kiedy otworzył drzwi.

- Jeszcze nie zaczął się grudzień.

Geoff przyjrzał się profilowi Sian. Przez cały wieczór była zamyślona i smutna. W mroku teatralnej widowni rozmowa nie była potrzebna, ale podczas antraktu za wszelką cenę starał się wymyślić coś zabawnego, żeby rozproszyć jej nastrój. Oczywiście, tra-

ktowała go uprzejmie, śmiała się i uśmiechała we właściwych momentach, ale były to tylko pozory dobrego samopoczucia, toteż Geoff z ulgą powitał dzwonek oznajmiający koniec przerwy. Teraz niezgrabnie pomógł Sian zdjąć płaszcz, zdziwiony, dlaczego tak o nią zabiega. Nie reprezentowała typu, który go pociągał. Była nieco wyższa od niego, szeroka w biodrach, z gęstą czapą miodowych włosów. Joanna zaś była patykowatą brunetką, podobnie jak większość jego dziewczyn. Wszystkie miały miłe rysy i sprawiały wrażenie fanatek gimnastyki dzięki długim, umięśnionym ramionom oraz wklęsłym klatkom piersiowym. Sian zdecydowanie nie miała wklęsłej klatki piersiowej. Gdy usiedli przy stoliku, westchnął.

- Coś cię dzisiaj smuci. Spojrzała na niego przepaszająco.

- Wybacz, to tak od kilku dni. Nie zwracaj uwagi. Skinął głową, potem podał jej kartę.

- Zastanawiałem się... - powiedział wolno - ...nad weekendem.

Wyprostowała się i dostrzegł w jej oczach zmęczenie.

- Przykro mi, ale musiałem zmienić plany. - Skłamał, ale zaskoczyło go, że na twarzy Sian odbija się ulga.

- Och, doprawdy...

- Moja żona chce omówić parę spraw, a to oznacza, że w sobotę wcześniej rano wyjeżdżam do Yorkshire. - Niezupełnie tak było. Joanna miała przyjechać na weekend do Londynu i wpaść do niego, by porozmawiać o rozwodzie. - Może weźmiemy dokądś Petie'ego innym razem? - podsumował.

- Dobrze.

Pomyślał, że teraz jej uśmiech wygląda na niemal szczery. Bardzo czekał na ten weekend. Z opowiadań wywnioskował, że Petie to bystry chłopiec i

Geoff miał wielką ochotę na wyprawę np. do zoo. Za bardzo się jednak pośpieszył, to jasne. Widać stary nawyk go nie opuścił. Może powinien trochę przyhamować i pozwolić, by Sian podjęła decyzję? Zresztą ostatnio był dość drażliwy na własnym punkcie i obawiał się kolejnego niepowodzenia. Musiał zachować trochę godności w kontaktach z płcią przeciwną. Ale Sian go pociągała, jeszcze nie chciał więc zrezygnować, a że gdzieś w tle kręcił się pewnie ojciec Petie'-ego, wszystko było tym trudniejsze. Geoff z pewnym wysiłkiem skupił się na jadłospisie i szybko przebiegł wzrokiem po nazwach potraw, na myśl o których zazwyczaj czuł przyływ apetytu. Teraz jednak jakoś głód minął. Kiedy mówił o zmianie planów, twarz mu spochmurniała, i Sian ogarnęło poczucie winy. Pomyślała jednak, że dobrze się stało, iż nie musi sama odwoływać spotkania. Prawie zdecydowała się na ten weekend, bo uznała, że przecież może miło spędzić czas, ale gdy zadzwoniła do The Village, przełączono ją bezpośrednio do szefa i sytuacja się zmieniła. Kiedy tylko usłyszała znajomy głos, odezwało się w niej pragnienie. Niezmienny czar Adama unieważnił dni, tygodnie, miesiące. Czowała, jak jej wystudiowany chłód topnieje. Sian wróciła spojrzeniem na twarz Geoffa, na wpół ukrytą za kartą menu. Adam chciał zobaczyć ją i Petie'ego, a ona bez namysłu wyraziła zgodę. Czy znajdzie jednak odwagę, żeby wszystko mu wygarnąć? Wątpiła. Adam zawsze umiał uwieść ją kilkoma słowami i podejrzewała, że zachował tę umiejętność. Z przykrością i bardzo wyraziście przypomniała sobie ostatnią randkę. Zabrał ją na konferencję i kochali się w pokoju hotelowym. Pościel była bladoniebieska, ściany olśniewająco białe: zimny pokój. Ale Adam i tam potrafił wnieść ciepło, intymność i miłość.

W „Wall Street Journal” uważają, że fuzja jest wspaniała, ale niektórzy klienci, delikatnie mówiąc, rozdzierają szaty... - Należałoby powiedzieć raczej: „robią pod siebie”, pomyślał Ed. - Dlatego chciałbym, żebyś tu przyleciała.

- Na spotkanie z klientami? - spytała Francesca.

- Właśnie.

- Kiedy mnie potrzebujesz?

- Staram się ustawić kilka spotkań na początek przyszłego tygodnia. Może przyleciałabyś w weekend. Ktoś czekałby na ciebie w Nowym Jorku, a w niedzielę rano samolot dostarczyłby cię na miejsce.

- To brzmi zachęcająco... Ale zanim zaczniesz coś robić, powiedz, o których klientów chodzi.

- Jasne, jasne... PRS jest niechętnie związkom Samuela z LoGold, twierdzi, że to konkurencja.

- Bzdura! Jakim cudem LoGold może wchodzić im w drogę? Mają tylko jeden towar farmaceutyczny, dropy przeciwkaszlowe...

- I nowy krem przeciwtrądzikowy, którym chcą podbić rynek artykułów dla nastolatków...

- Przecież dopiero zaczynają go testować!

- Wiem, wiem - odparł znużonym głosem. - Ale ich dyrektor do spraw marketingu, Klein, zawsze zawraca głowę.

- Kto jeszcze? - spytała zniecierpliwiona.

- Sachs & Kenyon. Uważa, że Autogen dubluje jego narzędzia.

- Można byłoby uznać te pretensje, gdyby nie to, że Sachs & Kenyon produkuje głównie na eksport, a Autogen koncentruje się na rynku krajowym.

- No właśnie, przyleć tutaj, wyjaśnisz mu wszystko tak zręcznie, jak to umiesz, bo ja już zaczynam odczuwać moje lata.

Francesca uśmiechnęła się, wyobraziła sobie bowiem sfrustrowanego Eda, marszczącego czoło.

- Co na to Philippe?
- Och, on mówi w swój niepowtarzalny sposób, że wszystko rozejdzie się po kościach.
- I pewnie ma rację.
- Nie lubię, gdy mój bystrooki chłopak ciągle ma rację! - powiedział z niechęcią, ale Francesca dosłyszała śmiech.
- Przylecę. Moja sekretarka zadzwoni później i poda szczegóły.
- Świetnie. Uszcześliwiłaś starego człowieka... Do zobaczenia w niedzielę. - Trzasnął słuchawką, nigdy bowiem nie nauczył się odkładać jej z wdziękiem. Kiedyś zdarzyło mu się, że przy okazji wypadł mikrofon i zwisał potem ze słuchawki jak wywalony jęzor. Było to jednak przed wieloma laty, teraz telefony zdawały się odporniejsze. Ed wziął w palce niedopałek cygara, leżący w popielniczce, zapalił i zaczął wydmuchiwać smugi dymu, układające się następnie w kształtne kółka. Był bardzo zadowolony z efektu rozmowy. Pewnie, że Francesca może się przydać podczas spotkań z klientami, ale trochę ją podpuścił. Naturalnie, klienci przyglądali się fuzji podejrzliwie, wiadomo, że nikt nie lubi, gdy ta sama agencja reklamuje również konkurentów, ale o zapobieżeniu poważnym konfliktem pomyśleli wcześniej; zajmował się tym Philippe. Nie było też mowy, by powtórzyła się historia przejścia Batesa przez Saatchi, omal nie zakończonego fiaskiem, gdy spanikowani klienci zaczęli uciekać, odbierając nowemu gigantowi zamówienia na dobre pięćset milionów dolarów. Ale to minęło i Saatchi z nawiązką odrobiło straty, zyskując licznych nowych klientów na całym świecie. Tak już jest w tym świecie. Ed pokręcił głową. Nie, tym razem nie ma prawdziwych problemów, a te ewentualne Francesca załagodzi. Chciał, by przyleciała do Nowego Jorku dla

Philippe'a. Ten chłopak nigdy się nie przyzna, ale Francesca naprawdę wpadła mu w oko, w Londynie widoczne to było jak na dłoni. Ed uśmiechnął się. Może i jest stary, ale nos jeszcze ma. Co ten osioł sobie wyobraża; dlaczego niby dostał ją na całą kolację? A potem próbował robić uniki, kiedy wrócił w nocy do hotelu, ale przecież Ed wyraźnie słyszał klucz obracający się w drzwiach sąsiedniego pokoju. Philippe powiedział mu, żeby spieprzał. Nieźle. Przecież, do stu piorunów, ten chłopak ma trzydzieści sześć lat i nawet nie otarł się jeszcze o małżeństwo. Mężczyznopotrzebuj ekobiety, szczególnie mężczyzna o takiej pozycji. Musi to być dobra kobieta na stałe, a nie kolejne dziwki. Och, dobrze wiedział, na jakie leci Philippe, wysledził to już dawno. Wszystkie miały klasę, najczęściej były także wystrzałowo zgrabne, ale zawsze dziwki albo ptasie mózdzki. Philippe wybiera najprostsze wyjście: bez zaangażowania, bez bólu. Osioł. Ed patrzył przez okno, zajęty wspomnieniami. Kiedy w sali konferencyjnej Philippe zobaczył po raz pierwszy Francescę, oczy mu pociemniały. I od powrotu z Londynu przestały się wokół niego kręcić panienki z ptasimi mózdzkami. Tak to jest z Latynosami. Ed pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. Ten osioł ciągle ma kompleks niższości. Skręcago na myśl o Francescę, widać to w tych jego bursztynowych oczach. Ale, na miłość boską, przecież on jest na wpół biały, może nie? I w połowie moja krew, może nie? Dlaczego nie pamięta raczej o tym? Wyobraził sobie Francescę... Taka kobitka-piękna, bogata. Dlaczego, do diabła, Philippe miałby stracić życiową szansę? A sam zawsze jest gotów oskarżać mnie, że tracę wyczucie i boję się ryzykować. Zaciągnął się hawańskim cygarem. Osioł.

- Nie chcę, żebyś widywała się z tym chłopcem... Caroline spojrzała na proste plecy matki przeszkukującej biurko.
 - Jest bardzo miły.
 - A co właściwie masz do zarzucenia Guyowi? - spytała matka wyniośle i odwróciła się nagle, by podchwycić spojrzenie Caroline.
 - Nic... Po prostu wyrośliśmy z siebie, to wszystko.
 - Guy tak nie uważa.
- Caroline zastanowiła się, dlaczego w ogóle wdaje się w ten spór.
- I kupił ci taki śliczny pierścionek... Jak mogłaś powiedzieć mu „nie”?
 - Nie chcę wyjść za niego.
 - Dlaczego, na miłość boską? Powiedz, jeśli łaska - rzuciła matka z sarkazmem i nie czekając na odpowiedź ciągnęła: - Wielkie nieba. Wychowanek Eton, z zamożnej rodziny, pracuje w City, u Lloyda, ma znakomite perspektywy... Przyjemnie się z nim pokazać... - Westchnęła dramatycznie. - Czego ty jeszcze chcesz?
 - Nie wyobrażam sobie, że mogłabym z nim spędzić resztę życia.
 - A co sobie wyobrażasz? - odpaliła matka. - Że spędzisz ją z tą osobą z twojej agencji?
- Caroline powstrzymała uśmiech, bo jej matka miała zwyczaj mówienia o wszystkich nieakceptowanych przez siebie ludziach per „ta osoba”...
- Na razie jeszcze nie wiem, czego chcę.
 - Cóż to za odpowiedź? Wielkie nieba, mnie wydano za twojego ojca, kiedy skończyłam dwadzieścia lat, a w twoim wieku już miałam Roberta.
 - Myślę, że nie mam jeszcze ochoty na małżeństwo.
 - Rozumiem. Czyli zamierzasz dalej pracować w reklamie - powiedziała matka z niesmakiem.
 - Wiesz, mamo, że ta praca jest niezła...

- Zawsze chciałam, żebyś studiowała sztuki piękne... albo została przedszkolanką. To przystoi kobiecie.
- Ależ w reklamie nie ma nic niestosownego. - Caroline pamiętała, ile pracy kosztowało ją zdobycie wykształcenia tego typu, z jakim trudem wywalczyła miejsce u Samuela.
- Nie odważyłabym się nazwać tego zawodem. Poza tym wychowano mnie w przekonaniu, że mężczyźni pracujący w reklamie nie są dżentelmenami.
- To takie staroświeckie, co mówisz, mamó - zaprotestowała Caroline.
- Staroświeckie czy nie, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że prawdziwe. - Wydeła usta i odwróciła się do biurka, na którym piętrzyły się zaproszenia.
- A jaką to pracę wykonuje ta osoba o imieniu Nick?
- Już ci mówiłam, jest dyrektorem artystycznym.
- Co to znaczy?
- Píše teksty reklam, udziela porad twórczych...
- Nie zabrzmiało to efektownie, nawet dla Caroline.
- Taaaak... - przeciągnęła to słowo matka. - Nie jestem teraz ani trochę mądrzejsza niż przed chwilą.
- Teraz Nick pracuje dla jednego z naszych najbardziej prestiżowych klientów - powiedziała błagalnie w kierunku pleców matki.
- A któż to ten „najbardziej prestiżowy klient”?
- No, taki na wpół polityczny... Matthias, chyba musiałaś o nim słyszeć?
- Oczywiście, ta osoba jest narkomanem czy czymś w tym rodzaju - odrzekła lekceważąco.
- Dawne dzieje. Wiesz dobrze, że usiłuje teraz ulepszyć społeczeństwo, świat. - Nie było sensu tego mówić, po co się wysiła?
- To jest ktoś taki, o kim twój ojciec i ja powiedzielibyśmy „bohater tygodnia”, kochanie. Tak protekcyjnie.

- Przynajmniej próbuje... - cicho odpowiedziała Caroline.
- Hm, zdaje się, że odchodzimy od tematu - sztywno stwierdziła matka. - Kiedy pozwolisz nam zobaczyć tego Nicka jakiegoś tam.
- On się nazywa Keogh.
- Nick Keogh? - Podkreślenie nazwiska świadczyło o głębokiej pogardzie matki. - Czy to nie irlandzkie?
- Nie mam pojęcia. Nie mówi jak Irlandczyk.
- Dzięki Bogu. - Zgarnęła zaproszenia w równy stosik i poirytowana zwróciła się z powrotem do córki.
- Kiedy wobec tego przedstawisz go nam?
- Chyba jeszcze za wcześnie na wizytę. - Nigdy nie byłoby za wcześnie. Caroline nie mogła sobie wyobrazić Nicka w tym domu, w tym pokoju, jak w towarzystwie rodziców pije pomarańczową herbatę souchong.
- Wcale nie - ostro zareagowała matka. - Skoro uparłeś się przy tym Nicku Keoghu, to myślę, że jesteś winna mnie i ojcu przynajmniej pokazanie tego cudownego młodego człowieka, który tak dokładnie przesłonił ci wszystkie zalety biednego Guya.

Nie odpowiedziała. Kiedy matka wychodziła z pokoju, Caroline znów miała wzrok utkwiony w splecionych dłoniach.

Francesca odsunęła się, by przepuścić gońca, opuszczającego biegiem budynek agencji, z filmem reklamowym pod pachą. Zetknięcie z życiem pulsującym na dole wprawiało ją w dobry nastrój, a kiedy weszła do głównego holu, wpadła w wir przygotowań prowadzonych przez dwie grupy pracowników w kombinezonach, którzy zmieniali dekorację, zastępując najnowszymi osiągnięciami agencji część efektownych reklam na ścianach. Przeszła po luksusowym dywanie

do windy. Spotkanie z Henrym poszło znakomicie. Zgodził się na wszystkie warunki fuzji, wprowadzając zaledwie kilka drobnych poprawek, i obiecał, że będzie obecny w Nowym Jorku przy podpisaniu umowy. W dodatku znakomicie wyglądał, był opalony i pełen wigoru, choć może odrobinę za korpulentny. Gęstą, siwą czupryną, zaczesaną do tyłu, przypominał starego lwa. Zjedli razem lunch w hotelu Connaught, a po posiłku Henry, z kieliszkiem porto w dłoni, wyciągnął się na krześle, przyjmując niedbałą pozę arystokraty. Nawet jeśli nikt jeszcze na to nie wpadł, dla Franceski było jasne, że szef zamierza ograniczyć swój udział w prowadzeniu interesu. Wyglądało na to, że Henry zamierza obserwować wszystko z boku, przynajmniej w najbliższym czasie, a może i stale. Francesca uniosła głowę w geście zdradzającym pewność siebie. Taki układ jej odpowiadał. Kiedy weszła do gabinetu, Michael już tam siedział i Francesca westchnęła cichutko. Przyszedł za wcześnie; miała nadzieję, że pozwoli jej odetchnąć po spotkaniu z Henrym. Ale wygląda bardzo dobrze, pomyślała, gdy z przesadną skwapliwością poderwał się na jej powitanie. Ostatnio widziała go bladego, nie ogolonego, na skraju wycieńczenia... Wtedy pojawił się Matthias. Odpędziła to wspomnienie, przyglądając się bratu, jego świeżości, starannie skrojonemu garniturovi, krawatowi. Widać, że się starał wyglądać przyzwoicie.

- Wyglądasz na zadowolonego z siebie - powiedziała, ściągając rękawiczki i nadstawiając policzki do pocałunku.

- Odzyskuję to, co straciłem - powiedział z uśmiechem, pomagając jej zdjąć płaszcz.

- Aha, rozumiem - powiedziała wolno i przeszła przez pokój do długiej skórzanej sofy. Nie spuszczała

wzroku z Michaela, porównując go z ojcem - postawnym, śniadym Włochem. Jakże inny był jego syn, nieśmiały blondynek, mało męski.

- Mówiąc konkretnie... - ciągnął pośpiesznie - dostałem z powrotem tysiąc funtów, które pożyczyłem, plus procent.

- Wiesz, że nie musisz się rozliczać, Michael. Nie o pieniądze się martwię...

- Wiem, wiem - przerwał niecierpliwie. - Martwisz się o to, co z nimi robię. - Lekko pochylił się ku niej, składając dłonie. - Właśnie dlatego tu jestem. Chcę powiedzieć ci trochę więcej na ten temat.

Zorientowała się, że przyszedł prosić o znacznie większą niż dotąd kwotę.

- Napijesz się kawy? - spytała obojętnie, zmieniając temat.

- Prawdę mówiąc, skorzystałem z okazji i już poprosiłem twoją sekretarkę... Pewnie zaraz przyniesie.

- Dzięki. - Uniosła ciemną brew.

- Robię teraz na giełdzie.

- Z kim?

- Fantastyczny facet, żyła złota.

Zrozumiała, że nie zamierza jej wtajemniczać w swe interesy.

- Jakiś dobrze poinformowany spryciarz? - spytała oschle, zdając sobie sprawę, że to ktoś, kto najprawdopodobniej sam znalazł Michaela.

- Lepiej, Fran, lepiej... Ten facet wie, co robi.

- Znaczy, że nie oblicza prawdopodobieństwa, tylko ma dostęp do informacji? - Uświadomiła sobie, że zbyt natrętnie mu się przygląda.

- No, oczywiście... - Nerwowo zacisnął dłonie, tak że kostki aż pobieleły. - No, i chodzi o to, że rysuje się wielki interes.

- A ty potrzebujesz wielkich pieniędzy?

- Dwudziestu tysięcy funtów.

Przynajmniej ma tyle przyzwoitości, że się zaczerwienił, pomyślała zniechęcona.

- To jedyny sposób, żeby dobrze zacząć... myśleć wielkimi kategoriami - dodał.

- Oj, Michael... - powiedziała bezradnie i współczująco. - Słucha się ciebie, jakbyś mówił o grze w „Monopol”.

Twarz mu pociemniała i Francesca pojęła, że powiedziała nie to, co trzeba i nie wtedy, kiedy trzeba.

- Tak się składa, że wiem co nieco o giełdzie, Francesco - odparł arogancko. - A ty nie masz wyłączności na rozeznanie w interesach. - Przez chwilę widziała w nim blade odbicie zuchwałej natury Livii.

- Nie zamierzałam cię obrazić - powiedziała cierpliwie. - Oboje jednak wiemy, że nie masz wielkiego doświadczenia w sprawach tego rodzaju.

- A jak ci się wydaje, co prowadzę z matką od tylu lat? Budkę z lodami? - bronił się.

- Może kiedyś mi o tym opowiesz, bo naprawdę nie mam pojęcia. - Matka i Michael bawili się w antyki. Było to hobby, kosztowne, nic nie znaczące hobby, mające jak najdokładniej zapełnić mu czas, ale najwyraźniej nie dające szczęścia. Michael, ptak w pozłacanej klatce. Jego „prowadzenie interesów” polegało na uczestniczeniu w aukcjach na kontynencie, czasem u Sotheby'ego lub Christie'ego. Zwykle kupował parę rzeczy, które Livia chciała mieć w kolekcji. Tylko raz zdarzyło mu się wspomnieć o kliencie, a chodziło wtedy o starego przyjaciela ojca, mieszkającego we Włoszech, który odniósł wrażenie, że Livia lub Michael byliby gotowi wystąpić w jego imieniu na aukcji przedmiotów w stylu Regencji. O dziwo, Livia pozwoliła wówczas Michaelowi na samodzielność.

Pukanie do drzwi przerwało ciężkie milczenie. Sian przyniosła kawę.

- No dobrze, czy pożyczysz mi te pieniądze? - spytał po wyjściu Sian. Francesca wyczuła w jego głosie wyzwanie, ale w ustach Michaela brzmiało raczej błagalnie. Sięgnęła po dzbanek i zaczęła nalewać kawę.

- Chcesz, żebym pożyczyla ci dwadzieścia tysięcy na hazard, na podszeptany typ...

- To pewniak...

- Typ wskazany ci przez człowieka, którego na oczy nie widziałam, a ty ledwie znasz.

- Jest moim starym kumplem z Eton.

- Eton było dawno... Powinieneś mi przynajmniej pozwolić, żebym sprawdziła ten interes.

- Nie masz do mnie zaufania, prawda...? - Wstał, rozzłoszczony, i trzymając ręce w kieszeniach, podszedł do okna. - Uważasz mnie za skończonego idiotę.

- To ja byłabym skończoną idiotką, gdybym nie zadała ci tych pytań, Michael.

- Dostaniesz wszystko z powrotem... co do pensa

- zapewnił. - Wiesz, że mam mnóstwo własnych pieniędzy... Ale nie mogę z nich zrobić użytku... -

Głos mu się załamał. Livia nadal chciała kontrolować jego poczynania. - Chcę zrobić to jedno na własną rękę.

- Ostatnie trzy słowa wypowiedział z przesadnym naciskiem, jakby inaczej Francesca nie mogła zrozumieć.

- Wiem, Michael, i ufam ci bez zastrzeżeń... ale nie ufam innym.

- Zadzwoń do matki, zanim się do ciebie zwrócę - ciągnął, nie słysząc jej wtrącenia. Naturalnie, Livia mu odmówiła tym swoim łagodnym, protekcyjnym tonem: „Tylko ja wiem, co jest dla ciebie dobre”. Zaskoczył wtedy sam siebie, odpowiadając niemal gniewnie.

- Wiem.

- Skąd wiesz? - Raptownie odwrócił się do siostry.
 - Telefonowała do mnie. - Pora była już bardzo późna, ale dla Livii nie miało to znaczenia. Była zdania, że Francesca „spiskuje, pożyczając Michaelowi pieniądze, żeby odciągnąć go od matki”. W jej głosie brzmiała pogarda, obliczona na zadanie bólu, więc w końcu Francesca odsunęła słuchawkę od ucha, póki głos nie zamilkł.
 - Boże...! Dlaczego ona nie może chociaż raz pilnować własnego interesu? - Michael skulił ramiona.
 - Dla niej ty jesteś interesem. Nie odpowiedział.
 - Jesteś do niej bardzo podobny - powiedziała cicho, niebaczenie pozwalając wyrwać się tym słowom.
 - Czasem myślę, że poskąpiła mi swej miłości, bo za bardzo przypominałam jej ojca.
- Pokręcił głową.
- Co masz na myśli?
- Zamrugął, jakby jej głos wyrwał go z zadumy nad własnymi kłopotami, na jego twarzy pojawił się rumieniec.
- Nic... zupełnie nic.
- Wpatrywała się w niego przez długą chwilę, milcząc. Bała się nalegać, oboje bowiem wiedzieli, że jego zaprzeczenie nie było prawdą.
- Czyli nie pożyczysz mi pieniędzy - rzucił w końcu Michael.
 - Tego nie powiedziałam, prawda? - Chciała, żeby już sobie poszedł, dość miała tej rozmowy. - Na pewno przyszedłeś tutaj wiedząc, że nie odeślę cię z pustymi rękami. - Podeszła do biurka i wypisała czek.
 - Nie powinieneś mieć kłopotów, ale w razie czego poproś w banku, żeby do mnie zadzwoniono.
 - Wszystko ci zwrócę, obiecuję... Naturalnie z procentem.
 - Powiedziałam ci już, Michael, że nie chcę

o tym mówić - sprzeciwiła się łagodnie, patrząc na jego pobladłą twarz. - Jesteśmy przecież rodzeństwem.

- Oczywiście.

Spojrzenie Michaela błędziło jednak gdzieś daleko

i Francesca pojęła, że nawet nie jest w stanie domyślić się, co wywołuje cień na jego pięknej twarzy.

Pokój mógł pretendować do miana luksusowego, nawet pięknego, ale - jak to we wszystkich hotelach bywa - brakowało w nim ciepła, nie czuło się, że spały tu już dziesiątki, setki ludzi. Francesca leżała w poprzek łóżka, wpatrzona w bladożółty sufit. Było jej wygodnie, mogła wyciągnąć się na parę godzin i dać odpocząć nogom. Cieszyła się, że przyjęła propozycję Eda i zgodziła się spotkać z jego klientami, nawet jeśli miało to oznaczać łagodzenie konfliktów, czego nienawidziła. Po krótkim spotkaniu z Michaelem czuła się niespokojna i nieszczęśliwa, i jakoś nie mogła otrząsnąć się z tego nastroju. Coś jej umykało, gdy myślała o bracie, matce i sobie samej. Przeniosła spojrzenie na podróżny budzik, stojący przy łóżku: druga. Ostatecznie postanowiła lecieć do Eda po krótkim wypoczynku w hotelu, nie czekając następnego rana. Oznaczało to mniej snu, ale przy jej obecnym samopoczuciu było właściwie bez znaczenia. Potrzebowała ludzi, a nie czasu na rozmyślanie. Tego bowiem miała ostatnio za dużo.

Tym razem nie było mowy o Hampton, zima dopadła już Nowego Jorku, śnieg pokrywał wyższe i niższe wzniesienia Gór Białych i Zielonych. Francescę odebrano z hotelu, a potem prywatnym samolotem Eda przetransportowano do jego prywatnej posiadłości

na granicy hrabstwa Berkshire. Dojazd do domu prowadził wąskimi bocznymi drogami przez lasy i małe wioski i nawet mimo zapadającego zmierzchu dało się zauważyć, że gęste lasy przecinają srebrne żyły strumieni. Francesce wydawało się nawet przez chwilę, że słyszy ich szum. Odchyliła głowę na oparcie i, niestety, zaraz przypomniał jej się dojazd z Paryża do Chateau de la Chenierie i Matthias. Tam nie było jednak szemrzących strumieni ani uroczych wiosek, jedynie wielka połać czarnego lasu, w samym środku którego Złocisty Bóg tkął złocistą pajęczynę.

Portyk białego kwadratowego domu jarzył się w ciemności bursztynowym blaskiem, a kiedy Fran-cesca wysiadła z samochodu, poczuła, że pomimo futra drży. Drzwi się otworzyły i w smudze światła zauważyła Philippe'a w towarzystwie potężnego, nieco chwiejnie idącego, bernardyna.

- Gdybym wiedział, że przyjedziesz dziś, odebrałbym cię osobiście, a tak, to dopiero przed chwilą tu dotarłem.

- Nie ma się czym przejmować - odparła nachylając się, by pogłaskać psa po wścibskim łbie. - Sama nie wiedziałam jeszcze kilka godzin temu.

Philippe wydawał się teraz bardziej zrelaksowany niż podczas poprzednich spotkań. Miał na sobie granatowe džinsy i gruby, oryginalny sweter z czarnej wełny. Gdy tylko wprowadził Francescę do domu, jej uwagę zwróciły ciepło i barwy pięknie urządzonego wnętrza. Inspiracją była niewątpliwie Anglia Jerzego V, ale bardzo wdzięcznie nakładały się na to akcenty miejscowe - Francesca znowu zobaczyła ciekawe okazy amerykańskiej sztuki ludowej, podobne jak w budynku agencji Dunmar-Rock. Poznawało się w tym rękę Rocka. Uśmiechnęła się do Eda, stojącego z rozjaśnioną twarzą i cygarem w dłoni przed kominkiem, jakiego Francesca nie widziała od dzieciństwa.

- Cieszę się, że udało ci się przyjechać - powiedział radośnie, gdy Philippe pomógł jej zdjąć futro, a Okruch podszedł do pana i ułożył się u jego stóp.
- Pomyślałam, że zjawię się nieco wcześniej; hotelowe pokoje nużą czasami.
- Nie musisz tego mówić... Spędziłem w nich pół życia. - Zapraszającym gestem Ed wskazał Francesce miejsce i kiedy siadała przy kominku, uważnie jej się przyjrzał. Klasa, pomyślał, klasa w każdym calu, od butów Blahnika po kształt podbródka. Przeniósł wzrok na Philippe'a, który właśnie wracał do pokoju. Jego chłopak też miał klasę i, osioł, nawet o tym nie wiedział. - Czy chcesz najpierw drinka, a pokój obejrzysz potem, czy wolisz od razu iść na górę?
- Z przyjemnością się rozgrzeję... Zapomniałam, jak zimno może być o tej porze roku.
- Szkockiej z wodą sodową?
- Dobrze, ale tylko troszeczkę.
- Dla mnie to samo, Ed - wtrącił Philippe, który tymczasem usiadł. - Ładny kawał drogi masz za sobą
- ciągnął, zwracając się do Franceski.
- Owszem, ale potrzebna mi była zmiana, nawet na krótko.
- Cieszę się, że to mówisz, bo kłopoty wcale nie wydają mi się tak wielkie, jak twierdzi Ed, a przykro byłoby mi pomyśleć, że tylko zmarnowałam czas. - Lekko zmrużył oczy, zerkając na Rocka podającego drinki. O ile wiedział, przyjazd Franceski w ogóle nie był potrzebny. Nie mógł pojąć, dlaczego Ed nalegał.
- Nie masz racji, Phil, przyznaj uczciwie, to przecież może być tylko wierzchołek góry lodowej, a poza tym, czy nie sądzisz, że stworzenie wytwornym klientom okazji do poznania naszego brytyjskiego partnera jest dobrym pomysłem? - Wzruszył ramionami i wrócił na miejsce przed kominkiem. - Fantastyczny sposób na zjednanie sobie ludzi.

- No tak... - stwierdził obojętnie Philippe. - Tylko że dla Franceski to cholerny dystans, a za parę dni musi go przebyć z powrotem.
- Naprawdę nie mam nic przeciwko temu - przerwała z wymuszonym uśmiechem, wyczuwając napięcie między tymi dwoma, i zajęła się szklaneczką szkockiej. Popijała małymi łykami, czekając, aż po zmęczonym ciele rozejdzie się ciepło.
- Widzisz, Philippe, dama nie ma nic przeciwko temu. Wydaje mi się, że nawet podoba jej się ten pomysł, tak jak i mnie... A skoro już przy tym jesteśmy... Nie chcę słyszeć podczas weekendu żadnych rozmów na tematy zawodowe. Niezbędne sprawy możemy załatwić w poniedziałek rano - powiedział Rock, tłumiąc zniecierpliwienie. Co, do diabła, ugryzło tego chłopaka? Można by sądzić z jego zachowania, że obecność Franceski mu przeszkadza.
- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę teraz na górę, rozpakuję się i trochę odświeżę przed obiadem.
- Proszę bardzo. Philippe, pokaż Francesce drogę. - Ed przyjrzał się, jak wychodzi z pokoju, a za nią Philippe, i dopiero wtedy pozwolił sobie na smutny grymas. Jego cud-chłopak wszystko zepsuje, jeśli nie będzie ostrożny. Westchnął i pociągnął długi łyk szkockiej. Przed jej przyjazdem Phil zachowywał się swobodnie, niemal radośnie, ale teraz spoglądał spode łba i był spięty. Z tym sukinsynem zawsze szło mu ciężko, odkąd tylko przejął po zmarłej matce opiekę nad chłopcem i próbował nim kierować. Do tej pory Phil nie był na tyle mądry, by wiedzieć, jak i kiedy zachowywać się przyjaźnie. Ed z irytacją opróżnił szklaneczkę i potrząsnął głową, jakby chciał coś powiedzieć psu, sennie rozciągniętemu u jego stóp. Czasem zastanawiał się, czy Philippe'owi nie trzeba laski dynamitu w tyłek, by oprzytomniał.

- Właśnie zrobiłem pieczeń, ale nic specjalnego -wykrzyknął Ed, wtaczając do pokoju wózek z potrawą. - Ostatnio lubię kucharzyć, kiedy mam okazję.

Francesca przychylnie spojrzała na olbrzymi kawał wołowiny, suto przybrany pieczonymi ziemniakami i cebulą. Poczwała głód.

- Wygląda fantastycznie.

- Jedyne, w czym Ed jest naprawdę dobry, to pieczenie mięsa... - zauważył Philippe z sarkastycznym uśmiechem.

- Po mojemu zwie się to dwuznacznym komplementem - zripostował Rock.

Philippe uniósł dłonie, jakby się poddając.

- Dobra, dobra...

- Możesz za to pokroić... - Teatralnym gestem Ed podał Philippe'owi nóż.

Francesca obserwowała ich w milczeniu, z ulgą stwierdzając, że napięcie wyraźnie ustępuje. Najpierw przyjrzała się staremu, kruchemu człowiekowi, który usiadł, a potem przeniosła spojrzenie na wysokiego, śniadego Philippe'a, stojącego u końca stołu. Bez względu na to, co sądził o Edzie, było jasne, że stary go rozpuszcza, nie mogła więc zrozumieć niechęci Philippe'a. W gruncie rzeczy każdy człowiek jest nieco inny, niż ma to ochotę ukazywać. Spodziewała się, że przez ten weekend w Nowej Anglii dowie się czegoś nowego na ten temat.

Pieczeń była wyśmienita, po niej Ed podał domową szarlotkę z kremem. Spięć między mężczyznami już nie było, a jeszcze przed poobiednim porto Ed zaczął się osuwać na krzesło i Francesca stwierdziła, że stary ma zamknięte oczy.

- Nic mu nie jest? - spytała cicho.

- Na pewno nie - odparł Philippe z uśmiechem. - Często mu się to zdarza, kiedy wypije za dużo porto. Uważnie przyjrzał się przechylonej głowie Eda

i zwrócił się do Franceski: - Za kilka minut się zbudzi.

Francesca wolno dopiła swoje porto, ale nie mogła się skupić na rym, co mówi Philippe. Jej wzrok przyciągał stary, zmęczony człowiek. Zauważyła z cieniem współczucia, jak głowa zaczyna mu się chwiać, lekko się przechyla, potem wraca do pionu. Nagle jednak Ed szeroko otworzył oczy i uniósł głowę. Jego policzki, poprzecinane liniami popękanych naczyń krwionośnych, były purpurowe.

- To piekielne porto... zawsze mnie bierze - powiedział potulnie. - Nie wiem jak wy, ale ja się trochę prześpię. - Dostrzegł spojrzenie Franceski, rzucone w kierunku brudnych naczyń. - Nie przejmuj się tym bałaganem. Rano przyjdzie ze wsi kobieta, a my będziemy mieli czas na wczesny spacer.

Francesca i Philippe wstali i Ed minął ich nieco chwiejnym krokiem.

- Weźcie sobie porto i usiądźcie przy ogniu. Inaczej wino się zmarnuje - powiedział i skinął dłonią w kierunku salonu. - Jeszcze tylko wypuszczę na chwilę psa.

- Nic mu nie będzie? - spytała Francesca cicho tak żeby słowa nie dotarły do starego.

- Na pewno nie. Gdybym zaproponował, że pomogę mu wejść na górę, to chyba chwyciłby za strzelbę i zdmuchnął mnie jak kaczkę. Raz spróbowałem.. - Pokręcił głową na wspomnienie tamtego dnia Ed dostał szału. - Okruch ma, oczywiście, specjalne prawa... - dodał z kwaśnym uśmiechem, widząc, jak olbrzymi pies podąża przez hol za swoim panem - Chodź, posłuchajmy Eda i przejdźmy próbę ognia. Łatwo było odprężyć się z uczuciem lekkiej ociężałości w żołądku, w ciepłym, eleganckim pokoju z płonącym w kominku ogniem. Philippe dołożył drewna i Francesca pochyliła się w kierunku płomieni

W domu Eda, wśród miękkich puchatych poduch, w zapachu sosny, z psem pod bokiem czuła się dziwnie swobodna.

- Piękny jest ten dom.

- Lubię go najbardziej ze wszystkich posiadłości Eda - powiedział Philippe, siadając naprzeciwko niej, i również wbił wzrok w płomienie.

- Często tutaj przyjeżdża?

- Nie tak często, jak by chciał.

- Dlaczego się nie wycofa? - spytała, patrząc na Sancheza. - To miejsce jest idealne do odpoczynku.

- Ed miałby się wycofać? - Pokręcił głową. - Będzie pracował, póki nie padnie... Czasem zastanawiam się, czy do działania nie pobudza go niechęć do przekazania pałeczki dyrygenta w moje dłonie, dopóki sam jest na chodzie.

- Może po prostu nie chce być pozostawiony sam sobie, może lubi firmę i nadal go bawi ten cały reklamowy kocioł.

- Owszem, owszem... - Spojrzał w kieliszek, który trzymał w dłoni. - Nie rozumiem tylko, dlaczego on chce, żebyśmy wisiał mu u szyi jak kamień. Nigdy nie ułatwiałem mu życia.

- Zauważyłam - stwierdziła cierpko.

- Ta historia ma długie korzenie. - Urwał, zamyślił się na chwilę, potem ostrożnie podniósł głowę i spojrzał na Francescę. - Ed pieprzył moją matkę, tak dawno, że już trudno policzyć lata... No i ubzdurał sobie, że jestem jego synem.

Francesca poczuła zakłopotanie.

- A nie może mieć racji? - odezwała się w końcu, pragnąc, żeby odwrócił od niej spojrzenie, w którym było coś, co ją krępowało.

Roześmiał się pogardliwie i wysączył ostatnie krople z kieliszka.

- Ed?! - Szeroko rozwarł powieki, rzucając kpiące

spojrzenie, jakby powiedziała coś wyjątkowo zabawnego. - Czy widzisz między nami jakieś podobieństwo?

- Nie, ale to niczego nie dowodzi... - Uświadomiła sobie, że mimo woli myśli o ogromnej różnicy w wyglądzie swoim i matki.

- A czy nie wydaje ci się dziwne, że Ed nie ma dzieci, żadnego z trzech małżeństw? O ile wiem, nie dorobił się też nieślubnych, chociaż kochanki zmieniał jak rękawiczki, możesz być pewna.

- Dlaczego nie chcesz być jego synem? Czy myśl o tym zupełnie ci się nie podoba?

- Czasem chce mi się z tego powodu rzygać - powiedział zajadle. - Moja matka była jego gospodynią, potem kochanką, a potem mu się znudziła i zostawił ją, żeby zgniła. - Nigdy, nawet teraz, nie mógł znieść myśli o żadnym kochanku matki. Jako dziecko nasłuchiwał się dość szyderstw i wyzwisk, żeby mógł zapomnieć, że matka jego była „la puta Rosa Sanchez”. Dopiero gdy dorósł na tyle, by rozumieć, co się dzieje, gdy ładną niegdyś twarz matki porało ciężkie życie mężczyźni przestali przychodzić.

- Mężczyźni mają takie zwyczaje - powiedziała ostrożnie. - Dlaczego Ed miałby być inny?

- Lubisz go, prawda? - Chciał zmienić temat, czuł bowiem, jak znów ogarnia go mroczny nastrój.

- Owszem.

- To jest ktoś, muszę przyznać - powiedział, usiłując stłumić niechęć w głosie. Spoglądał w ogień, jakby chciał uniknąć wzroku Franceski.

Przyglądała mu się przez długą chwilę; blask i cień grały na twarzy o stężonych rysach, zgarbił się jak pod ciężarem. Raptem przyszła jej ochota odgarnąć mu gęste, czarne włosy, z czoła, bo doznała wrażenia, że patrzy na własne odbicie w lustrze.

Philippe milcząc siedział na tym samym miejscu,

póki ogień nie wygasł, jeszcze długo po tym, jak Francesca powiedziała „dobranoc” i poszła do swojego pokoju. Westchnął ciężko, widząc ciemność dookoła. Dlaczego pozwolił się wciągnąć w rozmowę na temat Eda? Zawsze było to rozdrapywanie starych ran. Może gdyby pozwolił im krwawić wcześniej, udałoby mu się zaleczyć je całkowicie? Odchylił się do tyłu, wyciągnął nogi i zamknął oczy. Obraz Franceski siedzącej naprzeciwko podziałał na niego jak balsam. Dłonie sięgnęły ku niej i zaczęły rozpinać czarne guziczki, tak że różowa, jedwabna bluzka zsunęła się z jej ramion. Philippe otworzył oczy.

- Wpadłeś, człowieku. Naprawdę wpadłeś - szepnął do siebie.

Niebo było przejrzyste, pokryte zimowym błękitem, i przez chwilę Francesca sądziła, że spadło trochę śniegu. Biała pokrywa okazała się jednak grubą warstwą szronu. Obejrzała widok z okna i uznała, że Ed dokonał dobrego wyboru. Duży, biały dom leżał w płytkiej dolinie, otoczonej łańcuchem łagodnych, zalesionych wzgórz. Nie dostrzegła żadnego innego domu ani obejścia w pobliżu i omal nie uległa wrażeniu, że jest na pustkowiu, ale przecież Ed wspominał o wsi tak, jakby można było tam szybko się dostać. Odwróciła się od okna, wzięła szkarłatny sweter, wypakowany poprzedniego wieczoru, i wciągnęła go przez głowę. Świetnie pasował do luźnych, czarnych spodni, dlatego zresztą go zabrała, a w bocznej kieszeni torby szczęśliwie znalazła parę szkarłatnych skarpet, miała więc nadzieję, że nie zmarzną jej nogi. Spojrzała w lustro stojące na toalecie z sosnowego drewna i odczuła zadowolenie: nie przesadziła z nieskazitelnym wyglądem, nie widziało się w niej szefa poważnej agencji. Wreszcie usiadła na łóżku i włożyła prawie nowe buty sportowe, które kupiła dość

dawno temu. Nie odpowiadały wprawdzie ścisłym kryteriom elegancji, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa stanowiły najwygodniejszą parę obuwia, jaką miała kiedykolwiek. Francesca uśmiechnęła się i wyciągnęła nogę z nietypowo obutą stopą... Niech się schowają „Vogue”, „Elle” i „Tatler”.

- Zjemy po powrocie, dobrze? - spytał Ed, wsuwając ramiona w olbrzymi barani kożuch.

- Doskonale - odparła.

- Philippe zszedł do wsi po parę drobiazgów, więc na razie pójdziemy sami.

Przeszli przez lśniący hol do kuchni wyłożonej kamiennymi płytami, na których nie pozostała najmniejsza plamka. Okruch leżał przy drzwiach, ale widząc wchodzącego Eda, poderwał się.

- Zgadnij, co będziemy robić, ty stary gamoni! - powiedział Ed do rozradowanego, śliniącego się psa, który wykonywał przed nim ekstatyczny taniec. Za przyzwoleniem pana zakreślił jeszcze kilka młynków w oczekiwaniu na otwarcie drzwi, po czym wypadł na dwór z prędkością zapierającą Francescę dech.

- Zdaje się, że masz sporego psa... - stwierdziła ze śmiechem.

- To takie wielkie niemowlę. Może trochę głupawe, może trochę za tłuste, no ale przecież nie można mieć wszystkiego naraz. - Ed podążał za Okruchem, póki mógł go dostrzec, ale wkrótce bernardyn znikł wśród oszronionych zarośli. - Oczywiście, ostatnio się starzeje... - powiedział ze smutkiem w głosie.

Minęli to, co zima zostawiła z ogrodu, i weszli na wąski leśny trakt. Panował chłód, przejmujący chłód, i kiedy przechodzili pod drzewami, widać było białe mgiełki oddechów.

- To wszystko będzie któregoś dnia należeć do Phila... - Spojrzał na Francescę i dostrzegł zaskoczenie w jej twarzy. - Czyżbyś się nie domyślała?

- Właściwie nie wiem, Ed, czego miałabym się domyślać... - Powiedziała nieprawdę, ale wolała raczej takie wyjście.

- Nie legalizowałem tego, ale ten chłopak to moja krew. - Sięgnął do kieszeni i wydobyl cygaro.

- Twój syn?

- Cóż... Tak, jak mówię, nie ma na to dowodów, ale jego matka i ja znaleźliśmy się bardzo dobrze, wiesz, o czym myślę.

Mrugnął porozumiewawczo i Francesca poczuła, że ma ochotę się uśmiechnąć.

- Zresztą nie potrzebuję tych wszystkich ceregieli z badaniem krwi... Po prostu widzę w nim siebie, i tylko to się liczy.

- A co na to Philippe?

- Och, wiem, że jego zdaniem jestem starym głupcem... Ma żal, że nie okazałem się dość przyzwoity, by ożenić się z Rosą, czyli jego matką. - Zapalił cygaro i przez kilka kroków szli w milczeniu. - Nie mogę powiedzieć, żebym miał o to do niego pretensję. Żaden syn nie lubi myśli o matce turlającej się z szefem. - Cicho zachichotał. - Rosa była wtedy moją gospodynią i tak się złożyło, że w czasie, kiedy Philippe zapewne został poczęty, miałem już żonę. Etta, moja druga ślubna, zaczęła podejrzewać, że skaczę na bok i Rosa musiała odejść. Rozumiesz, Etta chciała na mnie wymóc piekielne warunki rozwodu, więc nie stać mnie było na dawanie jej dowodów.

- Zaciągnął się dymem z cygara i wydmuchnął szarą chmurę. - Fajna kobieta była z tej Rosy, ale muszę ci powiedzieć szczerze, że nigdy nie ożeniłbym się z Latynoską. Tego się po prostu nie robiło.

- Pokręcił głową. - Oczywiście, teraz jest inaczej, czasy się zmieniły. - Pomyślał o Philu.

- Czy kiedyś potem ją spotkałeś?

- Doszło do rozwodu, wyprowadziłem się i straciliśmy kontakt.
 - Czy wiedziałeś wtedy o istnieniu Philippe'a?
 - Skąd... Ale kiedy w dwadzieścia lat później złożyłem fakty do kupy, nieźle mną tąpnęło. - Urwał na chwilę, próbując dostrzec Okrucha szalejącego gdzieś w lesie, udało mu się, więc podjął: - Wiesz, nigdy nie wierzyłem w przeznaczenie i, przepraszam za wyrażenie, podobne brednie, ale kiedy odkryłem po tylu latach, że w mojej firmie pracuje syn Rosy Sanchez, najprawdopodobniej moja krew, to zaczęło mi się solidnie gotować pod tym starym sufitem.
 - Po co mi to wszystko opowiadasz? - spytała zaciekawiona.
 - Chyba chciałem po prostu oczyścić atmosferę -skłamał. - Bądź co bądź, pewnie będziemy się teraz dużo widywać. - Już on o to zadba. Nie opowiedział jej przecież bez celu o swoim życiu. Chciał, żeby wiedziała, co dostanie się Philippe'owi, gdy on, Ed, będzie już wachał bratki od spodu. Musiała zrozumieć, że to nie jest zwykły, cwany Latynos, który wyrósł ponad stan. Philippe to jego syn i, sukinsyn, będzie bogaty. Do oczu napłynęły mu łzy. Zaklął pod nosem, za często mu się to ostatnio zdarzało. Szybko wsadził do ust cygaro i w milczeniu czekał na chmurę dymu. Cholera... może Philippe ma rację, myśląc o nim jak o starym głupcu.
- Philippe'a spotkali, kiedy obeszli jeziorko i wracali do domu. Francesca przyglądała się, jak zbliża się do nich swobodnymi, wielkimi krokami. Uśmiechał się, a z bliższej odległości wydał się niemal rozpromieniony. Nie pozostało śladu Philippe'a siedzącego poprzedniego wieczoru samotnie przy dogasającym ogniu. Wracali w przyjaznym milczeniu, a kiedy doszli do domu Francesca stwierdziła, że, poza jajkami ich długo oczekiwane śniadanie, z którego zrobił się wczesny lunch, jest gotowe.

- Ty też umiesz gotować... - stwierdziła żartobliwie i spojrzała na Philippe'a.
 - Zareczam, że w innych robotach domowych też jest świetny - wtrącił Rock.
 - Och, zamknij się, Ed! - burknął Philippe, ale z uśmiechem, chociaż oczy nieco mu ściemniały.
- Popołudnie wypełniła im gra w karty i warcaby, a na obiad był stek z sałatką, po nim zaś znowu szarlotka Eda.
- Ja się wcześniej kładę - oświadczył Ed, pozbierawszy naczynia. - Ale wy sobie jeszcze posiedźcie, poczęstujcie się porto.
 - Ja dziękuję - powiedział Philippe. - Też się muszę wcześniej położyć, jutro czeka nas ciężki dzień.
- Ed przyjrzał mu się badawczo, zastanawiając się, czy słuch go nie myli. Nie po to chciał poświęcić chwilę miłego rozleniwienia nad kieliszkiem porto i zostawić tych dwoje sam na sam, żeby Philippe odrzucił tę propozycję.
- Nie przesadzaj, Phil... Godzina jest jeszcze młoda.
 - Naprawdę nie, Ed. Rano mamy spotkanie z Kleinem, więc trzeba wcześniej wstać. - Philippe podniósł się. - Chcę być wypoczęty.
 - Philippe ma chyba rację - wtrąciła się Francesca.
- Ed długo przyglądał się obojgu, ledwie ukrywając złość.
- No, dobra... Róbcie, jak chcecie. - Wzruszył ramionami, zabrał naczynia i wyszedł z pokoju.
 - Co ja takiego powiedziałam? - spytała Francesca, kiedy Ed znikł w głębi holu.
 - Zgodziłaś się ze mną, a to jest poważny nietakt - odparł z uśmiechem Philippe i dodał: - Chodź, możemy temu staremu tyranowi posprzątać po obiedzie.
- Z okna sypialni Francesca dostrzegła zarys przy-

garbionej sylwetki Eda, czekającego, aż Okruch skończy swą wieczorną rundkę. Zaczynał chwytać mróz, ostry jak lodowa krawędź, przy którym niebo wydaje się kruche, jakby miało się rozsypać pod byle dotknięciem. Odwróciła się od okna z pewnym smutkiem. Będzie jej brakować tego domu, lasów, Eda, Okrucha i nawet Philippe'a. Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - W półmroku pojawił się Philippe. - Pomyślałem, że będzie dobrze przypomnieć ci, byś nastawiła budzik na szóstą.

- Dziękuję.

- Cóż... - powiedział z lekkim zakłopotaniem -...wobec tego dobranoc.

- Dobranoc, Philippe - odparła cicho, widząc lekkie zażenowanie na jego twarzy.

Philippe się cofnął i odszedł elastycznym krokiem, znikając w przyćmionym świetle wąskiego, wyłożonego boazerią korytarza.

Adam odwołał weekendowe spotkanie, Sian usiłowała więc zorganizować coś w ostatniej chwili, zabierając Petie'ego do parku. Było chłodno i szaro, w powietrzu wisiała mżawka. Spacerowali długo, przystanęli nad prawie pustym stawem, w którym pływało tylko kilka kawałków chleba. Chciała, żeby Petie miał chociaż przyjemność obejrzenia resztek ptasiej populacji, pozostających tam jeszcze, póki zima na dobre się zagnieździ i staw stanie się zamkniętym światem. Adam zasypał ją przeprosinami, a ona w milczeniu słuchała tych usprawiedliwień i wreszcie pozwoliła się namówić na spotkanie po jego wizycie u Franceski, w następną środę po południu. Adam jeszcze nie widział Petie'ego; pomyślała więc, że w końcu postanowił uznać syna... on jednak miał już jednego, Williama, i jasno dał do zrozumienia, że mu to wystarcza.

Petie nigdy zresztą nie mieścił się w jego planach i gdyby Adam postawił na swoim, nie byłoby chłopca w ogóle. Teraz Sian pozwoliła myślom wrócić do romansu, do dni, gdy agencja The Village stała się całym jej światem. Dlatego też, mimo dręczącego milczenia, jakie trwało między nimi za sprawą Adama, dźwięk jego głosu obudził w niej pewną nadzieję.

Sian drgnęła, natarczywy dzwonek telefonu przerwał tok myśli. Zoe nie było przy biurku. Sian podeszła do aparatu. Przyjęła krótką wiadomość, po czym skierowała się do kuchenki. Dzbanek do kawy na pewno był już pusty, a za piętnaście minut miał się pojawić Adam.

- Hej.

Geoff wysiadł z windy i szedł w jej stronę.

- Czy nie zamierzasz przypadkiem zrobić trochę kawy? - spytał z filuternym uśmiechem.

- Będziesz pierwszy, któremu o tym powiem, Geoff.

Nieśmiało ruszył za nią do kuchennej klitki.

- Zastanawiałem się, czy nie znalazłabyś czasu na szybkiego drinka dziś wieczorem...?

Przymknęła oczy i udała zaabsorbowaną ekspresem do kawy.

- Przepraszam, Geoff, ale mam już plany na dziś wieczór... - Zdawało jej się, że słyszy westchnienie.

- Może w czwartek lub piątek?

- Wobec tego w piątek - zaproponował. - Moglibyśmy zjeść kolację...

- Zgoda - powiedziała, odwracając się do niego.

- Będzie mi bardzo miło. - Zaklęła w duchu, że wypadło to tak bez wdzięku i niemal protekcjonalnie.

- Świetnie - odparł Geoff, nadal się uśmiechając. Pomyślał, że cierpliwość, jaką okazuje wobec Sian, jest niezrozumiała dla niego samego. - Na razie.

Patrzyła, jak oddala się w kierunku gabinetu, za-

dowolona że nie będzie go w pobliżu, kiedy nadejdzie Adam i najprawdopodobniej nie uda się jej uniknąć zdradliwych rumieńców.

Adam spóźnił się o pięć minut. Gdy tylko wysiadł z windy, rzuciło jej się w oczy, że wcale się nie zmienił. Uprzytomniła sobie też, że oczekiwała podświadomie jakiejś zmiany, że będzie wyglądał inaczej niż człowiek, którego kochała. Wtedy może byłoby łatwiej. Ciemny płaszcz przerzucił niedbale przez ramię, pozostając w luźnej, kaszmirowej marynarce, którą od razu poznała: niebiesko-czarna, ze złotymi guzikami. Biła od niego wytworność, a znajomy zapach starannie dobranego kremu po goleniu boleśnie podrażnił nozdrza Sian. Znów ogarnęły ją wspomnienia. Adam porozumiewawczo mrugnął, kiedy wstała, żeby wprowadzić go do pokoju Franceski. Drzwi za nim zamknęły się szybko i Sian niechętnie wróciła do biurka. Dlaczego mrugnął?

Vic uważnie przyglądał się Gowerowi. Stu przedstawiał właśnie tak wspaniałą propozycję, że trudno było odmówić, w dodatku przyszedł na tę rozmowę dobrze przygotowany, zdawał sobie nawet sprawę z rozmiaru niechęci Vica do Franceski. Oczywiście, nie powiedział tego wprost, ale czynił aluzje do plotek, jakie do niego dotarły z reklamarskiego magła. Stu Gower był założycielem i prezesem agencji GKR czyli Gower & Kid-Porter, jednej z najbardziej podziwianych firm w Londynie, oscylującej zwykle wokół dziewiątego miejsca w brytyjskim rankingu. GKP rozwijała się ostatnio z dużym powodzeniem i od pewnego czasu jej szefowie starali się o dopływ świeżej krwi, by wspomóc zapracowanych liderów, a przy okazji niewątpliwie, zyskać nowych klientów, których przyciągnęliby nowi pracownicy.

- Naturalnie, dzisiaj nie musisz mi dawać żadnej

odpowiedzi... Przemyśl sprawę, możesz się zastanawiać, ile tylko chcesz. - Stu pochylił się konspiracyjnie do Vica, a jego wielkie, pofałdowane policzki wydawały się purpurowe w świetle stołowej lampki. -Ale okazja jest teraz wspaniała. Wiadomość o fuzji Samuela i Dunmar-Rock zaniepokoiła niektórych klientów, niewielu, ale akurat wystarczy. Póki hałas nie przycichnie, części z nich wystarczy szepnąć tylko słówko o twoich planach, żeby podjęli decyzję i dołączyli do ciebie... Oczywiście, może okazać się konieczna łagodna perswazja z twojej strony.

Vic obracał kieliszek w dłoniach, unosząc kąciki ust w półuśmiechu. Cóż za mistrzowskie posunięcie! Mógłby szturchnąć Henry'ego i Francescę tak, jak im się należy, a zarazem sam skorzystać. Fuzja była już prawie sfinalizowana, z konieczności dojdzie więc i do rozmów o zmianach w kierownictwie, bo trzeba przecież wprowadzić kilku Jankesów. Początkowo może go to nawet nie dotknąć, ale prędzej czy później pani prezes Gaetini znowu zrobi mu przykrą niespodziankę. Chwilowo sprawy układały się pomyślnie, ale na jak długo? Vic cieszył się famą urodzonego reklamiarza na wiele lat przed przyjściem Franceski do agencji, upajał się światłem reflektorów jeszcze jako „bystrooki chłopak” Samuela. Teraz reflektory przesunęły się na genialną panią prezes, a on pozostaje w cieniu. Był też jeszcze Geoff, nudziarz i przeciętniak, który mościł dla siebie ciepłe gniazdko... Agencja zmieniła się zdecydowanie, a Vic nie chciał być świadkiem kolejnych tak zwanych zmian. Pomysł przeniesienia się na nowe tereny zaświtał mu zaraz, gdy tylko Henry postawił nad jego głową Francescę, ale dotąd Vic żył nadzieją, że pani prezes rozłoży się na amen, a Henry zwróci się do niego, Vica, z prośbami i prośbą o ratunek. Zorientował się jednak, że na to się nie zanosi, Francesca jest bowiem

o wiele za sprytna. Propozycja Gowera padła w doskonałym momencie, tego jednak oferent nie powinien się dowiedzieć za szybko. Vic odetchnął z satysfakcją. Stu był hojnym człowiekiem, ale na razie nie dość hojnym, a trzeba było brać pod uwagę zbliżające się Boże Narodzenie i roczną premię. Vic nie miał zamiaru rezygnować z dziesięciu tysięcy funtów.

- Kiedy do ciebie zadzwonić? - przerwał jego zamyślenie Gower.

- Dwudziestego. - Vic spojrzał na rozmówcę.

- To dzień podpisania umowy o fuzji, prawda?

- Tak się składa - odparł Vic niejasno, ale można było dostrzec, że jego słowa mają ukryte znaczenie. Wstał, zbierając się do odejścia.

Stu uściśnął dłoń potencjalnego kolegi i odprowadził go spojrzeniem aż do wyjścia z baru. Brunning jest cwany sukinsynem, może trochę za łatwym do przejrzenia, ale ma szerokie, zmysłowe usta, które klienci, nie wiadomo czemu, lubią, a poza tym mnóstwo doświadczenia i kontaktów tam, gdzie trzeba, to zaś można wyrazić konkretnymi liczbami, o czym Stu świetnie wiedział. Oczywiście, należało się spodziewać czegoś więcej niż tylko nowego pracownika, bo przecież Brunning z pewnością skubnie Samuelsonowi paru klientów i zabierze ich z sobą, co będzie oznaczało dla GKP wzrost zysków, a może nawet skok w rankingu. Stu sięgnął do pulchnej mażowiny usznej i poczuł znajomą sztywność rudoblond włosów, łaskoczących palce. Niechętnie pogodził się z myślą, że pewnie będzie musiał do nazwy firmy dołączyć nazwisko Vica, ale w przyszłości powinno się to opłacać. Gower & Kid-Porter-Brunning... Można na tym połamać język i zarząd zgłosi na pewno sprzeciw, ale Vicowi Brunningowi pomysł się naturalnie spodoba. Stu zaś wiedział, że taka decyzja może przesądzić o wyniku rozmów z Brunningiem, jeśli inne argu-

menty zawiodą. Miłość własna Vica była bowiem legendarna.

- Są jakieś wiadomości? - spytał Vic nonszalancko, przechodząc obok biurka Zoe.

- Zostawiłam ci na biurku... - Z nadzieją spojrzała za Vikiem znikającym w gabinecie. - Mam wejść? Nie od razu odpowiedział.

- Dobra. Ale przynieś mi filiżankę kawy, mam bagno w gębie.

Roześmiała się i poszła do kuchenki. Vic wydawał się w dobrym nastroju. Było to ulgą, bo przez ostatnie dwa tygodnie ignorował ją. Każdego rana starannie dobierała stroje, tak prowokujące, jak tylko śmiała, ale Vic nie zwracał uwagi. Nie było zostawiania na lunch ani siedzenia po godzinach, kiedy wszyscy już wyszli. Traktował ją tak, jakby przestała go interesować. Ale przecież nic się nie zmieniło, zupełnie nic... wmawiała sobie, udając, że wszystko jest w porządku. Nie wiedział o jej wpadce, więc powinno być jak dawniej. A jednak nie było. Vic perfekcyjnie opanował sztukę pozbywania się ludzi niepotrzebnych. Zoe zauważyła to już wcześniej, szczególnie w odniesieniu do kobiet... Wsypała trzy łyżeczki cukru do parującej kawy, nie zwracając uwagi, że drżą jej dłonie. Odłożyła łyżeczkę na spodek i ruszyła do gabinetu.

- Właśnie tego było mi trzeba - powitał ją Vic uśmiechem.

Uśmiechnęła się do niego również gorliwie.

Przyglądał jej się, jak wychodzi z pokoju po notatnik i pisak. Zgryźliwie pomyślał, że jest podobna do szczeniaka, który usiłuje przypodobać się panu. Naturalnie nie mógł nie zauważyć tęsknych spojrzeń, jakimi obdarzała go za każdym razem, gdy wychodził z agencji. W normalnej sytuacji powinna przecież wślizgnąć się niepostrzeżenie do jego pokoju i cze-

kać, aż Vic podświetli tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Znudziła go jednak. Zorientował się już jakiś czas temu, a Cherry, dziewczyna z klubu, gdzie grywał w squasha, stanowiła miłą nowość. Ostatnio jednak wyjechała na jakiś kurs i do świąt była nieuchwytna. Vic przyjrzał się Zoe, która tymczasem wróciła do pokoju. Znowu miała na sobie te obcisłe spodnie, nie pozostawiające nic domysłom. Upił duży łyk kawy, przyglądając się bladym, małym dłoniom, kładącym na biurku notatnik i pisak. Ładne ręce. Zaraz jednak niezgrabnie wróciły na podolek, a Zoe w zakłopotaniu przyglądała się im, póki nie podniosła głowy, żeby spojrzeć Vicowi w twarz wielkimi, żalnymi oczami. Błagalnie. Vic wyciągnął rękę i przycisnął czerwony guzik, którym podświetlało się tabliczkę na zewnątrz. Posiłek z Gowerem był mocno zakrapiany i ciężki, Vicowi pozostało po nim miłe uczucie rozleniwienia i ospała ochota na seks. Spojrzał znacząco na nagle zarumienioną dziewczynę i obrócił się z krzesłem, wolno rozpinając rozporek.

- Zabawimy się trochę, Zoe? - Był zbyt zmęczony, żeby się wysilać, więc gdy z zapalem obeszła biurko, dał znak, żeby przed nim uklękła. Zorientowała się, czego od niej oczekuje, więc pochyliła się z ledwie zauważalnym rozczarowaniem. Objęła wargami członek, a Vic ujął jej głowę w dłoń i jęknął z zadowolenia, gdy ta zaczęła rytmicznie unosić się i opadać. Może jednak będzie mu tego brakowało? Może. Ale w GKP będą również chętne dziewczyny... Zabieranie Zoe ze sobą nie wchodziło w grę.

Geoff rzucił przenikliwe spojrzenie na Adama Gilmore. Właśnie przy tego rodzaju ludziach z branży czuł zakłopotanie. Gilmore wyglądał jak spod igły, był chłodny i nieskazitelny. Geoff zastanawiał się nie bez zazdrości, jak dużo czasu zajęło tamtemu wypracowa-

nie tak doskonałego oblicza człowieka reklamy ze śnieżnobiałymi zębami i złocistą opalenizną. Gwałtownie wciągnął powietrze i usiłował przestawić myśli na inny tor. Spotkanie dotyczyło interesów, a Francesca chciała poznać jego zdanie w sprawie ewentualnych powiązań między agencją Samuela i The Village. Dopóki Gilmore dobrze prosperuje, nic innego nie powinno mieć znaczenia. Geoff skupił uwagę na leżących przed nim dokumentach. Był tam egzemplarz rocznego sprawozdania w lśniącej, czarnej jak heban, oprawie ze złotą nazwą firmy. Ludziom z The Village zawsze udawało się zrobić coś efektownego, ale nie przesadzonego i nie trącającego hollywoodzką tandetą. Geoff westchnął: sam Gilmore też pasował do tej charakterystyki. Oprócz sprawozdania, teczka zawierała dane na temat budżetu, informacje o polityce finansowej, listę klientów i aktualną tabelę stawek za porady dotyczące tworzenia publicznego obrazu firmy. Według „Public Relations Week”, agencja Gilmore'a zajmowała obecnie jedenaste miejsce w rankingu. Niezależnie od całkowicie prywatnych złych przeczuć, związanych z osobą szefa, Geoff wiedział, że Francesca robi krok we właściwym kierunku, i bez względu na to, którą z agencji zajmujących się tworzeniem publicznego obrazu firmy wezmą pod swoje skrzydła, Samuelowi inwestycja się opłaci. Właśnie niedawno czytał gdzieś, że w poprzednim roku obroty w tej branży wzrosły o blisko czterdzieści procent, a to według wszelkich kryteriów oznaczało szybki wzrost. Zmarszczył czoło. Oczywiście, mogli zdecydować się na inwestycje także w innych intratnych branżach, na przykład zająć się promocją sprzedaży, reklamą pocztową, grafiką użytkową albo wzornictwem. O każdej z nich miał stos informacji na biurku. Tworzenie publicznego obrazu firmy stanowiło jakby wierzchołek góry lodowej. Znowu skoncen-

trował się na rozmowie, która dobiegała końca w dość przyjaznej atmosferze. Gilmore wstał. Kiedy ściskali sobie dłonie, zwrócił uwagę na jego wzrost - był o głowę wyższy od Geoffa. Nie rozumiał jednak, dlaczego mu to tak bardzo przeszkadza. Francesca odprowadziła gościa do drzwi i tam go pożegnała, po czym wróciła do biurka, nalewając po drodze dwie filiżanki kawy.

- No? - rzuciła pytająco.

- Wiemy już, że to dobry zespół. Gilmore zbudował go praktycznie sam. Chce rozszerzyć działalność i potrzebuje gotówki... - odpowiedział Geoff. - Chyba tego właśnie potrzebujemy, prawda?

- Możliwe, ale zanim podejmę decyzję, chciałabym spotkać się z Derekiem Richie.

- Z agencji Prime PR?

Potwierdziła skinieniem głowy i spojrzała na robocze notatki.

- Richie powinien być przygotowany na przejęcie interesu przez kogoś. Chciałabym, żeby w najgorszym razie było pięćdziesiąt jeden procent dla nas, czterdzieści dziewięć dla Prime.

- A Gilmore nie chce stracić kontroli nad firmą. Żąda dla siebie pięćdziesięciu jeden procent.

Znow skinęła głową.

- I może się zaprzeć jak osioł - dodała kwaśno.

- Cóż, obie firmy ciągną dobrze... - Geoff odsunął krzesło i dopił kawę. - Daj mi znać, kiedy ma przyjść Richie.

- Oczywiście... I zobaczymy, czy znajdziemy czas, żeby się spotkać na lunchu w tym tygodniu albo na początku przyszłego - powiedziała już do jego pleców.

- Zadzwoń w tej sprawie później - rzucił przez ramię. Wychodząc na korytarz, spojrzał na zegarek. Robiło się późno, a po niepowodzeniu z Sian udało

mu się namówić Pete'a Morgana na partię squasha. Musiał się jednak pośpieszyć, bo wyglądało na to, że może przepaść im zamówiony kort. Usłyszał głosy, więc odwrócił głowę i zobaczył, jak Gilmore pomaga Sian włożyć płaszcz. Tamci też się odwrócili, jednocześnie, jakby poczuli wzrok Geoffa, który zareagował wymuszonym uśmiechem, a potem patrzył za nimi. Ramię Gilmore'a objęło plecy Sian. W głowie Geoffa kłębiły się gorzkie myśli. Oczywiście, Sian pracowała w The Village, zanim przyszła do Samuela... zanim jeszcze urodziła dziecko, dotąd jednak nie wiązał jej z Gilmore'em, nie miał powodu. Ale przecież kiedy zapytał ją o przeszłość, wspominając szefa The Village, spochmurniała i zaczęły jej drżeć ręce. Teraz wszystko stało się jasne. Geoffa opadła zazdrość. Układny, gładki, nieskazitelny Gilmore... do tego wysoki. Pokręcił głową i podszedł do szafy na książki, gdzie na starych sprawozdaniach i zakurzonych rocznikach „The Economist” w czerwonych oprawkach, leżała jego rakietka do squasha. Z nagłym gniewem chwycił ją. Może Gilmore jest gładki i lśniący, może jest nieskazitelny, ale rycerskości mu zabrakło. Nie ożenił się z Sian. Było już późno i agencja robiła wrażenie wymarłej, kiedy zadzwonił telefon. Z irytacją odłożywszy płaszcz, Francesca podniosła słuchawkę.

- Wiedziałem, że jeszcze będziesz... w twoim wspaniałym biurze, z wspaniałymi papierami...

Myślała, że się uodporniła na jego głos, ale nieodmiennie ją poruszył.

- Właśnie wychodziłam.

- Brakowało mi ciebie...

- Byłam w Nowym Jorku... Wiesz o tym.

- Jak poszło? - spytał bez zająknienia.

- W porządku - odparła obojętnie. - Skąd dzwonicz?

- Oczywiście z Paryża... mojego azylu... Pełno we mnie małych otworów po sondach tam, gdzie prasa badała działanie maszyny Matthiasa.

- Słyszałam, że film się udał.

- Ujdzie... ale nic nie jest doskonałe. Zapadło ciężkie milczenie.

- Pomyślałam, że mógłbym przyjść do ciebie wieczorem...

Ogarnął ją smutek, lecz nie odezwała się.

- Czy mogę?

- To nie jest dobry pomysł, chyba o tym wiesz -powiedziała w końcu.

- Dlaczego tak komplikujesz wszystko?

- Czy tego już przypadkiem nie przerabialiśmy?

- Tylko raz...

Prawie widziała ten przewrotny uśmiezek występujący...

- Tak czy owak, jesteś w Paryżu.

- Zamierzam całkiem samodzielnie przylecieć. Mógłbym stanąć u twoich drzwi jeszcze zanim wrócisz do domu.

- Nie mogę... Dziś wieczorem nie... Jestem umówiona na kolację. - Kłamiesz. Tchórzysz.

- Poczekam.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odłożył słuchawkę.

Caroline spojrzała ponuro na Nicka.

- Torturujesz twarz - powiedział lekko.

- Co masz na myśli? - spytała, wciąż zasepiona.

- Ten grymas. - Uśmiechnął się i delikatnie przesunął palcem po jej czole, jakby chciał wygładzić zmarszczki. - Mamusia... to znaczy rodzice chcieliby cię poznać.

- Czy to nie jest trochę przedwczesne?

- Masz rację - odparła z zakłopotaniem - ale oba-

wiam się, że oni tacy już są. - Nagle zrobiło jej się gorąco, być może przez to, że tłok u Draymana gęstniał.

Twarz mu spoważniała.

- Chcą mnie dokładnie obejrzeć, to masz na myśli?

- Naprawdę nie musisz...

- Czemu nie? Nie mam nic do ukrycia. - Wyobraził sobie tę „rozmowę kwalifikacyjną” i nerwowo westchnął. Wiedział z góry, że rodzicom Caroline nie spodoba się to, co zobaczą. Nie był przecież „pocziwym, starym Guyem”, nie uczył się w prywatnej szkole, a co najgorsze, pochodził z rodziny bez pieniędzy, bez żadnych pieniędzy.

- Mogę to bez trudu odwlec - zaproponowała, i ją bowiem dręczyło wyobrażenie tej wizyty. Koszmar.

- Nie trzeba... Mnie to nie przeszkadza. - Rzeczywiście mu nie przeszkadzało. Uprzedzeni, o wąskich, ciasnych horyzontach rodzice mogli wystraszyć Caroline, ale nie jego. Nie rozumiał sensu odkładania rozmowy, skoro prędzej czy później i tak musiało do niej dojść, jeśli mieli być z Caroline razem. Jeśli. Spojrzał na jej delikatną, zaniepokojoną twarz i poczuł ściskanie w gardle. Nic takiego nie zdarzało mu się przedtem. Nie przeżywał ulotnych chwil szczęścia o dziwnych porach dnia i nocy... Nie miał takich pragnień.

Caroline upiła łyk drinka, który wydal jej się pozbawiony smaku. Wyobraziła sobie chudą, bezlitosną twarz matki. Wizyta zakończy się klęską, była tego pewna, tak samo jak i zachowania matki, która już się o to postara. Na Nicku ciążyła klątwa, rzucona zanim jeszcze rodzice go poznali. Wiedziała, że nie uniknie oskarżeń i „grózb”, gdyby zdecydowała się dalej z nim spotykać, wbrew ich woli.

- Czasem żałuję, że moi rodzice nie są inni... - powiedziała nagle.

- Ja czasem myślę to samo o swoich.
- Naprawdę? - spytała z nadzieją.
- Oczywiście. - Kochał rodziców, nawet lubił ich towarzystwo, ale wyrastał ze świata, w którym żyli. Pierwszy zwrócił na to uwagę ojciec.
- To dlatego, że moi tak jakoś utrudniają człowiekowi życie... - powiedziała słabo.
- Chcesz powiedzieć, że mogą utrudnić życie nam, prawda? - Potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Przecież wiesz, że nie do nich należy ostatnie słowo. - Wyraz lęku na jej twarzy wzbudził w nim niemal litość. - Zawsze możesz się do mnie wyprowadzić - dodał.

Zaskoczył ją.

- Mówisz poważnie?
- Oczywiście. - Aż do tej chwili nie zdawał sobie nawet sprawy, jak tego pragnie. Na jej twarz powrócił jednak nieszczęśliwy grymas. Nick uprzytomnił sobie, że chyba znów zmusza Caroline do dokonania wyboru, a ona nie jest do tego przyzwyczajona.
- Znowu torturujesz twarz... - powiedział łagodnie i jeszcze raz sięgnął dłonią, żeby wygładzić zmarszczki na jej czole.

Słysząc głos Barbary Streisand, ten sam barman podawał wciąż te same drinki. Sian uśmiechnęła się smutnawo, miała wrażenie, że cofnęła się w przeszłość.

- Często tu przychodziliśmy - powiedział Adam.

Miała ochotę odpowiedzieć: „Czy myślisz, że mogłabym zapomnieć?”. Nie wypowiedziała jednak tych słów.

- Przepraszam za weekend.

Przez długą chwilę przyglądała się jego opalonej twarzy. Petie zdecydowanie ma jego oczy, stwierdziła z bolesnym ukłuciem... Ciemnoszare oczy ojca. Adam jednak wcale nie wydawał się ojcem małego.

- Nie ma sprawy. - Nieprawda, była sprawa.
 - Świetnie wyglądasz - skostatował z lekkim zakłopotaniem.
 - Naprawdę? - Boże, ubierając się na to spotkanie przeżyła prawdziwą udawkę. Ileż czasu spędziła przed lustrem, sprawdzając czy nie widać w jej rysach śladów urazy, która nigdy przecież nie opuszczała Sian.
 - Coś się w tobie zmieniło... - Wyczarował dawny uśmiech, mierząc ją beztroskim spojrzeniem.
 - Może to sprawa dojrzałości... radości macierzyństwa - stwierdziła z sarkazmem, przed którym nie mogła się powstrzymać.
 - Nie rób tego, Sian. To do ciebie nie pasuje. Sposepniała.
 - Tobie było i jest łatwiej, Adam...
 - Bardzo często o tobie myślę - próbował się bronić.
 - Czasem myślenie to za mało.
 - Wiem, wiem...
 - Nie widziałeś jeszcze Petie'ego. Zdajesz sobie z tego sprawę?
 - Tak... - Opalenizna Adama pociemniała. - Ale jeśli sobie przypominasz, sama tak zdecydowałaś. Wiesz dobrze, że chciałem ci tego wszystkiego oszczędzić.
 - Czy nie masz na myśli siebie?
 - Niech będzie, jeśli wolisz myśleć w ten sposób... Ale pamiętaj, że mam już troje dzieci, i nigdy nie obiecywałem poświęcić ich dla naszego związku, prawda?
- Cóż, to było tylko marzenie... Głupie, samolubne marzenie nastolatki, zniszczone, rozbite na milion kawałeczków. Adam ujął jej dłoń i Sian poczuła, że zaraz się rozpłacze. Tłumiona złość wyciskała łzy jej z oczu.

- Nie, Sian, proszę nie...

Próbowała mruganiem powstrzymać te cholerne łzy, nienawidząc się za to, że okazuje swój ból.

- Już dobrze... Zaraz się opanuję...

- Może to nie był dobry pomysł - powiedział niepewnie.

- Czyżbyś jeszcze się nie przyzwyczył do kobiecych łez? - uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nigdy się nie przyzwyczyłem. - Pomyślał o swojej żonie, o setkach razy, kiedy była zmuszona do płaczu, i zażenowaniu, jakie zawsze wtedy odczuwał. Kiedyś sądził, że jest to ostateczna broń kobiet. Teraz nie był już taki pewien. Spojrzał na Sian. Łzy znikły, oczy jej były teraz wielkie i świetliste, a zaczerwieniona skóra przypominała mu chwile, gdy się kochali. Zastanawiał się, czy Sian zdaje sobie sprawę, z jaką naturalnością się oddaje. Brakowało mu jej przez ostatni rok. Oczywiście, zmieniła się, ale macierzyństwo wyraźnie dobrze jej robiło. Gdyby chciał ciągnąć tę znajomość, wszystko układałoby się już inaczej. Było dziecko, a on miał już dość dzieci, była też jego zawodowa kariera... no i oczywiście żona.

- Chciałbym ustanowić dla Petie'ego jakieś zabezpieczenie finansowe, coś w rodzaju depozytu.

W oczach, które na niego spojrzały, było tylko znużenie.

- Nie musisz. Jest tak, jak powiedziałaś, sama zdecydowałam.

Mocniej ścisnął jej dłoń i Sian poczuła się zgubiona.

- Ja chcę - powiedział.

Zastanawiała się, czy to już wszystko, bo jego łagodny uśmiech zapowiadał tak wiele. Przez krótką chwilę krzyżowali spojrzenia. Zaraz jednak Sian ujrzała oczami wyobraźni Petie'ego, a potem, o dziwo, pojawiła się niepokojąca wizja osamotnionego Geoffa, spoglądającego z biurowego korytarza.

Był to jeden z grudniowych angielskich dni, kiedy jest nie tyle zimno, co mokro i paskudnie, kiedy szare niebo wisi ciężko nad wszystkim. Idąc do agencji, Francesca odchyliła głowę, wystawiając twarz na siekące strużki deszczu. Do świąt brakowało niespełna trzech tygodni, pogoda jednak bardziej pasowałaby do października lub listopada. W holu Francesca pochwyciła spojrzenie portierki, wpatrującej się w nią z większym niż zwykle zainteresowaniem. Zareagowała lekkim uśmiechem i weszła do windy. Wyraz twarzy dziewczyny wyleciał jej z pamięci. Sian siedziała już przy biurku, Francesca pozdrowiła ją i poprosiła o kawę, ale odpowiedź asystentki była przytłumiona, brakowało w niej zwykłej życzliwej bez troski. Francesca zmarszczyła czoło, mając wrażenie, że w powietrzu coś wisi. Przestała jednak o tym myśleć, gdy tylko stanęła przy swoim biurku, gdzie na ciemnoczerwonym notatniku leżała sterta korespondencji.

- Francesco...?

Sian spoglądała na nią od progu.

- Co się stało, Sian?

- Nie słyszałaś...?

- Czego nie słyszałam? - W ściągniętej twarzy Sian było coś, co nagle wzbudziło lęk.

- O Matthiasie.

- O Matthiasie? - powtórzyła głupio, jakby nigdy przedtem nie słyszała tego nazwiska.

- Zginął... dziś w nocy... w katastrofie lotniczej... - sztywno powiedziała Sian.

Minęła straszna chwila, zanim Francesca odezwała się.

- Skąd wiesz? - spytała powoli.

- Ktoś z jego biura do nas zadzwonił. Wiadomość jeszcze nie dotarła do prasy.

- Rozumiem - powiedziała Francesca beznamięt-

nie. Kiedy poprzedniego wieczoru wróciła do domu, nie czekał na nią. Byłaby rozczarowana, gdyby nie niejasna ulga, że nie postawił jej znowu przed koniecznością decyzji. Podjęła też środki ostrożności, zdejmując słuchawkę telefonu z widełek, na wypadek gdyby chciał dzwonić. Oczywiście jednak nie zadzwonił.

- Przyniosę ci kawy - cicho zaproponowała Sian.

Francesca podeszła do okna. Wlepiła wzrok w szare ściany z tysiącami okien i patrzyła na nie, nie widząc ich.

- Słyszałaś?! - Oburzony głos Vica zburzył ciszę.

- Słyszałam - odparła, zwracając się do niego.

- Boże! Co my teraz zrobimy z tą zaszraną kampanią?! - Dlaczego nie mogło się to zdarzyć później, kiedy indziej, już po odejściu Vica? Chciał zakończyć pracę tutaj w blasku chwały, uszczknąć choć cząstkę splendoru, jaki spadłby na agencję, gdyby kampania doszła do radia i telewizji. Teraz kulawy pies się nią nie zainteresuje... Zdechł pies... dosłownie.

- Jeśli możesz, to zostaw mnie samą, Vic - powiedziała wolno i zobaczyła, jak on komicznie otwiera swe szerokie usta.

- Musimy to przecież przedyskutować. Trzeba wystąpić z jakimś komunikatem dla prasy...

- Nie teraz, Vic.

- Na miłość boską! - rzucił zniecierpliwiony.

- Powiedziałam wyraźnie: nie teraz.

Spotkali się wzrokiem, potem Vic zaklął i odwrócił się z wściekłością, omal nie przewracając Sian, która akurat weszła z kawą.

- Spróbuj połączyć mnie z Lucasem Chantem, Sian - powiedziała cicho, ignorując złość Vica.

- Oczywiście.

- Dopilnuj też, żeby mi nie przeszkadzano. Wyjątkiem są telefony z informacjami na temat katastrofy.

Sian wyszła, Francesca usłyszała cichy trzask zamykanych drzwi. Narastał w niej krzyk: „Co się stało?”. Nie mogła pogodzić się z tym, że Matthias zginął. Wydawało się to niemożliwe. Zasłoniła twarz rękami i trwała w bezruchu. Zaczęła ją przenikać świadomość tego co się stało. Kiedy w końcu oderwała dłonie od twarzy, jej spojrzenie przeniosło się na taśmę z ostatnim koncertem na Wembley, sprzed pięciu lat, stojącą na półce obok setek innych. Francesca przeszła przez pokój, wzięła taśmę i włączyła magnetowid. Urządzenie ożyło po wsunięciu czarnej kasety w jego paszczę. Francesca przysunęła do monitora jedno z krzeseł, i czekała, aż na ekranie zacznie się coś dziać. Stadion był wypełniony po brzegi. Olbrzymie ekrany wideo stały po obu stronach podium, na którym miał się odbyć występ. Zatrzymała wzrok na jeszcze pustej scenie. Matthias wszedł na scenę, czarna skóra podkreślała rysunek jego nagiego torsu z jasnym owłosieniem. Powoli zbliżał się do oczekujących tłumów, a kamera uchwyciła jego twarz i przeniosła ją na olbrzymie ekrany. Francesca spojrzała w jego bladoniebieskie oczy, ale kamera zrobiła odjazd i w kadrze pozostała mała postać z triumfalnie uniesionymi ramionami. Uświadomiła sobie, że to jest jego miejsce, do niego zawsze należał, nie do polityki, nie do Paryża ani Monachium, nie do córki prasowego magnata, lecz do tych ludzi, którzy witali go owacyjnie. A on tego nie pojmował. Wyłączyła magnetowid i odchyliła głowę na oparcie krzesła. W jej wnętrzu pulsował tępy ból. Siedząc tak z zamkniętymi oczami znów ujrzała twarz Matthiasa. Na jego wargach czaił się, oczywiście, ten bezczelny, kpiący uśmiezek. Zawsze już miał taki pozostać.

- Postanowił lecieć do Londynu... Nie wiem po co. Francesca wpatrzyła się w Lucasa Chanta. Twarz

miał bladą, oczy zapuchnięte i czerwone, patrzył przez łzy. Ten żalospny płacz wstrząsał chudą postacią Chanta.

- Czy chce pan, żebym sobie poszła? - spytała cicho.

- Nie... Nie chcę. - Wyciągnął chustkę. - Dziewczyny w biurze zupełnie nie wiedzą, co ze mną zrobić.

- Zaśmiał się, ale głos mu się załamał i uwiązł w gardle, przechodząc w ochryply szloch. - Był dla mnie bardzo dobry... zawsze. - Lekko pokręcił głową i próbował się zdobyć na uśmiech. - I był inny, pani wie? - Patrzył na nią, jakby prosząc o zrozumienie.

- Wiem.

- Zrobił kilka całkiem szalonych rzeczy, nie zawsze dobrych, ale umiał sprawić, że wyglądały nieźle... Miał w sobie coś takiego, że łatwo mu się wybaczało...

I ona o tym wiedziała.

Chant zamilkł, opanowując płacz, i rozejrzał się po prawie pustym pokoju.

- Zanim go spotkałem, byłem niczym, po prostu niczym. - Proszę spojrzeć na mnie: bezpański pies znikąd. - Obrócił się bezradnie, przygarbiony za wielkim ciężarem.

Usiadła przy nim, a jej wzrok padł nagle na wielkie biało-czarne zdjęcie płaczącego dziecka na tle zburzonego Bejrutu. Ileż czasu minęło, odkąd po raz pierwszy ujrzała tę fotografię. To było wówczas, kiedy wszystko się zaczęło.

- Miał takie wspaniałe marzenia, planował co zrobi, czego dokona... - ciągnął ponuro Lucas.

- I tak dokonał wiele - wtrąciła, ale jej głos zabrzmiał chropawo. Naprawdę tak uważała, tyle że chyba nie miało to już znaczenia.

- Nie tyle, ile mógł, nawet nie małą część... Chciał o wiele więcej.

W to było łatwo uwierzyć.

- Myślę, że nie wszystko skończy się wraz z jego śmiercią.

- Nie... Może nie, w każdym razie on by tego nie chciał - powiedział w chwili nadziei, która wzięła górę nad żalem i nawet pozwoliła mu na przelotny uśmiech. - i nie chciałby żyć, w każdym razie nie tak, jak musiałby, gdyby coś z nim jednak zrobili. - Pokręcił głową i dodał z zaskakującą zajadłością: - Może trudno będzie pani w to uwierzyć, ale cieszyłem się, że nie udało im się przywrócić go do życia, że żadna z ich sztuczek nie poskutkowała.

- Przeżył katastrofę?

- Utrzymywali go przy życiu przez całą drogę do szpitala, ale marniał w oczach. Zanim przyjechałem, już nie żył, a kiedy go zobaczyłem, omal się nie ucieszyłem, bo nic nie zostało z mojego Złocistego Boga. - Wpatrywał się we Francescę. Jego twarz była pełna bólu. Nagle zasłonił ją dłońmi.

Francesca wstała i położyła rękę na jego ramieniu.

- Pójdę już.

Nie odpowiedział, więc ruszyła w kierunku drzwi. Odwróciła się, gdy usłyszała drżący głos.

- Kochałem go... Czy pani wie?

Mogła tylko potwierdzić skinieniem. Z ulgą sięgnęła do klamki. Potrzebowała powietrza, chłodnego, czystego powietrza, odprężenia. Szybko minęła płaczącą portierkę, doszła do końca marmurowego holu, wiedząc, że przed głównym wejściem czekają dziennikarze. Nic z niej nie wyciągną, nie teraz. Na to wszystko przyjdzie jeszcze pora.

Dojechała do Richmond i przespacerowała się wzdłuż rzeki. Mżyło i było bezwietrznie, deszczyk siąpił tak uporczywie, że przemoczył jej ubranie, więc gdy usiadła pod jednym z czarnych, bezlistnych

drzew, zaczęła drzeć z zimna. Na niemal nieruchomej wodzie cumowały przy nabrzeżu liczne barki mieszkalne, łodzie wiosłowe, jakaś stara szalupa. Francesca przesuwiała spojrzeniem po brunatnej wstędze rzeki. Potem oparła głowę o drzewo i zamknęła oczy. A więc nic nie zostało z jego pięknej twarzy. Nie mogła w to uwierzyć... To była przesada... jakby samej śmierci nie było dość. Zaczynało ją ścisnąć w gardle, ciągłym powstrzymywaniem łez zmęczyła oczy. Pomyślała o Melissie, biednej, powabnej blondynce. Z jej piękna także pewnie nic nie zostało, ale łez będzie na pewno mnóstwo. Sir Richard się o to postara.

- Na miły Bóg, czemu po prostu z siebie tego nie wyrzucisz? - Ed ciężko westchnął, poirytowany. - Co za sprawa?

- Pilnuj swojego nosa, Ed - lodowatym tonem powiedział Philippe.

- Wiem, że zawróciła ci w głowie... - nie ustępował stary. - Równie dobrze mógłbyś przyczepić neon z jej imieniem do swojej tępej czaszki, tyle ci powiem.

Philippe nie odpowiedział, odwrócił się do teczek leżących na biurku.

- Niech to szlag trafi! Czy myślisz, że przede mną potrafisz coś takiego ukryć? - Ed czuł, że bierze go złość, i próbował zaciągnąć się dymem, ale cygaro zgasło. - Co się z tobą dzieje? To przecież tylko kobieta. Prawda, że może z nieco większą klasą niż te, do których przywykłeś, ale jednak tylko kobieta... - Drżącą ze złości dłonią ponownie zapalił cygaro i badawczo przyjrzał się lekko schylonej głowie Philippe'a. - Boisz się prawdziwego wyzwania, nie mam racji?

- Daj spokój, Ed, zwyczajnie daj spokój! - Philippe wyprostował się i spojrzał w upartą, pooraną bruzdami twarz. Czasem wydawało mu się, że Ed istniał od zawsze, czekając, by móc mieszać się we wszystko niczym wścibski anioł stróż... Albo pijawka, która się przyssała. Zastanawiał się, czy to drugie porównanie nie jest bliższe prawdy.

- Słuchaj, chłopaku... - W głosie starego zabrzmiała pojednawcza nuta.
- I nie nazywaj mnie chłopakiem.
- Ja tylko nie chcę, żebyś przegapił świetną okazję - ciągnął uparcie Ed, ale Philippe wsadził nos w papiery na biurku, dając tym znak, że nie chce rozmawiać. - Mam jakieś przeczucia w związku z tą dziewczyną... Może gdybym spotkał kogoś takiego, gdy byłem w twoim wieku, nie wpadłbym trzy razy z kobitami, które interesowały się tylko salonami piękności i moim cholernym kontem w banku.
- Ed głęboko zaciągnął się dymem, dobierając starannie następne słowa. Jestem starym człowiekiem, chłopaku. Ale zanim spotkam się ze Stwórcą, chcę zobaczyć, że dogadałeś się z dziewczyną, która ma coś więcej niż tylko ekstra wygląd... Liczą się jeszcze inne przymioty.
- Odczep się wreszcie, Ed! - uciał ostro Philippe, a oczy błysnęły mu gniewnie. - Chcesz, żebym zaczął się pieniść?
- Namawiam cię tylko do przemyślenia sprawy... A przy okazji może zastanowiłbyś się nad swoim poczuciem humoru i popracował nad manierami, bo na razie przypominasz nimi kłótliwą przekupę? Philippe zaczął ostentacyjnie zbierać teczki.
- Uparty z ciebie sukinsyn... i wiesz o tym! - Ed podniósł głos, widząc że za chwilę Philippe po prostu wyjdzie z pokoju. - Założę się, że twoja matka nie zniosłaby, że tak ci odpieprzą...
- Nie mieszaj do tego mojej matki!
- Ona wiedziała wszystko o dawaniu, o opiece i dzieleniu się z innymi. I wiedziała też, kiedy powiedzieć stop...
- I ty niby również wiesz - Philippe obszedł biurko i zbliżył się do Eda.
- Była dobrą kobietą.
- Ale się z nią nie ożeniłeś... Może nie, Ed? - po-

wiedział Philippe cicho, a jego twarz znalazła się tuż obok twarzy starego.

- Nie możesz mi tego wybaczyć. Nie umiesz skończyć z rozdrapywaniem tej starej rany.

A ty nie umiesz trzymać tej swojej wielkiej gęby na kłódkę... - wysyczał Philippe.

Ed wpatrywał się w zimne, bursztynowe oczy. Dziwiło go, dlaczego rzeczywiście się nie zamknie, równie dobrze jednak można byłoby zabronić Okruchowi sikania.

- Ty się jej zwyczajnie boisz - odpalił. - Jak na bystrego Latynosa, jesteś zaskakująco tępy...

- Ostatni raz mówię, Ed, odpieprz się od mojego prywatnego życia. Rozumiesz? Usiłujesz moim kosztem urzeczywistnić swoje nie spełnione marzenia. Nic z tego.

Philippe gwałtownie odskoczył w kierunku drzwi.

- Ty niewdzięczny sukinsynu... - wrzasnął Ed, tracąc panowanie nad sobą. - Gdyby w twoich żyłach nie płynęła moja krew...

Philippe wygiął się jak wąż.

- Nie mam w sobie ani kropli twojej zasranej krwi... Nie jestem twoim chłopakiem... ani twoim pieprzonym synem!

- Osioł! - rzucił za nim Ed.

Drzwi trzasnęły i Rock złapał się na tym, że wpatruje się w ciemne, lakierowane drewno. Podniósł do ust niedopałek i wydmuchnął smugę dymu.

- A jednak jesteś niewdzięcznym sukinsynem... chłopaku - powiedział głośno.

Lokal był na poły pusty i Geoff żałował, że nie zamówił stolika na późniejszą godzinę, kiedy więcej ludzi wypełźnie z barów. Wybrał chińską restaurację na starej łodzi przycumowanej w Camden, teraz jednak wydawało mu się, że lepiej zrobiliby zostając w centrum.

Przeczuwał, że tego wieczoru nie zaliczy do udanych. Sian siedziała naprzeciwko i usiłowała wykrzesać z siebie jak najwięcej wdzięku, ale widać było, że wolałaby być zupełnie gdzie indziej niż w chińskiej restauracji na barce w grudniu, z człowiekiem, którego towarzystwo najwyraźniej jej nie odpowiadało.

- Rozmawiałaś z Francescą? - spytał.

- Nie dzwoniła od wczorajszego popołudnia - cicho odpowiedziała Sian, przypominając sobie kredo-wobiałą twarz Franceski. Od początku miała wrażenie, że Francescę łączy z Matthiasem coś więcej niż tylko interesy, a teraz się to potwierdziło.

- Ale w poniedziałek będzie?

- Tak sądzę... W każdym razie wspomniała tylko o pracy poza agencją w piątek.

- To musiał być dla niej wstrząs. Sian skinęła głową.

- Wydaje mi się, że Francescą musiała go blisko znać... - odparła ostrożnie.

- A ja zastanawiam się, co zrobimy teraz z kampanią - powiedział Geoff, nie zauważywszy podtekstu w wypowiedzi Sian.

- Vic dostaje obłędu na tym tle - zauważyła z uśmiechem.

- Vicowi wiele do obłędu nie trzeba. - Stwierdził niespodziewanie, że ostatnio nieczęsto się widują.

Przyjście do agencji Franceski rozdzieliło ich i Geoff jakby przestał zajmować miejsce w cieniu Vica. U Samuela zmieniło się bardziej, niż ktokolwiek sobie uświadamiał.

- Jak tam Gilmore? - zainteresował się nagle, nie mogąc powstrzymać pytania, które od początku wieczoru cisnęło mu się na usta. Zaraz jednak pożałował tych słów.

- Był moim szefem - odparła Sian, jakby to wszystko wyjaśniało.

- To wiem.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Po prostu poszliśmy na drinka.

- Za dawne dobre czasy? - W głosie Geoffa dał się słyszeć sarkazm.

- Coś w tym stylu.

- Zdaje się, że bardzo dobrze mu idzie.

- Jest bardzo ambitny - zabrzmiało to jakby go broniła.

- Jak większość ludzi z tej branży.

- Ty też jesteś taki? - Próbowwała zmienić temat.

- Chyba nie aż tak jak pan Gilmore. - Znowu zabrzmiało to sarkastycznie, ale Geoff nie mógł się powstrzymać, mimo iż odnosił wrażenie, że każdym słowem pogłębia przepaść między sobą a Sian.

- Chyba go nie lubisz.

- Tęgo bym nie powiedział, prawie go nie znam. - Tylko druga część wypowiedzi była prawdą.

- Jest bardzo dobry w branży... - stwierdziła nerwowo, szukając intensywnie w myślach innego tematu.

- Świetnie to widać.

Sian spojrzała na Geoffa z lekką niechęcią, ale zaraz złagodniała pojmując, że męczy go zazdrość.

- Robi się późno. Niecierpliwie spojrzał na zegarek.

- Jeszcze nawet nie ma dziesiątej.

- Miałam dzisiaj ciężki dzień. Petie za wcześnie się budzi jak na mój gust... - Zdobyła się na wymuszony uśmiech i zrobiło jej się głupio, bo wymówka była niezręczna.

- Wobec tego poproszę o rachunek. - Nie patrzył na nią. Zazdrość i irytacja ulotniły się, pozostała tylko gorycz klęski.

Jechali w milczeniu na południe przez serce Londynu. Był późny piątkowy wieczór. Sian z nieszczęśli-

wą miną wypatrywała czegoś za szybą. Na tysiącach mijanych wystaw błyszcząły świąteczne reklamy: rozdziawieni od ucha do ucha święci Mikołajowie, kiwające głową bałwany, plastikowe choinki. Nad Regent Street rozwieszono w poprzek jezdni jaskrawe światła. Sian westchnęła zdając sobie sprawę, że niechcący dotknęła Geoffa. Może usiłował zbliżyć się do niej za wcześnie, kiedy jeszcze nie była gotowa na przyjęcie kogoś innego... A może po prostu do siebie nie pasowali? Ale tak naprawdę zawinił tu Adam. Nic się przecież nie zmieniło, wciąż go pragnęła. Poza tym Adam jest ojcem Petie'ego, a to powinno coś znaczyć.

- Do świąt będziesz pewnie zajęta...

- Muszę uporządkować parę spraw. - A przede wszystkim poradzić sobie z samą sobą, kwaśno dodała w myśli.

- To znaczy, że prawdopodobnie nie będziemy się widywać, w każdym razie nie poza agencją? - Mógł o nic nie pytać, ale skutek byłby taki sam, choć pewnie doznałby mniej przykrości.

- Może tak będzie lepiej, Geoff - powiedziała cicho.

- Jeśli tak uważasz.

Zapadło milczenie. Siedzieli skrepowani, nie umiając się porozumieć. Sian przymknęła oczy, pragnąc w ten sposób odgrodzić się od długich chwil milczenia, a kiedy je otworzyła, z ulgą zobaczyła niewyraźne zarysy Wimbledon Common. Od domu dzieliły ją minuty.

- To dlatego, że akurat teraz wszystko mi się bardzo skomplikowało - powiedziała w końcu, pragnąc zatrzeć niezręczność sytuacji.

- Wiem.

Spojrzała na zacięty profil Geoffa i zrozumiała, że cokolwiek mu powie, nie będzie to miało znaczenia. Znów odwróciła się do ciemnej szyby, zapadło ciężkie

milczenie, które trwało aż do chwili, gdy samochód stanął przed jej domem.

- Dziękuję... - powiedziała cicho i jakby przepraszająco dotknęła jego ramienia.

- Nie masz za co dziękować... Zresztą, nie był to udany wieczór, prawda? - Spojrzał na nią. W półcieniu tylko zarys ust wydawał się realny. Zawsze podobała mu się urocza linia jej warg i w tej właśnie chwili miał ochotę je pocałować, żeby tylko poczuć ich dotyk. A jednak pochylił się tylko przed nią i otworzył drzwi.

- Fajny z ciebie facet, Geoff - powiedziała, zbierając się do wyjścia.

Znieruchomiał i przeszył ją wzrokiem, a Sian dojrzała w jego błyszczących oczach gniew.

- Nie mów takich rzeczy, Sian. Tego akurat nie potrzebuję. Nie wiem nawet, czy traktować to jako komplement - rzucił ostro. - Nie potrzebuję życzliwości z dobrego serca... takiego klepania psa po głowie za to, że był dobry.

Chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Usłyszał krótkie „dobranoc”, ale potem, kiedy wspominał swoją opryskliwość, nie był pewien, czy w ogóle coś powiedziała.

Sian wydała mu się podobna do Joannę. Bo Joannę zawsze mówiła w ten swój cynicznie ugrzeczniony sposób, jakim jest fajnym facetem, a on tego nie znosił, ale nigdy nie zaprotestował. Z jakiegoś irracjonalnego powodu dopiero teraz oznajmił to światu... a przynajmniej Sian, która kilkoma słowami zadała mu ból, przerywając zarazem tamę powstrzymującą gorycz.

Geoff zawrócił w kierunku centrum. Samochód sunął po niezliczonych ulicach z niezliczonymi domostwami, może nawet szczęśliwymi, on zaś rozmyślał, gdzie podział się jego „przydział” szczęścia i dłacze-

go tak często szczęście mijało go o włos. Przejeżdżając przez most Putney, zapatrzył się w boczną szybę i usiłował dostrzec czarne brzegi Tamizy, potem dotarł do City. Poczł się bardzo zmęczony, wolał jednak to niż czającego się tuż obok demona litości nad sobą. I zaraz musiał pomyśleć o niemiłej pustce w mieszkaniu, i o tym że nie ma planów na weekend, który miał trwać stanowczo za długo. Może pójdzie do biura i popracuje nad wynikami badań rynku albo przyjrzy się informacjom o osiągnięciach tego przyje-mniaczka, Adama Gilmore. A może wybierze się na długi spacer, co rozwiązałoby problem. Pokręcił głową i uśmiechnął się smutno. Cóż, po prostu nie miał szczęścia. Francesca otworzyła teczkę, ale gruby plik papierów pozostał nietknięty. Przysunęła krzesło do kominka, usiadła z podwiniętymi nogami, opierając brodę na kolanach i spoglądała na mieszaninę błękitu i czerwieni, pozorującą ogień. Gdyby nie poblask z kominka, w pokoju byłoby zupełnie ciemno. Ciszę mącił jedynie szum wiatru. Po wizycie w Richmond jeździła długo po ponurych, zasnutych mżawką ulicach, zanim wreszcie skierowała się w stronę domu. Dzień ciągnął się i wreszcie Francescę pokonało zmęczenie.

Matthias nigdy do niej nie należał, to oczywiste, i nigdy nie należałby, ale ta świadomość nie przynosiła pociechy, bo przez kilka miesięcy zdołał zasiać niepokój w jej sercu. Wycofała się dla własnego bezpieczeństwa, wiedziała bowiem, że nigdy nie miałyby go dość. Odgarnęła włosy i wróciła myślami do przeszłości, chcąc ją uporządkować, odnaleźć w niej jakiś sens. Zarzucił jej, że komplikuje sprawy, chce mieć wszystko, ale to on chciał za wiele. Sama była ciekawa, czy po tej ostatniej rozmowie wpuściłaby go i po-

szła z nim do łóżka, gdyby się pojawił, mimo że oznaczałoby to tylko, że zrezygnował z wymówki pozbył się na ten wieczór uroczej Melissy. Francesca westchnęła, nękała ją świadomość własnej słabości: pragnęła go, nadal go pragnęła. Ale on pozwolił, by katastrofa zrujnowała wszystkie marzenia. Musiał przecież rozumieć, że nie ma pogody do lotu, a mimo to zaryzykował, taki już był. Francesca przeżyła okropną chwilę, usiłując sobie wyobrazić jego twarz w ciemnościach, kiedy stwierdził nagle, że nie panuje nad maszyną. W obrazie, który zobaczyła, nie było chyba jednak lęku, wydawało jej się, że i wówczas na piękne wargi Matthiasa wypłynął ten dziwny, szalony uśmiešek. Złociści bogowie są wszak nieśmiertelni...

Przed świtem ochłodziło się i Francesca zobaczyła przez okno szron na liściach w ogrodzie. Prawie nie spała w nocy, a gdy udało się jej zdrzemnąć, nawiedzały ją dziwaczne koszmary. Przebiegając wzrokiem po otoczonym murem ogrodzie, przypomniała sobie biały dom w Nowej Anglii, gdzie szron wyglądał jak śnieg, i nagle opadła ją tęsknota za Edem, jego naturalnością i poczuciem humoru, za jego połajankami i za tym prostym pokojem, w którym mieszkała, zdobionym sosnową boazerią i perkalowymi firankami. Zamknęła oczy, by łatwiej wrócić do rzeczywistości. Akurat wtedy odezwał się dzwonek u drzwi. Poprawiła szlafrok i ruszyła w kierunku drzwi.

Na progu stał Michael.

- Wiem, że jest wcześnie, ale próbowałem się dodzwonić przez cały wieczór...

- Zdjęłam słuchawkę z widełek... - odparła zmęczonym głosem.

- Aha...

- Nie za bardzo nadaję się do czegokolwiek, Michael. Może spotkalibyśmy się kiedy indziej... - Powiedziała to jednak bez przekonania, a gdy spojrzała

na niego, stwierdziła, że i on jest w kiepskiej formie. W dodatku nie słuchał, co siostra mówi, toteż jej protest przeszedł nie zauważony.

- Potrzebuję twojej pomocy...

- Znowu pieniędzy? - spytała bezbarwnie.

- Niedużo, naprawdę... Westchnęła ciężko. Nie teraz, Michael!

- Byłabym wdzięczna, gdybyśmy odłożyli tę rozmowę do poniedziałku. - Nie patrząc na niego, usiadła.

- Będzie za późno... Potrzebuję trochę forsy zaraz.

- Posłuchaj, Michael... - powiedziała, usiłując nie zdradzić swego zdenerwowania. - Prawie dziś nie spałam, jest sobotni świt, a gdybyś przypadkiem nie wiedział, to informuję cię, że banki są w soboty nieczynne.

- Czek wystarczy.

- Co się stało z tymi dwudziestoma tysiącami? - Spojrzała na jego twarz i odczytała z niej klęskę.

Opornie budziło się w niej zaciekawienie, stopniowo przytomniała.

- Wszystko będzie w porządku, tylko musi potrwać trochę dłużej, niż sądziłem.

- To znaczy?

- Muszę odzyskać zainwestowane pieniądze...

- Wiesz, zdarza się, nawet często, że akcje idą w dół, a nie w górę - wycedziła ironicznie i zobaczyła, jak Michael zaciska pięści. - Ludzie tracą pieniądze, i to duże. Ten rok nie jest dobry.

- To był dobry typ.

- Tylko nie zaprocentował?

- Jeszcze nie. - Nigel przekazał mu tę wiadomość w City, w barze obleganym przez biznesmenów.

Twarz przyoblekł w stosowny do okazji smutek. - To zajmie trochę więcej czasu, niż się spodziewałem... - powiedział Michael bez przekonania. - Wbrew

wszelkim oczekiwaniom i przepowiedniom ostatnio akcje nie idą ostro w górę. Trzeba czekać. - Czuł, że chce mu się wyć. No, bo jak długo można czekać?

- Ale jesteś pewien, że będzie zwyżka?

- Prawie pewien - odparł, nie patrząc jej w oczy.

- To za mało.

- Powiedziałem ci już, że typ był dobry! - Podniósł głos.

- Czyj typ? Dlaczego nie pozwoliłeś mi go sprawdzić?

- Bo nie. - Bo wtedy utwierdziłaby się w przekonaniu, że naprawdę jest głupcem.

- I sądzisz, że takie argumenty starczą, żeby dać ci pieniądze? - spytała chłodno.

- Tak.

Spojrzała na niego ostro, dziwiąc się, że taki syn urodził się ojcu.

- Nie dostaniesz.

- To niełojalne!

- Nie mówimy o lojalności, Michael, tylko o interesach i kupie pieniędzy.

- Nie chcę tak znowu dużo - nadąsał się.

- Byłabym idiotką, gdybym ci pożyczyła.

- A ja, jak sądzę, jestem idiotą prosząc o to! - Twarz zniekształcił mu grymas. - Boże, można by pomyśleć, że chcę gwiazdkę z nieba! Pożycz mi jeszcze raz, ostatni raz. Przecież wiem, że w końcu sprawy zaczną iść po mojej myśli. - Przeszedł przez pokój do lustra nad kominkiem, przez moment przyglądał się swemu odbiciu. - Muszę to załatwić, Fran - powiedział w przyływie energii. - Muszę dowieść matce, że potrafię dać sobie radę sam.

- Czemu nie przyjdiesz do mnie? - spytała cicho, wiedząc co usłyszy.

- Nie chcę... To musi być coś całkowicie mojego, coś, do czego tylko ja mogę rościć prawa.

- *Tyle że za moje pieniądze.*
 - Ale przecież interes należał do ojca... Może nie? - upierał się.
 - Odstąpiłeś swoje udziały bez wahania i nigdy nie zdarzyło ci się okazać zainteresowania tym interesem - odparła ostrzej niż chciała, a język ją swędział, by dodać, że nie okazywał również najmniejszego zainteresowania ojcem.
 - To nie była moja wina!
 - A czyja?
- Odwrócił wzrok. To matka, matka zawsze szydziła z człowieka, który był jego ojcem, i ciągle pytała, jak można mieć szacunek dla „kogoś takiego”. Michael ojca właściwie nie znał. Poczł obrzydzenie do siebie; własny ojciec napawał go lękiem i insynuacje matki wcale nie były potrzebne, żeby go do tego człowieka zrazić. Carlo Gaetini zawsze wydawał mu się za głośny i za wielki, najłatwiej było cofać się przed jego szeroko otwartymi ramionami, aż do chwili, gdy ramiona przestały się dla syna otwierać.
- To wszystko jest bez sensu...
 - Ojciec na pewno uważałby inaczej - powiedziała.
 - Daj mi pieniądze. Proszę, Fran - jęknął ignorując jej uwagę.
 - Przyjdź do mnie w poniedziałek, omówimy to jakoś. - Na razie miała go powyżej uszu.
 - Nie. Odpowiedz mi teraz!
 - Nie jestem przygotowana na taką odpowiedź - Była już mocno zniecierpliwiona.
 - Do ciężkiej cholery, podobno jesteś moją siostrą...
 - Tylko wtedy, kiedy ci to potrzebne.
 - Nieładnie tak mówić.
 - Ale to prawda.
 - Zawsze byliśmy w kontakcie... - powiedział niepewnie.

- Nie za bardzo - odparła oschle, bo odezwała się przeszłość. - Pozwoliłeś matce, żeby o to zadbała.
 - To nielojalne - powtórzył. Ale była to prawda.
 - Nigdy nie odczułam, że postępuje się wobec mnie lojalnie, Michael. - Powiedziała co myśli, bez owijania w bawełnę, i spoglądała teraz na brata z ponurym zainteresowaniem.
 - Och, na miłość boską...
 - Nie mam racji?
 - Wszystkie drogi prowadzą w końcu do kochanej matki - stwierdził zniecierpliwiony. - No ale czego, u diabła, miałaś oczekiwać, skoro... - Przez chwilę badawczo jej się przyglądał z nagle poczerwieniałą twarzą.
 - Skoro co? - spytała ostrożnie i zobaczyła, że stara się omijać ją wzrokiem.
 - Mniejsza o to.
 - Skoro co, Michael? - nalegała.
 - Nieważne. Powiedziałem cokolwiek, bez zastanowienia. - Nie zabrzmiało to przekonująco.
 - Chcę wiedzieć.
 - Przysięgłem, że nigdy... nigdy tego nie zdradzę. - Głos mu zadrżał, ale nagle chciał powiedzieć, bo wydało mu się, że Francesca ma wszystko to, co jest przedmiotem jego pragnień, choć nigdy wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy.
 - Powiedz mi.
 - Na pewno chcesz wiedzieć? Wpatrywała się w niego intensywnie.
 - Powiedz.
- Skulił ramiona i utkwiał spojrzenie w ciasno splecionych dłoniach. Posunął się za daleko i nagle odwaga go opuściła.
- To ona powinna była ci powiedzieć... albo ojciec...
 - Ty powiedz - zażądała cicho.

Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem zabrzmiały te słowa, nieskładne, lękliwe.

- Nie jesteś córką matki... Nawet nie ojca, jeśli już o tym mowa.

Trwała przez chwilę w bezruchu, czując, że ogarnia ją panika.

- Co masz na myśli? - Zniżyła głos do szeptu.

- Nie powinienem był powiedzieć... Przysiągłem... - jęczał bezradnie, widząc jej kredową, zmienioną twarz.

- Co masz na myśli, Michael? - powtórzyła starannie słowo po słowie.

- Ja jestem ich synem... - wykrztusił z trudem,

i Francesca odniosła wrażenie, że głos mu drży -...ale ty nie jesteś ich córką. - Urwał, w jego oczach pojawiły się łzy. - Myślę, że ojciec cię adoptował, a może oni oboje... Nie wiem.

- Myślisz? - spytała cicho.

- Posłuchaj, Fran...

To dziecięce imię zabrzmiało teraz jakoś dziwnie fałszywie. Było niestosowne.

- Posłuchaj... - ciągnął. - Słabo pamiętam, matka powiedziała mi o tym przed wieloma laty. Ojciec chciał mieć jeszcze jedno dziecko, a matka nie mogła urodzić.

- I z tej okazji sprowadzono do domu mnie - powiedziała obcym głosem.

- Nie wiem... Nie wiem! - Wyraz jej skamieniałej twarzy przeraził go.

- Byłoby lepiej, gdybyś już poszedł, Michael. Stał, niezdolny do wykonania żadnego ruchu.

Wszystko ułożyło się dla niego jak najgorzej i nagle pojął, że już nie ma się do kogo zwrócić.

- A co z pieniędzmi...?

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią, potem uniosła głowę i Michaela znów poraził wyraz jej twarzy.

- Wynoś się, Michael! Wynoś się! - Zaszokował ją

samą ten krzyk. Potem przypominała sobie przeciągłe westchnienie Michaela, ale w tej chwili nie zwróciła na nie uwagi. Myślała o swych spostrzeżeniach, kiedy to zastanawiał ją kontrast między jasną karnacją brata i jej własną śniadością. Przypomniła sobie swój dziecięcy ból na widok miłości okazywanej ostentacyjnie przez Livię Michaelowi. Największym marzeniem Franceski było wówczas wyobrażanie sobie, że któregoś dnia matka otworzy i przed nią ramiona, przytuli i obdarzy ją tym czułym uśmiechem, którym zawsze witała syna. Francesca pomyślała, że podświadomie oczekiwała od dawna na prawdę, którą zdradził Michael.

Ale tata... Tata nie! Przecież zawsze była jego córeczką i tego nie można jej odebrać. Usłyszała trzask drzwi i uświadomiła sobie, że to Michael wyszedł, ale nic jej to nie obchodziło. Czuła mocne przyspieszone bicie serca, słyszała pulsowanie krwi w uszach. Objęła głowę dłońmi, chcąc stłumić ten dźwięk, odbijający się echem w mózgu. Obrazy z przeszłości przebiegały jej przed oczami, cofając Francescę do ponurego dzieciństwa. Bała się, że ból ją zabije. Kiedy wreszcie łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły po policzkach, poczuła, jak ogarnia ją dawna tęsknota za ojcem.

Tego właśnie się spodziewał. Nick rozejrzał się po pokoju, odnotowując z lekkim rozbawieniem skromną kolekcję sreber, zaproszenia, równo ustawione na szerokim gzymsie marmurowego kominka, i najnowszy numer „Country Life”, leżący na stoliku dokładnie na linii jego spojrzenia.

- Jak długo jesteś już u Samuela, Nicholas? - spytała matka Caroline, zajmwszy miejsce po przeciwległej stronie pokoju. Podobał mu się sposób, w jaki wymówiła imię „Nicholas”; już od dobrych dziesięciu lat nikt go w ten sposób nie nazwał.

- W marcu minie rok.
 - A przedtem co robiłeś?
 - Byłem u McCanna.
 - U McCanna? - spytała, demonstrując brak wiedzy na ten temat.
 - McCann-Erickson... - dodał cierpliwie. - Inna agencja reklamowa.
 - Aha, rozumiem. A dlaczego wybrałeś karierę w reklamie?
- Jęknął w duchu. Czy ta kobieta musi robić z wizyty towarzyskiej koszmarną rozmowę kwalifikacyjną? - Absolwenci szkół artystycznych nie mają zbyt wielu możliwości, a te które są, wiążą się z bardzo ostrą konkurencją. Na szczęście, okazało się, że umiem pisać teksty.
- Teksty? - Treść reklam.
 - Masz na myśli dżingle, tak to się nazywa, prawda? - zachichotała.
- Uznał, że kpi z niego.
- Czasami.
 - Czyli pracujesz w agencji reklamowej.
 - Bardzo dobrze płacą. - Wiedział, że w oczach matki Caroline będzie to szalenie nieelegancka wypowiedź, ale przecież było jasne, że ta kobieta lubi pieniądze, tyle że odpowiedniego pochodzenia.
 - A twój ojciec...?
 - Mój ojciec? - powtórzył zagadkowo, jakby nie rozumiał.
 - Czym się zajmuje?
 - Ciuchami.
 - Ciuchami?
 - Sprzedaje ubrania.
 - To znaczy, że ma sklep? - indagowała.
 - Niezupełnie.
 - Nie rozumiem...

Na to właśnie czekał.

- Ma kilka straganów na bazarze - odparł i spojrzał na Caroline. Jej twarz poczerwieniała. Przeniósł wzrok na matkę.

- Stragany na bazarze. - Matka Caroline wycodziła te słowa wydymając wargi, jakby przeżuwała coś niestrawnego.

- Bardzo dobrze mu się powodzi. - Tak rzeczywiście było, ale ta kobieta nigdy nie potrafi tego docenić. Nick zastanawiał się, dlaczego tak bardzo chciał jej to powiedzieć, bo sadystyczna przyjemność, na jaką liczył, rozwiała się w niezręcznym milczeniu.

- Coś mocniejszego... Nicholas? - odezwał się zakłopotany ojciec Caroline. - Może sherry?

- Wolałbym dzin z tonikiem...

- Proszę bardzo... - Wstał z wyraźną ulgą i zignorował ostre spojrzenie żony. - Anno? - Odpowiedzi nie było, a Nick pomyślał, że „Anna” powinna być inna, bo to imię brzmi przecież tak łagodnie.

- Ja proszę to samo, tatusiu - powiedziała cicho Caroline, i Nick zdał sobie sprawę, że grozi jej to niełaską, a przynajmniej niemiłym zdziwieniem rodziców. Zwrócił się do Anny, która wypatrywała czegoś przez okno w wykuszu, sprawiając wrażenie, że propozycja męża pokrzyżowała jej plany.

- Ja jestem, oczywiście, emerytem, jak może Caroline ci wspomniała - oznajmił ojciec, podając Nickowi drinka. Wrócił na swe miejsce i ciężko westchnął.. Istotnie... nie był to Guy, rozważny, nudnawy Guy, którego ich córka miała poślubić niejako z rozpędu. I cieszyło go, że postanowiła wyrwać się z tej pułapki, choć jednocześnie dziwił się, że zdobyła się na bunt. W gruncie rzeczy uważał Guya za mięczaka i sądził, że Caroline ma podobny charakter. Widocznie jednak pomylił się. Ale była jeszcze Anna, a ona nie rezygnuje łatwo z własnych planów... Niedobrze się stało, że

chłopak poczuł się zmuszony wspomnieć o sytuacji swego ojca. Byłoby o wiele zręczniejsze, gdyby pominął ten temat milczeniem albo wymyślił coś na poczekaniu. Znowu przyjrzał się Nickowi i zaczął rozmyślać, czy Anna nie przeliczyła się tym razem z siłami. Żona jednak nie byłaby sobą, gdyby przyznała się do klęski. Ze złością pomyślał o kłótni z Anną. Nie miał wątpliwości, że musi nastąpić. Zawsze jednak mógł potem iść do klubu. Ta myśl przyniosła mu pewną ulgę. Uniósł do ust szklaneczkę dzinu z tonikiem. Tak pragnął spokoju.

- Naprawdę chcesz zobaczyć ten film? - W drodze przez Richmond Nick nie odrywał wzroku od jezdni, niepewny reakcji Caroline.

- Chyba nie - odparła cicho i miała ochotę dodać: „nie teraz”. Matka nie zdążyła wiele powiedzieć, bo na szczęście wkroczył ojciec z dzinem, ale atmosfera spotkania była nie do zniesienia. Caroline czuła rosnące napięcie, w miarę jak chwile niezręcznego milczenia stawały się coraz dłuższe. Wreszcie nie mogąc tego już wytrzymać, wstała, dając tym Nickowi znak do odejścia. A teraz pragnęła tylko gdzieś uciec.

- To może pójdziemy na kolację?

- Bardzo chętnie.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoich słowach.

- Naprawdę mam ochotę.

Przez kilka przykrych chwil jechali milcząc.

- Podejrzewam, że zostałem wyklęty...

- Mamusia bardzo lubi stawiać na swoim... - bąknęła Caroline.

- Nie zachowałem się najmądrzej. Pozwoliłem się sprowokować.

- Jej się wydaje, że namówi mnie do przeprosin z Guyem.

- A namówi?

- Myślę, że gdybym chciała zawrzeć nudne, ponure małżeństwo, na podobieństwo moich rodziców, to właśnie tak bym zrobiła. - Słowa te przeszły jej przez gardło tak łatwo, że nagle odprężyła się. Popatrzył na nią zaskoczony, ujrzał, że rysy jej łagodnieją i ucieszył się.
- Twój ojciec wydaje się miły.
- Jest bardzo cierpliwym i pobłażliwym człowiekiem. - Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tym.
- Czy on pije? - Gdyby nawet nie domyślił się tego po zaczerwienionej twarzy jca, stałoby się to jasne, kiedy zobaczył, jak przełyka jednym haustem solidną porcję alkoholu.
- Czasami. - Za często, pomyślała smutno, zwłaszcza od roku, może dwóch lat.
- Wiesz, co się matce od niego należy? - poważnie spytał Nick.
- Co? - Odwróciła się, śledząc spojrzeniem jego szerokie czoło, pełne bruzd, kształtny profil, jakby nigdy przedtem ich nie widziała.
- Du-do - zaciągnął z karaibskim akcentem. Zaczęła się śmiać.
- Co to znaczy „du-do”?
- W tłumaczeniu z chińszczyzny: dużo dobrego. W tłumaczeniu z księgi idiomów Nicka Keogha: dużo, a dobrze, co z kolei oznacza oszałamiające chwile seksu, najlepiej z takimi pomocami naukowymi, jak bicz i kuse czarne skórzane majteczki striptizerki...
- Roześmiała się znowu, gdyż owo wyobrażenie przybrało w jej umyśle konkretne kształty, co więcej we wspaniałym technikolorze. Nie, to przecież nie ojciec... i na pewno nie z matką. Nagle zasmuciła się. Absurdalny na pozór pomysł Nicka nie był wcale taki niedorzeczny. Gdyby usunąć te rekwizyty, byłby w sam raz. Tyle że chyba za późno na wprowadzenie go w życie.
- Hej, ja tylko żartowałem.

- Wiem... Zachwycił mnie twój akcent. - Uśmiechnęła się, widząc jego zafrasowaną minę.
 - Konferencja prasowa jest jutro - powiedział ostro Vic. - Obiecałem Pete Morganowi, że zadzwonię do niego w tej sprawie dziś koło południa.
 - W porządku. Jak, twoim zdaniem, powinniśmy poprowadzić tę konferencję? - Francesca spojrzała na niego pytająco.
 - Może ty coś proponujesz... Miałaś przecież mnóstwo czasu na przemyślenia. - Niech się sama z tego wygrzebuje.
 - Jeśli o mnie chodzi, nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy rozwijać kampanii zgodnie z planem... On na pewno tak by sobie życzył.
 - Chociaż nie będzie miał okazji docenić naszej działalności - Vic skomentował ironicznie propozycję Franceski.
- Zniecierpliwiona przymknęła oczy, oczekiwała takiej reakcji.
- Nie to miałam na myśli. Wciąż mamy szansę osiągnąć taki rozgłos, jaki miałyby kampania z udziałem Matthiasa, myślę, że możemy spodziewać się niezłych wyników... Może nawet efektowniej szych niż przedtem.
 - Zdawało mi się, że pomysł opiera się na migawkach i dyskusjach w telewizji oraz na koncercie, z wykorzystaniem łączny satelitarnych, co miało wy-lansować Matthiasa jako skrzyżowanie Mahatmy Gandhiego z Johnem Fitzgeraldem Kennedym. Gdzie jednak sens, jeśli w głównej roli mamy ducha? Francesca drgnęła. Cóż, od Vica nie należało oczekiwać taktu.
 - Jest kilka powodów, Vic. Po pierwsze, nigdy przedtem nikt tego nie robił. Po drugie, Lucas Chant chce, żebyśmy prowadzili sprawę dalej i płaci nam za

to, więc nic nie tracimy. Po trzecie, zmieniamy koncepcję, żeby złożyć hołd potencjalnie wielkiemu człowiekowi...

- Chyba zaraz rzygnę - przerwał Vic.

- Po czwarte, ludzie uwielbiają tragedie i tragiczne postaci - ciągnęła, nie zwróciwszy uwagi na wtętu.

- I dlatego jestem pewna, że kampania wzbudzi olbrzymie zainteresowanie, co dla nas oznacza znalezienie się w centrum uwagi. Po ostatnie wreszcie, pieniądze zebrane dzięki satelitarnemu koncertowi i jego produktom ubocznym posłużą jako zaczątek charytatywnej albo edukacyjnej fundacji imienia Matthiasa, co również wywoła rozgłos.

- Czyj to pomysł? - spytał chłodno.

- Mój.

- I myślisz, że to wypali?

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby być inaczej. Chyba że wiesz coś więcej...

Pokręcił głową z niesmakiem, jego szerokie usta ułożyły się do lekceważącego parsknięcia.

- Boże, już to wszystko słyszałem! - Ale pomysł powinien wypalić, właśnie tak, jak powiedziała, i ta świadomość budziła w Vicu gniew. - Ten facet był po uszy nafaszerowany dętymi bredniami. Weź te wszystkie gadki o dzieleniu dobra i dóbr. Przecież nie wierzyłaś w to naprawdę, bo ja na pewno nie.

- Nie o tym mamy dyskutować, Vic - powiedziała z trudem kryjąc niechęć.

- To był dupoliz pierwszej klasy, kanciarz artystyczny z ponętą buźką. - Rozluźnił krawat. - Ciekawiloby mnie, jak dużą część jego tak zwanych wyznawców, oczywiście poza debilowatymi gwiazdami rocka, stanowiły kobiety.

- Wiesz co, Vic, słuchając ciebie odnosi się wrażenie, że mu zazdrościsz. - Podeszła do okna.

- Bzdura! Po prostu nazywam rzeczy po imieniu.

- Trzeba przyznać, że robisz to z nieodpartym wdziękiem.
- Ktoś musiał to w końcu powiedzieć. - Arogancko odchylił się na krześle. - A co zrobimy z Melissą Barton-Carr? Jak wytłumaczyć, że ta urocza panna trafiła do zamku ojca w środku francuskiego lasu akurat wtedy, kiedy przebywał tam nasz Złocisty Bóg, i przypadkiem miała ochotę na przejażdżkę samolotem?
- Tym aspektem sprawy zajął się już jej ojciec, i doskonale o tym wiesz, Vic - powiedziała obojętnie, ale w głosie pobrzmiwało ostrzeżenie. Nie chciała pamiętać, jak łatwo Matthias uwodził inne. Naruszało to jej intymność, raniło.
- Poczciwy sir Richard, inaczej mówiąc Billy Kid z Fleet Street, pieczołowicie owija swoją śliczną wy-móżdżoną córeczkę w złotka i sreberka. Boże, ilu ludzi ten facet unicestwił w drodze na szczyt... Kiedy pomyślę, że mimo to zawsze pachnie różami, a nawet udało mu się dochrapać jakiegoś zasranego tytułu...
- Mieliliśmy rozmawiać o kampanii.
- Podobały mi się teksty, które widziałem dzisiaj w „Mail”: „Córka magnata prasowego próbowała namówić gwiazdora do zawrócenia z drogi... Poświęciła się dla ideału...”. Co za pieprzenie w bambus. Wszyscy wiedzą, że się z nim rżnęła!
- Powinieneś się nauczyć chociaż czasem panować nad słownictwem, Vic - powiedziała Francesca lodowato. - Poza tym, czy nie uważasz, że głupio zaglądać w zęby darowanemu koniowi? Przecież takie artykuły mogą tylko pomóc kampanii. Vic pogardliwie parsknął.
- Jeśli naprawdę myślisz tak, jak mówisz, to może powinnam pogadać raczej z Pete'em Morganem? Przez dłuższą chwilę uważnie się jej przyglądał.
- Nie - odparł, gdy wreszcie złość mu przeszła. - To nie będzie konieczne. Jak sobie przypominasz,

kampania była od początku moja, więc będę się nią zajmował do samego końca. - Wstał. - A poza tym czyż naszą dewizą nie jest uszczęśliwienie klienta? Nawet jeśli padł trupem.

- Bardzo dowcipne, Vic - odparła sarkastycznie.

- Och, to jeszcze nic, będzie więcej... Uśmiechnął się drwiąco i odszedł. Popatrzyła za nim z niepokojem w oczach, a potem utkwiała wzrok w zamkniętych przed chwilą drzwiach. Na biurku stała prawie nie tknięta filiżanka kawy, więc w końcu usiadła do letniego lurowatego płynu. Vic robił się coraz bardziej nieznośny. Przesadzał z zachwytem nad sobą. Może miał nadzieję, że uda mu się wysadzić ją z siodła i zająć miejsce prezesa...? Przestała o nim myśleć. Wystarczająco ją zirytował; częściowo gniew jej pochodził stąd, że sporo jego opinii o Matthiasie było prawdą. Nie chciała w to wierzyć, ale przecież zastanawiająca była łatwość, z jaką gwiazdor omotywał wszystkich, mimo że mógł dać tak mało. Wierzył we własne słowa, ale nie był w stanie wprowadzić ich w czyn.

Uśmiechnęła się smutno, poczuła bowiem cień współczucia, kiedy w końcu zastanowiła się, czy śmierć nie była dla niego najlepszym wyjściem. Wróciła myślami do taśmy z koncertem na Wembley. Matthias był wtedy istotą wszechmocną, porywającą słuchaczy. Fani uwielbiali go, tak samo jak potem ona. Francesca spojrzała na lśniącą fotografię Matthiasa, leżącą w teczce na biurku, po czym teczkę zamknęła. Mimowolnie zerknęła na inną fotografię i poczuła bolesny niepokój, przyglądając się kształtnej twarzy, uśmiechającej się ze srebrnej ramki. Livia będzie wszystko wiedziała i pamiętała. Francesca czuła się zmęczona. Na przeprawę z Livią nie była gotowa, jeszcze nie. Nadchodzące Boże Narodzenie zaczęło dawać się we znaki. Sian przejrzała listę dyrektorów, szefów

zespołów i pozostałych pracowników na kierowniczych stanowiskach, sprawdzając, czy zgadza się liczba upominków, zamówionych u Harrodsa. Sekretarki i asystentki miały otrzymać od Franceski po flakonie dobrych perfum, a wszyscy pozostali butelkę szampana „Dom Perignon”. Trzeba było jeszcze ustalić ostatnie szczegóły świątecznego lunchu. Sian westchnęła z irytacją, przypomniała sobie bowiem, że przez roztrzępanie Zoe, która zamówiła miejsca na dwudziestego, musiała gorączkowo wydzwaniać do Ritza, żeby zmienić datę. Dwudziestego miało się bowiem odbyć podpisanie umowy o fuzji, świąteczny lunch wyznaczono zaś na osiemnastego. Zoe słyszała o tym przynajmniej kilka razy. Trzasnęły drzwi. Sian podniosła wzrok i zobaczyła Zoe wychodzącą z pokoju Vica. Przyjaciółka wyglądała w ostatnich dniach na szczęśliwszą, do rozmowy o zabiegu nie wracały. Było prawie tak, jakby nic się nie zdarzyło, bo Zoe odgrodziła się od myśli o tym incydencie w przeświadczeniu, że w ten sposób usunie go z pamięci. Sian zastanawiała się, jak układa się teraz związek Zoe z Vikiem, jeśli w ogóle może być mowa o związku, i czy Zoe kiedyś mu powie o swych przeżyciach. To do niej niepodobne, zresztą sama Zoe zapowiedziała, że nie zrobi tego. Może tak było najrozsądniej, jeśli chciała utrzymać posadę. Sian czuła, że Vic nie zniósłby takiego obciążenia na co dzień i z pewnością postarałby się go pozbyć, w myśl zasady: co z oczu, to z myśli. Przypomniał jej się Adam. zaproponował, żeby spotykali się raz w tygodniu, i obiecał, że Petie'ego zobaczy przy najbliższej okazji. Znowu jednak odwołał spotkanie i mieli się zobaczyć dopiero za dwa dni w hotelu „Mayfair”. Wypiją po drinku, może po dwa i Sian zastanawiała się niespokojnie, co potem Adam zaproponuje. Kiedyś już zdarzyło mu się zamówić pokój w „Mayfair”. Zostali wtedy na całą noc, a ona upajała

się drobnymi ekstrawagancjami, których jej nie skąpił. Przecież go kochała. Tym razem nie mogłaby zostać na noc, prawdopodobnie więc zwolnią pokój późnym wieczorem, Adam wsadzi ją do taksówki i będzie musiała znów jechać do domu sama. Nie podobał jej się ten obraz, ale nie mogła się go pozbyć, nabrał kształtów wbrew jej woli. Może to przez zmęczenie. Spojrzała na zegarek i jakoś odgoniła ponure myśli. Powinna już wyjść z pracy.

- Skończyłaś? - spytała Zoe, widząc, że koleżanka porządkuje biurko.

- Prawie. A ty?

- O, dziś wieczorem tu nie gniję - odparła Zoe szybko. - Vic ma teraz spotkanie z Pete'em Morganem, więc skończę jeszcze dla niego tę listę i idę w twoje ślady.

- Dobra, nie siedź za długo... - powiedziała Sian. Grudzień zaczął się od siąpiących deszczy, ale ostatnio zrobiło się chłodniej i zamiast kropli spadały na ziemię zmrożone płatki. Stojąc na marmurowych schodach przed agencją, Sian przyglądała się, jak chodniki pokrywają się srebrnym nalotem, po czym wróciła po parasolkę.

Szóste piętro było puste i tonęło w półmroku. Geoffa nie było przez całe popołudnie, a Francesce raz zdarzyło się skończyć pracę w porę. Sian rzuciła okiem na biurko Zoe, teraz już sprzątnięte, i przeszła przez pokój. Sięgając po parasolkę, leżącą przy ścianie, dojrzała blady poblask w szparze pod drzwiami gabinetu Vica. Zdziwiona, zmarszczyła czoło i zaczęła nasłuchiwać: w środku ktoś był. Kusiło ją, żeby po prostu wyjść i nie przejmować się, ale mimo to zbliżyła się do drzwi, zapukała i od razu weszła.

Później zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć wyraz osłupienia na twarzy Vica, gdy się odwrócił. Wystarczyła chwila, żeby zorientować się

w sytuacji, ale Sian miała wrażenie, że wszystko trwa o wiele dłużej, niczym na zwolnionym filmie. Vic stał w luźno powiewającej koszuli, spodnie miał ściągnięte do kolan. Twarzy Zoe nie widziała, bo zasłaniała ją płatanina włosów. Stała tyłem, zgięta w pół, a on wciskał się między jej nagie, białe pośladki.

Vic odczekał, aż Sian cicho zamknie drzwi, i znowu przystąpił do dzieła. Jej wtargnięcie na moment go zaskoczyło, ale nie przejął się. Zoe nic nie zauważyła, zaczęła tylko niewyraźnie pomrukiwać, jakby coś usłyszała, więc Vię szybko pchnął jej głowę w dół, by nie dostrzegła wolno zamykających się drzwi. Jeszcze nie skończył, i nie zamierzał sobie przerywać. Wrócił spojrzeniem do krągłości tyłka Zoe. Myśli o Sian, agencji Samuela i perspektywach w GKP uleciały, odepchnięte siłą zbliżającego się orgazmu.

Zoe wygładziła spódnicę i odwróciła się do Vica zajętego wycieraniem chustką pozostałości po seksie.

- Wydawało mi się, że coś słyszałam...

- Słyszałaś? - powtórzył Vic, unikając odpowiedzi.

- Tak.

- Och, to nic takiego - powiedział gładko, podciągając slipy i zapinając spodnie.

- Nic takiego? - spytała cicho.

Spojrzał na jej ładną, lecz tuzinkową twarz i nagle uderzyło go znowu, jak bardzo jest nią znudzony.

- Tylko Sian.

- Sian? - Zoe poczuła żołądek podchodzący do gardła.

- No tak, Sian - odparł, wzruszając ramionami. - Musiała zobaczyć światło i zainteresowała się, kto tu jest... Dokładnie się przekonała. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale Zoe nie mogła wykrztusić ani słowa, patrzyła więc w milczeniu, jak Vic wsuwa ramiona w rękawy marynarki i wciska zaplamioną chustkę głęboko do kieszeni.

Philippe oparł głowę na miękkim siedzeniu i zamknął oczy. Od podpisania umowy o połączeniu agencji dzielił ich jeszcze tydzień, a Ed nalegał na wprowadzenie drobnych zmian do projektu jeszcze przed dwudziestym. Chciał dopilnować tego osobiście, ale w ostatniej chwili zrezygnował z podróży do Londynu, twierdząc, że nie jest w nastroju, i zdecydował, że Philippe go zastąpi. Philippe nie miał wyboru, mimo iż porządnie go rozwścieczył teatralny gest starego, który przycisnął rękę do skroni, jakby w każdej chwili groziło mu przeniesienie się na tamten świat. Co za kit... Ten Ed żyje chyba na Marsie, jeśli wyobraża sobie, że wciskając mu tę wycieczkę wyswata go z Francescą. Ed, oczywiście, stanowczo zaprzeczał takim podejrzeniom. Philippe ze zniecierpliwieniem spojrzął w okno, a tymczasem samolot pokonał pas startowy i miękko uniósł się w powietrze. Ona nie jest w moim typie, powiedział sobie. Stanowimy dwa różne światy. Ed tego nie dostrzegał, ale lepiej byłoby, gdyby w końcu dostrzegł i się odczepił. Tyle że Ed się starzał, solidnie się starzał, i nie umiał również tego dostrzec. Coraz częściej zawodziła go pamięć, a ostatnio kilka razy zgubił wątek rozmowy. Klientom zdawało się to nie przeszkadzać, sprawiali nawet wrażenie zadowolonych, zupełnie jakby Ed specjalnie dla nich dawał przedstawienie. Poczciwy, stary Ed nie wie, kiedy zwolnić... To jeden z tych facetów, dzięki którym Ameryka jest dziś tym, czym jest. Ed byłby gotów się wycofać tylko, gdyby padł, bo wyraz „odpoczynek” w jego słowniku nie istniał. Philippe westchnął. Stary będzie mu wisiał kamieniem u szyi i dusił, taką już ma siłę woli. Przecież agencja jest wszystkim, co ma. Oprócz niej pozostaje mu tylko Okruch. No i oczywiście on, Philippe,... „jego krew”. Kąciki ust wykrzywił mu lekki uśmiech; przypomniana-

la mu się kłótnia. Ed był głupcem... A nie ma gorszego głupca niż stary głupiec. Przez cały dzień zamieniły ledwie parę słów. Zoe starannie unikała rozmów, a Sian jej do tego nie skłaniała. Vic wmaszerował do biura jowialny, potem znikł na zebraniu, a jeszcze potem urządził sobie długi lunch i już nie wrócił. Zbliżało się wpół do szóstej, ale Sian musiała jeszcze przeredagować krótką notatkę na temat fuzji i spotkania z Philippe 'em Sanchezem, które było wyznaczone na następny dzień. Nie miało znaczenia, że zostanie po godzinach, gdyż w ten sposób zabijała czas pozostały do spotkania z Adamem. Podniosła głowę i spojrzała na Zoe, która zaczęła już porządkować biurko, najwyraźniej zbierając się do wyjścia. Sian odetchnęła z ulgą, nie mogła jednak się temu przyglądać, zbyt wiele przypominało jej poprzedni wieczór. Poszła więc do kuchni, przyrządzenie kawy wydawało się dobrym pomysłem. Akurat wsypywała granulki do filiżanki, gdy usłyszała kroki Zoe, oddalające się w kierunku windy i ciche „dobranoc”. Przyniosła kawę do biurka i ciężko usiadła. Zwróciła twarz do okna i zaczęła się wpatrywać w strużki deszczu, srebrzyście spływające po szybie. Próbowała sobie wyobrazić Adama za smukłym, białym biurkiem, wśród tych samych co kiedyś obrazów na ścianach, przy tym samym figowym drzewku, stojącym w kącie. Im też kilka razy zdarzyło się kochać w biurze, bo nie mieli innego miejsca ani czasu, a przynajmniej tak sobie to wówczas tłumaczyła. Ale przecież ona go kochała. Aż za dobrze pamiętała, jak na samo brzmienie jego imienia, na dźwięk głosu czuła mrowienie. Pamiętała też piękne marzenia o wspólnej przyszłości. To wszystko zdarzyło się jednak ponad rok temu. A teraz sama chciała pozwolić, by wszystko

zaczęło się od nowa? Zupełnie jakby nie było bolesnej chwili, kiedy Adam zniknął z jej życia. On chciał mieć wszystko, a Sian obawiała się, że wciąż czeka na jego wezwanie. Pomyślała z goryczą, że chyba wcale nie różni się od Zoe.

Kiedy przechodziła przez hol, w agencji wciąż jeszcze panowało ożywienie. Ludzie siedzieli w głębokich, miękkich fotelach, a telefony dzwoniły. Przy drzwiach stała choinka, zgrabne, wysokie drzewko, przybrane czerwonymi, zielonymi i srebrnymi wstążkami. Mijając je, Sian poczuła mocny żywiczny zapach i nagle uświadomiła sobie, że nadchodzące święta cieszą ją. Uśmiechnęła się na myśl o prezentach, które już zebrała dla Petie'ego. Oczywiście, był jeszcze za mały, żeby rozumieć, co się dzieje, ale wiedziała, że i tak mu się spodobają. Nadspodziewanie grzeczne z niego dziecko, uznała. Często się uśmiecha, łatwo daje się kochać. Ogarnęło ją poczucie winy. Wydawało jej się, że nie zasługuje na tyle dobra, skoro tak często tęskniła skrycie do dawnych dni. Poderwała głowę, słysząc pisk opon wielkiej, czarnej taksówki, która skręcała w lśniącą od deszczu ulicę. Ciaśniej owinęła się płaszczem i podbiegła. Od hotelu „Mayfair” dzielił ją kwadrans jazdy, wyglądało więc na to, że się spóźni, ale Adam będzie czekał, bo przecież jest pewny jej przyjścia.

Taksówkarz musiał się zatrzymać kawałek od hotelu. Z trudem szukając w półmroku drobnych napiwek, Sian poczuła nagłą chęć, żeby wrócić do zacisznego wnętrza pojazdu. Podała jednak kierowcy pieniądze, po czym odprowadziła wzrokiem oddalający się samochód. Nieufnie przeniosła spojrzenie na wejście do hotelu i machinalnie ruszyła w tym kierunku. Deszcz moczył jej włosy, krople spływały po twarzy i ściekały za cienki kołnierzyk bluzki, którą tak starannie wybrała.

Pomyślała o Zoe, o Vicu i fałszywym

uśmiechu, którym obdarzył ją tego rana. Z hotelowych drzwi padało na chodnik ciepłe, żółtawe światło. Sian przekroczyła tę smugę i poczuła, że nogi niosą ją w dół lekko spadzistej ulicy, w kierunku Berkeley Square i stacji metra. Przy odrobinie szczęścia miała szansę wrócić do domu, zanim Petie zaśnie.

- Muszę przedyskutować to z Edem, ale nie sądzę, żeby chciał się sprzeciwić.

Francesca skinęła głową i powiedziała:

- Rozumiem, że klienci, którzy narzekali na fuzję, zostali już uspokojeni.

- Wszyscy, z wyjątkiem Kleina, ale jego przez ostatnie kilka tygodni głaszczemy na zmianę z włosiem i pod włos, więc wreszcie i on zaczyna reagować na hojność Eda. Sukinsyn jest po prostu chciwy, i tyle

- powiedział Philippe z lekkim zniecierpliwieniem.

- PRS jest waszym, a może powinnam powiedzieć „naszym”, największym klientem - stwierdziła ostrożnie.

- Nie przejmuj się. Klein bywa trudny, ale nie jest głupi. Widzi przecież korzyści, jakie daje dostęp do brytyjskiego rynku i rozbudowa międzynarodowej sieci. Świetnie wie, że PRS ma duże szanse zarobić na naszej strategii.

- Powiedział coś takiego? Philippe się uśmiechnął.

- Sugerował, że w nowym roku ułatwi nam otwarcie dwóch światowych kampanii, po dwadzieścia milionów każda. - Z odkryciem tej karty czekał na odpowiedni moment. Przyglądał się teraz starannie wypielegnowanej twarzy Franceski, a potem zobaczył, jak jej palce zaciskają się nerwowo na piórze.

- O jakie wyroby chodzi?

- Co ciekawe, oba do wylansowania. Pierwszy to środek, który stuprocentowo powstrzymuje wypada-

nie włosów. Tak twierdzi producent. Niestety, jak dotąd, nie obiecuje, że wyrosną nowe włosy, ale i tak preparat będzie się praktycznie sprzedawał sam. Roboczo nazwano go 21. Drugim towarem jest pesarium, aktywne przez dwadzieścia cztery godziny, ze skutecznością 99,9%. Zapobiega nie tylko niepożądaney ciąży, lecz i zakażeniu AIDS. Do tej pory nie wymyślono mu jednak nazwy, to też może być zajęcie dla nas.

- Brzmi to interesująco. Jeśli naprawdę jest tak skuteczne...

- Klein twierdzi, że przeszło wszystkie testy i jego wprowadzenie na rynek stanowi kwestię kilku miesięcy.

- Ale czy jesteśmy przygotowani do lansowania tych produktów na całym świecie? - To Geoff przyhamował jej galopujące myśli. Zupełnie zapomniała o jego obecności.

- Już nad tym pracuję - odparł Philippe, zwracając się do pytającego. Wygląda na to, że musimy przygotować trzydziesto- i sześćdziesięciosekundowy wariant telereklamy, nadający się do pokazania w trzydziestu dwóch krajach, w osiemnastu językach.

- Boże! - wykrzyknął Geoff.

- Czyli muszą się w to włączyć także nasze agencje partnerskie... - dorzuciła Francesca. Pomyślała, że może coś z tego będzie, i poczuła podniecenie, w głowie zaczęły jej wirować liczby i procenty, które przy bardzo starannym, rozważnym planowaniu i odrobinie szczęścia mogły stać się rzeczywistością.

- I tu jest słaby punkt, bo te partnerskie agencje są bardzo marne artystycznie, ale ponieważ prawie całą pracę twórczą wykona się w Nowym Jorku, na razie nie ma powodu się tym przejmować.

Powinniśmy się natomiast zająć szukaniem przyczółków w Hongkongu, Singapurze i może Tajlandii. Chętnie włączyłbym i Japonię, ale sami wiecie, że praktycz-

nie nie jest możliwe podpisanie z japońską agencją porozumienia o partnerstwie, a tym bardziej przejęcie na własność, ze względu na ich bezkompromisowość. Tamtejszy rynek powinien jednak dobrze wchłaniać 21, nawet przy pośrednictwie dystrybutora, słyszałem bowiem, że Japończycy bardzo dbają o siebie, a na łysienie szczególnie zwracają uwagę. Niektórzy byliby nawet skłonni polecieć pierwszą klasą do Chin w poszukiwaniu środka wzmacniającego włosy. - Uśmiechnął się i ciągnął: - Co do reszty, myślę, że warto obejrzeć z bliska całą naszą sieć, powiedzmy w lutym. - Spojrzał na Francescę. - Byłoby dobrze, gdybyś mogła się tego podjąć.

- Mogę - powiedziała, odwzajemniając spojrzenie, a potem zerknęła na trzymaną kartkę. - A czy zgadzacie się z naszą propozycją strategii rozszerzenia działalności o tworzenie publicznego obrazu firm?

- Trochę bym z tym poczekał... - stwierdził z nikłym uśmiechem - ale widzę, że rozpracowaliście wszelkie ewentualności.

- Tak sędzę - ucięła.

- Prime PR zajmuje ósme miejsce w brytyjskim rankingu. To dobre posunięcie - dodał Geoff. Ledwie mógł ukryć zachwyt, kiedy Francesca wybrała w końcu firmę Dereka Richie'ego zamiast Gilmore'a, chociaż w zasadzie nie miało to znaczenia. Gilmore zaparł się jak muł, nie chcąc zgodzić się na utratę kontroli nad agencją, podczas gdy Richie zadowolili się czterdziestoma dziewięcioma procentami. Zakup Prime PR był wprawdzie kosztowniejszy, ale mimo to opłacalny, a Gilmore znikł dzięki temu z horyzontu Geoffa.

- W porządku. Miałem wątpliwości tylko co do terminu - swobodnie powiedział Philippe.

- Niepotrzebnie - odparła Francesca, z wysiłkiem tłumiąc rozdrażnienie. - Czy zastanowiłeś się nad akwizycją w Stanach?

- Oczywiście. Może przedyskutujemy to w przyszłym tygodniu, kiedy przyjedziesz podpisać umowę.
 - Nadal Creamer Dickson albo Regis McKenna? Potwierdził skinieniem głowy.
 - Czy miałeś czas, żeby przetrwać informację na temat doradztwa w zarządzaniu? - spytała impulsywnie, wytrącona z równowagi jego spokojem.
 - Widzę, że pragniesz rozwoju w wielkim stylu - stwierdził nieco rozbawiony.
 - Nie ma powodu, żebyśmy się przed tym wzbranieli. Prawie na każdym polu pozostajemy jeszcze w tyle za konkurencją. Chcę to zmienić, a obroty w doradztwie wzrosły przez ostatni rok o ponad dwadzieścia procent. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie wzięli tego pod uwagę. - Ukochany obraz megaagen-cji, obsługującej najbogatszych klientów i klasyfikowanej w trzech najważniejszych światowych rankingach, może nawet na pierwszym miejscu, nabierał realnych kształtów.
 - Wziąłem to pod uwagę - powiedział cicho. - W kalendarzu na styczeń mam między innymi spotkanie z przedstawicielami Deloitte Haskins & Sells.
 - To dobrze - odparła i uświadomiła sobie, że wpatruje się w Philippe'a. Poczula się dość głupio. - Cieszę się, że myślimy podobnie.
 - Ja też - przyznał i powoli zaczął zbierać papiery, jakby uznał, że narada dobiegła końca.
- Pomysł z kolacją we troje wyszedł od Philippe'a, który przed powrotem do Stanów następnego dnia chciał wyjaśnić wszystkie niejasności. Wieczór minął gładko, dopiero pod koniec Geoff zaczął się skarżyć na ból głowy i postanowił wcześniej wrócić do domu. Francesca odprowadziła go wzrokiem do wyjścia, zastanawiając się, czy rzeczywiście chodzi o ból głowy. Jeszcze przed miesiącem Geoff był zupełnie innym

człowiekiem, teraz jego jowialność zdawała się wymuszona, a on sam wciąż zostawał po godzinach, przyjmując na siebie mnóstwo dodatkowych obowiązków. Przyczyna tego stanu rzeczy była jednak osobista, toteż nie należało spodziewać się po Geoffie zwierzeń.

- Dobry jest - zauważył Philippe po jego wyjściu.

- Owszem.

- A Brunning? Spojrzała z uwagą

- Inny.

- Wiesz chyba, że bez względu na to, co pisze się w prasie, prędzej czy później trzeba będzie dokonać poważnych zmian w zarządzaniu?

- Wiem.

- Chciałbym mieć Geoffa w Stanach.

- Chyba że będę go potrzebować tutaj.

- Może on wolałby zmianę?

- A może ty posuwasz się trochę za daleko. Niespodziewanie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Odwieźć cię do domu?

- Dziękuję.

Dom wydawał się mały i ciemny. Kiedy samochód podjechał do ogrodzenia, przymknęła oczy i zaraz zobaczyła Michaela, Livię, Matthiasa... i ojca.

- Może wstąpisz na kawę? - Te słowa wyrwały jej się, zanim zdążyła pomyśleć, co mówi. Zobaczyła zaskoczenie Sancheza.

- Czemu nie? - odparł jednak swobodnie. Zmierzył ją szybkim spojrzeniem i pomyślał, że mogłaby uchodzić za osobę w żałobie: w półmroku samochodowej kabiny ciemnowiśniowa sukienka wydawała się niemal czarna, a szare cienie podkreślały wielkość i blask oczu, kontrastujących z bladymi policzkami. Była nieszczęśliwa, a on nawet tego nie zauwa-

żył przez całe popołudnie i wieczór, tak bardzo zajmowało go zdobywanie kolejnych punktów.

- Podoba mi się tutaj... - powiedział, gdy Francesca przyniosła kawę. Trudno zresztą, żeby taki dom się nie podobał, pomyślał z odrobiną zazdrości, bo chociaż jak na jego gust było trochę za mało przestronnie, to wewnątrz zachwycało. Kilka przepięknych włoskich antyków zręcznie zestawiono z nowoczesnymi meblami, a całość sprawiała wrażenie harmonijne. Philippe dojrzał fotografie w ramkach.

- To twoja rodzina?

- Owszem. - Miała nadzieję, że wciąż tak jest.

- A to matka? - Przeszedł przez pokój i wziął do ręki zdjęcie smukłej blondynki w kremowym stroju. Pomyślał z rozbawieniem, że poza jej jest zanadto wystudiowana, zupełnie jakby oglądał statuetkę z kości słoniowej. Kobieta nie miała w sobie nic z Franceski.

Przez chwilę Francesca stała nieruchomo z tacą w rękach, wpatrując się w Philippe'a.

- Nie... Nie matka - odpowiedziała niepewnie.

- Och... - Rzucił zaciekawione spojrzenie i odstawił fotografię. - Przepraszam, nie chciałem być wścibski. - Miał pewność, że pytanie dotknęło bolesnego miejsca.

- Nie jesteś wścibski... Zadałeś normalne pytanie - powiedziała drewnianym głosem. - Czarną czy białą? - dodała i odwróciła wzrok.

- Czarną... dziękuję.

- Widzisz, moje sprawy rodzinne są bardzo skomplikowane, ostatnio odkryłam, że jeszcze bardziej, niż sądziłam. - Usiadła, a Philippe zajął miejsce naprzeciwko.

Nastąpiła chwila przykrej ciszy.

- Wszyscy mamy rodzinne sekrety, o których wolimy nie wspominać.

- Moje są dość szczególne... - Próbowała się uśmiechnąć, ale usta jej tylko zadrżały. Była na najlepszej drodze do zrobienia z siebie idiotki!
- Ja ci swoje zdradziłem - powiedział łagodnie, wyczuwając jej nastrój. - A Ed zna sposoby na niemiłe rodzinne sekrety i przykre wspomnienia...
- Naprawdę? - spytała, przywołując wreszcie uśmiech na wargi.
- Owszem. Będąc z nim, ma się wybór: zapomnieć o wszystkim, zdrowo sobie poprzeklinać albo wykić widma przeszłości. - Nie była to najzręczniejsza próba pocieszenia, ale Philippe z ulgą zauważył, że łzy nabiegające Francesce do oczu, nie popłynęły. - Niedawno nazwał mnie osłem i niewdzięcznym sukinsynem.
- Czemu? - spytała, gdyż zaciekawienie przeważało ból.
- Bo pewnie tym jestem... - I patrząc na jej uroczą, a nieszczęśliwą twarz, pomyślał, że stary nie mylił się tak bardzo. - I może jeszcze dlatego, że wyćwiczyłem się w sztuce obcowania z widmami przeszłości. - Zamilkł, gorączkowo szukając nowego tematu.
- Fatalnie wyszło z Matthiasem i tą kampanią. -Znalazł coś w końcu i dodał: - Chociaż z tego, co mówił Geoff, wynikało, że dochodzicie do całkiem przyzwoitego porozumienia z jego agentem. Spojrzała z niechęcią.
- Tak... Fatalnie wyszło... - powtórzyła cicho. -Prawdę mówiąc, jutro rano muszę być na nabożeństwie żałobnym. Nieźle go znałam.
- Przepraszam.
- Nie szkodzi.
- Widział jednak, że skłamała.
- Chcesz jeszcze kawy?
- Nie, dziękuję. - Dopił resztę i odstawił filiżankę

na tacę. - Powinienem już iść. Oboje mieliśmy dzisiaj ciężki dzień. - Wstał.

- Chyba masz rację. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak zmęczona - Nieprzekonująco usiłowała wyjaśnić, skąd się wzięło pęknięcie na jej zbroi i dlaczego omal nie wyrzuciła z siebie kłębiących się myśli.

- Ale nic ci nie będzie? - dopytywał się niezbyt zrecznie.

- Pewnie, że nie - odparła szybko. - To naprawdę tylko zmęczenie. Jeśli pozwolisz, odprowadzę cię do drzwi.

Stała przez chwilę na progu, patrząc na oddalającego się Philippe'a. Nie czuła przejmującego zimna ani lodowatej mgły, która zaczęła się podnosić z mokrej ziemi. Stwierdziła, że Philippe jest sympatyczny i pod powłoką oschłości delikatny. Po tych jej niezręcznościach uznał ją pewnie za karykaturę kobiety sukcesu - uczuciową, znerwicowaną i samotną. Jeszcze mu pokaże. Ale po co? Philippe skierował samochód z powrotem ku King's Road. Rozluźnił krawat i przypomniał sobie, dziwaczną reakcję Franceski na pytanie o matkę, a potem swoją kolejną gafę. Wyraźnie naruszył jeszcze jedno tabu wzmianką o Matthiasie. Francesca zachowała się tak, jakby znała go zdecydowanie lepiej niż „nieźle”. Poczul zazdrość, zobaczywszy przed oczami wizerunek gwiazdora, który widział kiedyś w Nowym Jorku, a ostatnio w teczce kampanii, znajdującej się w jego gabinecie. Facet był bardzo przystojny i pisał przeważnie świetne piosenki, ale w nowej skórze człowieka czystego moralnie jakoś do Philippe'a nie przemawiał. Musiałby w końcu osiągnąć szczyt, a potem już tylko osuwać się w zapomnienie. Prestiż tej kampanii podnosił jednak znaczenie agencji Samuela, a to się liczyło. Tylko Francesca, być może, miała nadzieję na więcej. Uśmiechnął się

kwaśno i skręcił na rozległą jezdnię Park Lane. Podczas tej niefortunnej rozmowy kusilo go, by podejść do Franceski i otoczyć ją ramionami. Postąpiłby wtedy zgodnie z sugestią swojej matki: „Płacząca kobieta potrzebuje ramion mężczyzny”. Ależ zrobiłby z siebie durnia.

Francesca czuła, jak stojący obok niej Vic przestępuje z nogi na nogę. Świątynia była pełna „żałobników”, a listę obecnych można byłoby wziąć za wyciąg z „Kto jest kto”. Przebiegła wzrokiem po obecnych. Oprócz spodziewanych ludzi ze świata fonografii i show-businessu pojawił się także wysoki, kościsty, rzucający się w oczy sir Richard. Był przedstawiciel rządu, młodszy członek rodziny królewskiej i nawet arcybiskup Canterbury. Matthiasowi by się to podobało, pomyślała cynicznie. Powinno się podobać również tym, których nie obchodziła uroczystość, przyszli tylko dla łatwego rozgłosu. Przed świątynią zainstalowano kilka kamer telewizyjnych, czekała też spora grupa dziennikarzy. Francesca ujrzała kruchą sylwetkę Lucasa Chanta; stał nieruchomo, z pochyloną głową, samotny w tłumie. Groziło mu teraz zagubienie w świecie, chyba że rzuci się w wir pracy nad kampanią i zakładaniem nowej fundacji. Jak echo wróciły do niej słowa Matthiasa: „samotny, zagubiony sierota... którego znalazłem”. Ale Lucas Chant będzie teraz panem samego siebie, pomyślała. Było bardzo prawdopodobne, że mroczna przeszłość Kevina Crowleya powróci i podsunie mu pozorne wyzwolenie, jakie dają narkotyki. Lucas był słaby i po śmierci Matthiasa mógł się załamać. Chant podniósł głowę i spojrzał w stronę Franceski, jakby poczuł jej wzrok. Na jego twarzy zamajaczył

smutny uśmiech. I jeśli Francesca za kogoś w tym dniu się modliła, to właśnie za niego.

- Wszystkim, poza Vikiem, termin świątecznego lunchu odpowiada - powiedziała Sian.

- A jemu dlaczego nie? - spytała Francesca z rozdrażnieniem.

- Podobno ma umówione spotkanie i nie może zmienić terminu.

- Co za spotkanie?

- Nie wyjaśnił...

- Nie chciał wyjaśnić...

Sian spojrzała na nią porozumiewawczo. Vic powiedział jej wprost, żeby pilnowała własnego nosa.

- No dobrze, musimy wobec tego spróbować się obejść bez jego subtelnych wdzięków - oschle stwierdziła Francesca.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi, w których pojawiła się głowa Zoe.

- Przepraszam, Francesco, ale jest tu policjant, który chce się z tobą zobaczyć.

- Policjant? - zdziwiła się Francesca. - No, to go wpuść. Dokończymy później, Sian. Dziękuję.

Przybysz nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia jeden lat, ale miał widać doświadczenie i potrzebował zaledwie kilku chwil, by przekazać, że Michael jest w szpitalu po próbie odebrania sobie życia.

- Jak to się stało?!

- Sądzę, że przedawkował, proszę pani.

Opuściła powieki i poddała się bolesnemu wspomnieniu ostatniego z nim spotkania. Chyba każdy oprócz niej domyśliłby się, że Michaela stać na coś takiego. A jej to nawet nie przyszło do głowy.

- Pojadę do szpitala.

- Nie ma już niebezpieczeństwa, ale możemy tam panią zawieźć w każdej chwili.

- Dziękuję, pojadę swoim samochodem. - Szybko przeszła przez pokój, żeby wziąć płaszcz, i nagle pomyślała o Livii. - Czy ktoś jeszcze został powiadomiony?

- Pani Montague-Howe... jego matka, jak rozumiem.

- Owszem, zgadza się. - Livia zaraz po śmierci męża zmieniła nazwisko „Gaetini” na panięskie.

Również Michael niekiedy go używał. Francesca wyszła z pokoju, a tuż za nią policjant.

- Wychodzę, Sian, nie wiem na jak długo - powiedziała, przystając koło biurka asystentki. - Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, że w pilnej sprawie osobistej. Wyjaśnię po powrocie. - Automatycznie trafiła na parking. Myślami znów wróciła do przeszłości. Kazała się Michaelowi wynosić, bo był egoistą. Nie dostrzegł jej rozpaczy, bo skupił się na udowadnianiu Livii, że potrafi się uniezależnić. Francescę ogarnęło poczucie winy. Michael był jedynym ogniwem łączącym ją z przeszłością, nieważne, że wątyłm, a ona zapomniała o jego słabości, o nierealności jego marzeń... i omal go tym nie zabiła.

Kiedy podeszła do łóżka, zdawało jej się, że śpi, ale gdy przysunęła krzesło, otworzył oczy. Spojrzała na bladą twarz i przypomniał jej się Lucas Chant.

- Jestem głupcem, prawda? - odezwał się cicho Michael.

Nie odpowiedziała, tylko ujęła jego dłoń.

- Próbowałem wszystkiego za późno... To śmieszne, Fran, ale cały czas zdawałem sobie z tego sprawę.

- Trzeba było przyłączyć się do mnie, jak prosiłam

- powiedziała wreszcie.

- Nic by z tego nie wyszło, za bardzo się różnimy.

- Zażenowany odwrócił od niej wzrok, przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Francescą. - Zresztą nie na wiele bym się zdał. Nie jestem dobry w interesach... Sama widzisz.

- Nie masz tylko doświadczenia - sprzeciwiła się bez przekonania.
- Nie, ja nie mam takiego daru, nie mam zdolności... Zupełnie inaczej niż ty czy ojciec...

Teraz ona odwróciła głowę.

- Przykro mi z powodu tego, co powiedziałem - wyszeptał.

- To nie ma znaczenia.

- Właśnie że ma.

- Nie bardzo się tym przejęłam.

- Musisz zapytać matki, wyjaśnić... - Westchnął, a potem szloch zniekształcił mu głos. - Wszystko robię nie tak, jak trzeba - powiedział bezbarwnie. Z akcjami też nie wyszło. Wziął sobie podsunięty typ głęboko do serca i uwierzył w śmiałe słowa Nigela. Chciał uwierzyć i chciał dowieść Francesce, że potrafi wykazać się sprytem. Ale akcje spadły i utrzymywały się w dole. Nigel powiedział w końcu, że można by je sprzedać, ale ze stratą, a wtedy Michael nie zdołałby spojrzeć Francesce w oczy. A tak zwane przedawkowanie... Powinien był od razu wiedzieć, że nie starczy mu odwagi. Na szafce w hotelu miał trzy rodzaje tabletek: uspokajające, przeciwbólowe i nasenne. Wziął wszystkie, ale zaraz ogarnęła go panika, potem poczuł zamroczenie, później mdłości. Ożywał koszmar, przesłaniająca wszystko postać matki stała w nienaturalnym bezruchu, potem odeszła, a on miał wrażenie, że lodowate palce ściskają mu serce. Przerażony zadzwonił najpierw po pokojówkę, potem po portiera. W końcu dowlókł się do drzwi i padł na progu, żeby na pewno ktoś go znalazł. Rzeczywiście, znaleźli.

- Nie zawsze. - Głos Franceski wdarł się w te wspomnienia.

- Najczęściej. - Rozpaczliwie spojrzał na białą płaszczyznę sufitu, kurczowo skręcając w palcach

brzeg koca. - Matka o tym wie... Pewnie dlatego jest taka nadopiekuńcza.

- Och, Michael... - powiedziała łagodnie, mimo irytacji. - Ona zjada cię żywcem... - Spojrzała na bladą twarz Michaela zastanawiając się, dlaczego wydawał jej się kiedyś złocisty, tak jak Matthias.

Nieskazitelny. Oczy ją zapiekły. Czy wszystko straciła?

- Teraz, oczywiście, wrócę do domu - powiedział, lekceważąc jej uwagę. - Ale przynajmniej mogę się pocieszać świadomością, że próbowałem coś zrobić sam.

Uciekła spojrzeniem do okna. Siedzieli tak, milcząc, a popołudnie dogasało i na niebie pojawiały się biel, szarość, purpura. Nadchodził wieczór.

- Już się zaczyna... - mruknął Nick.

- Co masz na myśli?

- Może sobie przypominasz, Caroline, że w sobotę po południu mieliśmy się wybrać na Camden Market.

- Wcale nie zapomniałam. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy poszli. Po prostu obiecałam matce, że pomogę jej wybrać płaszcz. - Spojrzała na niego niepewnie. - Możemy się gdzieś spotkać.

Zmierzył ją wzrokiem. Zastanawiał się, jak ona może być tak naiwna

- Nic prostszego - burknął.

- Nie rozumiem. - Na jej twarzy pojawił się grymas, nie chciała usłyszeć, co Nick ma do powiedzenia.

- Spóźnisz się...

- Nie spóźnię się, Nick.

- Już ona się o to postara.

- Myślę, że jesteś niesprawiedliwy. Od czasu twojej wizyty prawie cię nie wspomina, nie było żadnych wykładów ani suszenia głowy...

- Czy nie wydaje ci się to trochę dziwne?

Westchnęła.

- Myślałam, że w końcu pozwoliła mi żyć tak, jak ja chcę.
- Och, Caroline, nie bądź takim głupiatkiem!
- Zawsze mi powtarzasz, że wszystko jest możliwe - powiedziała z wyrzutem.
- Ale nie z twoją matką.
- Ostatnio jest niezwykle miła.
- Na tym polega gra w podchody.
- Przestań, Nick. - Nie chciała słyszeć ani słowa więcej, nie chciała przypuszczać, że matka może być tak podstępna.
- W ciągu ostatnich dziesięciu dni dwukrotnie musiałaś odwoływać nasze spotkanie, i za każdym razem twoja matka miała znakomite uzasadnienie twojej obecności gdzie indziej.
- Zbliżają się święta, a już ci mówiłam, że matka należy do kilku różnych komitetów, więc jest to dla niej wyjątkowo pracowita pora roku.
- Istotnie, mówiłaś, zastanawiam się tylko, czy kiedy matka z takim zapałem ciągnęła cię w swoją stronę, nie było przypadkiem gdzieś w pobliżu „tego pocziwca Guya”.
- Ona nie jest potworem... Przyglądał jej się uważnie.
- Czy myślałaś nad drugim dniem świąt?
- Nie miałam okazji. - Spuściła oczy, przypominając sobie o kolacji, którą Nick planował przyrządzić dla nich obojga i o tym, że matka zniweczyła jego zamiary, wybierając ten sam wieczór na przyjęcie.
- Rozumiem - powiedział. - Ale proszę tylko o krótką odpowiedź. Tak albo nie.
- Mam co innego tego wieczoru - odparła bezradnie.
- Co innego?
- Przyjęcie. - Z trudem przełknęła ślinę. - Ale

chciałabym, żebyś przyszedł... - Skłamała. To byłaby klęska, tak samo jak pierwsze spotkanie z matką.

- Czyje przyjęcie?

Odchrząknęła, wiedząc, że odpowiedź nie zabrzmiała dobrze.

- Moich rodziców.

- Masz na myśli matkę.

- Będziesz bardzo mile widziany... - broniła się, Nick jednak wiedział, że to nieprawda.

- Brednie, Caroline - powiedział cicho, ale ten cichy głos był wymowniejszy niż krzyk.

- To nie będzie długie przyjęcie - odezwała się błagalnie.

- Nadal próbujesz schwytać dwie sroki za ogon. - Lekko pokręcił głową.

- Nie próbuję niczego chwycić. Po prostu chcę, żeby wszystko jakoś się ułożyło.

- Malujesz piękny obrazek. Jest na nim twoja matka, ja i bez wątpienia Guy, i wszyscy radośnie szczerzą zęby, bo Caroline podzieliła się na kawałki... choć, prawdę mówiąc, chudawe. - Rzucił jej surowe spojrzenie. - To wszystko jest nie do pogodzenia, Caroline.

Nie odpowiedziała od razu, dopiero po chwili uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Guya na tym obrazku nie ma.

- Może i nie, ale czai się gdzieś z boku. Twoja matka uważa, że jestem w twoim życiu „tymczasową fazą”, czyli inaczej mówiąc „przelotnym zachwytem”, a ponieważ ma pewność, że nie będziemy ze sobą długo, to Guy czeka na podorędziu i pierwszy dowie się, że już ma wolną drogę. Załóż się, jeśli chcesz.

- Nie możesz tego twierdzić tak stanowczo. - Poczuli się jednak bardzo niewyraźnie.

- O Boże, Caroline, zastanów się trochę. Nienawidziła, kiedy mówił do niej jak do dziecka.

- Czyli nie przyjdiesz na przyjęcie? - spytała.

- Zrób mi tę łaskę... i zapomnij w ogóle o wspólnym spędzaniu drugiego dnia świąt - odparł szorstko, tracąc cierpliwość.

- A dzisiejszy wieczór jest nadal aktualny?

Miał ochotę zaprzeczyć, ale zabrakło mu odwagi, bo nadal jej pragnął, nadal chciał widzieć tę łagodną twarz.

- Chyba tak - powiedział ponuro. - Ale spóźnię się. Muszę dokończyć przeróbkę scenariusza kampanii Matthiasa.

- Jak bardzo się spóźnisz?

Oczy błysnęły mu ostrzegawczo, odłożył pisak na biurko.

- Zapomnij o tym.

- Po prostu chcę wiedzieć, jak bardzo...

- Powiedziałem: zapomnij o tym.

- Nie chcę zapominać.

- Widzisz, nie mam ochoty spędzać tej resztki, która zostanie mi z wieczora, z kimś, kto co chwilę patrzy na zegarek. Rozumiesz?!

- To niesprawiedliwe.

- Nie słyszałaś jeszcze, że w życiu nie ma sprawiedliwości?

Znów spojrzała na niego z wyrzutem i Nick poczuł, że wbrew woli twardnieje. Rozdrażniony odwrócił wzrok.

- Przypuszczam, że drugiemu pytaniu, które ci zadałem, też nie poświęciłaś zbyt wiele uwagi.

- Chciałam poczekać, aż miną święta - powiedziała słabo. Odpowiedź na pewno by go nie zadowoliła, a ona nie była w stanie powiedzieć rodzicom, to znaczy matce, że chce zamieszkać z Nickiem.

- Może i o tym powinniśmy zapomnieć. - Sam w to nie wierzył. Nie wierzył w nic, co przed chwilą powiedział, ale Caroline doprowadzała go niekiedy do szału.

- Dlaczego tak się zachowujesz?
 - Bo mam tego po dziurki w nosie. Jestem wykończony. - I wściekły, i urażony, i upokorzony. Milczenie przedłużało się, aż wreszcie przerwał je niepewny głos Caroline.
 - Chyba już pójdę.
 - Idź. - Nie spojrzał na nią, a kiedy podniósł głowę, w drzwiach nie było nikogo.
 - Czy jesteś zainteresowany? - Vic przeciągnął się i czekał na reakcję Aidana.
 - Propozycja brzmi nieźle - wolno powiedział Aidan. Trochę zaskoczyła go wizyta Vica. Nie kontaktowali się od kilku tygodni. Vic nie był zachwycony jego próbą odegrania się na Francesce.
 - Bo jest dobra.
 - Pracuję w Gaetini & Kemp od bardzo dawna.
 - Nie gadaj głupstw, Aidan. Nie męcz mnie! Mam nadzieję, że nie wyjedziesz z tymi bzdurami o lojalności, zgodnej współpracy, uczciwej grze i tak dalej.
 - Nie to miałem na myśli.
- Vic spojrzał uważnie na Aidana i uśmiechnął się.
- Chcesz powiedzieć, że z powodu długiego stażu masz większą wartość rynkową, czyli życzysz sobie więcej forsy?
- Aidan skinął głową.
- Oho, moja szkoła - stwierdził Vic.
 - Bądź co bądź, jestem dyrektorem artystycznym, Vic. Nie zapominaj o tym.
 - Na pewno na to nie pozwolisz.
 - Chcę tylko mieć pewność, że będę zabezpieczony pod każdym względem. Przecież nie robiłbym takiej rewolucji wyłącznie dla zdrowia. Muszę wiedzieć, że wybieram właściwie - bronił się.
 - Pewnie, że właściwie, Aidan. Nie masz się co zastanawiać. Gower jest tobą bardzo zainteresowany.

Co prawda nie będziesz już samodzielny dyrektorem artystycznym, ale sądzę, że dzielenie tego stanowiska z kimś innym nie jest złe, zważywszy że GKP zajmuje w rankingu pozycję o dziesięć numerków wyższą niż sklepik naszej kochanej ślicznotki. Zrobisz więc spory krok naprzód.

- Jeśli się zdecyduję. - Vic był bezczelnie pewny siebie, i to denerwowało Aidana.

- Przestańmy się certolić, Aidan. Obaj wiemy, że chcesz wziąć tę robotę. Byłbyś głupi, gdybyś nie chciał.

- Liczę na sto tysięcy... - Miał tę propozycję na języku, odkąd tylko Vic zaczął mówić. W Gaetini & Kemp dostawał siedemdziesiąt pięć i miał do dyspozycji BMW. No, ale GKP to zupełnie co innego.

- Rozumiem - bez zająknięcia odparł Vic. - Coś jakby drugi Geoff Seymour...

- Seymour dostał tę pensję pięć lat temu za pisanie tekstów do reklam. To już historia, Vic - powiedział Aidan z urazą. - Nie wydaje mi się, żeby sto tysięcy było w tej chwili wygórowaną sumą.

- Gower będzie się domagał wyników.

- Będzie je miał.

- Wobec tego pewnie zechcesz też podsunąć mu pomysł na samochód dla ciebie.

Aidan chłodno się uśmiechnął.

- Niech będzie porsche.

- Rozczarowujesz mnie. Myślałem, że zażadasz co najmniej ferrari, żeby dorównać naszej wspaniałej wodzowej.

- Jeszcze się zastanowię.

- Czyli mogę powiedzieć Gowerowi, że przyjmujesz propozycję objęcia stanowiska jednego z dyrektorów artystycznych...

Aidan skinął głową.

- Oczywiście, jeżeli Stu przyjmie twoje warunki.

A Stu był gotów na to. Obaj przewidzieli chciwość Aidana i jego przekonanie o własnej wartości. Stu spodziewał się, że będzie musiał zapłacić co najmniej setkę. Było warto, bo kiedy wiadomość przedostanie się do prasy, notowania GKP w świecie reklamy znów pójda w górę. Nie ma co, agencja, która płaci takie sumy pracownikom twórczym, musi dbać o bardzo wysoki poziom. Vic już sam postara się o przeciek do prasy na temat odejścia Aidana z ulubionej agencji Franceski. Zrobi to jeszcze przed opuszczeniem Samuela, które planował na początek stycznia. Sprawi w ten sposób wrażenie, jakby oni dwaj stanowili jedynie wierzchołek góry lodowej. Henry'emu bardzo się to nie spodoba.

- Wypijmy jeszcze po jednym na przypieczętowanie umowy - zaproponował Vic i sięgnął po butelkę.
- Aha, Aidan, czy ty przypadkiem nie robiłeś kampanii Miami Citrus? - Nalał do szklaneczek po dużej szkockiej.
- Myślę, że dobrze to wiesz. Vic uśmiechnął się szeroko.
- Z tego, co słyszałem, dobrze znasz Sally Wyatt, ich dyrektorkę do spraw marketingu.
- Czyżby? - W głosie Aidana brzmiał sarkazm.
- Dajmy spokój zabawie w chowanego - zniecierpliwił się Vic. - Chcę po prostu wiedzieć, czy potrafisz namówić ją do zmiany agencji, a co za tym idzie, czy Miami Citrus przejdzie z tobą do GKP.
- Więc to tak - wycedził Aidan.
- Właśnie tak - potwierdził Vic. - i co, potrafisz to zrobić?
- Może.
- Co to znaczy „może”?
- Nie dzwoniłem do niej ostatnio. - i nie miał takiego zamiaru. Sally była typem „grzecznej dziewczyny”, bystrej, grzecznej dziewczyny, która po kilku ko-

lacjach i paru niezbyt gorących spotkaniach łóżkowych doszła do wniosku, że go kocha, co bynajmniej

o bystrości nie świadczyło. Nie mógł znieść tych egzaltowanych głupot i szybko się wycofał.

- Dobra, to zacznij dzwonić.

- Zrobię, co będę mógł, Vic - stwierdził niechętnie.

- Nie za mało entuzjazmu?

- Powiedziałem, że zrobię, co się da...

- W porządku, pamiętaj tylko, że każdy sukces może ci się przydać. Biorąc pod uwagę twój wdzięk i fakt, że w twoim mózgu wykluły się, jeśli pozwolisz tak powiedzieć, błyskotliwe dzieła reklamowe, nie sądzę, byś napotkał duże trudności. - Odsunął krzesło i wstał, kończąc spotkanie. - Pamiętaj, Aidan, Miami Citrus jest warte ponad milion.

- Wiem o tym.

- W takim razie nie będziesz miał kłopotu z wyliczeniem procentów, prawda?

- Ile dla mnie?

- Wrócimy do tej rozmowy, kiedy skończysz robić, co możesz z panną Wyatt. - Zbliżył się do Aidana, obchodząc biurko.

- Dobra, dobra... - powiedział Aidan znużonym głosem.

- Wspaniale - oświadczył Vic i protekcyjnie poklepał go po ramieniu. - Zatelefonuję do ciebie, kiedy omówię wszystko z Gowerem. - Otworzył drzwi i wyprowadził Aidana. Przy biurku Zoe było pusto i Vic gniewnie zmarszczył brwi. Polecił jej, by czekała do końca tego spotkania. Szybko jednak zamaskował rozczarowanie niedbałym uśmiechem, bo z gabinetu Geoffa wyszła Francesca. Zrobił kilka kroków w jej stronę.

- Aidan właśnie wychodzi...

- Widzę, Vic.

- Chciałem dowiedzieć się, co słyhać w agencji Gaetini & Kemp, zwłaszcza w pionie twórczym - powiedział Vic, podkreślając swe niewinne zamiary.
- Mogłeś oszczędzić Aidanowi fatygi i zapytać mnie.
- Nie śmiałybym, Francesco, marnować twojego drogiego czasu.
- Zaraz się popłaczę ze wzruszenia, Vic. - Po jej wargach przemknął pogardliwy uśmiezek. - Myślę, że panowie mi wybaczą...

Aidan przyglądał się jej, gdy odchodziła, rozdarty między niechęć i tęsknotę. Stracił tę dziewczynę już dawno, ale wciąż jej pragnął. Może kochając się z Sally Wyatt zdoła sobie wyobrazić, że to Francesca.

- Do zobaczenia, Aidan. - Głos Vica gwałtownie przerwał tok jego myśli.
- Niewątpliwie - odparł niezbyt dorzecznie i skierował się do windy.

Vic spoglądał za nim, lecz myślał już o Miami Citrus. Samuels stracił tego klienta na długo przed przyjściem Franceski. Kiedy pracowała jeszcze w GK, sama drobiazgowo zaplanowała ten interes i doprowadziła go do zwycięskiego końca, wbrew przewidywaniom. Teraz klient przejdzie do agencji Gower & Kid-Porter, oczywiście jeśli Aidan sprostą oczekiwaniom. Hm, Gower & Kid-Porter. Stł prawie obiecał mu nazwę Gower & Kid-Porter-Brunning. Vic zawsze o tym marzył, chciał by jego nazwisko błyszczało jak neon. Henry może sobie zatrzymać tę swoją zasraną prezesurę i dalej cieszyć się zasraną fuzją, a zasrana panna Gaetini może się udławić swoimi globalnymi wizjami. On tymczasem cichcem wyslizgnie się tylnymi drzwiami, zabierając przy okazji nieco rodzinnych sreber. Ruch był bardzo duży, więc stojąc przed kolejnymi czerwonymi światłami, Francesca sięgnęła po papie-

rosy, leżące w schowku. Wróciła myślą do spotkania z Aidanem. Vic z Aidanem stanowili niemiłą parę, a Vic, mający skłonność do mało finezyjnych posunięć eksponował swą znajomość z Aidanem... Głęboko zaciągnęła się dymem. Działo się teraz tyle ważnych spraw, że nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu, więc ci dwaj musieli poczekać. Minęła Hyde Park Corner i wyjechała na Park Lane. Livia była teraz w hotelu i miała tam zostać jeszcze przez dwa dni, aż do wyjazdu z Michaeliem. O dziwo, gdy Francesca zadzwoniła, Livia nie starała się wykręcić od spotkania, głos jej miał pogodne brzmienie. Odzyskała syna, a okoliczności nie miały znaczenia. Naturalnie, oboje spędzą razem Boże Narodzenie. Francesca wysiadła z samochodu, podała kluczyki portierowi i weszła przez obrotowe drzwi do przestronnego foyer. Livia miała apartament z widokiem na Hyde Park, pod dachem budynku. Jadąc windą, Francesca próbowała sobie wyobrazić Liwię, której nie widziała od ponad dziesięciu lat. Nie zerwały wprawdzie oficjalnie więzów, ale powoli pogłębiał się rozdźwięk, łagodzony początkowo przez obecność Michaela. Potem Francesca została sama. Przypomniała sobie niezliczone noce spędzone na zastanawianiu się, czym spowodowana została oschłość matki. Nie przyszło jej do głowy, że powód był taki prosty. Drzwi windy otworzyły się, szybko ruszyła wzdłuż korytarza. Od Livii dzieliło ją już niewiele metrów. Dotąd nie czuła zdenerwowania, im bardziej jednak zbliżał się moment spotkania, tym silniej ogarniało ją dawne skrepowanie. Francesca znowu stała się dzieckiem, wodzącym za matką smutnym wzrokiem i pragnącym długiego wyjazdu Michaela, by podczas jego nieobecności matka przelała swą miłość na córkę. Na korytarzu stał duży wazon z łososiowymi różami i Francesce raptem przypomniały się kwiaty, któ-

re zostały w szpitalnym pokoju przy łóżku Michaela. To właśnie z jego powodu tu przyszła. - Zapukała lekko, drzwi powoli się uchyliły i Livia stanęła w progu.

- Francesca...

- Cześć, Livio... - Nigdy przedtem nie mówiła jej po imieniu.

- Wejdz.

Mało się zmieniła, pozostając tą samą osobą, z tym samym starannym uczesaniem jasnych włosów. Nadal nosiła kreacje Chanel, eleganckiej, nieskazitelnej Chanel, o czym świadczyła świetnie skrojona granatowa sukienka. Zdawała się jednak drobniejsza, niż Francesca zapamiętała. Wyglądało to tak, jakby mijające lata wcisnęły Livię w mniej majestatyczną formę. Pozostał jednak ten sam surowy wdzięk, ta sama białoróżowa karnacja i to samo kruche, chłodne piękno, które przyniosło zgubę ojcu. Stanąwszy na środku pokoju, Livia wskazała jej miejsce.

- Jesteś teraz piękną kobietą, Francesco... I masz styl. - Na stoliku, który je rozdzielał, stała taca.

- Chcesz herbaty?

Nie tego oczekiwała, nie tak wyobrażała sobie początek rozmowy... Wydawało się, że spotkały się pierwszy raz w życiu, jak dwie obce osoby. Przez chwilę Francesca po prostu wpatrywała się w Livię. Widziała na jej twarzy zmarszczki, biegnące od kącików porcelanowych, błękitnych oczu i zwiędłe, pokryte różową szminką wargi. Zauważyła też cienie pod oczami, widoczne mimo makijażu.

Ujawniały się pęknięcia na marmurowym posągu.

- Dziękuję, chętnie. - Obserwując szczupłe, białe dłonie podające herbatę, ujrzała wspaniałe pierścienie z rubinami i brylantami, który zawsze zdobił lewą dłoń Livii. - Jak się czuje Michael?

- Lepiej, dziękuję. - Livia, lekko uśmiechnięta, trzymała w palcach filiżankę z białej porcelany i sre-

brną łyżeczkę. - Pojutrze wraca ze mną do Menton... Na podstawie tego, co mogłam z niego wydobyć, sądzę, że ma dość tej przygody.

- Przedawkowanie leków trudno nazwać przygodą

- odparła Francesca cicho. - Michael jest nieszczęśliwy.

- To był wypadek. Zapewnia mnie, że nie zamierzał odbierać sobie życia. - W jej głosie pojawiła się dawna wrogość. - On nigdy nie potrafił sam sobie radzić. Od początku było jasne, że ta eskapada zakończy się fiaskiem.

- Nie jest już dzieckiem...

- Niektórzy ludzie nigdy nie dorastają, Francesco

- odparła ostro. - Pod tym względem jest podobny do ojca...

Słowa zawisły w powietrzu, a Livia i Francesca skrzyżowały spojrzenia.

- Michael mi powiedział.

- Wiem.

- Czy to prawda?

- Co właściwie?

Francesca zachłysnęła się powietrzem. Nienawidziła tej chwili, nienawidziła Livii.

- Że ani ty, ani ojciec nie jesteście moimi rodzicami. - Przygotowana wypowiedź zabrzmiała dość groteskowo, jak wyjęta z powieści Dickensa. Nie zdziwiłoby jej, gdyby Livia się roześmiała.

- Michael nie powinien był ci tego mówić. Zresztą, to dotyczy tak dawnych czasów, że w zasadzie nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma znaczenie, Livio. Bardzo duże znaczenie.

Błękitne oczy rozwarły się szerzej, jakby pod wpływem zaskoczenia. ~

- Skoro nalegasz... - Nastąpiło krótkie milczenie. Livia upiła łyk herbaty. - Nie jestem twoją matką.

Mogłabym zresztą przypuszczać, że wiesz o tym od wielu lat.

- Istotnie - odparła bezbarwnie Francesca.

- Ojciec chciał, byś była u nas - ciągnęła, nie patrząc na Francescę. - Nigdy mu nie wierzyłam, gdy mówił, że jesteś jego córką.

- Dlaczego? - Patrząc na pozbawioną wyrazu twarz Livii, czuła ucisk w gardle.

- Nie wierzyłam mu z zasady. Był dużym dzieckiem. A ta dziewczyna, właściwie te dziewczyny, z którymi się wiązał, leciały tylko na jego pieniądze, starały się znaleźć na niego haczyk. - Parsknęła z pogardą. - Jakież może być lepszy haczyk na mężczyznę niż twierdzenie, że ma się z nim dziecko?

- Nie wiesz tego na pewno. - Dobrze znałam twojego ojca.

- Nie sądzę, byś go znała choć trochę.

- Uważam, że mam podstawy do wydawania opinii.

- Dlaczego?

Livia spojrzała na nią nieprzychylnie.

- Ta rozmowa staje się bezsensowna.

- Wyszłaś za niego dla pieniędzy.

- Stawiasz sprawę w bardzo prymitywny sposób.

- Ale za to prawdziwy.

- Zawarliśmy kontrakt.

- On cię kochał.

- Carlo był bardzo uczuciowym człowiekiem.

- Wiedziałaś o tym, kiedy wychodziłaś za niego.

- Oczywiście - odparła gładko. - Tak samo, jak on wiedział, że stanowią jego przeciwieństwo. Myślał jednak, że uda mu się mnie zmienić. - Pokręciła głową ze zdziwieniem. - Ludzie się nie zmieniają.

- Ale przecież miałaś z nim dziecko. - Nie mogła sobie wyobrazić Livii z mężczyzną w łóżku.

- To była część kontraktu... Syn w ciągu pierwszych pięciu lat małżeństwa.

- Miałaś szczęście, że Michael był twoim pierwszym dzieckiem - powiedziała gorzko.
 - Owszem. Cięża i wszystko z nią związane nie pociągały mnie. - Odwróciła się do okna, ogarnięta wspomnieniami. Nie mogła mieć więcej dzieci, bez względu na treść kontraktu. Niemal zaraz po stwierdzeniu ciąży zachorowała, a kiedy dolegliwości wreszcie ustąpiły, było gorące, włoskie lato, a jej ciało robiło się z dnia na dzień grubsze. W końcu zdawało jej się, że pęknie, więc niecierpliwie oczekiwała rozwiązania. Poród jednak okazał się najgorszy z tego wszystkiego... Ból trwał godzinami, rozdzierał ją na strzępy, a kiedy w końcu podano jej to małe, zakrwawione coś, wyczerpana odwróciła się z odrazą, a ci wokół gapili się okrągłymi ze zdumienia oczami, jakby mieli przed sobą potwora. Mimo to Michael zawojował ją, dała się nawet namówić na karmienie piersią. I to był początek nieokielzanej macierzyńskiej miłości.
 - Ojciec chciał mieć więcej dzieci... - Bo przecież był chyba jej ojcem?
 - Okazało się to niemożliwe.
- Nie widziała sensu pytać o powód.
- Nie mogłaś więc się dziwić, że rozgląda się na boki. Musiał szukać uczucia.
 - Masz na myśli seks.
 - Niekoniecznie.
 - Większość mężczyzn nie dostrzega różnicy między miłością a seksem.
 - Zapominasz, że ja wiem, jaki był uczuciowy.
 - To stare dzieje.
 - On cię zupełnie nie obchodził, prawda? Livia zastanawiała się chwilę.
 - Nie... Chyba nfe.
 - A ja zostałam sprowadzona do domu, żeby mógł być szczęśliwy, nie było ważne, czy jestem jego córką.

- Rozmyślała nad tym nieustannie, odkąd Michael się wygadał, i doszła do wniosku, że taki musiał być powód adopcji.
 - Początkowo nie chciałam się na ciebie zgodzić
 - wyjaśniła Livia oschle, jakby mówiła o podrzyconym szczeniaku. - Ale Carlo się uparł, no i bałam się skandalu, gdyby twoja matka zaczęła gadać.
 - Kim była?
 - Kto? Twoja matka? - Livia sięgnęła po czajniczek z herbatą. - Nie mam pojęcia... Carlo mi nie powiedział, a ja nigdy nie pytałam, nie interesowało mnie to.
 - I nie przyszło nikomu do głowy, że kiedyś będę chciała poznać prawdę?
 - Jak mówiłam, Francesco, to są stare dzieje. Lepiej nie dociekaj, kto był twoją matką.
 - Co chcesz przez to powiedzieć? - Jakby sama nie mogła się domyślić.
 - Twój ojciec nie był wybredny w doborze kochanek.
 - Skąd wiesz, jeśli utrzymujesz, że niewiele cię to obchodziło? - Poczwała gniew.
 - Nie trzeba wiele wyobraźni, żeby stwierdzić, jakiego rodzaju kobiety były skłonne przyjąć jego... hm, nazwijmy to względami.
 - Bo ty nie byłaś do tego zdolna?
 - To już naprawdę nie twoja sprawa.
 - No tak - stwierdziła Francesca - dotrzymania kontraktu pilnowałaś. - W każdym razie jego litery.
 - Owszem.
 - I Michaela też pilnowałaś.
 - Nie widzę powodu do kontynuowania tej rozmowy. - Odstawiła filiżankę na tacę. - Obawiam się, że muszę cię prosić o zakończenie wizyty. Wkrótce idę do szpitala. - Nawet Livia nie wszystko mogła znieść.
- Francesca była rozczarowana spotkaniem.

- Dlaczego się nie rozwiodłaś? - spytała jeszcze. Livia wstała i z niezwykłą starannością wygładziła sukienkę.

- Carlo nie chciał. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Podobała mu się instytucja licznej włoskiej rodziny... Podobało mu się, że ma za żonę blondynkę, Angielkę z koneksjami wśród starych, arystokratycznych rodów, jak i to, że urodziła mu pełnego wigoru syna. Jeśli chodzi o mnie, to dopóki miałam spokój, byłam szczęśliwa, a on dał mi spokój, gdy tylko stwierdził, że odejść, jeśli będzie wymagał za wiele.

- On cię kochał...

- Tak, sądzę, że tak.

Nie było już nic do powiedzenia i Francesca pozwoliła się odprowadzić do drzwi, wspominając napięte milczenie panujące między rodzicami, widząc jakieś obrazy z przeszłości, kiedy to ojciec tracił opanowanie i wybuchał nagle jak wulkan, niepomny na dzieci i służbę, a echo zwielokrotniało jego głos w korytarzach domu. Ożyły też inne chwile, w których ojciec płakał. Słyszała ochryply szloch, tłumiony przez ściany. Płacz mężczyzny zdawał jej się straszniejszy niż kobiecy. Potem nastąpiły coraz częstsze nieobecności ojca. Francesca niekiedy bała się, że on już nie wróci. Wracał jednak.

- Biedny ojciec - powiedziała cicho, stając w drzwiach.

- Może - odparła Livia głosem wypranym z wszelkich emocji.

- Załatwiłam, że jutro cię zwolnią. Dojedziemy do Menton akurat na obiad. - Livia usiadła przy łóżku i głaskała dłoń syna. - Tego właśnie sobie życzysz, prawda, kochanie? -

Michael tępo skinął głową. Tak było łatwiej, walka go zmęczyła.

- Jeśli czujesz się na siłach, moglibyśmy wybrać się w weekend do kasyna. Warto byłoby wpaść do Florencji, u Belliniego jest wspaniała kolekcja marmurów...

Michael ponownie skinął głową, a palce Livii mocniej zacisnęły się na jego dłoni.

- Zapomnimy o tym, co się zdarzyło, dobrze? Brzmiało to błagalnie. Zaskoczony spojrzał na matkę i zobaczył w jej oczach łzy.

- Nie zostawisz mnie już nigdy, kochanie, prawda? Przymknął oczy, usiłując ukryć poczucie klęski, ale

wzrok Livii przeniknął go na wskroś i nagle, niespodziewanie dla samego siebie, uniósł się ku niej, żeby mogła go przytulić, pocieszyć. Poddał się. Zawsze tak było i już tak zostanie.

Dzięki atmosferze Ritza i zaleceniom Franceski świąteczny lunch dla zaproszonych pracowników Samuela miał przebiegać w radosnym nastroju. Na okrągłym stole, z posrebrzaną choinką pośrodku, pyszniły się nie tylko ciasteczka domowej roboty, lecz również upominki przy nakryciach, każdy inaczej opakowany.

- Wygląda to fantastycznie! - stwierdziła podekscytowana Zoe, podchodząc bliżej.

- Nie da się ukryć - odparła Sian z satysfakcją i pomyślała o męczącej jeździe taksówką przez zatłoczoną Picadilly, jaką odbyła przed godziną, by się upewnić, że podarki od Harrodsa już dotarły i wszystko jest w porządku.

- Francesca chyba się spóźni... - powiedziała z niezadowoleniem Zoe.

- Tylko parę minut... Musiała przyjąć tych gości ze Stanów, kierowca ma przywieźć ją i Geoffa prosto tutaj.

- Są straszne korki... - nie poddawała się Zoe.

- Przecież będziemy tu siedzieć przez całe popołudnie, nie widzę powodu do paniki.

Zoe niechętnie przytaknęła ruchem głowy i pomyślała o Vicu, który też jadł lunch gdzieś w West Endzie, a że zapowiadając wczesny powrót, puścił do niej oko, wiązała z tym pewne nadzieje. Wszystko ułożyło się ostatnio nieźle, mimo niefortunnego wtargnięcia Sian do gabinetu i Zoe nie chciała nic popsuć zbyt późnym zjawieniem się w agencji. Z westchnieniem spojrzała na zastawiony stół i stwierdziła, że przypadło jej miejsce między Geoffem a Pete'em Morganem. Obaj są w porządku, pomyślała bez emocji, ale naprawdę obchodziło ją tylko to, że Vic nie przyjdzie. Sian przyglądała się koleżance. Jakoś udało się jej przywrócić między nimi znośne stosunki, choć czasami dawało się odczuć pewne napięcie. Nie padło ani słowo na temat incydentu w gabinecie Vica i było mało prawdopodobne, by któraś zechciała o tym mówić. Sian zastanawiała się jednak, czy ten brudny romans nie pomógł jej samej. Może właśnie dzięki niemu ujrzała Adama w innym, mniej korzystnym, świetle. Po tym, jak wystawiła go do wiatru w „Mayfair”, wpadł w furję; telefonował do niej kilka razy, chcąc się dowiedzieć, „czy już dorosła”. Z ulgą stwierdziła, że jego złość budzi tylko jej rozbawienie. Ostatniego wieczoru dzwonił znowu, tym razem jednak powiedział, że rozumie, „dlaczego to zrobiła”, a potem próbował ją ugłaskać swym aksamitnym głosem. Obiecywał wszystko zmienić i znaleźć dla Petie'ego miejsce w swoim życiu. Przemiana znajomości z nim w rodzaj gry dziwiła Sian. Adamowi wyraźnie bardziej podobała się zabawa w kotka i myszkę niż nowa rola byłej kochanki, rola troskliwej matki. No cóż, chyba nikt jeszcze Adama tak nie zlekceważył.

- Hej...

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Geoffem

- Hej, Geoff.

- Odwaliłaś tutaj kawał dobrej roboty - pochwalił ją, przebiegając wzrokiem po stole.

- Po prostu wykonałam polecenia Franceski....

- Podejrzewam, że jak zwykle przemawia przez ciebie skromność.

Uśmiechnęła się; dawne nieporozumienie odeszło w niepamięć. Przez dwa tygodnie starannie się unikali, zakłopotani swą ostatnią rozmową.

- Wyjeżdżasz na święta? - spytała.

- Jak wiesz, muszę być w Nowym Jorku z okazji podpisania umowy i pewnie porobię tam trochę zakupów, ale potem wracam do domu. Nie planuję nic nadzwyczajnego, chociaż przyjaciele zapraszali mnie na narty do Verbier, więc może się skuszę. - Było to kłamstwo; większość jego przyjaciół miała rodziny, które z kolei miały swoje wymagania, i samotny mężczyzna zupełnie nie mieścił się w ich świątecznych planach. Myślał, że może on i Sian... ale pomysł wyraźnie nie był dobry. A Joanna spędzi Boże Narodzenie w Nassau, przypomniał sobie z ukłuciem zazdrości. Jemu pozostawała matka. Miał wobec niej poczucie winy. Staruszka na pewno będzie na niego czekała, ale mimo całej miłości, jaką ją darzył, trudno mu było uznać ten sposób spędzenia świąt za pasjonujący... Zadumę przerwała Francesca, podchodząc z dwoma członkami starej gwardii z agencji Gaetini & Kemp. Następnie dołączyli Pete Morgan i Nick Keogh, którego zaproszono z racji jego pracy przy kampanii Matthiasa. Francesca zerwała w ten sposób z tradycją zapraszania na przedświąteczny lunch wyłącznie ścisłego kierownictwa, ale chyba dobrze zrobiła. Nawet gdyby zjawili się Henry i Vic, ktoś nowy mógł uatrakcyjnić spotkanie.

- Powinniśmy chyba zająć się organizacją - powiedział, widząc, że Sian odsuwa się, robiąc miejsce dla nowo przybyłych.

- Masz rację - odparła i ruszyła usadzać gości na właściwych miejscach.

Wyglądała dziś bardzo ładnie; była kobieca, zmysłowa, imponowała obyciem i pewnością siebie. Westchnął. Było to zapewne wynikiem kontaktów z kimś, kto miał pewności siebie w nadmiarze - niejakiem Adamem Gilmore.

Lunch przebiegał pomyślnie, Francesca czuła się jednak rozczarowana, że Henry odrzucił zaproszenie. Wydawało się dziwne, że twórca małego imperium unika ludzi, którzy mu w budowie tego imperium pomogli. Taki już był Henry i nie należało oczekiwać, że na starość się zmieni. I tak dobrze, że zgodził się uświetnić swą obecnością podpisanie umowy. Nie przyszedł także Vic, ale to nie była żadna strata. Właśnie w chwili, gdy Francesca o nim pomyślała, ujrzała jego sylwetkę w holu restauracji. Zdumiała ją taka bezczelność. Stwierdziła, że rozmówcą Vica jest Stuart Gower, prezes agencji Gower & Kid-Porter. Omyłka była wykluczona - gęste, rudawe bokobrody Gowera znano dobrze w reklamowej branży. Vic odchodził więc od Samuela... Francesca przytknęła do ust kieliszek wina, dziwiąc się, że nie domyśliła się tego wcześniej. Tylko plany odejścia z agencji mogły być wytłumaczeniem aroganckiego zachowania Vica w ostatnim czasie, podobnie jak nie wyjaśnionych nieobecności w czasie, gdy powinien siedzieć za biurkiem. Należało liczyć się też z zemstą Aidana, choć mógł on nie mieć nic wspólnego z zamierzeniami Vica... jeśli rzeczywiście chciał on zmienić pracodawcę. Ale im konkretniej szcych kształtów nabierało podejrzenie Franceski, tym bardziej prawdopodobne się stawało. Vic czuł się pokrzywdzony. Przecież to ona zajęła miejsce, na które liczył, a jej płęć stanowiła dla niego dodatkową obrazę. Ponadto Brunning

przestał być zaufanym Henry'ego i nie pojawiał się już w świetle reflektorów, a to szczególnie urażało jego dumę. Gdyby jej to przyszło do głowy, musiałyby wziąć taką ewentualność pod uwagę, tym bardziej, że Vic mógł przebierać w ofertach; miał przecież doświadczenie i pozycję, bogate kontakty. Był bezczelny i wygadany, a poza tym mógł pociągnąć za sobą część personelu Samuela. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że w tak delikatnej sytuacji, kiedy w grę wchodzi fuzja i jej ewentualne reperkusje, można zaniepokoić, a nawet wystraszyć klientów tak, że staną się podatni na namowy do zmiany agencji. Francesca napiła się wina i spróbowała odgadnąć, których klientów Vic chce podkraść. Wprawdzie opierała się tylko na przeczuciu, ale coś jej mówiło, że na tym się nie skończy.

Vic uściśnął dłoń Gowera i z holu rzucił okiem na stół zajęty przez pracowników Samuela. Ktoś stamtąd mógł go zauważyć, a tego akurat Vic nie planował. Za dużo byłoby w tym ostentacji, nawet jak na jego gust. Pomysł spotkania na drinku u Ritza podsunął Stu; Vic w ostatniej chwili przypomniał sobie, że właśnie tam odbędzie się świąteczne spotkanie kierownictwa. Było już jednak za późno na zmianę miejsca, a poza tym nie chciał, żeby Stu posądzał go o skrepowanie obecnością kolegów. Nad ewentualnym wytłumaczeniem mógł pomyśleć później. Rozluźnił krawat, przekraczając z Gowerem próg restauracji, i poczuł, że ktoś przyciąga jego wzrok z przeciwległego końca sali. Odwrócił się i podchwycił spojrzenie Franceski. Dziwka, pomyślał z niechęcią, i sztywno pomachał jej dłonią. Dlaczego zresztą miałby się nią przejmować, nawet gdyby odgadła jego zamiary? Do diabła, następnego dnia odlatywała przecież do Stanów, a on ugruntował się już w decyzji odejścia od

Samuela. Kiedy wreszcie minie Boże Narodzenie i Nowy Rok, kiedy świat biznesu się obudzi, pani prezes Gaetini stwierdzi, że się odrobinę spóźniła.

- Czy spotkałeś go kiedyś osobiście? - spytała Sian Nicka, przełamując krakersa, po którego jednocześnie sięgnęli.

- Nie, ale bardzo chciałem. - Z żalem pomyślał o kartonowej sylwetce, która wciąż jeszcze stała w jego pokoju. Takie było jego zetknięcie z Matthiasem.

- Ja też nie. Francesca zamierzała zorganizować przyjęcie na otwarcie kampanii... Oczywiście, miał wziąć w nim udział.

- Może byśmy się rozczarowali.

- Może - powiedziała cicho, mając przed oczami popielatą twarz Franceski na wieść o śmierci piosenkarza. - Ale on musiał mieć coś szczególnego, coś, co zwracało uwagę... Coś więcej niż wspaniałą przeszłość i ujmujący wygląd.

- Też tak sędzę - odparł Nick w zadumie. - Już się tego nie dowiemy, nawet gdyby jego wspaniałe plany miały się kiedyś urzeczywistnić. Nie potrafię pozbyć się myśli, że Stany byłyby lepszym miejscem dla niego i jego idei... Jankesi uwielbiają ludzi, którzy przecierają drogi do czystszej moralnie, lepszego świata i sprawiedliwości... - Uśmiechnął się.

- Pod warunkiem, że ci ludzie nie mają przeszłości - uzupełniła.

- Wszyscy mają przeszłość... Ale jemu mogło się udać zerwanie z tymi szalonymi latami, bo przecież publicznie odciął się od narkotyków, rozpusty i tak dalej. Nigdy nie ukrywał, kim był kiedyś.

- Nie wiem... Zupełnie nie umiałam go sobie wyobrazić w roli zbawiciela czy kogoś podobnego. Chyba zawsze kojarzyłam go właśnie z tymi szalonymi latami.

- Zapominasz, że Amerykanie nie są tak cyniczni jak my, Brytyjczycy. A co najśmieszniejsze, Matthias naprawdę nie przyczepił sobie żadnej etykiety, zrobiła to za niego prasa i publiczność.

- Ale on nigdy nie zaprzeczył, że to mylące.

- Bo wiedział, że może mu to pomóc w osiągnięciu celu, do którego zmierzał...

Pokręciła głową.

- Jeśli tak, to nie różnił się bardzo od przeciętnego pracownika agencji reklamowej...

- Może i nie... Ale przecież nie sprzedawał mydła, szampana ani olejku do opalania. Sprzedawał idee lepszego świata, wszystko jedno z jakich pobudek.

- Wiem, wiem... Po prostu nigdy nie mogłam go zobaczyć w tej roli.

- Szczerze mówiąc, ja też nie. - Znowu uśmiechnął się szeroko i rozejrzał wokół jakby nieco zaskoczony, że się tu znalazł. - Czy robisz coś szczególnego w Boże Narodzenie?

- Jeśli można tak określić typowe rodzinne święta... Ale bardzo się na nie cieszę. - Zaskoczyło ją, że było to prawdą. - A ty?

- Och, mniej więcej tak samo. - Zaraz jednak pomyślał o Caroline i odwołanej kolacji. - Miałem nadzieję, że spędzę święta z moją dziewczyną, ale zdaje się, że nic z tego.

- Ojej... - zająknęła się, widząc jego nieszczęśliwe spojrzenie. - Jeszcze sporo czasu, może zmieni zdanie.

- Nie sądzę... W każdym razie, jeśli chodzi o jej rodziców, a właściwie matkę, to o zmianie zdania nie ma mowy.

- Rozumiem.

- Ojciec sprawia wrażenie porządnego faceta... ale matka jest nie do zniesienia.

- I co zamierzasz zrobić?

- Problem polega na tym, co zamierza zrobić Caroline, czyli moja dziewczyna.

- Sądzę, że nie będzie miała innego wyjścia jak dokonać wyboru.

Nick pokręcił głową i napełnił kieliszek Sian.

- Otóż to. Właśnie tego się obawiam.

Znowu byli w sali konferencyjnej wyłożonej boazerią i znów Francesca przyglądała się uroczym okazom amerykańskiej sztuki ludowej. Stwierdziła, że podoba jej się tu, co wydawało się dobrą wróżbą dla fuzji. Spojrzała na Henry'ego, który wraz z Edem zajął miejsce u szczytu stołu. Było w nim coś z wielkiego, tłustego kota. Żyłasta postać Eda, przypominająca wysokie, uschnięte drzewo, stanowiła dla niego ostry kontrast. Henry wstał i przyglądził gęstą, białą czuprynę.

- Nie zamierzam wygłaszać długiej mowy... - Potoczył wzrokiem po pogodnych twarzach zebranych.

-Większość z was wie, że to nie w moim stylu. - Jak na siebie, wydawał się śmiertelnie poważny, ale w oczach miał wesołe błyski. - Zacząłem pchać ten interes ponad dwadzieścia lat temu i wtedy nie myślałem o niczym innym, tylko o stworzeniu wielkiej reklamy. W latach siedemdziesiątych to marzenie zaczęło przybierać realne kształty; miałem szczęście być świadkiem rozwoju agencji od firmy opartej na jednym kliencie do maszyny z osiemdziesięcioma klientami. Fortuna mi sprzyjała, gdyż zebrałem wspaniały zespół ludzi, którzy instynktownie odgadywali moje pragnienia i zamiary. Dzięki ich nieocenionemu talentowi firma szybko zajęła znaczące miejsce w brytyjskich rankingach. Czasy się jednak zmieniają. Tworzenie wielkiej reklamy w niewielkiej firmie może stać się obosiecznym mieczem, skoro mega-agencje, dysponujące olbrzymimi sieciami, patrzą na

nią jak na soczysty kęsek, przeznaczony do połknięcia. Nie chciałem, żeby tak się stało z agencją Samuela. Musiałem więc przyjąć do wiadomości, że poza Wielką Brytanią ciągnie się jeszcze kawał świata, a firma ma do zaoferowania coś absolutnie wyjątkowego, jeśli znajdzie się dla niej odpowiednią formułę. Przez formułę rozumiem tutaj międzynarodowego, pod każdym względem, partnera. Stwierdziłem bowiem także, że nie jesteśmy w stanie dokonać nic nowego sami. Właśnie to doprowadziło do rozmów z agencją Dunmar-Rock, a w ostatecznym wyniku do dzisiejszego spotkania. Podpisując umowę o fuzji z naszymi amerykańskimi kuzynami, łączymy dwie bardzo odmienne, ale żywotne i pełne talentów agencje, które mogą tylko wzajemnie skorzystać z własnych doświadczeń i rozrastać się dalej. - Przerwał i spojrzał na Francescę. - Jest tu osoba, której zawdzięczamy tę transakcję, osoba, która popchnęła mnie we właściwym kierunku. - Uśmiechnął się. - Panie i panowie, daję wam Francescę Gaetini...

Podniosła się, zaskoczona ostrym skurczem żołądka. Starannie przygotowane słowa zamarły jej na ustach, ale ujrzała znajomą, życzliwą twarz Geoffa i tę naprzeciwko: Ed zaciągał się dymem z grubego cygara i z przyjaznym uśmiechem patrzył na nią.

- Dziękuję, Henry. - Długo czekałam na to spotkanie i podpisanie dokumentu o fuzji, która tak wiele przyniesie obu naszym agencjom w najbliższych latach. - Zrobiła pauzę. - Agencja Samuels-Rock będzie miała czterdzieści pięć biur w trzydziestu dwóch krajach i obroty brutto wynoszące około dwóch miliardów dolarów rocznie. Udało nam się utrzymać pierwsze miejsce w rankingach brytyjskich, jednocześnie zaś skoczyliśmy na piątą lokatę w ostatnim notowaniu nowojorskiej tabeli „Advertising Age”. Nieźle jak na początek. - Znów urwała. - Ale to do-

piero początek, daleko nam jeszcze do światowych gigantów, do takich megaagencji jak Saatchi czy Omnicom. Dorównanie im zajmie nam trochę czasu, a nieuchwytnego towaru, jakim handlujemy, jest jeszcze pod dostatkiem, wbrew opiniom tak zwanych ekspertów. Musimy jednak pracować, i to ciężko. Wszystkie potrzebne składniki mamy w zasięgu ręki: są właściwi ludzie, odpowiednie zasoby, doświadczenie, a nade wszystko olbrzymi potencjał twórczy, umożliwiający nam tworzenie kampanii, jakich pragną nasi klienci. - Spojrzała na Henry'ego, na Eda i w końcu na Philippe'a. - Musimy myśleć wielkimi kategoriami, panowie, musimy myśleć globalnie, bo choć świat być może się kurczy, to przecież obroty firm reklamowych rosną. Dlatego chcę mieć pewność, że agencja Samuels-Rock dostanie udział w części tego smakowitego globalnego tortu... - Odłożyła kartkę i objęła wzrokiem zebranych. - Kończąc, chcę jeszcze wyrazić wielką radość, że Ed Rock i Philippe Sanchez w swej nieskończonej mądrości zdecydowali się przyłączyć do nas, by współtworzyć to nowe przedsięwzięcie. - Wyczarowała piękny uśmiech a Ed zerwał się i pełen entuzjazmu uderzył pięścią w stół.

- Boże! - zakrzyknął, szczerząc zęby. - Ile jeszcze interesów jest do zrobienia, to wspaniałe! Kolacja była znakomita, podobnie jak i restauracja: „Four Seasons” w budynku „Seagram”. Francesca już zapomniała, jak tam miło. Westchnęła odprężona, wyciągając dłoń po kieliszek wybornego koniaku. Dzień się udał lepiej, niż oczekiwała. Nawet Henry był zadowolony, chociaż udało mu się wykręcić od uroczystej kolacji i odlecieć z powrotem do Londynu. Cały Henry. Mimo to sukces był ogromny. Co za ulga, że sondáže, negocjacje i rozmowy, ciągnące się przez

kilka miesięcy, dobiegły końca. Francesca odchyliła się na krześle. Nawet Livia i jej jadowity język nie mogły zatruć tej chwili triumfu.

- Co robisz w święta, Frankie? - przerwał jej rozmyślenia Ed. - Nie masz chyba nic przeciwko temu, że tak cię nazywam?

- Ależ skąd - odparła z lekkim rozbawieniem. - A co do świąt... no, jeszcze się nie zdecydowałam. - Tak naprawdę nie było o czym decydować, Francesca prawie zapomniała, że święta tuż, tuż.

Uświadomiła to sobie nagle i posmutniała, bo czekał na nią pusty dom. - A ty? - zwróciła się do Eda.

- Za stary jestem na narty, za stary, żeby ganiać kobitki dookoła choinki, choćby i jakieś się trafiły. W tym roku spędzamy święta tylko we dwóch, ja i Okruch.

- Co z Philippe'em?

- Co z Philippe'em? - powtórzył kwaśno. - Och, on podejmuje tych swoich cholernych latynoskich przyrodnych braci z dziećmi, a ja nie pasuję do tej układanki.

- Przepraszam. - Z zaciekawieniem spojrzała na Sancheza.

- Nie sądzę... - Rock urwał i Francesca dostrzegła na jego twarzy lekki rumieniec.

- Co takiego, Ed?

- Bo widzisz... Jeśli naprawdę nie masz żadnych planów... zawsze możesz spędzić święta ze mną i Okruchem w hrabstwie Berkshire. Tam jest teraz pięknie, naprawdę pięknie... Wszystko przykrywa gruba warstwa puszystego śniegu...

- Powinieneś pisać teksty do reklam, Ed - powiedziała tłumiąc śmiech. Ale pomysł wydał jej się wspaniały. Jakby to było miło wynieść się z Londynu i oderwać od wspomnień i przykrości.

- Dobra, dobra, Frankie - powiedział. - Przyje-

dziesz czy nie? - Nie na próżno przez ostatnie dwa miesiące dokładnie wszystko sprawdził. Wiedział o jej samotności i o krótkiej, nieszczęśliwie zakończonej przygodzie z tym szalonym gwiazdorem rocka czy za kogo tam Matthias chciał uchodzić. - Przyjadę, Ed.

Uśmiechnął się i życzliwie spojrzał na siedzącego naprzeciwko Philippe'a. Święta nie zapowiadały się już ponuro.

A więc znowu znalazła się w Nowej Anglii, zmienionej teraz przez biel, i w tym samym miłym pokoju, który zajmowała przedtem. Z dołu dobiegały odgłosy krzątania Eda. Stary pobrzękiwał garnkami, przygotowując śniadanie, a zapach kawy przenikał przez drewniany strop. Odwróciła się od okna, jej spojrzenie przyciągnął skromny stosik prezentów. Miała tylko jeden dzień na zakupy, wskoczyła więc z Geoffem w taksówkę i pojechała do Bloomingdale'a, skończyło się zaś u Tiffany'ego. Podniosła małą, cylindryczną paczuszkę, zawierającą srebrną cygarniczkę dla Eda. Kupiła też do kompletu pudełko hawańskich cygar, najdroższych, jakie mogła znaleźć. W obwiązanej czerwona wstążką pończosze były psie smakołyki dla Okrucha. Dla Philippe'a przywiozła czarny, kaszmirowy szalik, pamiętała bowiem, że jest mu dobrze w czerni, a Ed napomykał, zresztą bez przekonania, że być może Philippe znajdzie czas, żeby wpaść na chwilę. Na taką ewentualność była przygotowana. Powoli obeszła wielkie, mosiężne łoże i zatrzymała się przed lustrem. Tak dobrze jak przez ostatnie trzy noce nie spała od wielu miesięcy, i było to widoczne. Nawet w dzinsach i luźnym, białym swetrze wyglądała młodziej, jakby po drodze między Nowym Jorkiem a hrabstwem Berkshire udało jej się zgubić przeszłość. Nie bolało już jej, że Michael jest z Livią, że

o niej, Francesce, nikt nie pomyślał, że gdyby nie Ed, zostałyby na lodzie, bo uświadomiła sobie, że chce być właśnie tutaj. Tu było miło i spokojnie. Nawet myśli o Matthiasie jej nie prześladowały. Ed podał jej olbrzymi kubek kawy. Miał na sobie fartuch z napisem „I like New York”.

- Podoba ci się? - spytał. - To świąteczny prezent od Okrucha. Nie mogłem się doczekać jutra, więc włożyłem dziś.

- Zmyślasz.

- Zawsze zmyślam... Nie wiedziałaś?

Na to nie miała odpowiedzi, więc usiadła i milcząco przyglądała się, jak Ed kończy nakrywać do stołu.

- Nie chciałaś spędzić Bożego Narodzenia z rodziną? - spytał. To pytanie pragnął zadać dawno, ale czekał na właściwą chwilę.

- Pewnie wiesz, że mój ojciec nie żyje... - Urwała, szukając odpowiednich słów.

- Jeśli wolisz nie mówić, to daj sobie spokój.

- Teraz już nie mam oporów. Ostatnio wyszły na jaw fakty, które wiele mi wyjaśniły. - Zamajaczyła jej przed oczami twarz Livii, ale już jej to nie przeszkadzało. Czyż nie pozbyła się wreszcie ciężaru, który Livia nakładała na nią zawsze, odkąd sięga pamięcią? - To dosyć długa historia...

- Mamy mnóstwo czasu. Opowiedziała mu więc wszystko.

- Wiesz... kiedy byłem mała, nawet się modliłam, żeby mieć taki kolor włosów jak Michael i Livia, si-woblond, myślałam, że wtedy mnie pokocha. - Nagle ogarnęła ją litość nad tym zagubionym, czarnowłosym dzieckiem, które noc w noc leżało w ciemnościach swojego pokoju, takie samotne...

- Przecież masz piękne włosy!

- Dziękuję, Ed... - Uśmiechnęła się z wysiłkiem, bo Rock prawie się rozżłościł.

- Poza tym mam wrażenie, że twoja matka, przepraszam: Livia, sama z sobą ma kłopoty - powiedział Ed i szybko zajął się dolewaniem kawy. Oczy Franceski zabłysły.
- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - ucięła.
- Może powinnaś... - W zamyśleniu pogładził się po podbródku i zaczął zapalać cygaro. - Zdaje mi się, że Freud miałby niezłą zabawę z Livią. Znam dobrego terapeutę w Nowym Jorku, może powinienem jej podesłać jego numer... - Starał się utrzymać żartobliwy ton, chociaż jeśli Francesca miała się rozpłakać, to nic nie byłoby w stanie jej powstrzymać; tyle na temat kobiet wiedział. Ale na szczęście był tutaj razem z nią. Płacz w samotności jest o wiele gorszy. - Twojemu bratu też by się chyba przydał. Zdaje się, że matce znakomicie udało się go wykastrować, jeśli wiesz, co mam na myśli.
- Jej by to nie rozbawiło - zauważyła Francesca.
- Czy ją w ogóle cokolwiek bawi?... Chciałem zapytać, czy ona kiedykolwiek się śmieje?
- Chyba nie pamiętam nic takiego. - Rzeczywiście, Livia tylko się uśmiechała, a uśmiech był zazwyczaj bardzo ostrożny i bardzo słodki.
- Jeeezu! Co za kobieta... Nawet nie ma poczucia humoru! - Z niedowierzaniem pokręcił głowę. - Twój ojciec musiał chyba zdrowo pukać się w głowę, że tak się wpakował. - Biedny sukinsyn.
- Jeśli to był mój ojciec... - powiedziała cicho. - Poza tym, on ją mimo wszystko kochał.
- Ciebie też kochał, prawda?
- Tak.
- No to na co tak się skarżysz? - spytał lekko zniecierpliwiony. - Jestem pewien, że był twoim ojcem, a jeśli nawet nie, to i tak ty byłaś ośrodkiem jego wszechświata, a nie królowa śniegu Livia. Może nie?
- Chyba masz rację.

- On cię kochał - powtórzył powoli, akcentując każde słowo, jakby Francesca mogła nie zrozumieć.
 - To rzadkość... taka prawdziwa miłość, o jakiej mówię... a nie ten chłam z kina i powieści. - Odwrócił się widząc, że po jej policzkach zaczynają toczyć się łzy. Francesca zapatrzyła się w okno. Serce ścisnęło jej się z tęsknoty do miłości. Poczowała pocieszający uścisk dłoni Eda na ramieniu i usłyszała jego głos: - Miałaś szczęście, dzieciaku, choćbyś nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. I nie ma znaczenia, czy ten człowiek był twoim ojcem. - Dostałaś prezent, Frankie, zapomnij o opakowaniu. - Podszedł do kuchenki i przyniósł stamtąd dwa talerze z jajkami na szynce. - Dobra, wytrzymaj teraz te śliczne oczy i zjedzmy coś... Jest Wigilia, pamiętasz? Mamy być pełni radości, szczęśliwi, no i w ogóle. - Usiadł i spojrzał na nią badawczo. - Nie zapomniałaś chyba o choince? Tak jak mówiłem: wieczorem ma stać i świecić.
 - Nie zapomniałam, Ed - powiedziała. Postara się, żeby było to najpiękniejsze drzewko w życiu.
 - Idzie duży śnieg... - rzekł Ed, wznosząc oczy ku ołowianemu niebu. - Czuję to.
- Po południu byli na długim spacerze, a kiedy zbliżali się do domu, Ed rzucił ukradkowe spojrzenie na zegarek. Zmarszczył brwi i znowu popatrzył na niebo.
- Zaraz zapadnie zmierzch.
 - Czy to ważne?
 - Nie, skąd... Nie wiedziałem tylko, że już tak późno. - Głębiej wcisnął opatulone rękawicami dłonie w kieszenie baraniego kozucha. - Chyba odpadną mi palce.
 - Zaraz po przyjściu do domu zrobię kawę.
 - Potrzebuję czegoś więcej niż kawa, żeby odtajać. Poczęstuję się dużą szkocką.
 - Bez lodu? - spytała wesoło.

- Z całą pewnością.

- Chyba słyszę samochód - powiedziała France-sca, przystając u podnóża schodów. Okruch wyskoczył z wściekłym ujadaniem.

- Słyszysz - odparł Ed z satysfakcją, w chwili gdy psi ogon zniknął za rogiem domu.

Philippe wysiadł z samochodu, ciągnąc za sobą ogon, złożony z kilkorga dzieci pod opieką jego przyrodniego brata, Bernarda. Stanąwszy w smudze światła padającego z ganku, podniósł głowę, bo z drzwi wyszedł mu na spotkanie Ed, opatulony w stary kozuch. Na progu zaś stała Francesca, od której Philippe nie mógł oderwać oczu, aż w końcu Bernardo usunął go z drogi, aby dostać się do Eda. O ewentualnym przyjeździe Franceski Ed powiedział Philippe'owi w ostatniej chwili, kiedy było już za późno na zmianę planów. Przez ostatnie cztery lata stary bezwzględnie wymagał od niego wspólnego spędzania świąt, mimo iż znaczyło to również obecność Bernarda z trzema córkami. Bernardo był najstarszym z braci Philippe'a, a zarazem jedynym, z którym utrzymywał on bliskie stosunki.

Bernardo był samotnym ojcem, gdyż jego żona Elena uciekła z pewnym inkasentem tak dawno, że już nikt nie pamiętał kiedy. W czasie gdy Ed ścisnął dłoń Bernarda i targał włosy dziewczynek, zeszła do nich Francesca. Philippe spieszył się. Nie chciał pokazywać się jej w takiej sytuacji, bo chociaż bardzo lubił Bernarda, to wolałby nie przedstawiać Francesce tego nieśmiałego kierowcy ciężarówki z obwisłym brzuchem, ubranego w workowaty, źle dopasowany garnitur.

- Cześć, Philippe... To chyba niespodzianka... A może nie? - Widziała jego zakłopotanie i bardzo chciała mu pomóc wybrnąć, ale nie było to łatwe.

- Zapytaj Eda... On knuł to od tygodni - powiedział

kwaśno, zdobywając się na wymuszony uśmiech, gdy ścisnął jej dłoń.

- Philippe, do diabła, może przedstawiłbyś dziewczyny! - Stary zignorował kąśliwą uwagę swego podopiecznego i zaczął odwracać do Franceski zawstydzone dzieci. - Same dziewczynki: Victoria, Rosa i Maria.

- Synów nie mam - zauważył Bernardo ze smutkiem, witając się z Francescą, a przy okazji potknął się o kręcącego się radośnie Okrucha.

- Są ludzie, których nie można zadowolić - powiedział Ed, zaganiając dziewczynki do domu. - Dzieci, będziemy mieli więcej śniegu, całą masę!

- On naprawdę się cieszy - powiedziała Francesca z serdecznym uśmiechem.

- Jak zwykle - oschle zauważył Philippe.

- To dobry człowiek - rzucił pospiesznie Bernardo i spuścił oczy, dostrzegłszy na twarzy brata zdumienie spowodowane tym określeniem.

Zanim wszyscy dotarli do salonu, odsłonięto choinkę. Teraz było jasne, dlaczego Ed tak nalegał, żeby przygotować ją przed zmrokiem. Wiedział, że przyjadą dzieci. Francesca uśmiechnęła się, widząc, jak Rock pomaga Bernardowi rozebrać dziewczynki, a potem rozpromienia się na widok tej trójki wpatrzonych w olbrzymie drzewko.

- No dobra - powiedział Ed, klaszcząc w dłonie. - Dziewczynki, do roboty!... Tylko nie przewróćcie drzewka. Frankie męczyła się prawie całe popołudnie, żeby stało prosto.

- Naprawdę? - zainteresował się Philippe, zwracając się w jej stronę.

- Bardzo dobrze się przy tym bawiłam - powiedziała, odwzajemniając się mu lekko wyzywającym spojrzeniem, po czym z powrotem skierowała wzrok na dziewczęta myszkujące wokół choinki. - O co tu chodzi?

- Ed zawsze daje im wigilijne prezenty, ale muszą je same znaleźć.

- Myśli o wszystkim.

Philippe nie odpowiedział, zaczynał odnosić wrażenie, że bieg wydarzeń go zaskakuje. Patrząc na Eda, który kucnął przy najmłodszym dziecku, pomyślał, że mógłby on uchodzić za dziadka. O to zresztą staremu chodziło. Zdawało się nie mieć dla niego znaczenia, że to wszystko lipa, czcze marzenia. Philippe pragnął spłoszyć najpaskudniejszą z paskudnych myśli. Zamajaczyło mu bowiem, że Ed robi to wszystko dla niego, a powtarzające się co roku przedstawienie jest jeszcze jedną formą prześlągania jego, Philippe'a.

Śnieg przyszedł rzeczywiście, padał przez całą noc, zgodnie z przepowiednią Eda, i ubierając się rano, Francesca usłyszała okrzyki zachwyconych dziewczynek, a potem tupot ich małych stóp, gdy zbiegały po szerokich, drewnianych schodach. Przez okno zobaczyła, że śnieg grubo pokrył lekko sfalowaną powierzchnię. Oto Boże Narodzenie projektanta, pomyślała z rozbawieniem. Potem wróciła do prezentów, ustawionych na sosnowej toalecie. Było ich za mało. Nie miała nic dla dziewczynek ani dla Bernarda. Na szczęście, wzięła z sobą kilka mydełek owocowych i egzotycznych olejków do kąpieli, kupionych na Piątej Alei. Musiały wystarczyć. Bernardo natomiast dostanie parę białych, wełnianych skarpet, które kupiła sobie przed wyjazdem. Może nie zauważy małego monogramu, starannie wyszytego jedwabną nicią.

Gdy Francesca zeszła na dół, podłogę w salonie pokrywały już papiery. Stała trochę niepewnie w drzwiach, patrząc jak Ed i Bernardo usiłują zaprowadzić porządek, a dziewczynki zrywają opakowania z kolejnych prezentów. Najmniejsza z nich, Maria, odwróciła się na pięcie od tego rozgardiaszu. Podeszła do Philippe'a, wspięła mu się na kolano i oboje

obserwowali krzątanię, nieświadomi, że sami też są obserwowani.

- Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego - powiedziała Francesca i zbliżyła się do Philippe'a. -
Wesołych świąt!

Życzenie „Wesołych świąt” rozległo się teraz chórem, bo jej obecność zauważyli równocześnie Ed, Bernardo i dziewczynki.

- Hej, to dla ciebie! - Ed rzucił jej przez pokój wąski, podłużny przedmiot. Okazał się lekki i Francesca najpierw delikatnie nim potrząsnęła, a dopiero potem zabrała się do odwijania czarno-złotego papieru, który krył prześliczne pudełeczko, a gdy wieczko sprężyste odskoczyło, ukazało się białe, bibułkowe zawiniątko. Zanim Francesca usunęła ostatni skrawek bibułki, zaczął prześwitywać jedwab i wkrótce ujrzała prześliczną czarną kombinację, ozdobioną koronką.

- Ed... - Z zachwytu i zakłopotania ledwie mogła wykrztusić podziękowanie.

- To dla dziewczyny, która ma wszystko... Myślę, że ci się spodoba. Phil był zdania, że czerń jest w twoim guście... - Mrugnął do niej, a potem Francesca zauważyła ostrzegawcze spojrzenie skierowane do Philippe'a, który najwyraźniej nie miał z tym upominkiem nic wspólnego.

Francesca odłożyła wykwinną bieliznę do pudełka i przyniosła swoje prezenty. Ed piał z zachwytu nad cygarnicą, chociaż, jak się okazało, jedną już miał, a Francesca pomyślała, że pończocha Okrucha podoba mu się pewnie jeszcze bardziej. Bernardo ucieszył się ze skarpet, wszystkie dziewczynki natomiast dokładnie obwąchały swoje mydełka, zanim ponownie zajęły się olbrzymimi lalami, stanowiącymi prezent od Eda. Philippe wziął z jej rąk zawiniątko, lekko skrepowany, po czym zaczął rozplątywać

granatową wstążkę. Francesca niespokojnie czekała na jego reakcję i nagle zorientowała się, że Ed niemal przeszywa ich oboje wzrokiem. Ucieszyło ją, że rozpuszczone włosy zasłaniają jej policzki i kryją rumieniec.

- Piękny... - powiedział Philippe, rozpościerając szalik na ramieniu.

- Naprawdę nie wiedziałam, co cię może ucieszyć. Nie wiedziałam nawet, czy na pewno tu będziesz.

- Ale... on jest naprawdę piękny. - Philippe'a ogarnęło poczucie winy, bo przecież był w podobnej sytuacji, a jednak pozostawił zakup Edowi, uparcie nie dopuszczając do siebie możliwości przyjazdu Franceski.

- W porządku, teraz zjemy późne śniadanie, a potem pójdziemy na spacer. I nie wyobrażajcie sobie, że sam się będę zajmował kuchnią! - rozległy się słowa Eda i Philippe doznał ulgi, bo ten głos przerwał krępującą chwilę.

To był piękny dzień, pełen niespodzianek, może najpiękniejszy w życiu. Francesca spojrzała znad kieliszka na kiwającą się głowę Eda i poczerwieniała twarz Bernarda. Wyglądało na to, że obaj wkrótce zasną jak i dzieci, które poszły do łóżek zaledwie godzinę wcześniej, wymęczone do niemożliwości i syte wrażeń. W końcu zerknęła na Philippe'a, który wstał od stołu, by pozbierać naczynia.

- Może powinniśmy ich odprowadzić na górę...

- Wiesz, że Edowi by się to nie spodobało.

- Może więc wezmę Okrucha na wieczorną rundkę?

- To już lepszy pomysł... - uśmiechnął się. - Pójdę z tobą. Te skorupy możemy zostawić do rana. - Pies jakby tylko czekał na tę chwilę, niespodzianie bowiem wyskoczył zza drzwi. Francesca roześmiała się.

- Dziś czy jutro, co za różnica? - dodał Philippe i sięgnął po okrycia.

Zachmurzone niebo wisiało nad zaśnieżoną ziemią. Panowała cisza. Francesca stanęła nieruchomo i wraz z Philippe'em obserwowała rozmerdanego Okrucha, który raz po raz wyłaniał się spośród zarośli.

- Tu odnosi się wrażenie, że wszystko jest na swoim miejscu - powiedziała cicho i pomyślała, że te słowa brzmią fałszywie, bo nie oddają w pełni tego, co czuje naprawdę.

- Rozumiem cię - odparł i znowu pogrążył się w milczeniu, zdziwiony, że nagle stali się sobie bliscy.

- Bardzo miło ze strony Eda, że mnie zaprosił.

- Odwróciła się powoli i spojrzała na Philippe'a.

- On nie jest zły. - W tej chwili był o tym przekonany, ale może to przez nią, bo w jej obecności wszystkie złośliwości na temat Eda gdzieś się ulatniały, a jego samego opanowywało wrażenie zagubienia.

- Powinieneś mu czasem trochę odpuścić - powiedziała cicho Francesca.

- Może powinienem podjąć takie noworoczne postanowienie.

- Może.

W bezksiężycowej nocy prawie nie widział jej twarzy, czuł za to przyjemny damski zapach. Z wnętrza domu dobiegł jakiś dźwięk, Philippe nie chciał jednak go usłyszeć, aby nie zerwać wątlej nici, która zdawała się łączyć go z Francescą.

- To Ed - powiedziała Francesca. Drgnął.

- A to Okruch - dodał na widok psa, który przybiegł do jego nóg. - Wracajmy.

- Muszę wyjechać jutro rano - powiedziała Francesca, podczas gdy Ed nakładał jej na talerz, jakże

zbędną, słodką polewę do wafli. Po powrocie czekała ją ostra dieta.

- Czemu, na miłość boską?! - zapytał Ed. - Za parę dni sylwester. - Głowa bolała go od nadmiaru porto, wypitego poprzedniego wieczoru, toteż za każdym razem, gdy wyglądał przez okno, raził go śnieg.

- Mam parę rzeczy do zrobienia.

- Myślisz o pracy? - spytał ze zniecierpliwieniem. - Nikt nie będzie w tym tygodniu pracował, chyba że szalenciec.

- Taki jak ja. Muszę wyprostować pewną sprawę, a w każdym razie spróbować. - Do tej pory nie miała czasu, żeby zatelefonować do klientów, których Vic mógł zachęcać do zmiany agencji, gdyby sam chciał odejść. Wprawdzie większość z nich mogła być w tym okresie nieuchwytna, ale trzeba by przynajmniej pogadać na ten temat z Geoffem albo nawet z Henrym. Francesca wiedziała, że jest u Samuela za krótko, by mieć łatwe dojścia do klientów, i na tym właśnie polegała wyższość Vica. Nowa Anglia była za daleko na telefoniczne załatwianie spraw, a niepokój Franceski dowodził, że powinna wrócić do Londynu.

- Naprawdę to takie ważne? - nalegał Ed.

- Oj, Ed, koźmi by mnie stąd nie wyrwano, gdyby to nie było ważne. - Chwila nie była jednak odpowiednia na rozmowę o zamierzeniach Vica. Gdyby okazało się to konieczne, Edi Philippe zdążyłby dowiedzieć się o wszystkim.

Wyglądało na to, że stary zadowolił się tą odpowiedzią, ale po chwili odezwał się znowu:

- Szesnastego są moje urodziny.

- O, nie wiedziałam...

- Kończę siedemdziesiąt trzy lata, wydaję tutaj przyjęcie. Przyjedziesz? - To życzenie było czymś nowym.

- Po co pytasz, skoro wiesz?

- W porządku, wobec tego dostajesz pozwolenie na jutrzejszy odlot do Londynu.
- Dziękuję, Ed - powiedziała z nutą sarkazmu i pochwyciła spojrzenie Philippe'a, który wznosił oczy ku niebu. Nawet Bernardo się roześmiał.

Ale znacznie później, kiedy już poszła do swojego pokoju, wcale nie czuła radości, pakując swój skąpy dobytek. Nie cierpiała pakowania i nie sądziła, by kiedykolwiek było inaczej. Niezwykle i piękne były święta, ciężko więc było opuszczać ten dom... Eda, Okrucha, nawet Bernarda z dziewczynkami. No i był też Philippe, niedostępny Philippe, który zawsze zdawał się zachowywać dystans. Uśmiechnęła się, chowając do torby pudełko z czarną kombinacją. Jasne jak słońce, że to sprawka Eda, na pewno nie Philippe'a. Z ciężkim westchnieniem zamknęła torbę, ale uprzytomniła sobie, że czegoś brakuje, nie było wypukłości w miejscu, gdzie przedtem mieściły się sportowe buty. Zostały w kuchni, owinięte w plastikową torbę.

Gdy schodziła po nie, prawie w całym domu było już ciemno, tylko na kominku wciąż palił się jasny płomień, na co wskazywał odblask, widoczny w szparze pod drzwiami. Lekko zmarszczyła czoło i otworzyła drzwi. Zobaczyła na ścianie karykaturalnie długi cień nóg Philippe'a, wyciągniętego w fotelu.

- Och, przepraszam - powiedziała.
- Nie szkodzi. Zresztą i tak miałem zaraz iść na górę. - Wstał i zabezpieczył kominek osłoną. - Myślałem, że już śpisz.
- Pakowałam się i nagle stwierdziłam, że buty zostały na dole.
- Mogłabyś je tu zostawić, jeśli zamierzasz wrócić na urodziny Eda. Nie sądzę, żeby były ci potrzebne na londyńskich ulicach.

Zobaczyła kpiący uśmiezek na jego wargach. Ude-

rzyło ją podobieństwo tego grymasu do skrzywienia ust Matthiasa.

- Dobrze się czujesz? - Nawet w świetle kominka zauważył, że zbladła.

- Dobrze... naprawdę. - Kiedy do niej podszedł, stwierdziła z ulgą, że podobieństwo znikło, że to tylko Philippe.

Patrzyła na niego, a on przypomniawszy sobie wszystkie te chwile, kiedy jej pragnął. I dopiero teraz, w tym półcieniu wydała mu się nagle taka bezbronna, że odważył się wyciągnąć rękę i dotknąć Francesco. Uświadomił sobie, że wsuwa palce w jej włosy, i delikatnie głaszcząc jej twarz. O dziwo, Francesca nie powiedziała ani słowa, nie zrobiła najmniejszego gestu, pozostała nieruchoma. Potem wszystko było już takie łatwe... Jej otwarte usta, okrągłe, lśniące oczy, smukła szyja i dotyk ciała, które się w niego wtuliło.

Ta choinka jest za doskonała, uznała Caroline, kiedy matka zaczęła zapalać świece. Na drzewku nie było ani bałwanków, ani Świętego Mikołaja, ani anielskich włosów, słowem, niczego, co mogłoby zakłócić starannie wypracowane wrażenie dobrego smaku. Matka była oczywiście niewiarygodną snobką, ale dotąd Caroline jakoś to nie przeszkadzało. Trzask samochodowych drzwi na podjeździe wyrwał ją z zamyślenia. Przybywali pierwsi goście. Przeszła do kuchni, gdzie właśnie przygotowywano tace z napitkami. Sięgnęła ponad stosami kanapek i wzięła sobie dzinu z tonikiem zastanawiając się, czy pomoże jej to zachować dobry nastrój przez najbliższe dwie godziny. Poczula rozpacz, bo przypomniała sobie Nicka, którego nie widziała od ostatniej, niefortunnej rozmowy. Raz czy dwa próbowała dzwonić, ale go nie zastała, a brakło jej odwagi, żeby iść do niego, nie mając nic nowego do powiedzenia. On natomiast jej nie szukał. Pociągnęła łyk alkoholu i wróciła do pokoju bawialnego czy też „niebieskiego salonu”, jak nazywała go matka. Kilka osób stało już przy kominku i wydawało okrzyki zachwytu nad domem, ogrodem, choinką. Zaraz padła łupem matki, która dostrzegła ją czujnym okiem i pociągnęła za sobą.

- Caroline, znasz oczywiście państwa Allenby...

Potwierdziła skinieniem. Poczciwy nudziarz Geor-

ge był przedtem wspólnikiem ojca, a teraz z uporem bronił się przed emeryturą.

- A to państwo Goldmanowie. - Ci z kolei robili duże pieniądze na produkcji butów i byli paskudnie bogaci, toteż pewnie dlatego ich zaproszono. Tak w każdym razie przypuszczała Caroline, zwykle bowiem matka nazywała Davida Goldmana „tym żydowskim szewcem”.

Dzwonek zadźwięczał znowu i Caroline ruszyła ku drzwiom, chcąc skorzystać z okazji, by uciec, ale zobaczyła ojca zmierzającego w tym samym kierunku. Szedł z kuchni, gdzie zapewne uraczył się szybkim drinkiem w tajemnicy przed matką. W holu rozległo się kilka męskich głosów i Caroline zobaczyła swego brata, Roberta, i dwóch jego kumpli z wojska. Lubiła brata, chociaż czasem przychodziło jej do głowy, że właściwie wcale go nie zna. Większą część dzieciństwa oboje spędzili w szkołach z internatem, oddalonych o wiele kilometrów, a po niezadowolających wynikach maturalnych Robert poszedł w kamasze zamiast do Oksfordu, czego pragnęli rodzice. Caroline uznała, że brat wygląda na zadowolonego, a i jego koledzy sprawialiby znośne wrażenie, gdyby nie byli tak bepcłiowi. Poczowała uścisk na łokciu i ujrzała ściągniętą chłodem twarz matki.

- Powinnaś krążyć wśród gości, Caroline... Nie stój tak pośrodku pokoju z pustą szklanką w ręce - syknęła. - Popatrz, tam jest pułkownik O'Hare. Spróbuj się nim sympatycznie zająć.

Jedna z wynajętych na tę okazję służących przeszła obok z tacą drinków. Ponieważ matka tymczasem odeszła, Caroline sięgnęła po kieliszek. Zaczynała pojmować, dlaczego ojciec tak dużo pije.

Pułkownik O'Hare miał wielkie, silne palce, o czym Caroline przekonała się kiedyś, gdy została posadzona obok niego podczas eleganckiej kolacji. Pułkownik naj-

pierw przysunął się z krzesłem nieco za blisko, potem zaczął ocierać nogę o jej udo, a jeszcze później poczuła jego dłoń na kolanie i przeżywała męki, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu wstała i wyszła z pokoju, pozorując ból głowy, nie miała bowiem dość tupetu, żeby dźgnąć widelcem te lubieżne paluchy, jak to zalecano w pewnym kobiecym piśmie. Pułkownik był jednak w stanie, którego wyraz „podpity” już nie obejmuje. Caroline wiedziała wprawdzie, że w oczach wielu ludzi stanowiłoby to dla niego usprawiedliwienie, ale sama nie mogła i nie zamierzała tak na to patrzeć. Jej matka naturalnie oskarżyłaby ją o chorobliwe wymysły, bo przecież Rollie O'Hare był człowiekiem starej daty, a to bezwzględnie stawiało go w jednym rzędzie z archaniołem Gabrielem, jak stwierdził Nick, któremu Caroline opowiedziała o tym incydencie.

- Caroline... moja droga - zaczął pułkownik i wykrzywił w uśmiechu grube, zaślinione wargi; na wąsikach miał warstewkę alkoholu. Wyglądał jak karykatura wojskowego w satyrycznym czasopiśmie. Spojrzała na niego z niechęcią, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia i Caroline zdziwiła się, że tak łatwo przeszedł do porządku dziennego nad okolicznościami ich poprzedniego spotkania. Może zresztą naprawdę nic nie pamiętał albo miało to dla niego tak małe znaczenie, że zaskoczyłaby go tylko przypomnieniem. Stali przez kilka minut, wymieniając potwornie drętwe uprzejmości, w końcu pułkownik odszedł znudzony. Caroline poczuła znowu palce na łokciu i drgnęła, spodziewając się kolejnego starcia z matką z powodu źle spełnionego obowiązku. Tym razem był to jednak Guy.

- Cześć... - powiedział z zakłopotaniem.

Przez chwilę była tak oszołomiona, że tylko spoglądała na niego z ukosa. Nie wiedziała, że Guy został

zaproszony. Matka sugerowała, że będzie tylko „rodzina i przyjaciele”, a ona, pochłonięta myślami o Nicku, nie przewidziała zaliczenia Guya do tej drugiej grupy. Nie przyszło jej to do głowy. A powinno.

- Jak leci? - spytał ze sztuczną beztróską, wpatrując się w jej znieruchomiałe rysy.
 - Dziękuję, dobrze - odpowiedziała w końcu. Milczeli, aż wreszcie Guy odezwał się znowu:
 - Charlotte urządza przyjęcie sylwestrowe...
 - Wiem.
 - Pomyślałem, że może wybralibyśmy się razem... Pomyślała o Nicku.
 - Skąd takie przypuszczenie?
 - No bo... to znaczy twoja matka powiedziała... -Urwał niepewnie, widząc w jej oczach gniew.
 - Co powiedziała, Guy?
 - Musiałem źle zrozumieć.
 - Na pewno zrozumiałeś właściwie. - Spojrzała nieprzyjaźnie. - Bardzo mnie to interesuje, naprawdę.
 - Na wargi wystąpił jej nikły uśmiezek, a Guy mylnie zinterpretował go jako zachętę.
 - Powiedziała, że nie ułożyło się między tobą i... tym mężczyzną.
 - Mówiła o tym, zanim cię zaprosiła czy potem?
 - Och, przedtem... - odparł. - Twoja matka jest bardzo miła. Utrzymuje ze mną kontakt przez cały czas, odkąd... - Zawahał się. - No, wiesz... - dokończył niezręcznie.
- Caroline spojrzała na matkę, gorliwie konwersującą z lokalną sławą poetycką. Na jej czole pojawiły się bruzdy.
- Mam nadzieję, że zechcesz mi wybaczyć, Guy. -Nie czekając na odpowiedz, wyszła do względnie spokojnego holu, skąd telefonicznie zamówiła taksówkę.
- Pakowanie nie zajęło dużo czasu. Dwie walizki i torba na ramię powinny były wystarczyć, przynaj-

mniej na razie. Ale bagaż okazał się o wiele cięższy, niż przewidywała, co stwierdziła ciągnąc go niecierpliwie po schodach. Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby jak najciszej dostać się na dół po wypastowanych, drewnianych stopniach. Wreszcie wypchnęła wszystkie bagaże na obszerny ganek i wygładziła sukienkę. Dopiero wtedy zorientowała się, że z progu przygląda jej się ojciec. Zbliżył się.

- A więc wyprowadzasz się?... - spytał cicho.

- Mama tak wszystko utrudnia... - odparła smutno i poczuła pieczenie w oczach, zwiastujące łzy.

- Wiem... - Ogarnęło go wzruszenie, kiedy patrzył na łzy w oczach córki.

- Postępuje nieuczciwie wobec Nicka... - Zaczęła jej drzeć broda.

- Masz rację - przyznał bezradnie i przytulił ją.

Przygarnięta do piersi, znalazła pocieszenie w zapachu wełny, fajkowego tytoniu, whisky - to wszystko utożsamiało się z ojcem. Usłyszała podjeżdżający samochód i uniosła głowę.

- To chyba twoja taksówka - powiedział cicho, wypuszczając ją z objęć.

Skinęła głową i odwróciła się po bagaże, ale ojciec ją uprzedził, podniósł torby i ruszył w kierunku taksówki.

- Nie powinnaś mieć poczucia, że musisz unikać domu, rozumiesz? - powiedział stanowczo i dojrzał w jej oczach niepewność. - Matka nie ma ostatniego słowa we wszystkim. To również twój dom.

- Dziękuję ci, tato. - Powstrzymała łzy, bo nie mogła znieść jego smutnej miny.

- Nie masz za co dziękować... - Odsunął kosmyk wilgotnych włosów z jej policzka. - A gdyby ci coś nie wyszło... Jest tak, jak powiedziałem, to twój dom - dokończył nieporadnie, pomagając jej wsiąść do samochodu.

- Wiem, tatusiu... ale chyba nie musisz się martwić. - Pomyślała o Nicku i stwierdziła, że bardzo chce z nim być. On od razu wiedział, że Caroline musi dokonać wyboru. Bardzo się teraz dziwiła, że tak długo z tym zwlekała.

- To jest absolutnie poufna informacja, Zoe - powiedział Vic. - Pojutrze przestanie być tajemnicą, ale pomyślałem, że tobie powinienem powiedzieć już teraz. - Tak czy owak, potrzebował jej. Trzeba było napisać dokument i listy w sprawie jego przejścia do agencji Gower & Kid-Porter, nie miał więc sposobu, żeby nie wspomnieć o tym Zoe. - Zaczniemy dzień od dużego bum: odchodzę od Samuela, wszystko już nagrane.

Wpatrywała się w niego nie rozumiejącymi oczami.

- Odchodzisz... - powtórzyła z niedowierzaniem. - Na dobre?

- Na bardzo dobre! - Uśmiechnął się.

- Ale kiedy? - spytała niespokojnie. - I dokąd? - Jak najszybciej... prawdopodobnie pojutrze. - Rozparł się na krześle. - Mam zostać wiceprezesem w agencji Gower & Kid-Porter. - Naturalnie rozmawiał z Henrym, który przyjął tę decyzję z dziwnym, wręcz irytującym, spokojem, no ale przecież Henry żył ostatnio jak w wieży z kości słoniowej. Nie trzymał już ręki na pulsie, wychodził z obiegu. Nie było problemu z wypowiedzeniem, mimo że istniała na ten temat klauzula w kontrakcie. Henry stwierdził widocznie, że nie byłoby mądrze trzymać bez roboty faceta wysoko notowanego na rynku, takiego jak Vic, bo jeśli jeszcze nie zaczął, to wkrótce zacznie krecią robotę i może namówić masę klientów do zmiany sklepiku. Vic uśmiechnął się tryumfalnie. Zgodnie z oczekiwaniami, dostawał okrągłą odprawę, rekom-

pensującą te podłe trzy miesiące. Wystarczy z nawiązką na willę w Marbelli, którą od tak dawna chciał kupić. Co więcej, sprzedaż udziałów w firmie także zapewniała mu przyzwoitą sumkę. Z zamyślenia wyrwało go głośne pociągnięcie nosem. Vic westchnął. Po policzkach dziewczyny spływały rześiste łzy.

- Chryste, Zoe... To są interesy... - zniecierpliwził się. Nie znosił łez.

- Ja nie będę mogła z tobą przejść, prawda? -Spojrzała na niego błagalnie przez mgłę łez.

- Nie, kochanie... - Pokręcił głową z udanym żalem. - Wierz mi, próbowałem namówić Stu Gowera, żeby włączył cię do pakietu, ale nie jest to zgodne z polityką jego firmy, więc nie mógł stworzyć precedensu. Chyba rozumiesz?

Potwierdziła skinieniem głowy, a potem wbiła wzrok w chusteczkę, którą mięła w palcach.

- Oczywiście możemy się nadal widywać... - powiedział w końcu. Początkowo zamierzał całkowicie wykreślić ją ze swojego życia, ale potem stwierdził, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Zoe zostanie sekretarką Geoffa, który wciąż się nie mógł zdecydować na żadną kandydatkę, mimo iż rozmawiał już z wieloma. Bądź co bądź, zawsze lepiej wiedzieć, z kim się ma do czynienia... Zresztą Geoff nigdy nie miał podejścia do kobiet, ani w łóżku, ani poza nim. Pomyślał o tym z paskudną satysfakcją. Postanowił jeszcze przed odejściem zarekomendować Zoe Geof-fowi... żeby pomóc tej biednej małej. A przy okazji skorzysta i on, bo nie wątpił, że Zoe chętnie go poinformuje, co słyhać u Samuela: które firmy ta nadęta baba zechce zagarnąć, jakie kampanie szykuje, z kim nawiązuje kontakty pocziwy Geoff.

- Naprawdę?

- Oczywiście, złotko. Nie myślałaś chyba, że zamie-

rzam po prostu wynieść się stąd i już. Obdarzył ją uśmiechem, który Zoe potraktowała jako pocieszenie. - Bądź co bądź, przez ostatnie dwa lata mieliśmy dużo dobrej zabawy, prawda? Znow skinęła głową.

- I nie martw się o pracę. Porozmawiam z Geoffem, zobaczymy, czy uda się załatwić dla ciebie stanowisko sekretarki, asystentki czy jak chcesz to nazwać. Nie powinno być z tym kłopotów.

Vic wstał i z ulgą zobaczył, że jej twarz już się rozpromieniła. Wyciągnął dłoń, a ona uścisnęła ją ze wzruszającą skwapliwością.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. O nic się nie martw - powiedział w końcu i otworzył drzwi. Nie mógł oprzeć się pokusie i klepnął ją na odchodnym w pośladek.

Sian spojrzała z rezygnacją na stertę teczek i korespondencji. Francesca wróciła do pracy pogodna i zadowolona, co oznaczało wyraźną poprawę w porównaniu z jej nastrojem sprzed świąt, ale dołożyła jej dodatkowe godziny pracy w porze lunchu, obiecując możliwość ich odbioru z nawiązką w styczniu.

- Może kawy?

Sian zerknęła na miłą twarz Zoe i uśmiechnęła się.

- Dziękuję, z przyjemnością. - Kiedy jednak Zoe ruszyła w kierunku kuchni, Sian zmarszczyła brwi, bo zauważyła, że przyjaciółka ma zaczerwienione oczy.

Po chwili przed Sian znalazła się filiżanka. Zoe, siadając za biurkiem, dostrzegła badawcze spojrzenie sąsiadki.

- Co się stało?

- Wydawało mi się; że płakałaś. Zoe spuściła głowę.

- Nie mów nikomu, nie wolno - wydusiła w końcu.

- O czym? Westchnęła. - Vic odchodzi.

- Odchodzi?!

- Pst... Sian... To wielka tajemnica.

Sian wątpiła, czy Zoe wie, co naprawdę oznacza słowo „tajemnica”.

- Ale dlaczego odchodzi?

- Dostał lepszą propozycję - odparła smutno.

- A ty nie przechodzisz z nim?

- Nie mogę. - Odwróciła wzrok, unikając oczu Sian. - Próbował mnie włączyć do swojego pakietu - powtórzyła słowa Vica. - Ale Stu Gower powiedział, że to sprzeczne z polityką firmy.

- Ten z agencji Gower & Kid-Porter?

- Tak.

- Kiedy Vic odchodzi?

- Chce jak najszybciej... prawdopodobnie już pojutrze - dokończyła z rezygnacją.

- Co zamierzasz zrobić?

- Ma załatwić dla mnie stanowisko sekretarki Geoffa.

- Ale Geoff już o tym wie?

- Vic z nim porozmawia.

Przez chwilę spoglądały na siebie, zakłopotane.

- Oczywiście, będziemy się nadal spotykać...

Sian zdobyła się na sztuczny uśmiech. W jej umyśle ożyło niemiłe wspomnienie dnia, kiedy to nakryła Vica i Zoe. - Mam nadzieję, że ci się jakoś ułoży... - bąknęła.

- Vic uważa, że tak - ostro powiedziała Zoe, jakby czytała w myślach koleżanki.

Zadzwoił telefon i Sian z ulgą odwróciła głowę. Najpierw myślała, że to pomyłka, ale zaraz poznała głos matki, która roztrzęsiona coś mówiła, aż w końcu jej słowa zaczęły się układać w przerażającą całość.

Sian przycisnęła słuchawkę do ucha, jakby bojąc się cokolwiek uronić, zanotowała adres szpitala, nazwisko lekarza i odłożyła słuchawkę.

- Co jest? - Pytanie zadał Geoff. Stał tuż obok od dłuższej chwili, choć nawet go nie zauważyła.

- Petie miał wypadek.

- Poważny? - spytał cicho.

- Chyba tak - powiedziała obcym głosem.

- Może potrzebujesz samochodu?

- Chciałam wziąć taksówkę.

- Podwożę cię. - Wyrwał z jej bloczka kartkę z adresem szpitala i rzucił spojrzenie na Zoe, która przyglądała im się z półotwartymi ustami. - Powiesz Francesce?

- Zoe skinęła głową bez słowa.

Mimo chłodu na dworze, w samochodzie było gorąco. Sian siedziała sztywno obok Geoffa i czuła pot spływający jej po plecach i między piersiami.

- Co się stało? - spytał w końcu, nie mogąc dłużej znieść milczenia.

Zamknęła oczy, starając się zebrać myśli.

- Petie był w wózku, na chodniku przed domem. Mama zostawiła go na parę sekund, musiała otworzyć drzwi. Wracała po wózek, kiedy jakiś mężczyzna stracił panowanie nad motocyklem i zjechał z jezdni wprost na Petie'ego... - Zasłoniła usta. Bała się, że pęknie jej serce. Tamten uderzył w sam środek wózka, jakby za sprawą złośliwego zrzędzenia losu. - Petie ma liczne rany szarpane, połamane żebra, urazy głowy... Chyba nic z niego nie zostało - dodała gorzko i wybuchnęła płaczem.

- Już dobrze, dobrze... Zaraz będziemy w szpitalu - powiedział bezradnie i podał Sian chustkę do nosa.

Sian nie odzywała się, -ale kiedy byli już niedaleko celu, uniosła głowę i ponuro powiedziała:

- Wiesz, Geoff, czasem żałowałam, że życie nie uło-

żyło mi się inaczej. Wydawało mi się, że może byłoby lepiej, gdybym podjęła inną decyzję... - Ileż razy w najskrytszych zakamarkach serca budziło się pragnienie odzyskania wolności? Wolności od Petie'ego.

Zerknął na nią. Wstrząsnęła nim rozpacz i pustka, którą zobaczył w tej twarzy.

- Czasem chciałam, żeby czas cofnął się o rok, o dwa lata... zanim jeszcze to się stało, zanim Petie... -

Nawet teraz nie mogło jej to przejść przez usta.

- Przestań, Sian - przerwał jej. - Wiem, co próbujesz powiedzieć, ale to bez sensu.

Pokręciła głową, jakby nie chciała uwierzyć.

- Sądzisz, że jesteś jedyną osobą, która tęskni do przeszłości, jakby taki powrót wszystko załatwiał?

Czy naprawdę sądzisz, że gdybyś potrafiła cofnąć czas, cokolwiek by to zmieniło? Byłabyś nadal tym samym człowiekiem, Sian. Podjęłabyś dokładnie tę samą decyzję.

Znowu pokręciła głową. Łzy spływały jej po policzkach.

- Kochasz Petie'ego, prawda?

Był dla niej wszystkim, ale do tej pory nie uświadamiała sobie tego. Przytaknęła.

- Wobec tego reszta się nie liczy. Przestań się dręczyć. Jesteś tylko człowiekiem.

Nie odpowiedziała. Geoff westchnął na widok bramy szpitala. W przypiływie lęku zastanawiał się, kto dałby jakiegokolwiek szansę malutkiemu chłopcu w zderzeniu z motocyklem.

- Czyli podzielasz zdanie Henry'ego? - spytał Vic z uśmiechem na ustach. Siedziała naprzeciwko niego i wydawała mu się tego rana niesłychanie efektowna, jeśli, oczywiście, ktoś lubi taki styl. Z irytacją odnotował, że ma na sobie prawie identyczną bluzkę z granatowego jedwabiu, jak ta, którą kupiła niedaw-

no jego żona. Na Francesce jednak strój leżał jak dzieło projektanta mody, zresztą najprawdopodobniej nim był, a bluzka Sue sprawiała wrażenie kupionej w domu towarowym Marks & Spencer.

Prawdę mówiąc, Sue we wszystkim tak wyglądała.

- Jeśli o mnie chodzi, Vic, to im wcześniej odejdziesz, tym lepiej.

- To właśnie nazywam mówieniem bez ogródek...

- Dobrze, że się rozumiemy.

- Zawsze się rozumieliśmy, Francesco - powiedział sarkastycznie.

Nie odpowiedziała. Pochyliła głowę nad kartką leżącą na biurku. Vic nieco się przybliżył, widząc że Francesca notuje jakieś liczby, ale zaraz jego wzrok przyciągnęło wycięcie dekoltu i zarys piersi.

Szkoda, że ma taki tęgi łeb, pomyślał, z wysiłkiem tłumiąc erekcję.

- Rozmawiałeś już z Richardem Bestem na temat twoich udziałów?

- Naturalnie.

- I naturalnie załatwiłeś wszystko z Henrym w sprawie warunków odejścia...

- Myślałem, że to wiesz.

- Po prostu sprawdzam, Vic... Znasz chyba moją dociekliwość. - Spojrzała na niego spod oka i lekko się uśmiechnęła.

Och, znał bardzo dobrze, ale pamiętał też, że takim mądralom zdarza się przechytrzyć, i właśnie Francesca miała się wkrótce o tym przekonać.

- Henry powiedział, że mogę zatrzymać mercedesa do końca tygodnia, ale to nie będzie konieczne. Stu Gower ma mi dzisiaj po południu podrzucić ferrari. Czerwone, takie jak twoje.

- Co za gest... Miejmy nadzieję, że okażesz się godzien takiej hojności, Vic.

Nie wątpię w to, Francesco - odparł z niemal jaw-

- ną kpina. - Przez ostatnie kilka miesięcy, to znaczy od twojego przyścia, widzę w firmie zmiany, z którymi trudno mi się pogodzić. Agencja Samuela miała własny charakter, panowało w niej coś w rodzaju rodzinnej atmosfery; teraz za bardzo się rozrasta i traci klimat. Te próby małpowania megaagencji, w których zapomina się, czym jest reklama, wcale mi się nie podobają.
- Dla pewnych ludzi zmiany mogą być trudne... Wykrzywił usta w ponurym grymasie.
 - Zmiana dla samej zmiany nie ma sensu.
 - A czy awans na pierwsze miejsce w brytyjskim rankingu o niczym nie świadczy, Vic?
 - Nie to miałem na myśli.
 - Naprawdę myślisz, że Samuels może pozostać agencją średniej wielkości, czymś w rodzaju „rodziny”, jak to oryginalnie ująłeś, a jednocześnie zachować potencjał twórczy bez udziału wielonarodowych megaagencji, które bez wątpienia zaczęłyby się pojawiać z kuszącymi ofertami i w końcu wykupiłyby firmę?
 - To czysta spekulacja.
 - Nie. Tu rządzi konkurencja, nie spekulacja. Prędzej czy później mniejsze firmy wypadną ze współzawodnictwa i staną się pożywką dla gigantów, gdyż nie będą w stanie sprostać wymogom globalnego marketingu.
 - Bzdury - powiedział z jawną wrogością. - W reklamie jest mnóstwo ludzi wciąż jeszcze nie przekonanych do tego globalnego śmietnika!
 - Mnie ci ludzie nie interesują. Tracą czas, bo zamiast patrzeć w przyszłość, patrzą w przeszłość albo nie patrzą w ogóle.
 - Może nie chcą mówić „hop”, zanim nie przeskoczą.
 - A może boją się ryzyka.

- Ty za to nie boisz się ryzykować agencji.
 - Mylisz się, Vic, bo jeśli chodzi o Samuela, to zamierzam zadbać, żeby wielkie było piękne.
 - Mam nadzieję, że ci się uda.
 - Czyżby? Kogo chcesz bujać? Zapadło milczenie, potem Vic wstał.
 - Aha, pytałem Geoffa, czy zatrudniłby Zoe jako sekretarkę. Nie chciałbym, by musiała szukać nowej pracy, bo nie mogłem jej wziąć ze sobą.
- Francesca uniosła brwi.
- Na pewno wzruszyła ją twoja troska, ale ostateczna decyzja należy do Geoffa.
 - Oczywiście. - Ruszył do drzwi.
 - Ufam, że z wrodzonym wdziękiem zdążyłeś już powiedzieć „do widzenia” naszym klientom.
- Gwałtownie się odwrócił.
- No jasne. Znam większość z nich od dawna. - Do czego ona zmierza?
 - Paul O'Neill z de Vico jest bardzo sympatycznym facetem. Geoff i ja ucieliśmy sobie z nim pogawędkę w poniedziałek rano.
 - Czy to powinno mnie zainteresować? - Interesowało, i to bardzo.
 - Może chciałbyś wiedzieć, ot tak, z sentymentu dla dawnych czasów, że rezygnujemy ze współpracy z Julianem Baringiem, a Paul pochwała naszą decyzję.
- Paul... Vic poczuł złość. Cała przyjemność, na którą się szykował, uleciała. Na zmianę agencji przez O'Neilla liczył jak na pewniaka. Przecież prawie go przekonał, kiedy podczas ostatniej rozmowy przedstawił mu obraz katastrofy, jaką prawdopodobnie będzie fuzja Samuela z agencją Dunmar-Rock i konflikty z niej wynikłe.
- No cóż - powiedział chłodno.
 - Musiałeś słyszeć, że Baring ostatnio przesadza z koką... - Przyglądała mu się uważnie. - Usłyszał „do

widzenia" nawet w Thames, gdzie robił program z horoskopami. Firma zapragnęła, żeby sobie stamtąd poszedł, zanim, przepraszam za wyrażenie, rozejdzie się smród.

- Coś mi się obilo o uszy - skłamał.

- Wydawało mi się, że de Vico to jedna z twoich ulubionych kampanii.

Nie odpowiedział.

- Na pewno będziesz lepiej spał, wiedząc, że po pewnych korektach kampania znajdzie się w lepszych rękach.

- Co masz na myśli?

- Julian odchodzi, więc zaczęliśmy już zmieniać obsadę. - Usiadła na krawędzi biurka i założyła ręce.

- Paulowi bardzo spodobał się pomysł, który mu przedstawiłam.

Ty dziwko.

- Jakie wrażenie zrobiłoby na tobie trio: Harold Wilson, James Callaghan i Edward Heath?

- A cóż to? Polityczny mityng? - spytał.

- Świetny dowcip, Vic... ale nie zgadłeś. Po prostu Paul chciałby ich widzieć pijących jego sherry... i porto.

- Jestem pewien, że ten pomysł da jego firmie krezusowe bogactwa - powiedział urażonym tonem.

- Ja też. A Paul zamierza to potwierdzić, podpisując ładny, nowy, trochę zmieniony kontrakt.

Vic zamilkł. Francesca dźgnęła go nożem w plecy, dowiedziawszy się skądś o jego zamierzeniach. Stu bardzo liczył na de Vico i dodatkowe cztery miliony funtów obrotu, a on praktycznie mu to obiecał.

Przyglądał się Francesce i mełł w ustach przekleństwo.

- Cóż, jeśli nie masz już nic do powiedzenia, to idę

- zakończył niepewnie i zmusił się do uśmiechu.

Czekała na jakiś jego gest czy cięte słowo, ale Vic po prostu wyszedł.

Nie wiedział nawet, jakiego ma pecha. Gdyby Francesca nie odkryła jego planów, Paul O'Neil rzeczywiście przeniósłby de Vico pod skrzydła agencji Gower & Kid-Porter. Ale Vic nie zatarł za sobą śladów, lekceważąc panią prezes. Argument, z którym wystąpił, ten o fatalnych następstwach fuzji i nieuniknionych konfliktach, był słaby, i Francesca łatwo pokonała obiekcje O'Neilla podczas zaimprovizowanego spotkania. Do spięcia doszło, kiedy powiedziała mu, że jego superreklama z Baringiem w roli głównej opiera się na niepewnej podstawie i wyraziła zdziwienie, że „pan Brunning jeszcze o tym nie wspomniał, do czego przecież był zobowiązany”. Vic rzeczywiście o niczym nie wspomniał, bo czekał z tym do chwili, gdy de Vico przejdzie do Gowera. Przeliczył się jednak, i teraz dyrektor de Vico przekonał się, że ma do czynienia z zachłannym facetem. Co zresztą jest prawdą. Wróciła do biurka i spojrzała na kartkę, gdzie zanotowała kilka liczb i nazwisk. Vicowi udało się narobić trochę szkód, między innymi podebrał trzech klientów, wartych w sumie około dwóch, milionów. Wszystko to będzie można przeczytać w najbliższym numerze „Campaign”. Vic niewątpliwie się o to postarał. W efekcie pojawią się nowi wątpiacy; musiała więc przygotować dla nich wyjaśnienia do następnego numeru pisma. Była pewna, że Vicowi się to nie spodoba. Obok miało też się pojawić zdjęcie, więc pomyślała, że powinna je oprawić w ramkę i wysłać mu. Uśmiechnęła się do własnych myśli. Może także Paulowi O'Neillowi należało się zdjęcie? Trudno było nie zauważyć podziwu w jego oczach, gdy ją ujrzał. Szła tam odeprzeć wszystkie zarzuty, więc ubrała się szalowo, co poskutkowało znakomicie. Bez wątpienia nie spodobałoby się to feministkom, ale zawsze wy-

woływało pożądane wrażenie. Zresztą czyż w reklamie nie chodzi właśnie o sukces? W tym wypadku środki wyraźnie posłużyły do osiągnięcia celu. Vic nie miał szans. Pokręciła głową i podeszła do okna. Brunning należał do ludzi, którzy zawsze znajdują odpowiedź, więc i tym razem, gdy przyjdzie co do czego, z pewnością jakoś wyjaśni Gowerowi sprawę de Vico. Znów uśmiechnęła się do siebie. Konkurowanie z Vikiem zapowiadało się interesująco i nie wątpiła, że również on tak uważa, choć z pewnością jest żądny zemsty i będzie się dopuszczał najpaskudniejszych chwytów, żeby tylko utracić Samuela. Zemsta jednak niekoniecznie bywa słodka i jeśli Vic zacznie za bardzo szkodzić gadaniem albo jakimiś numerami, to będzie musiała go definitywnie powstrzymać. Vic reprezentuje określony typ człowieka reklamy: jest gładki w obejściu, brutalny i nieczuły. Tacy ludzie koncentrują się wyłącznie na wielkiej forsie, i śmierć wszystkim, którzy stają im na drodze. Agencja Gowera jest dla niego świetnym miejscem.

Oparła czoło o zimną szybę. Nagle poczuła się znużona. Pomyślała, że Vic potrafi jej zalać sadła za skórę. Wyjrzała przez okno. Niebo, jak na styczeń, było nieoczekiwanie pogodne, bładoniebieskie, bezchmurne. Dzień nadawał się na długą, bardzo długą przechadzkę w ładnym miejscu, na przykład w Nowej Anglii. Francesca wykonała gwałtowny skok myślowy, cofając się do Bożego Narodzenia i zarazem do Philippe'a. Nie spodziewała się takiego uścisku i pocałunku, który trwał i trwał, oszłamiając ją. Ale potem Philippe wypuścił ją z ramion, mówiąc, że powinna wrócić do swojego pokoju, bo jest bardzo późno, a następnego dnia czeka ją długa podróż. Zaskoczyły ją te łagodne nalegania i niewiele brakowało, żeby odmówiła i została. Coś w jego głosie wzbudziło jednak jej wahanie. Poszła więc do siebie i le-

LOUISE PENNINGTON

żała w łóżku, fatalnie rozdrażniona, w rezultacie więc nie wyspała się. Francesca uniosła głowę i odprowadziła spojrzeniem ptaka lecącego gdzieś przed siebie. Niedostępny Philippe - pomyślała.

Zastanawiała się, czy naprawdę ją całował.

Ciszę przerywały jedynie pospieszne kroki na korytarzu i strzępy rozmów prowadzonych szeptem.

Geoff oderwał spojrzenie od szyby w drzwiach i zwrócił je na stertę zaczytanych pism, zalegających stolik w poczekalni.

- Może chcesz jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję... - Sian westchnęła ciężko i spojrzała na niego z ukosa. - Nie musisz tutaj siedzieć, naprawdę. - Ale nie chciała, żeby odszedł. Przez ostatnią godzinę jej oczy powiększyły się, były niezwykle okrągłe i podejrzanie lśniące, a usta jej drżały.

- Nie muszę, ale chcę.

To właśnie on zaproponował, żeby matka Sian pojechała do domu. Starsza pani była w lekkim szoku, więc ulokował ją w taksówce, zaopatrzywszy we flakonik kropli uspokajających. Zarzekała się, że nie będzie ich używać, ale Sian zadzwoniła do ojca i wymusiła na nim obietnicę, że skłoni żonę do wypicia leku. Dość było zmartwienia z Petie'em nie chciała mieć na sumieniu jeszcze i zawału matki.

- Dzięki - odparła cicho i znów zapadło milczenie.

- Doktor mówi, że mały jest bardzo silny, Sian... - przypomniał Geoff niepewnie.

- Wiem, wiem. - Drżącymi palcami odsunęła z twarzy kosmyk włosów i spytała: - A ty masz dzieci?

Przecząco pokręcił głową.

- Chciałem mieć, ale mojej żonie się nie śpieszyło. Odwlekała i odwlekała, aż w końcu przestałem nalegać.

- Nie lubi dzieci?
 - Nigdy tak nie mówiła... Myślę, że po prostu bardziej interesowała ją kariera zawodowa. -1 to jak!
 - Gdzie ona teraz jest? I z kim?
 - W Nassau, pracuje jako modelka. - Nie wierzył w to. Joanna niedawno skończyła trzydziestkę, mogła uchodzić za dwudziestopięciolatkę, jeśli ktoś nie przyglądał się zbyt dokładnie, ale karierę modelki miała za sobą.
 - Nie ma nadziei, że znowu się zejdziecie?
 - Nie - odparł stanowczo. - Rok temu mogłem być jeszcze na tyle głupi, żeby się o to starać, teraz już nie.
 - Przykro mi.
 - Nie ma powodu. Żałuję tylko, że to wszystko nie rozleciało się trochę wcześniej. - Wierzył Joannie i pozwolił, by lata przeciekły mu przez palce. - Zadziwiające, że człowiek kurczowo trzyma się związku, który jest już martwy albo dogorywa. - Uśmiechnął się żałośnie. - Kiedy w końcu to dostrzeże, zaczyna się zastanawiać, czy związek ten był w ogóle prawdziwy... Nie odpowiedziała, bo temat sprawił, że pomyślała o przeszłości.
 - Muszę zawiadomić Adama. Poczul przyływ zazdrości.
 - Może wolałabyś, żebym ja to zrobił?
- Twarz jej natychmiast pojaśniała, a on czuł nienawiść do tej jasności.
- Zrobiłbyś to? - Jakoś nie miała ochoty rozmawiać z Adamem. Bała się łez i tego, że zrobi z siebie idiotkę.
- Wyciągnęła z torebki kalendarzyk i podała Geoffo-wi.
- Numer jest pod „A”.

Nie pod „G” jak Gilmore, nie pod „V” jak Village, lecz pod „A” jak Adam. Sian widocznie myśli, że jestem sympatycznym, głupawym gościem, który na darmo traci czas. Geoff ruszył powoli sterylnym korytarzem do kabin telefonicznych, usytuowanych przy wejściu. Połączył się bezpośrednio z biurem Gilmore'a, odpowiedział mu słodki głos sekretarki. Geoff złapał się na przykrew myśli, czy i ją Gilmore posuwa.

- Proszę powiedzieć, że dzwoni Geoff Buchanan z agencji Samuelsa. - Za chwilę melodyjny głos Gilmore'a dał się słyszeć w słuchawce.

- Geoff, co u ciebie? - Nie czekał na odpowiedź - Masz szczęście, że mnie złapałeś, właśnie wybieram się na lotnisko.

- Telefonuję w imieniu Sian...

Nastąpiła przerwa, Geoffowi zdawało się, że widzi zmieszaną twarz rozmówcy.

- Aha...

- Jej synek... twój synek... miał paskudny wypadek. Czy mógłbyś przyjechać do szpitala?

Znowu przerwa.

- Trudno mi będzie, Geoff...

- Czy możesz zrezygnować z podróży albo przynajmniej ją opóźnić? Chłopca właśnie operują.

- Gdybym wiedział wcześniej...

- Wypadki zazwyczaj nie dostosowują się do rozkładu naszych zajęć...

- Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak wymówka.

- Moim zdaniem, Sian potrzebuje twojego oparcia.

- To spotkanie jest bardzo ważne. - Adam nie chciał się angażować. Już niewiele brakowało do wygodnego rozwiązania spraw. Przecież nigdy w życiu nie byłby taki głupi, żeby reanimować ten związek, miał więc nadzieję, że Sian da mu w końcu święty spokój. - Zadzwoń do niej jutro.

- Jutro będzie za późno.

- Posłuchaj, Geoff, mam na głowie własną rodzinę.
 - Czyli Petie cię nie interesuje?
 - Tego nie powiedziałem.
 - Ale to miałaś na myśli.
 - Zadzwoń do niej jutro.
 - Jesteś małym skurwielkiem, Gilmore. - Chyba nie powinien być tak mówić. Usłyszał trzask w słuchawce i telefon zamilkł. Geoff wrócił do poczekalni. Sian wciąż siedziała nieruchomo, w tej samej pozycji co przedtem, ale kiedy wszedł, z nadzieją podniosła oczy.
 - Jest w drodze na lotnisko. Spóźniłem się o parę minut. - Skłamał tylko częściowo.
 - Ale można przecież zadzwonić na lotnisko i wywołać go przez głośniki.
- O tym nie pomyślał.
- Prawdopodobnie tylko stracimy czas. Może się tak śpieszyć, że w ogóle nie zwróci uwagi na komunikat.
 - Mimo to warto spróbować...Zrobię to sama. Spojrzał na nią bez słowa.
 - O co chodzi?
 - Po prostu myślę, że to nie jest dobry pomysł, i już.
- Sian spojrzała badawczo.
- Rozmawiałeś z nim, prawda? - Geoffa tak łatwo było przejrzeć.
 - Rozmawiałem...
 - I nie przyjdzie?
 - Naprawdę ma samolot. - Zabrzmiało to prawie tak, jakby Geoff bronił Adama. - Leci na jakieś ważne spotkanie.
- Sian odwróciła głowę.
- Głupia byłam, mając nadzieję, że przyjdzie. -Beznadziejnie głupia. Żyła marzeniem. Cóż, mieli kiedyś romans i koniec. Może nawet, jak powiedział

Geoff, nigdy nie łączyło ich prawdziwe uczucie. Jedynie parę miłych chwil, ot, zwykła przygoda z szefem. Adam to tylko mężczyzna, jakich tysiące. Ale Petie jest jeden, a jego ojciec nie interesuje się nim.

- Chcesz teraz kawy?

Skinęła głową i zaraz zerwała się na równe nogi, bo do poczekalni wszedł lekarz.

- Wszystko w porządku, pani Hart. - Uśmiechnął się do obojga.

Sian musiała powstrzymać nerwowy śmiech, gdy usłyszała jak się do niej zwrócono.

- Pani synek miał mnóstwo szczęścia - ciągnął lekarz. - Złamanie goleni, złamanie kości udowej, pęknięcie miednicy, stłuczenie żeber i uraz czaszki, ale złamania są nieskomplikowane, a krwawienie z narządów wewnętrznych nieznaczne.

Miała wrażenie, że ogarnia ją pustka. W miejscu, gdzie powinna być twarz lekarza, widziała tylko bezkształtną plamę.

- Oczywiście, jest w szoku i przez kilka dni będzie wymagać intensywnej opieki, ale dziecięce kości zrastają się bardzo szybko, a, jak już mówiłem, chłopiec wydaje się bardzo silny.

Wybuchnęła płaczem.

- Mamy tu miejsce, gdyby pani chciała zostać na noc - dodał łagodnie.

Skinęła głową.

- Kawy czy herbaty? - spytał jeszcze lekarz.

- Właśnie miałem się tym zająć - wtrącił Geoff.

- Każę zaraz coś podać, myślę, że pan powinien zostać z żoną.

Młody człowiek wyszedł, a zakłopotany Geoff zwrócił się do Sian:

- Już dobrze... Powiedział, że Petie wyjdzie z tego. - Ale to pocieszenie odniosło skutek odwrotny od zamierzonego. Sian zanosła się gwałtownym szlo-

chem. Dawała upust tłumionej dotąd rozpaczy, tajało napięcie. Geoff aż skurczył się wewnątrz, przejęty współczuciem. Nie mógł tego znieść. Przez chwilę się wahał, ale potem jego ręce same wyciągnęły się po Sian i przygarnęły ją do piersi. Głaskał ją po głowie, policzkach, po ramieniu, aż szloch osłabł. Sian uspokajała się, kołysana w jego ramionach.

- Nie musisz już płakać - szepnął.

- Wiem - odezwała się w końcu.

- Jak ona się czuje? - spytała Francesca, gdy Geoff opadł na miękki fotel w jej gabinecie.

- Przeżyła ciężki wstrząs. - Spojrzał kątem oka.

- Czy mogę dostać drinka?

- Oczywiście - odparła. - Sama powinnam była o tym pomyśleć. Koniak?

Skinął głową i przyglądał się, jak Francesca zręcznie nalewa alkohol do dwóch kruchych, pękatych kieliszków.

- Z chłopcem wszystko będzie w porządku?

- Miał bardzo dużo szczęścia... Uderzenie wyrzuciło go z wózka, co było wystarczająco straszne, ale gdyby motocykl przygniół go do ściany...

- Boże... - powiedziała, gwałtownie wciągając powietrze. - Przekaż jej, że gdyby czegokolwiek potrzebowała, niech zaraz powie.

- Przekażę. - Wolno przełknął duży łyk koniaku, czując, jak go rozgrzewa i przewycięża znużenie.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Francesco

- O co chodzi? - Usiadła naprzeciwko.

- Miami Citrus. Właśnie miałem cię zawiadomić, kiedy usłyszałem o wypadku, a ty akurat rozmawiałaś z Vikiem. Honeyfords postanowił anulować kontrakt z agencją Gaetini. Bill Miller, twój nowy dyrektor naczelny, rzuca mięsem.

Milczała, przeklinając swój brak zdolności przewi-

dywania. To z pewnością robota Aidana. Znał ludzi od marketingu w Miami Citrus; był tam przecież z nią podczas negocjacji i na uroczystym lunchu. Trzeba mu zresztą oddać sprawiedliwość, że wymyślił dla nich prawdziwe dzieło sztuki.

- A Miami Citrus przechodzi do agencji Gower & Kid-Porter - powiedziała.

- Ano właśnie... Wraz z Aidanem O'Donnellem. - Westchnąwszy, podjął: - Wszystko będzie w jutrzejszym numerze „Campaign”, dostałem na ten temat poufną informację. Ma się nawet ukazać fotografia Vica z Aidanem. Uroczo brzmi to zestawienie imion.

- Do diabła z fotografią, powinnam była to przewidzieć, Geoff! Jak to jest, że na człowieka spada taka ślepotą? - rzuciła z irytacją. - Ostatnio Aidan stanowczo za często widywał się z Vikiem. Jego odejście mnie nie zaskoczyło, ale należało przygotować kontrę.

- Francesco, nie czytasz w kryształowej kuli, a ostatnie tygodnie miałaś szczerze wypełnione zajęciami.

- To żadne usprawiedliwienie.

- Jeśli klient chce odejść, to i tak odejdzie, nie ma rady.

- Wystarczyłaby odrobina perswazji...

- Vic zagrał chytrze, co nas nie powinno dziwić, ale dzięki twojemu refleksowi udało nam się zatrzymać taką grubą rybę jak de Vico.

Pokręciła głową. Miami Citrus miało szczególne znaczenie. Było ukoronowaniem powrotu agencji Gaetini & Kemp do czołówki brytyjskiego rankingu. Na rok przed przyjsciem tutaj sprzątnęła tę kampanię Samuelowi sprzed nosa.

- Nadrobimy tę stratę. Nowo powstały dział inwestycji zyskał kilku klientów i kwartalne wyniki są znacznie bardziej optymistyczne niż w naszych przewidywaniach.

- Nie w tym rzecz, Geoff.

Zmarszczył czoło. Podkradanie klientów było praktykowane w reklamowej dżungli. Miami Citrus było jednak prawie dzieckiem agencji Franceski i wiedział, że tego numeru Vicowi nie wybaczy.

- Ściągnę Miami Citrus z powrotem - powiedziała cicho. - Zobaczysz.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię.

Znów spojrzała na Geoffa, który zauważył jej lekko uniesione kąciki ust. Ten uśmiešek nie spodobałby się z pewnością ani Vicowi, ani Aidanowi O'Donnellowi.

- Chcę też porozmawiać o Zoe - oznajmił Geoff.

- Vic mówił, że się zastanawiasz, czy nie wziąć jej na sekretarkę.

- Miałem taki pomysł, ale zrezygnowałem.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie jest to pracownik, jakiego potrzebuję, a po drugie, jej stosunki z Vikiem zdecydowanie wykraczały poza ramy urzędowe...

Francesca uniosła pytająco brwi.

- To trwało od pewnego czasu. Przed powrotem ze szpitala zapytałem Sian, czy wie coś o tym. -

Łyknął odrobinę koniaku. - Wiedziała sporo, a Zoe powiedziała jej, że ma zamiar nadal spotykać się z Vikiem.

- Sądysz, że może mu donosić?

- Nie wykluczam takiej możliwości, jeśli w grę wchodzi Vic.

Owszem, to byłoby w jego stylu.

- Damy jej odprawę. Nie odpowiedział.

- Nie chcę, żeby się tu kręciła, Geoff.

- Przecież to dzieciak. - Właśnie on będzie musiał ją zawiadomić i patrzeć, jak te wielkie, niebieskie oczy zachodzą łzami. Cholera.

- Bardzo głupi dzieciak. - Francesca pokiwała głową. Zoe pewnie była przekonana, że kocha Vica.

- Czy nie moglibyśmy jej przenieść do innego działu albo nawet do innej firmy, nad którą mamy kontrolę?

- Nie, Geoff.

Westchnął. Francesca miała rację, ale gdyby Vic nie wykręcił takiego numeru z Miami Citrus, może nie byłaby taka bezwzględna wobec Zoe.

- Dopilnuję, żeby nie spotkała jej krzywda - obiecała.

- No, dobrze - zgodził się i dopił koniak. - Wrócę teraz do szpitala. Sian jest sama.

- To miłe z twojej strony.

- No... - zająknął się. - Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Zaczerwienił się i zaskoczona Francesca uśmiechnęła się leciutko. Geoff miał słabość do Sian, a ona tego wcześniej nie zauważyła.

- Nie zapomnij jej przekazać, że jeśli będzie czegoś potrzebowała, wystarczy do mnie zadzwonić.

- Dobrze - powiedział wstając. - Zobaczymy się jutro rano.

- Nie zapomniłeś chyba, że pojutrze lecę do Stanów.

Zapomniał, więc znów westchnął.

- W piątek mnie nie będzie w agencji, wracam concorde'em w poniedziałek rano. Możesz zająć się firmą?

- Oczywiście.

- Będę ci wdzięczna, Geoff. Skinął głową i uśmiechnął się.

- Przekaż też Sian wyrazy mojej sympatii - dodała. Ponownie skłonił głowę i ruszył do drzwi czując, że

humor mu się powoli poprawia. Przekazałbym jej wyrazy swojej sympatii, gdyby tylko pozwoliła, pomyślał. Nie zamierzał jednak narzucać się, nie chciał wyjść znów na głupca. Sian wciąż jeszcze zmagala się

z przywiązaniem do tego pyskatego gogusia Gilmore'a, i miała zmartwienie z Petie'em. Trzeba było postępować niezwykle taktownie. Może nie będzie to trudne, skoro lody zostały skruszone. Kiedy odchodził ze szpitala, zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach coś więcej niż wdzięczność. Nie chciał jednak łudzić się nadzieją, która zaczęła już kiełkować, odpędził więc piękne marzenia. Nie zamierzał się śpieszyć. Tym razem postanowił działać bardzo delikatnie, żeby szczęście nie wymknęło mu się z rąk. Przerzucił płaszcz przez ramię i zgasił lampę w gabinecie. Może ruch na ulicach nie będzie wielki. Obiecał przecież Sian, że zostawia ją tylko na parę godzin. A Geoff zawsze dotrzymywał słowa.

Ed stał z Okrucem na ganku, witając Francescę wysiadającą z samochodu.

- Frankie, wyglądasz przepięknie - powiedział serdecznie.

- Ty też. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

- Poczekaj z tymi życzeniami. Siedemdziesiąt trzy kończę dopiero w niedzielę!

- Widziałam w Nowym Jorku Philippe'a. - Był serdeczny, jednak w granicach konwencjonalnej uprzejmości, a ona czuła się nieswojo jak nigdy dotąd.

- Za dużo pracuje, ale będzie tu jutro z samego rana. - Philippe odmówił przyjazdu wcześniej i nawet omal się o to nie pokłócili. Ed westchnął cicho, wziął Francescę pod ramię i weszli do domu.

- O, jest jeszcze choinka! - powiedziała zaskoczona, gdy znalazła się w salonie.

- Nie miałem serca jej rozebrać. Dobrze wygląda, a ja nie wierzę, że jeśli stoi dłużej niż do szóstego, to przynosi pecha. To tylko przesąd. Co roku jest tak samo. Moja pierwsza żona, Bella-Donna, miała nawet zwyczaj zostawiać choinkę do Zielonych Świąt.

- Bella-Donna? - Francesca zaczęła się śmiać.
- Owszem. Trucizna w stanie czystym! Pokręciła głową, a Ed wypuścił z ust kłęb dymu.
- Powinnam zanieść bagaże na górę...
- Dobrze, a ja tymczasem przyrządzę coś dobrego i mocnego do picia. Możesz mi wierzyć, że się przyda. Zgodnie z ostatnimi prognozami, dziś w nocy ta kilkudniowa odwilż ma się zakończyć ciężkim mrozem. - Wsadził cygaro do ust i dodał: - Na wieczór proponuję proste, ale za to smaczne danie: duszoną baraninę z kluskami i cebulą. Zapomnij o figurze.

Ed odprowadził Francescę wzrokiem. Od Bożego Narodzenia Phil nie wspomniał o niej, chyba że chodziło o interesy. O ile wiedział, a zwracał na to uwagę, Philippe nie zainteresował się ostatnio żadną kobietą. Ktoś mógłby pomyśleć, że, osioł, zajął się chłopakami... Ale z Philem nic nie jest proste, pokręcony jest, sukinsyn.

Nocą rzeczywiście chwycił mróz. Francesca spoglądała rankiem na krajobraz, który stał się jej tak bliski. Nad oknem wisiał rząd frędzlastych sopli, a tam, gdzie ścięło kałuże, ogród pstrzyły lśniące plamy. Poza tym wszędzie leżał śnieg i Francesca zastanawiała się, czy na zawsze zapamięta Nową Anglię jako miejsce, w którym biel i zimno rozgrzewają. Odgłos samochodu hamującego przed domem przerwał jej obserwację. Znieruchomiała, wiedząc, że to przyjechał Philippe. Wygładziła biały sweter, ten sam, który nosiła na Boże Narodzenie, do tych samych džinsów. Przypominał jej miłe chwile i włożyła go chętnie, choćby nawet dla Philippe'a nie był żadnym znakiem. Możliwe, że dla niego takie drobiazgi nie były ważne, być może w głębi duszy był oschłym człowiekiem. Ale Francesca w to nie wierzyła.

Ed przygotował wystawne śniadanie. Francesca usiadła za stołem, a gospodarz ustawiał na nim pół-

miski z szynką, jajami i pomidorami. Zjawił się też Philippe z chlebem i kubkami gorącej kawy.

- Nie zapomniałem i o waflach... - zapewnił Ed, siadając obok niej. - A do nich mnóstwo ciepłego syropu.

- Mdli mnie przez ciebie, Ed - Philippe uśmiechnął się przekornie.

- Mogę dodać, że niewiele do tego potrzeba. - Ed nie pozostał dłużny.

- No, dobra... - odparł Phil. - Sam się o to prosiłem.

- A skoro już mówię... - W głosie Eda brzmiało ostrzeżenie. - Zostajesz, oczywiście, do poniedziałku rano, prawda?

- Zdaje się, że są twoje urodziny - odparł Philippe.

- Wszyscy to wiemy. Chcę tylko mieć pewność, że nie uciekniesz mi zniemacka.

- Spokojnie, Ed. Wyjeżdżam dopiero w poniedziałek rano.

- Świetnie... To chciałem usłyszeć.

- Kto jeszcze przyjedzie?

- Nikt. Postanowiłem, że będzie kameralnie. Jestem za stary na wielki harmider.

Philippe wpatrywał się w niego bez słowa, Ed zaś zwrócił się do Franceski:

- Po śniadaniu możecie iść na długi spacer, a ja tymczasem pozmywam.

- Ja pozmywam, Ed - wycedził Philippe.

- Powiedziałem, że sam to zrobię.

- Nie w urodziny.

- Urodziny dopiero jutro.

- Wszystko jedno - odparł Philippe ze sztucznym spokojem.

- On ma rację, Ed - wtrąciła się Francesca. - Urodziny są raz w roku.

Osaczyli go. Ed spojrzał groźnie na Philippe'a, żu-

jąc w ustach przekleństwo. W co gra ten osioł, do ciężkiej cholery?

- Ale przyłączysz się do nas zaraz potem, Phil. Bądź co bądź, oboje mi bez przerwy przypominacie, że to moje święto...

- Oczywiście, Ed - powiedział Philippe z uśmiechem. Dlaczego ten stary sukinsyn robi wszystko tak cholernie ostentacyjnie? On chciał załatwić tę sprawę po swojemu i w odpowiednim czasie, ale Eda guzik to obchodziło. Niekiedy Philippe pragnął, żeby stary choć raz zamknął gębę na kłódkę, i dał mu święty spokój.

- On jest uparty jak muł - stwierdził Ed, kiedy weszli na leśną drogę.

- Jest dorosły, Ed, i ma swój rozum.

- Właśnie to mnie niepokoi. Roześmiała się.

- Potrzeba mu miłej dziewczyny, żeby się ustatkował. Tylko tego dla niego chcę, wszystko inne już ma.

- Może nie chce się ustatkować?

- Wszystko mi jedno. I tak nie wie, co dla niego dobre.

- Prawdę mówiąc, to niezbyt uczciwe wobec niego.

- Znam go o wiele lepiej niż ty, Frankie, i wierz mi, że wiem, co mówię.

- Może po prostu czeka na odpowiednią dziewczynę.

- Nie przyszłoby mu do głowy, że to ta, nawet gdyby na nią wpadł.

- Chyba jesteś za surowy.

- Weźmy ciebie, na przykład. Głupcem byłby mężczyzna, który by cię nie chciał, a jeszcze większym głupcem ten, który by cię nie chciał w majestacie prawa.

- Ed, proszę...

- Ja tylko stwierdzam fakty, Frankie.

- Czasem bywam jędzowata - zauważyła i roześmiała się.
 - Bzdura! Kobieta z ikrą stanowi po prostu trudniejsze wyzwanie, to wszystko. Trzeba poświęcić jej więcej czasu i energii, ale ostatecznie to się opłaca... - Zachichotał i dodał poważniejszym tonem: - Czasem się zastanawiam, czy Phil nie zapodział gdzieś swojej fantazji.
- Zamilkli, idąc teraz ścieżką prowadzącą do jeziora. Było niezwykle cicho, panował spokój. Las wydał się Francesce doskonały, jakby ktoś precyzyjnie wymalował czernią i bielą każde drzewo, każdą gałązkę. Miała wrażenie, że gdyby sięgnęła ręką i próbowała czegoś dotknąć, czar prysnąłby jak bańka mydlana.
- On cię lubi, chyba wiesz o tym? - wyrwał ją z rozmarzenia głos Eda.
 - Ed, litości...
 - Do diabła! Dlaczego miałbym tego nie powiedzieć?!
 - Bo wkraczasz na niebezpieczny grunt, ot dlaczego. - Ale cieszyła się, że to powiedział.
 - Wiedziałem o tym od początku... - uparcie drażył temat.
 - Ed... Ed... - prosiła bezradnie.
 - Nie „eduj” Frankie, wiem, co mówię.
 - Może on woli blondynki, tak jak mój ojciec. Stary stanął i spojrzał jej w oczy. Zobaczył w nich wesołe błyski.
 - Nie bądź za mądra, nie do twarzy ci z tym. Udało jej się zachować powagę. Stanęli nad brzegiem jeziora. Ścięta lodem tafla lśniła.
 - Gdzie ten przeklęty pies? - spytał Ed, rozglądając się dookoła.
 - Pędzi za nami - odparła Francesca, gdy Okruch wynurzył się zza kępy drzew.

- Jedyna okazja, żeby go zwabić nad wodę, bo akurat nie jest mokra! - zachichotał. - Inaczej boi się jak sto diabłów.

Ptaki krążące nad drzewami zataczały koła coraz niżej, aż wreszcie usiadły na zamarzniętej powierzchni jeziora. Pochylały łebki i dziobały lód, jakby nie mogły pojąć, że nie można ani pływać, ani łapać ryb. Okruch obserwował przez moment ich zachowanie, i nagle nogi go poniosły. Jak błyskawica skoczył naprzód, ale wpadł w poślizg, łapy mu się rozjechały i stracił równowagę. Ed usłyszał głuchy odgłos łap na lodzie, żołądek podjechał mu do gardła... Zamknął oczy, czując jak w mózgu boleśnie wwierca mu się ostry dźwięk pękającego lodu.

- Okruch... ty głupi bydlaku... - Łapiąc z trudem oddech, zerwał się do biegu w chwili, gdy czarna szczelina w tafli rozszerzyła się i zamieniła w ziejącą dziurę, która wchłonęła psa.

- O Boże... - Francesca zrobiła kilka kroków po lodzie śladem Eda, i zatrzymała się, uświadamiając sobie niebezpieczeństwo. - Ed, stój!

- Zawołaj Phila! Tylko zawołaj Phila, niech przyniesie linę!

Patrzyła przez ułamek sekundy, jak stary ostrożnie zbliża się do przerażonego psa, po czym rzuciła się w kierunku domu. Zdawało się jej, że minęły wieki, zanim dotarła do ogrodzenia, brakło jej tchu, ale właśnie wtedy naprzeciwko pojawił się Philippe.

- Co się stało?

- Bierz linę, pod Okruchem pękł lód... - A może i pod Edem, może także pod Edem.

Bez słowa skoczył do szopy i zaraz wypadł z powrotem, niosąc gruby sznur i kilka tyczek.

- Musi wystarczyć, nie ma nic innego. Pobiegli. Francesca czuła coraz większą suchość w ustach.

Ed leżał rozplaszczony na lodzie tak blisko psa, jak tylko mógł się podsunąć, i wyciągniętą dłonią trzymał go za obrozę. Okruch już się nie szamotał, z trudem utrzymywał łeb nad lustrem lodowatej wody. Philippe ściągnął kurtkę i zaczął posuwać się ku nim.

- Wracaj, Ed, ja go wyciągnę.

- Nie mogę się ruszyć, to pieprzone bydlę utonie...

- Dasz radę uwiązać mu to przy szyi? - Philippe rzucił linę.

Ed zaczął się szamotać. Widać było, że ręce ma sztywne i posiniałe od mrozu, mimo to jakoś udało mu się przeciągnąć sznur pod obrozę. Ale gdy tylko osłabił chwyt, Okruch zaczął się zanurzać.

- Pomóż mi, Phil! Idzie na dno! Nie dam rady! Philippe położył się na brzuchu i zaczął się czołgać do liny, którą rzucił mu stary.

- Mam ją, Ed, trzymam. Teraz wycofuj się razem ze mną.

- Nie, muszę ciągnąć tutaj, inaczej nigdy go nie wydobędziemy.

Philippe cicho zaklął i zaczął ciągnąć linę, a tymczasem Ed raz jeszcze wsadził ręce w wodę i objął psa za szyję.

- Ja to zrobię, Ed! - syknął Phil widząc, że starego opuszczają siły.

- Dobra - zgodził się w końcu Ed.

Phil opasał się liną, czekając na powrót starego, po czym wepchnął mu do ręki luźny koniec sznura.

- Niech Francesca ci pomoże, na miłość boską, podepchnijcie mi dwie tyczki.

Poczłgał się naprzód, wykorzystując drewno jako oparcie. Desperacko usiłował utrzymać napiętą linę, ale im bliżej był celu, tym boleśniej czuł, jak wrzyna mu się w dłoń. Zaczynało mu brakować tchu, a bezwładny psi łeb nadal tkwił w tym samym miejscu.

- Dawaj, chłopie, dawaj... - zmobilizował się i za-

cisnął zęby. Stwierdził, że nie da rady, pies był za ciężki, tym bardziej że futro nasiąkło mu wodą. Philippe zamknął oczy i zaczął się cofać, podłożywszy tyczki pod siebie. W ten sposób pociągnął Okrucha za sobą. Pies przesuwiał się teraz jak lodołamacz i Philippe obawiał się, że za chwilę lód załamie się również pod nim albo ramiona wyrwą mu się ze stawów. Na razie jednak wszystko szło zgodnie z planem. Bliżej brzegu lód był grubszy i Okruch nie mógł go sforsować. Na szczęście woda w tym miejscu była płytka i gdy tafla pękła, doholowali psa do brzegu w bród. Przy wyciąganiu go musieli się solidnie namęczyć wszyscy troje. Philippe'owi krajało się serce, gdy patrzył na starego, pochylonego nad bezwładnym psim ciałem.

- Ten wielki gamoń nie znosi wody... Jest stary, tłusty i tępy... - powiedział Ed niepewnie, drżącymi rękami ściągając kozuch, żeby okryć Okrucha.

- Nie, Ed - zaprotestowała Francesca i zdjęła swoje okrycie. - Chcesz złapać zapalenie płuc?

- To mój pies, więc dam mu własny kozuch.

- Nie bądź głupi, Ed! - ostro powiedział Philippe, który tymczasem powiązał tyczki i wciągnął Okrucha na te prowizoryczne nosze. Ale Ed nie chciał słuchać i ani Francesca, ani Philippe nie upierali się dłużej, widząc, jak w wyblakłych oczach starego błyszczą łzy. W drodze do domu pies był więc okryty trzema kozuchami.

- Połóżcie go na stole w kuchni - Ed przyniósł z pokoju kilka ręczników. - Musimy go mocno natrzeć, żeby pobudzić krążenie...

Philippe spojrział na nieruchome cielsko Okrucha, mokre, zmarznięte, z poduszkami łap poranionymi lodowymi drzazgami

- Ed...

- Zamknij się, Phil.

Philippe wziął znad zlewu małe lusterko. Stanąwszy nad psem, zerknął na Francescę. Bez słowa przystawił lusterko do psiego pyska.

- Zejdź mi z drogi - groźnie powiedział Ed.

- Pozwól, Ed... - odpowiedział cicho.

- Ty sukinsynu...

Kiedy tak stali i mierzyli się groźnymi spojrzeniami, na szkle zaczęła osiadać mgiełka.

- Własnym oczom nie wierzę - powiedział Philippe i otworzył usta.

- Masz, co thciałeś, Phil - warknął Ed. - Bierzemy się do masażu. Będziemy to robić po kolei. - Urwał i zaczął masować sobie ramię, jakby poczuł chłód. - Idę zadzwonić po weterynarza.

Francesca przyglądała mu się uważnie.

- Philippe, on się powinien położyć. Przeżył większy szok, niż mu się wydaje.

- Wiem, ale spróbuj mu to zaproponować. - Pokręcił głową zniechęcony. - Lepiej nalej nam koniaku, dla Eda duży.

Odwróciła się do drzwi i znalazła się twarzą w twarz z Edem. Stał na progu, dziwnie cichy i blady.

Twarz wykrzywił mu ból; zaczął się osuwać na podłogę.

- Philippe!

Ale Philippe już pochylał się nad leżącym.

- Wezwij ambulans, numer jest na telefonie! I daj mi któryś z tych cholernych kozuchów.

Ed wpatrywał się w śniadą twarz, gdy Philippe okrywał go starannie. Nagle opadły mu powieki i przycisnął dłonie do klatki piersiowej, jakby chciał stłumić ostre szarpnięcie bólu. Potem leżał już bardzo spokojnie, i słychać było tylko jego ciężki oddech.

- Wiedziałem, że ten pies mnie kiedyś zabije - szepnął nagle.

- Zamknij się, Ed.

- Dlaczego mnie nigdy nie słuchasz...

- Nie gadaj, Ed, daruj sobie.

- Ty uparty sukinsynu.

Philippe spojrział na popielatą twarz opiekuna i poczuł, że wargi mu drętwieją, a w gardle rośnie kamień.

- Dobra dziewczyna... ta Frankie - nie ustępował Ed.

- Zamknij się, Ed - powtórzył Philippe łagodnie.

- Zawsze marzyłem, żeby mieć takiego syna jak ty... ale mi się nie udało... - Usta wykrzywił mu smutny uśmiech. - Ale przecież mógłbyś być moim synem, no mógłbyś. - Oczy zaczęły mu się zamykać, ręka szukała dłoni Philippe'a. - Wyszło nie tak... Zawsze wychodziło nie tak... Zawsze.

- To nie ma znaczenia, Ed. - I w chwili, gdy słabnące palce zacisnęły się raptem na jego dłoni, poczuł przenikliwy ból, bo pojął, że to nigdy nie było ważne.

- Jesteś cholernym łgarzem.

- Mówię prawdę.

- Jesteś zasranym tchórzem... wiesz, dzieciaku?

- Zamknij się, Ed.

Przez chwilę spoglądał jeszcze na Philippe'a, a potem bardzo powoli zamknął oczy. Ciało mu lekko zwiotczało, jakby zdjęto z niego wielki ciężar, i potem już leżało nieruchomo.

Siedziała przy kominku, nachylona w stronę ognia i bezmyślnie wpatrywała się w rozżarzone góry drewna, które szybko zamieniały się w popiół. Philippe'a nie było. Pojechał z Edem ambulansem, a ją zostawił przy Okruchu, by czekała na weterynarza. Pies leżał teraz w kącie pokoju na stercie koców, gdzie dochodził do siebie po ciężkim przeżyciu. Słyszała jego głęboki, spokojny oddech.

Zastanawiała się smutno, czy pies pojmuje, co zaszło po południu. Wszystko potoczyło się tak szybko... Zgrzyt kół na podjeździe zaskoczył ją. Wstała i uświadomiła sobie, że nie może

zrobić ani kroku, ponieważ boi się spojrzeć Philip-pe'owi w twarz. Słyszała obrót klucza w zamku i trzask zamykanych drzwi. Minęło jeszcze kilka długich sekund, zanim Philippe ukazał się w progu.

- Nie odzyskał przytomności - powiedział bezbarwnie.

Zamarła. Nie! Nie!

- Zdaniem lekarzy, to i tak cud, że dożył tego wieku. - Odwrócił głowę, kryjąc twarz w mroku. - Czy możesz zrobić mi drinka?

Nalewając brandy do szklaneczek, zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Kiedy zwróciła się w jego stronę, siedział na krześle, które przedtem zajmowała. Twarz miał ściągniętą, nienaturalnie spokojną.

Przerażało ją to sztuczne opanowanie.

- Na pewno niezupełnie zdawał sobie sprawę... - szepnęła, rozpaczliwie szukając jakiegoś pocieszenia.

- Całkowicie sobie zdawał sprawę - powiedział z goryczą. - On zawsze wszystko wiedział, i zawsze, cholera, miał rację.

- Przestań, Philippe... To nic nie pomoże. Spojrzał ostro, a potem zwrócił wzrok w kierunku ognia.

- Wyjeżdżasz jutro?

- Chcesz tego?

- Nie wiem, czego chcę...

Odetchnęła głęboko, walcząc z rozpaczą. Ed należał przecież i do niej, a teraz go nie było, jak wszystkich, których kochała. Znów znalazła się w pustce.

- Musisz pomyśleć o pogrzebie - powiedziała tępo, poddając się fali smutku.

- Nie muszę o niczym myśleć.

Nagle poczuła do niego nienawiść za to, że lekceważy jej ból, że widzi łzy płynące po jej policzkach. Z powodu Eda, jej samej i nawet Philippe'a.

- To nie myśl. - Głos jej zadrżał. - Nie myśl o niczym. - Wstała i ze złością odstawiała szklankę na stół. Ale kiedy mijała Philippe'a wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek.

- Nie odchodź.

Przestała dusić się łzami i zmusiła się, by na niego spojrzeć.

- Czego ty właściwie chcesz, Philippe? Pociągnął ją, tak że ukłękła. Widziała go teraz nad sobą. Jego wzrok przykuła przejęta żalem, zalana łzami, piękna twarz. Bardzo powoli zdjął dłonie z ramion Franceski i przesunął je w dół, do talii. Nagle znieruchomiał, pochwycając jej spojrzenie. Uważnie przyglądał się rysom wilgotnej twarzy, póki Francesca nie odwróciła głowy, pokonana. Wtedy lekko ujął ją pod brodę i ściągnął jej przez głowę biały sweter, obnażając piersi. Przez długą chwilę mógł jedynie chłonąć ją wzrokiem, potem z westchnieniem podniósł Francescę. Zapach jej ciała oszołomił go. Zamknął oczy i zaczął delikatnie skubać zębami skórę jej szyi, piersi, brzucha. Jak z oddali słyszał niewyraźny jęk Franceski, jej łzy parzyły mu twarz, ciało gwałtownie reagowało na dotyk. Poczul jej dłonie we włosach i przygarnął ją, znalazł się nad nią na podłodze, gorączkowo ściągając jej dzinsy. Kiedy nie miała już na sobie ani skrawka materiału, przycisnął ją do podłogi, jakby obawiał się, że wymknie się z jego objęć. Ale Francesca milczała, kiedy pochylił się nad nią, kiedy w nią wtargnął. Twarz jej pozostała nieruchoma, tylko lśniące, czarne oczy patrzyły, jak porusza się nad nią, coraz szybciej, gwałtowniej, krusząc wszystkie bariery, unicestwiając ból, aż w końcu tak długo skrywana, ogromna żalność podchodzi mu do gardła, pcha się na wargi i wyrywa w ochryłym, rozdzierającym serce, krzyku.

Ogień dogasał, jeszcze tylko nieliczne rozżarzone główne i ciepło Franceski chroniły Philippe'a przed przejmującym chłodem lęku, który czał się w ciemności. Eda nie było, i została po nim głęboka rana. A Philippe nigdy nie przypuszczał, nie wiedział, że tak będzie.

- Nie odejdziesz...? - spytał.

- Och, Philippe... - westchnęła. - Donikąd nie idę, nie teraz.

Coś go zapiekło pod powiekami. Zwrócił się w mroku do Franceski i mimo głębokiego bólu poczuł ukojenie. Przyciągnął ją do siebie, przycisnął mocno, aż jęknęła. A Ed, oczywiście, od początku wiedział, że będzie właśnie tak.